

BESTSELLEROWA AUTORKA  
NEW YORK TIMES

J. T.  
Ellison

POCAŁUNEK  
ŚMIERCI



**J.T. Ellison**

**Pocałunek śmierci**

*Tłumaczenie:  
Jacek Żuławnik*

**Dla Dela Tinsleya, bez którego nie powstałaby żadna z moich książek.**

**I dla mojego Randy'ego – zagubiłabym się, gdyby nie Ty.**

## Podziękowania

Autorowi, w stu procentach odpowiedzialnemu za efekt swej pracy, którym dzieli się z czytelnikiem, pomaga wiele osób. Służą pomocą przy zbieraniu materiałów, inspirują i zagrzewają do pracy. Wyrażanie wdzięczności tym osobom w postaci podziękowań jest jednym z najprzyjemniejszych aspektów pisania książki. Zatem pozwolę sobie porozpływać się w zachwytach nad moją ekipą.

Dziękuję mojemu wspaniałemu agentowi Scottowi Millerowi z Trident Media Group, który zawsze wie, kiedy i co powiedzieć, a także Stephanie Sun, z którą każda rozmowa jest przyjemnością.

Mojej cudownej redaktorce Lindzie McFall, kobiecie, która przekuwa chaotyczne rękopisy w zrozumiałe książki. Bez Ciebie nie dałabym rady. Specjalne podziękowania dla zastępcy redaktora Adama Wilsona, dzięki któremu biznesowy diabeł nie jest taki straszny, jak go malują. Oboje czynią magię z moimi słowami, za co jestem im dozgonnie wdzięczna.

Całemu zespołowi Mira Books, a zwłaszcza Heather Foy, Donowi Luceyowi, Michelle Renaud, Adrienne Macintosh, Megan Lorus, Mariannie Ricciuto, Tracey Langmuir, Kathy Lodge, Emily Ohanjani, Alex Osuszek, Margaret Marbury, Dianne Moggy oraz artystkom odpowiedzialnym za piękne okładki: Tarze Kelly i Gigi Lau.

Mojemu niezależnemu specjaliście od PR-u Tomowi Robinsonowi, który zawsze wie, co jest dla mnie najlepsze. Dziękuję za wszystko!

Bibliotekarzom w całym kraju, którzy zamawiają moje książki – robi mi się błogo na duszy, kiedy słyszę, że ktoś znalazł moją książkę w bibliotece w swoim mieście!

Detektywowi Davidowi Achordowi z Wydziału Zabójstw Policji w Nashville – mojemu konsultantowi i przyjacielowi. Dzięki niemu Taylor jest postacią z krwi i kości.

Doktorowi Vince'owi Tranchidzie, lekarzowi sądowemu z Manhattanu, który pilnuje, aby Sam robiła wszystko, jak trzeba.

Elizabeth Fox, która zaskoczyła mnie mejlem – „Jestem Taylor!” – i została moją serdeczną przyjaciółką.

Mojej wspaniałej grupie krytyków Bodacious Music City Wordsmiths: Delowi Tinsleyowi, Janet McKeown, Mary Richards, Rai Lyn Woods, Cecelii Tichi, Peggy O'Neal Peden i J.B. Thompson, którzy zawsze wytykają mi, kiedy coś schrzanię, i chwala, kiedy zrobię coś dobrze. Uwielbiam Was!

Specjalne podziękowania dla J.B., który zawsze rzuca czujnym okiem na moją pracę, zanim wyślę ją redaktorom.

Laurze i Lindzie, moim boginiom z knajpki Borders przy Cool Springs Boulevard, które z otwartymi rękami przywitały nową pisarkę w okolicy. Dzięki, dziewczyny!

Dziękuję Joan Huston, która jako pierwsza przeczytała tę książkę, skomentowała ją – czym bardzo się przejęłam – i sprawiła, że początek jest dużo mocniejszy, niż w pierwotnej wersji.

Mojej drogiej Tashy Alexander, jedynej kobiecie, która odrywa mnie od klawiatury i przykleja do słuchawki telefonu; często piszę i rozmawiam jednocześnie. Wszystkiego dobrego, kochana!

Moim szanownym kolegom i koleżankom po piórze: Brettowi Battlesowi, Robowi Gregory-Browne'owi, Billowi Cameronowi and Dave'owi White'owi – za rozmowy w sieci; Toni Causey, Greggowi Olsenowi, Kristy Kiernan – za pocieszanie mnie i rozbawianie; oraz

kolegom i koleżankom z roku za inspirację.

Współautorom ze strony Murderati, którzy każdego dnia dostarczają mi natchnienia; szczególnie Pari Noskin Taichert, która potrafi oceniać moje pomysły jak nikt inny.

Lee Childowi i Johnowi Connolly'emu za to, że zastanawiam się nad każdym słowem, zanim je napiszę; Johnowi Sandfordowi za inspirację.

Moim rodzicom, którzy zawsze entuzjastycznie podchodzą do mojej pracy i którym powinnam płacić prowizję za sprzedaż moich książek. Ich miłość i wsparcie są nieocenione. Mojemu cudownemu bratu Jayowi, oraz Kendall, Jasonowi i Dillonowi za to, że muszą wytrzymać z kapryśną cicią. Mojemu bratu Jeffowi, który zawsze potrafi mnie rozśmieszyć.

Gdyby nie mój najukochańszy mąż, bujałabym w chmurach i nie schodziła na ziemię. Dziękuję, kochanie, że nie pozwalasz mi odlecieć. Dla Ciebie warto się starać.

Nashville to wspaniałe miejsce, uwielbiam o nim pisać. Staram się robić to precyzyjnie, ale czasem korzystam z prawa do swobody literackiej. Biorę odpowiedzialność za wszelkie błędy i wypaczenia. Wszystkie opinie i interpretacje należą wyłącznie do mnie.

## PROLOG

Wszędzie krew.

Na podłodze, na ścianach, na ciele. Na spodniach i koszulce. Cholera, jak to sprać? Krzywi się, odkłada to, co trzyma w rękach, i staje nad nieruchomym ciałem. Koniec kłótni. Koniec wrzasków, wytykania porażek, niedotrzymanych obietnic, rozczarowań. W oddali narasta płacz dziecka, przebija się przez huczącą w uszach wściekłość. Uśmiecha się.

– Ty parszywa suko. Masz, na co zasłużyłaś.

*Dziesięć godzin później*

– Mama?

– Mama. Głodna. Daj ciastko. Mama. Ciastko.

– Budź się. Mama, budź się.

– Na nocniczek. Mama. Grzeczna dziewczynka.

– Mama?

– Mama boli? Boli? Kuku?

– Bankie, mama.

– Bankie misio.

– Mama. Mamaaaaaaaaaa.

– Branoc, mama. Pa-pa.

## PONIEDZIAŁEK

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Michelle Harris zatrzymała się na światłach na skrzyżowaniu Old Hickory Boulevard i Highway 100. Zmeła w ustach przekleństwo. Spóźni się, a Corinne nie znośiła, kiedy się spóźniała. Nie opieprzy jej, nie zgromi spojrzeniem, tylko popatrzy wymownie na stojący na kominku zegar, który zawsze śpieszył się o trzy minuty – Corinne lubiła mieć trochę czasu w zapasie – a między wypielęgowanymi brwiami pojawi się niewielka zmarszczka.

Mecz za godzinę. Miały mnóstwo czasu, ale zanim przystąpią do rozgrzewki, Corinne będzie chciała zawieźć Hayden do żłobka i wypić koktajl proteinowy. Michelle i Corinne grały w tenisa od niepamiętnych czasów i równie długo były partnerkami w deblu. Od mistrzostwa Richland dzieliły je zaledwie dwa mecze. W zasadzie zwycięstwo miały w kieszeni, jako że triumfowały od siedmiu lat z rzędu.

Prawą dłoń trzymała na kierownicy i palcami nerwowo wystukiwała niezborny rytm, zaś lewą chwyciła kucyk i owinęła go wokół szyi. Ten gest, któremu była wierna od najmłodszych lat, uspokajał ją. Corinne nie musiała się uspokajać, nie potrzebowała pocieszenia, bo zawsze była tą silniejszą. Kiedy były małe i Michelle owijała sobie kucyk wokół szyi, a niesforne kosmyki tańczyły dokoła uszu, Corinne marszczyła brwi, w ten sposób wyrażając niezadowolenie ze słabości starszej siostry.

Przypomniawszy to sobie, Michelle skrzywiła się i strzepnęła kucyk z ramienia. Światło się zmieniło. Wcisnęła pedał gazu i wystrzeliła jak z procy. Nie cierpiała spóźniać się na spotkanie z Corinne.

Michelle skręciła w Jocelyn Hollow Road i szybko ją opuściła, wjeżdżając w krętą ślepa uliczkę, przy której mieszkała siostra. Dereń na podwórzu przed domem Wolffów zaczynał wypuszczać paki. Michelle uśmiechnęła się. Wiosna idzie! Zima od kilku miesięcy trzymała Nashville w mroźnym, wietrznym uścisku, ale wyglądało na to, że wreszcie zamierzała odpuścić. W lasach roily się młode zwierzęta, po polach biegały cielaki. Świergot strzyżyków i kardynałów osiągał wyższe rejestry, ptasie mamuśki i ojczulkowie oczekiwali przyjścia piskląt na świat. Corinne też nosiła w sobie nowe życie, była w siódmym miesiącu ciąży, choć wyglądała na czwarty. Ciąży bezproblemowej, co sama często powtarzała, łatwej jak kaszka z mlekiem. Dzięki aktywności fizycznej udało jej się nie obrosnąć tłuszczem. Zamierzała grać w tenisa tak długo, jak to będzie możliwe, najchętniej aż do rozwiązania. Tak samo postępowała, gdy nosiła w brzuchu Hayden.

To nie w porządku. Michelle nie miała ani dzieci, ani nawet męża. Po prostu nie spotkała odpowiedniego faceta. Jediną pociechą była dla niej Hayden. Mając taką siostrzenicę, nie śpieszyła się do własnego potomstwa. Jeszcze nie teraz.

Skręciła na obrośnięty klonami podjazd i zaparkowała volvo obok stojącego przed drzwiami do garażu czarnego bmw 535i Corinne. Ustawione po obu stronach garażu lampy z kutego żelaza świeciły się. Michelle zmarszczyła czoło. Corinne nigdy nie zapominała o wyłączeniu światła. Przywołała z pamięci kłótnię pomiędzy Corinne a Toddem, jej mężem, której była świadkiem. Todd chciał kupić takie lampy, które będą się automatycznie włączały po zmroku i wyłączały nad ranem. Corinne upierała się, że przecież sami mogą je włączać, to żaden problem. Spierali się z zapalem godnym lepszej sprawy. Todd podkreślał względy

bezpieczeństwa, a Corinne stwierdziła, że lampy wybrane przez męża są kiczowate i nie pasują do klimatu domu. Postawiła na swoim. Jak zawsze.

Corinne rano wyłączała lampy. Nigdy o tym nie zapomniała. Nigdy.

Michelle poczuła, jak włosy na karku stają jej dęba. Coś było nie w porządku.

Wysiadła z samochodu, nie zamykając go. Do drzwi wejściowych prowadził zadaszony chodnik wyłożony kostką brukową. Podtrzymujące konstrukcję słupy zatopiono w betonie i podsypano piaskiem. Kostka kosztowała majątek i pochodziła z maleńkiej, starej jak świat zwirowni w Wirginii, o ile Michelle dobrze zapamiętała. Podeszła do drzwi. Były otwarte, ale to normalne. Michelle wielokrotnie przypominała siostrze o konieczności zamykania drzwi na noc, ale Corinne czuła się bezpieczna i nigdy nie chciało jej się przekręcać klucza w zamku. Michelle nacisnęła klamkę...

O mój Boże.

Pobiegła do samochodu i sięgnęła po komórkę. Wybierając numer alarmowy, biegiem wróciła do domu.

Telefon brzęczał przy jej uchu, brzęczał i brzęczał. Michelle zauważyła odciski stóp. Szybko obeszła parter. Pusto. Pognała na górę, pokonując po dwa schodki naraz. Z trudem oddychając, skręciła w lewo i ruszyła korytarzem.

Próbując zrozumieć, na co patrzy, słyszała głos w słuchawce, ale nie umiała odpowiedzieć.

– Halo! – powtórzył głos. – Co się stało?

Nie była w stanie wydusić słowa. Boże, Corinne. Leżała na podłodze twarzą do ziemi. Wszędzie dokoła krew.

– Proszę się odezwać!

Popłynęły łzy. Słowa opuściły jej usta, zanim uświadomiła sobie, co mówi:

– Boże. Moja siostra... chyba nie żyje.

– Halo, proszę pani! Proszę powtórzyć.

Powtórzyć? Czy mogła zmusić usta, by ponownie się otworzyły, i nie zwymiotować na ciało martwej siostry? Palcami dotknęła szyi Corinne. Miała przerażająco zimną skórę. O Boże, Hayden! Wypadła z pokoju. Hayden, gdzie jest Hayden? Rozejrzała się wokół. Dużo śladów na podłodze. Ale co się stało z dziewczynką? Krzyknęła i usłyszała własne słowa, jakby ktoś wołał w obcym języku.

– Wszędzie krew, mój Boże, tyle krwi! I ślady stóp! Hayden! – wrzeszczała jak oszalała. Wpadła z powrotem do sypialni. Coś w jej mózgu się przepaliło, coś się przestawiło. Nie była w stanie wziąć się w garść.

Dyspozytorka powtarzała pytanie, ale Michelle nie umiała odpowiedzieć.

– Proszę pani! Kto nie żyje?

Gdzie Hayden? Gdzie jej ukochana dziewczynka? Zza wielkiego małżeńskiego łoża wychynęła jasnoruda główka. Dopiero po chwili do Michelle dotarło. Hayden i rude włosy?! Przecież była jaśniutką blondynką, miała niemal białe włosy. Coś tu nie gra.

– O Jezu, Hayden, cała jesteś we krwi. Chodź tutaj. Jak ci się udało wyjść z łóżeczka?

Wzięła małą na ręce. Hayden zastygła, zamarła, przez dłuższą chwilę nie mogła albo nie chciała się poruszyć, ale w końcu objęła ciocię za szyję i wtuliła się w nią. Michelle poczuła ukłucia sztywnych od zaschniętej krwi kosmyków siostrzenicy. Wzdrygnęła się.

– Proszę pani! Proszę powiedzieć, skąd pani dzwoni!

Głos dyspozytorki zmusił ją do odwrócenia wzroku od martwego ciała Corinne. Przycisnęła do siebie Hayden i pomyślała, że musi się stąd wydostać. Nie może dłużej na to patrzeć.



– Już... już mówię. 4589 Jocelyn Hollow Court. Moja siostra...

Dotarła do schodów. Widziała ślady krwi na wykładzinie, którą były pokryte stopnie.

Dyspozytorka nadal usiłowała uzyskać więcej szczegółów.

– Czy Hayden to pani siostra?

– Nie, jej córka. O Boże.

Kiedy Michelle znalazła się na dole, dziewczynka poruszyła się, wyciągnęła rączkę w stronę schodów i pokazała na piętro.

– Mama boli – powiedziała głosem nienależącym do nieśmiałego półtorarocznego brzdąca, ale do czterdziestoletniej złamanej przez życie kobiety.

Mama boli... Już nie, kochanie, pomyślała Michelle.

Wyszły na zewnątrz. Michelle łąpczywie nabrała powietrza, a Hayden zaczęła cicho płakać na jej ramieniu, paluszkami pokazując dom.

– Proszę pani, proszę powiedzieć, kto nie żyje – dopytywała się dyspozytorka łagodniejszym głosem.

– Moja siostra, Corinne Wolff. Och, Corinne. Ona jest... zimna.

Michelle czuła, że dłużej nie wytrzyma. Usłyszała, że dyspozytorka informuje o wysłaniu patrolu. Przeszła po tej przeklętej, koszmarnie drogiej kostce i posadziła Hayden na przednim siedzeniu samochodu.

Potem odwróciła się i przegrała walkę z nudnościami. Wyrzygała swoją duszę pod delikatnym, pączkującym dereniem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

A zapowiadał się taki miły poranek.

Zamiast wylegiwać się w łóżku, rozkoszując się czystą pościelą i zzymając na pismaków z „The Tennessean”, porucznik Taylor Jackson patrzyła, mrużąc oczy, na sufit salonu, i czuła, że szlag ją trafia.

– Baldwin! – zawołała, podchodząc bliżej kominka. – Baldwin!

– Co? – krzyknął zniecierpliwiony z góry.

– Chodź, zobaczysz. Chyba przeciekamy.

Tupot stóp na schodach oznaczał, że narzeczony, który był w łazience na piętrze, umiejscowionej nad salonem, poważnie potraktował słowa Taylor i zaintrygowany zbiega na dół. Zatrzymał się obok niej i zadarł głowę do góry. Na suficie znajdowała się ciemnoszara mokra plama, która rosła w oczach. Pośrodku ohydneho placka pojawiła się niewielka kropelka wody. Wpatrzeni w nią czekali, co się stanie, a kropelka rosła i rosła, aż w końcu oderwała się od plamy i spadła Baldwinowi na ramię.

To był sygnał. Spojrzeli po sobie i ruszyli do akcji. Baldwin pognął z powrotem na górę, żeby zakręcić wodę w łazience. Taylor pobiegła do kuchni i wróciła z garnkiem do gotowania spaghetti. Ustawiła się pod plamą i łapała kapiącą coraz szybciej wodę.

O rany, i co teraz?

Baldwin wrócił do salonu z drabiną.

– Ten dom musi stać na starym indiańskim cmentarzu. Mówię ci. Przysięgam, że zakręciłem wodę. Daj ten garnek. Przynajmniej oszczędzimy wykładzinę.

Ustawił drabinę dokładnie pod plamą, zabrał Taylor garnek i postawił go na samej górze. Kropelka podziękowała mu za to radosnym plunk!

Roześmieli się, choć byli zdenerwowani i zdesperowani. Przed miesiącem wrócili z podróży przedślubnej i od tego czasu zepsuło się chyba wszystko, co tylko mogło się zepsuć w tym stosunkowo nowym domu. Trochę jak w życiu. Mogli do woli planować, kombinować, starać się, ale i tak zawsze coś się musiało wydarzyć i stanąć na drodze ich małżeństwu. Taylor w sumie to nie przeszkadzało, nie śpieszyło jej się, Baldwin też powoli zaczynał myśleć podobnie, to znaczy że lepiej pozostawić sprawy naturalnemu biegowi.

– Do kogo mam zadzwonić? – Poszedł do kuchni. – Myślisz, że gwarancja obejmuje takie naprawy?

– Mam nadzieję. Telefon jest w teczce w szafce. Niech przyślą hydraulika. Powiedz, że to pilne.

Otworzył szufladę i wyjął pękatą teczkę.

– Dobra, zadzwonię, ale potem wracam do pakowania się. Pamiętaj, że mam samolot o wpół do jedenastej.

Taylor obrzuciła sufit nienawistnym spojrzeniem i poszła do kuchni.

– Daj, sama zadzwonię, a ty się pakuj, chociaż i tak samolot wystartuje, kiedy zechcesz, szefie.

– Nie jestem szefem, tylko pełniącym obowiązki szefa, kochanie, dopóki Garrett nie wróci do pracy po operacji. Innymi słowy, przez dwa tygodnie będę zgrywał ważniaka i przekładał papiery na jego biurku. Naprawdę wolałbym zostać w domu i poużerać się z hydraulikiem.

Garrett Woods, dyrektor Jednostki Badań Behawioralnych FBI i szef Baldwina,

zadzwoił dzień wcześniej i poinformował, że poszedł na rutynowe badania okresowe, z których trafił prosto na salę operacyjną, gdzie wszczepiono mu by-passy. Ktoś, kogo darzył zaufaniem, musiał tymczasowo przejąć dowodzenie. Wybór Garretta w oczywisty sposób padł na Baldwina. Taylor miała nadzieję, że nie chodziło o to, by narzeczonego na stałe usadzić w fotelu szefa JBB. Kiedy Taylor i Baldwin spędzali we Włoszech swój niedoszły miesiąc miodowy, w jednostce nastąpiło trzęsienie ziemi. Dyrektor JBB, Stuart Evans, został w trybie doraźnym usunięty ze stanowiska po tym, jak media doniosły o jego osobistych porachunkach w biurze. FBI nigdy nie lubiło, kiedy pracownicy publicznie prali brudy. Szefem JBB został ponownie Garrett Woods, którego nie satysfakcjonowała poprzednia pozycja w biurze. O jego powrocie na to stanowisko zdecydowało jednak co innego. Mianowicie nie tylko był zdeterminowany przywrócić porządek w wydziale śledczym i jednostkach skupiających profilerów, ale również wiedział, jak to zrobić.

– Jedź, pomóż Garrettowi. Pilnuj, żeby słuchał lekarzy. Wciąż nie mogę uwierzyć, że trafił do szpitala.

– Ja też nie. Zawsze wydawał mi się niezniszczalny. Dasz sobie radę sama?

– Jasne, że tak. – Pocałowała go i uniosła brwi. – To tylko mały przeciek.

– No to w porządku. Muszę skończyć się pakować.

Klepnął ją w tyłek i poszedł na górę. Odprowadziła go wzrokiem i uśmiechnęła się do siebie. Jak dzieci. Jak dwoje zakochanych w sobie bez pamięci nastolatków...

...których miłosne gwiazdko się sypie. Wprowadzili się przed dwoma miesiącami, a już cztery razy musieli wzywać ekipę do napraw, oczywiście wszystko w ramach gwarancji: a to w wentylatorze ułamała się łopatką, a to w przewodach umożliwiających dostęp do węzła sanitarnego zagnieździła się wiewiórka i przegryzła kabelki, a to zepsuł się termostat... No i teraz przeciek w łazience. W firmie budowlanej dobrze ich znano. Taylor zadzwoniła do hydraulików i zostawiła wiadomość, po czym poszła na górę, zamierzając pokazać pełniącemu obowiązki dyrektora JBB doktorowi Johnowi Baldwinowi, co straci, wyjeżdżając na dwa tygodnie. W końcu odrzutowiec nie odleci bez niego...

Zdażyła pokonać dwa schodki, kiedy zadzwonił telefon. Co znowu? Cofnęła się do kuchni, spojrzała na wyświetlacz i odebrała.

– Cześć, Fitz.

Sierżant Pete Fitzgerald, drugi po szefie w wydziale, od razu przeszedł do rzeczy:

– Wiem, że masz wolny dzień, ale chcę, żebyś natychmiast przyjechała. Morderstwo. Żle to wygląda.

– Kto nie żyje?

– Młoda matka z Hillwood. Spodziewała się drugiego dziecka. Pamiętasz głośną sprawę Scotta Petersona, który został skazany za zamordowanie ciężarnej żony? Laci miała na imię... To coś w tym stylu.

Taylor przesunęła dłonią po notatniku leżącym obok telefonu. Miała ochotę powiedzieć:

– Nie, dziękuję. Nie jestem w nastroju na morderstwo.

Jednak doskonale wiedziała, że nie zrobi tego. Była porucznikiem Wydziału Zabójstw i kiedy zespół potrzebował pomocy, nie dyskutowała, tylko pomagała.

– Rozumiem. Daj mi dwadzieścia minut.

– Federalny już poleciał?

– Nie, kończy się pakować.

– No to ucałuj tę jego śliczną buźkę i przyjeżdżaj. Jesteś nam potrzebna.

Zdażyła odłożyć słuchawkę i znów zadzwonił telefon. Tym razem był to hydraulik.

Przywitał się grzecznie i powiedział, że tak, oczywiście, przyjedzie mniej więcej za godzinę, spokojnie, to na pewno tylko pęknięta rurka, jeszcze nie koniec świata. Poinformowała go, gdzie

znajdzie klucz, po czym rozłączyła się i pobiegła na górę. Baldwin właśnie domykał walizkę.

– Gotowy?

– Jak na łowy.

– To dobrze. Chodź, podrzucę cię. Muszę jechać.

– Kto nie żyje?

Ech, uroki mieszkania ze stróżem prawa. Chciałby wszystko wiedzieć.

– Fitz mówi, że młoda matka. Widocznie coś poważnego, skoro ściąga mnie z urlopu.

Włożyła czarny sweter na szary podkoszulek i poszła do łazienki. Związała włosy w kucyk, posłała gniewne spojrzenie sedesowi, winnemu, jak sądziła, mokrej plamy na suficie w salonie, a potem poszła do garderoby i wyjęła kowbojki od Tony'ego Lamy. Stojąc, podciągnęła nogawki spodni, włożyła buty i lekko podskoczyła, żeby stopy się w nich ułożyły, a nogawki łagodnie opadły. Gotowe.

Baldwin stał w drzwiach i obserwował ją z rozbawieniem.

– Równo trzydzieści sekund. Nieźle. Wyglądasz bosko.

Taylor przewróciła oczami.

– Chodź, kochasiu, i nie gadaj. Im szybciej znajdziesz się w Quantico, tym prędsiej wrócisz do domu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Taylor spotkała się z Fitzem na parkingu przed budynkiem policji. Po szarzącym niebie pędziły chmury. Owszem, wiosna w Nashville potrafiła zachwycać pięknem, ale tutejsza pogoda była schizofreniczna, na przykład w jednej chwili świeci słońce, a w drugiej szaleje burza. Taylor zdjęła ciemne okulary.

– Muszę jeszcze skoczyć do biura. To zajmie dosłownie chwilę – powiedział Fitz, pokazując na służbowego białego chevrolleta impalę. – Zaczekaj w samochodzie. Chcesz coś do picia?

Pokiwała głową. Usiadła na miejscu dla pasażera. Musiała poprawić fotel, żeby nie trzymać kolan pod brodą. Tak to jest, kiedy ma się nogi do samej ziemi. Fitz zniknął w budynku policji i wrócił po kilku minutach, niosąc dwie puszki dietetycznej coli. Jedną podał Taylor i usiadł za kierownicą. Otworzyła puszkę, wypila dwa łyki i postawiła ją między nogami.

Nagle wyszło słońce i oślepiło ją. Włożyła nowe raybany, które kupiła w sklepie wolnocłowym na lotnisku Malpensa w Mediolanie. Okulary były czarne i duże. Taylor czuła, że wygląda w nich modnie i efektownie. Tym drobnym gestem oddawała hołd nowo odkrytemu przez nią Staremu Światu. Wizyta w obcym kraju u boku kogoś, kto płynnie posługuje się tamtejszym językiem, pozwala lepiej doświadczyć klimatu krainy. Taylor była na kilku zagranicznych wycieczkach, ale żadna nie dostarczyła jej tak intensywnych przeżyć, jak trzytygodniowa wyprawa do Włoch z Baldwinem.

Teraz jednak musiała wrócić do życia w Nashville. Brakowało jej leniwego tempa włoskiego dnia, nieśpiesznego przemieszczania się z miejsca na miejsce, przystanków w uroczych knajpkach, symetrycznego piękna gajów oliwnych, winnic i rzędów cyprysów, a także odmładzającej swobody. Poza tym, mówiąc zupełnie szczerze, miło było przez pełne trzy tygodnie nie oglądać trupów.

Chmury znów przesłoniły słońce, ale tym razem nie zdjęła okularów. Irytujące są te miesiące, kiedy aura nie może się zdecydować na porę roku. Niech już będzie ciepło albo zimno, słonecznie albo deszczowo.

Fitz ruszył i wyjechał z parkingu.

– Co u ciebie słychać? – zagadnął.

– Łazienka przecieka – mruknęła.

– Mówiłem, żebyście nie kupowali nowego domu. Gdybyście zdecydowali się na coś solidnego, zbudowanego jak należy, jak na przykład te kapitalne wiktoriańskie domy w East Nashville, nie mielibyście tylu problemów.

– Za to mielibyśmy korniki i sypiące się ściany. Dziękuję, postoję.

– Wybredna jesteś.

– Wcale nie. Zależało nam na czymś... przestronnym.

– Przestronnym, jasne! – Fitz roześmiał się. – Chodziło wam o tak duży dom, żeby się zmieściły stół do bilardu i gromadka dzieciaków.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała podejrzliwie.

Spojrzała na nią, unosząc brwi. Z rumianą i wykrzywioną gębą przypominał Popeye'a. Też mógłby grać w kreskówce, pomyślała złośliwie.

– A nie taka jest prawda? – drążył dalej.

– Co?

– Że chcesz urodzić federalnemu całe przedszkole. – Powiedział to tak spokojnym tonem,

że od razu się zdenerwowała.

– Fitz, co ci strzeliło do głowy? Nigdy nic nie mówiłam o dziecku. Nawet nie możemy się pobrać, a co dopiero mówić o płodzeniu potomstwa. Zresztą nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek będę chciała mieć dzieci.

Spojrzała za okno. Betonowo-ceglane centrum Nashville ustępowało drzewom i krzewom. Byli w West Endzie, jechali w stronę Hillwood. Sielska przejażdżka na zielone przedmieścia. Co też wstąpiło w Fitza? Skąd to pytanie?

– Okej, mała, przekonałaś mnie. Ale posłuchaj, to miejsce zbrodni jest wyjątkowo paskudne. Jeśli myślałaś, żeby zająć z federalnym, to może nie powinnaś tego oglądać.

– Fitz, na miłość boską, daruj sobie. O co ci chodzi?

– Na miejscu jest Parks. Za osłoną przeciwsłoneczną znajdziesz zdjęcie. Wyjmij je, co?

Dobrze, pomyślała Taylor. Bob Parks to bardzo rozsądny, trzeźwo myślący policjant. Będzie wiedział, jak obłaskawić prasę, która na pewno już zwietrzyła sensację. Sięgnęła za osłonę przeciwsłoneczną, spodziewając się znaleźć tam zdjęcie z miejsca zbrodni, ale na kolana wypadła jej fotografia przedstawiająca żaglówkę. Biała łajba z wysokim masztem pruća dziobem cudownie błękitną wodę.

– No i?

– Parks powiedział, że widok jest makabryczny. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

– Chodzi mi o tę łódkę.

– Zastanawiam się, czy ją kupić.

Zerknęła na zdjęcie. No... żaglówka jak żaglówka. Nie znała się na tym.

– A kiedy zamierzasz nią pływać?

– Nie pływać, tylko żeglować. Tak brzmi dumniej. Nie wiem, może jak przejdę na emeryturę? – Fitz zacisnął usta.

Taylor znała ten gest. Koniec rozmowy. Ostrzegł, że na miejscu zbrodni czeka ją okropny widok, a także zasunął bombę o przyszłości, i na tym koniec. Super.

Z naprzeciwka nadjechała karetka i minęła ich na pełnym gazie. Jedzie do szpitala świętego Tomasza, pomyślała. Przeżegnała się w myślach, jak zawsze, gdy słyszała jęk syreny. Po trzynastu latach w służbie, w tym pięciu w Wydziale Zabójstw, nie była jeszcze na tyle zblazowana, by nie współczuć obcym ludziom, którym działa się krzywda.

Obracała w palcach pierścionek zaręczynowy. Mówiąc ściślej, pozaręczynowy i przedmałżeński. Kiedy Baldwin oświadczył się po raz pierwszy, wręczył jej zachwycający platynowy pierścionek od Tiffany'ego z dwukaratowymi brylantami ze szlifem w stylu art déco. Cudowne świecidełko, ale kompletnie niepraktyczne. A ponieważ do ślubu nie doszło – nie z jej winy, po prostu została bezceremonialnie potraktowana paralizatorem i odwieziona nieprzytomna do Nowego Jorku, podczas gdy biedny Baldwin czekał na nią w kościele – nowy pierścionek miał symbolizować drugą szansę.

Kiedy byli we Florencji, na chwilę zostawił ją samą, po czym zjawił się na kolacji w kameralnej knajpcie U Mamy Giny, w której się zakochali. Zmarszczki wokół głęboko szmaragdowych oczu Baldwina płonęły rumieńcem. Ku uciesze kelnera Antonia i zachwyconych klientów, przyklęknął i wręczył Taylor pierścionek. Ten był jeszcze bardziej zniwalaający. Na platynowej obrączce lśniło pięć osadzonych w równym rzędzie brylantów ze szlifem Asschera. Baldwin powiedział, że każdy brylant symbolizuje przyszłe pięć lat ich wspólnego życia i że kolejny pierścionek sprezentuje jej, kiedy spędzą ze sobą ćwierć wieku.

Było romantycznie, musiała to przyznać. Ale wzruszyło ją też to, że nowy pierścionek był płaski i inaczej niż klejnot od Tiffany'ego, o nic nie zaczepiał. Praktyczny pierścionek dla policjantki, nie stanie się zawadą, gdy będzie musiała błyskawicznie sięgnąć po broń. Gest

Baldwina stopił jej serce, miała ochotę wstać, wybiec z restauracji i poszukać najbliższego kościoła. Jemu zaś wystarczyło, że wiedział, o czym myślała. A jednak wciąż jeszcze nie podjęła decyzji, czy jest gotowa ponownie spróbować.

Fitz odchrząknął, wrywając Taylor z zamyślenia. Właśnie skręcał w Jocelyn Hollow Road. Przy cichej, spokojnej uliczce stał długi rząd pojazdów.

Dla niewtajemniczonych miejsce zbrodni i to, co się wokół niego działo, przypominało cyrk na kółkach. Wjazd do ślepej uliczki blokowało pięć niebiesko-białych radiowozów policji w Nashville. Karetka już opuszczała miejsce zdarzenia. Kiedy dyspozytor linii alarmowej przyjmuje zgłoszenie, przesyła informację do trzech najważniejszych służb, przy czym najpierw na miejsce kierowane są najbliższe wozy straży pożarnej i karetki, a potem patrol policji. Standardowa procedura. Tutaj nie było pośpiechu, ofiary nie można już było uratować, toteż podjęto kolejne kroki.

Między innymi zaczęto szukać odpowiedzi na podstawowe pytanie, dlaczego doszło do morderstwa.

Fitz zaparkował przed jednym z sąsiednich domów. Wysiedli z auta i poszli w kierunku ulokowanego na podjeździe centrum dowodzenia. Na stojącej przy ulicy skrzynce pocztowej widniał napis WOLFF. Wyraziście czarne litery z zawijasami aż były po oczach. Taylor nigdy nie mogła pojąć, czemu ludzie umieszczają swoje nazwiska na skrzynkach pocztowych, na tabliczkach umocowanych na ścianach domów i jeszcze w innych tego typu miejscach. Adres – to zrozumiałe, ale nazwisko... Zawsze sądziła, że to głupie i ryzykowne. Sama wolała nie ogłaszać wszem wobec, kto mieszka w domu. Zresztą czyje nazwisko miałyby umieścić na skrzynce? Swoje? Baldwina? A może Jackson-Baldwin? E tam, brzmi jak nazwa domu pogrzebowego.

Po drugiej stronie ulicy, na pożółkłym trawniku, zebrał się tłumek gapiów. Zobaczyli Taylor, uznali jej pewność siebie i zamasztyli krok za oznakę władzy i zaczęli głośno domagać się wyjaśnień.

– Co się stało?! – krzyknął jakiś mężczyzna, a głos drżał mu ze strachu. – Mamy prawo wiedzieć, co się dzieje u Wolffów!

Taylor odwróciła się i namierzyła go. Był to starszy pan, włosy miał czarne jak smoła, więc najpewniej farbowane, nosił grube okulary. Był nieogolony, miał na sobie spodnie od piżamy i dżinsową kurtkę narzuconą na podkoszulek. Wdowiec, pomyślała, i zrobiło jej się go szkoda.

Mężczyzna zorientował się, że zwrócił uwagę policjantki, więc ponowił pytanie:

– Co tu się dzieje? Czy coś się stało Corinne i Toddowi? Czy Hayden jest cała? Mój Boże, nawet nie umiecie nas obronić. Ty i ten zasrany szef policji! Najlepiej wszystkich pozamykać i nic więcej nie robić, co? – Wydmuchał nos.

– Proszę pana... – zaczęła Taylor, ale tłum na nią naskoczył. W mgnieniu oka ich strach przerodził się we wściekłość.

– Potraficie tylko wlepić mandaty!

– Miastem rządzą gangi!

– Chcemy, żeby na przedmieściach było bezpiecznie! To porządna okolica.

– Prasa powinna patrzeć wam na ręce!

Uniosła dłonie w obronnym geście.

– Proszę państwa, proszę się uspokoić. Nazywam się Taylor Jackson, pracuję w Wydziale Zabójstw. Jak państwo widzieli, dopiero przyjechałam, dlatego jeszcze nie wiem, co tu się wydarzyło. Może pozwolicie mi zorientować się w sytuacji, zanim rozerwiecie mnie na strzępy?

– Jeden z drugim burknął coś pod nosem, ale tłum się uciszył. – Dziękuję. Zrobimy wszystko, co

w naszej mocy, aby wyjaśnić tę sprawę. Rozumiem, że jesteście wzburzeni, i oczywiście macie do tego prawo. Pozwólcie jednak, że najpierw rozeznam się, z czym mamy do czynienia, a potem z wami porozmawiam. W porządku?

Odeszła, zanim gapie zdążyli wymyślić ripostę. Zamierzała spełnić obietnicę. A jakże, porozmawia z nimi, to znaczy przesłucha wszystkich, tak na wszelki wypadek, a nuż wśród nich znajduje się ktoś, kto ma coś wspólnego z morderstwem.

– Fitz, czy możesz spisać państwa nazwiska? Tak na wszelki wypadek. Nie chciałabym nikogo pominąć.

– Jasne. – Wyjął notatnik z kieszeni koszuli.

Taylor przeszła na drugą stronę ulicy i spotkała się z Bobem Parksem. Podkrecał węża, rozprawiając z mundurowym policjantem o szansach drużyny Tennessee Titans po niedawnej sromotnej porażce i skandalu z udziałem graczy.

– Witam moją ulubioną panią porucznik! Szczęśliwa z powrotu po wojażach do domu?

– Nieszczęśliwie. Najchętniej znowu bym wyjechała. Nie skreślaj chłopaków, zobaczysz, jeszcze podniosą się z upadku. A na razie kibicuj Predatorom.

– Miałbym chodzić na mecze hokejowe? – Spojrzał na nią zdumiony. – Chyba żartujesz. Futbol to moje życie. Kibicuję Volunteerom. – Uderzył się w pierś. – Mam pomarańczową krew!

– Powiedzieć, że drużyna futbolowa Uniwersytetu stanu Tennessee miała oddanych i zagorzałych zwolenników, to mało.

– Volunteerzy muszą wygrać mistrzostwa Konferencji Południowo-Wschodniej – dodała Taylor – bo inaczej kibice wywiozą Phila Fulmera na taczkach. Poza tym jako wierny fan drużyny z Tennessee na pewno rozumiesz, jak ważne jest, abyśmy mieli porządną, solidną system pozwalający uzdolnionym studentom realizować się w sporcie. Kiedy członkowie drużyn studenckich kończą naukę, trzeba natychmiast podpisywać z nimi kontrakty, prawda?

Fitz przeszedł przez ulicę i machnął notatnikiem.

– Gotowe.

– Futbol w ustach kobiety brzmi pięknie, co nie, Fitz?

Fitz tylko pokręcił głową, natomiast Taylor przeszła do rzeczy:

– Więc co tu mamy?

Uśmiech zniknął z twarzy Parksa.

– Nic przyjemnego, pani porucznik. Zamordowana nazywa się Corinne Wolff, biała, dwadzieścia sześć lat, zamężna, ciężarna. W domu jest pełno krwi, staraliśmy się poruszać bardzo ostrożnie. Mam wstępną wersję raportu. Chcesz posłuchać?

– Nie, zreferuj tylko najważniejsze punkty.

– Okej, skoro tak wolisz. Odebrałem wezwanie około dziewiętej czterdzieści i natychmiast przyjechałem na miejsce. Spotkałem się z siostrą denatki, zajmowali się nią sanitariusze. Nic jej nie dolegało poza tym, że była w szoku. Trzydziestkasiódemka jako pierwsza odebrała wezwanie, przyjechali dwoma wozami, była z nimi karetka. Zjawili się dokładnie o... – zerknął do notatek – ...dziewiętej trzydzieści osiem. Siostra nazywa się Michelle Harris. Była z nią córeczka zamordowanej, Hayden Wolff, cała we krwi, ale zdrowa i względnie spokojna. Harris powiedziała, że znalazła Corinne Wolff, swoją siostrę, martwą w domu, w sypialni, leżącą na podłodze twarzą do ziemi. Nie potrafi sobie przypomnieć, czy czegoś dotykała, ale profilaktycznie pobraliśmy jej odciski palców. Ja i sanitariusz Steve Jones weszliśmy do domu dokładnie o dziewiętej czterdzieści osiem. Sprawdziliśmy schody, na których było mnóstwo krwi, i skierowaliśmy się na piętro. – Smagła twarz Parksa zrobiła się biała jak ściana. – Na górze strasznie śmierdzi. Myślę, że ofiara leżała tam od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Wygląda to paskudnie. Jones stwierdził brak pulsu. Zgodziliśmy się,



że za późno na reanimację. Wyszliśmy z domu po własnych śladach, po czym przystąpiłem do zabezpieczania dowodów. Na miejscu były trzy patrole, ale postanowiliśmy poczekać na ciebie. Oczywiście założyliśmy centrum dowodzenia. Wprawdzie w całym domu jest sporo krwi, ale myślę, że dramat rozegrał się w sypialni, reszta to po prostu poroznoszone ślady.

– Ta dziewczynka, córeczka ofiary... To ona zostawiła krwawe ślady? A może zrobił to morderca?

– Wygląda na to, że ona. Zresztą sama zobaczysz. Rozmawiałem z siostrą zamordowanej, spisałem jej wersję zdarzeń. Umówiły się na mecz tenisa. Harris przyjechała po Wolff. Weszła do środka, zobaczyła ciało, złapała małą, zadzwoniła na policję i uciekła z domu. Zapewne sama będziesz chciała z nią pomówić. Uprzedzam tylko, że na miejscu są rodzice ofiary. Harris najpierw zgłosiła odkrycie zwłok, a zaraz potem zadzwoniła do matki. Wszyscy są bardzo wstrząśnięci.

– A gdzie mąż? – spytała Taylor.

– Wyjechał, jest w podróży służbowej. Wybrał sobie dobry moment, co?

– Tak, jasne... Namierzysz go?

– Już to zrobiłem. Zadzwoniła do niego matka ofiary. Był w Georgii. Jest już w drodze.

Powinien zameldować się po południu.

Taylor zerknęła na Fitzę, który wszystko notował.

– Na jego miejscu nie wybrałbyś samolotu?

– To się wie – odparł Fitz.

– To samo powiedziałem. – Parks uśmiechnął się pod nosem. – Ale jak się okazuje, nie ma bezpośrednich połączeń i samochodem ponoć jest szybciej. Tyle wiem od matki ofiary.

Parks podał Taylor niezbędne przy ogleździnach ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki. Zaproponował również niebieską papierową maseczkę, jakich używają dentyści, ale podziękowała, kręcąc głową. Szkoda zachodu. Nic nie zatrzyma zapachu śmierci, wniknie do zatok i zostanie w nich przez wiele godzin. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i schowała je do kieszeni, bo w domu się nie przydadzą.

– Zadzwoniliście po ojca Rossa?

Kapelan policji w Nashville był miłym, łagodnym mężczyzną, z którego specyficznych usług Taylor niestety musiała korzystać niezliczoną ilość razy. Nie było żadnego łatwego sposobu powiadamiania ludzi o śmierci bliskich im osób. To, że był przy tym kapłan, nieco łagodziło napięcie i dodawało otuchy, zresztą jego obecność była obowiązkowa, bo wymagały tego przepisy.

– Tak, jest tutaj. Rodzice, dwie siostry i córeczka zamordowanej przebywają u sąsiadki i czekają na ciebie.

– Czy ktoś wie, kiedy po raz ostatni widziano ofiarę?

– Próbujemy się tego dowiedzieć. Siostra rozmawiała z nią w piątek. Może widział ją któryś z sąsiadów?

– Okej. Zawiadomiliście techników?

– Oczywiście, mniej więcej wtedy, kiedy wezwaliśmy ciebie. Dziś rano dyżur ma doktor Loughley. Jest...

– ...tutaj – usłyszała Taylor za plecami.

Odwróciła się i ujrzała swoją najlepszą przyjaciółkę Samanthę Loughley. Szła w ich stronę, taszcząc ciężką torbę. Długie ciemnobrązowe włosy związała w kucyk, a równo obcięta grzywka spadała na czoło. Grzywka była u niej czymś nowym i niekoniecznie umiłowanym. Sam przez tydzień lamentowała nad zmianą fryzury.

– Cześć, kochana – powiedziała do Taylor. – Co słyhać, Parks? Fitz, nieźle wyglądasz,

chłopie.

Fitz wyszczerzył zęby. Ostatnio ostro wziął się za siebie i choć nie mógł się jeszcze pochwalić seksownym kaloryferem na brzuchu, to przynajmniej pozbył się obwisłego maćka, typowego dla takich jak on pięćdziesięciopięciolatek. Tracąc zbędne kilogramy, odjął sobie co najmniej dziesięć lat. Zaczął się spotykać z kobietą, którą poznał na zawodach w grillowaniu. Aha, więc o to chodziło z żaglówką, uświadomiła sobie Taylor. Ale nie czas o tym myśleć.

– Podoba mi się pani nowa fryzura, doktor Owens – stwierdził z uśmiechem Fitz.

Sam przewróciła oczami.

– Czy może pan, sierzancie, wreszcie zacząć używać mojego nazwiska po mężu?

– Nieee. Podoba mi się Owens. Loughley źle się wymawia. – Trącił ją łokciem.

Sam postawiła torbę na stoliku w centrum dowodzenia.

– A mów sobie, co chcesz. Tylko pamiętaj, żeby używać mojego tytułu. Cholernie drogo mnie kosztował.

– Wystarczy już – powiedziała Taylor. – Nie zapominajmy, po co tu jesteśmy. Sam, właśnie mieliśmy wejść do środka. Parks mówi, że ofiarą jest biała ciężarna kobieta. Bierzmy się do pracy, okej?

Fitz zerknął w stronę domu sąsiadki Wolffów.

– Słuchajcie, wy się tu pobawcie, a ja porozmawiam z rodziną.

Taylor odprowadziła go wzrokiem. Dobry pomysł, odpowiednie zarządzanie czasem to podstawa.

– Parks, gotowi?

– Tak. Tim jest na miejscu. Jesteśmy gotowi.

Tim Davis był technikiem kryminalistyki. Zaczynał jako pracownik zakładu medycyny sądowej, po czym przeniósł się do policji, przewidując, że przy Komendzie Głównej w Nashville wkrótce powstanie laboratorium kryminalistyczne. Był młody, ale zdolny i poważnie podchodził do swego zawodu. Taylor lubiła z nim pracować.

– No to idziemy.

Poszła jako pierwsza, za nią ruszyła Sam. Przed drzwiami wejściowymi do domu czekała fotografka, trzymając w gotowości kamerę cyfrową. Jej zadaniem była dokumentacja oględzin miejsca zbrodni. To była nowa osoba w zespole, Taylor jej nie знаła. Obok stał Tim Davis, trzymał torbę ze sprzętem i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Cześć, Tim – rzuciła Taylor.

– Dzień dobry, pani porucznik. Witam, doktor Loughley. To jest Keri McGee, będzie obsługiwała cyfrówkę.

Sympatycznie wyglądająca młoda blondynka wyciągnęła pulchną rękę.

– Miło panią poznać, pani porucznik. Pracowałam w policji w Nowym Orleanie, niedawno przeprowadziłam się do Nashville. Cieszę się, że będziemy współpracowały.

– Mnie również miło. – Taylor nie podała jej ręki. – Przepraszam, ale już włożyłam rękawiczki. Witamy w Nashville. Idź za mną. Jeśli będzie trzeba naładować akumulator, wróć po własnych śladach i postaraj się niczego nie zniszczyć, okej?

– Tak jest, proszę pani.

Taylor ugryzła się w język i nie wygłosiła następującej przemowy:

– Na miłość boską, dziewczyno, nie mów do mnie „tak jest, proszę pani”. Nie jestem aż taka stara!

Za to uśmiechnęła się przyjaźnie do Keri McGee i weszła do domu.

Zepsuty kurczak – to było pierwsze, co podpowiedział jej zmysł węchu. Zaraz potem wyczuła miedzianą woń krwi, odór gnijącego ciała, ów stygmat ostatecznego rozkładu, a także

słodki, przypominający perfumy zapach. To nie był odświeżacz powietrza. Hm. Oczy Taylor przyzwyczały się do otoczenia, a podświadomość walczyła z odruchem ucieczki. To nie był naturalny zapach. Jej tętno przyspieszyło. Pierwszą i naturalną reakcją, podyktowaną przez instynkt samozachowawczy, była chęć jak najszybszego wydostania się na zewnątrz. Ów instynkt, będący produktem milionów lat ewolucji, ostrzegał ją, że tutaj czai się niebezpieczeństwo. Znała to uczucie i wiedziała, że prędko minie. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się. Kątem oka dostrzegła, że Sam robi to samo. Szkolono je, by w takich sytuacjach panowały nad sobą i nie poddawały się panice.

Omiotła pomieszczenie wzrokiem. Korytarz. Marmurowa posadzka. Pod ścianą stolik, a na nim zdjęcia w wykonanych ze srebra, połączonych ramkach, przedstawiające szczęśliwych nowożeńców na tle letniego lasu. Po prawej drewniane schody, na stopniach wykładzina w kolorze kości słoniowej. Poręcz, a tuż za nią wejście do jadalni. W jadalni ciężkie i ciemne dębowe meble, dużo srebra i kryształów, duża szafka z porcelaną. Po lewej krótkie przejście do salonu. Na podłodze w jadalni lśniące dębowe deski, natomiast w salonie dywan takiego samego koloru co wykładzina na schodach.

Mnóstwo karmazynowych śladów drobnych stóp. Tu piętka, tam paluszki. Wyglądały, jakby zostawiła je mysz, która biegła w tę i z powrotem, po schodach, w górę i w dół, do salonu, a nawet do kuchni, do której prowadziło wejście z jadalni. Ślady były wszędzie, dobrze widoczne, inne niewyraźne, ledwie różowe, ale i tak szpecące dywan, czasami tylko kontury, parę kresek. Bliżej schodów kilka ciemnych plam, tak bardzo intensywnych, że wydawały się wciąż mokre. Sam nabrała powietrza.

Taylor odsunęła od siebie emocje, wyłączyła się. Nie chciała wyobrazić sobie zrozpaczonej dziewczynki, która krąży zapłakana po domu, na gołych stópkach roznosząc krew martwej matki.

– Nazywam się porucznik Taylor Jackson – powiedziała głośno na potrzeby dokumentacji. – Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa przy 4589 Jocelyn Hollow Court. Dom jest piętrowy. Najpierw zbadam parter.

Kiwnęła głową na Sam i skręciła w prawo, do jadalni, starając się nie stąpać po krwi. Sam poszła za Taylor. Za nimi Tim i Keri. Grupa poruszała się w milczeniu, uważnie rozglądając się dokoła.

Ślady stóp przecinały jadalnię, prowadziły pod stołem i zmierzały do kuchni. Były chaotyczne, nie wiodły do żadnego konkretnego celu. Dziecko błądziło po mieszkaniu. W jednym miejscu odciski ledwie było widać, w drugim przypominały plamki z czerwonego atramentu, a w innym wyraźnie rysował się kształt stopy. Im więcej kroków, tym mniej krwi do roznoszenia, co logiczne. Ślady cechowała niekonsekwencja, ponieważ zostawiało je stawiające nierówne kroki dziecko.

Jadalnię od kuchni oddzielały drzwi. Były otwarte, nie zamykały się dzięki podpórcie w kształcie kota. Na białej powierzchni drzwi widniała czerwona plama, jakby ktoś oblał je sokiem z wiśni. Mała Hayden, chodząc z pokoju do pokoju i wołając mamę, musiała dotknąć ich zakrwawionymi rączkami.

Kuchnia była dostosowana do małych dzieci, w szafkach znajdujących się poniżej blatu zamontowano mechanizmy zabezpieczające. Zapach zgnilizny zyskał na intensywności. Taylor zajrzała do stalowego zlewu i zobaczyła w nim kurczaka w foliowej torebce z logo supermarketu. No, to już wiadomo, skąd odór na parterze. Ofiara nie żyła prawdopodobnie od co najmniej dwudziestu czterech godzin, skoro po raz ostatni rozmawiała ze swoją siostrą dwa dni wcześniej, a kurczak zaczął się psuć. Taylor wkładała mięso do zlewu jedynie wtedy, kiedy chciała je rozmrozić i planowała od razu wykorzystać. Czyli mamy dzień na rozmrożenie i dzień, zanim

zaczęło śmierdzieć. Ale mogło być też tak, że zamordowana wróciła do domu z zakupów i napastnik zaatakował ją, zanim zdążyła schować produkty do lodówki. Aby dokładniej określić czas zgonu, trzeba będzie sprawdzić temperaturę wątroby i zmierzyć poziom potasu w ciele szklistym. Absolutnie najpierwsze przykazanie Taylor brzmiało: Nigdy nie zakładać niczego z góry.

Owoce w koszyku na granitowym blacie, pusty karton po chudym mleku, pusty kubeczek po jogurcie. Taylor podejrzewała, że Corinne Wolff przed śmiercią zjadła śniadanie, po czym wyszła z kuchni i dopiero wtedy padła ofiarą mordercy.

Na ścianie wisiał telefon z automatyczną sekretarką. Migające światelko sygnalizowało nową wiadomość.

– Niech ktoś sprawdzi, kto się nagrał – poleciła Timowi.

Sam odchrząknęła.

– Od rana miałam ochotę na kebab, ale chyba zrobię sałatkę.

Fotografka nie skomentowała. Taylor łypnęła na nią okiem. Keri nie była speszona, po prostu wykonywała swoją pracę, czyli filmowała chłodnym okiem kamery. Doskonale. Taylor napotkała spojrzenie Sam i uśmiechnęła się. Myślałby kto, że taka dowcipna.

– Idziemy na górę – zarządziła.

Powoli, ostrożnie przeszła z kuchni do salonu, a potem z powrotem na korytarz. Grupa nie odstępowała jej na krok. W połowie wysokości schody skręcały w lewo. Na wykładzinie wyraźnie było widać rozmazaną krew, a plamy nie przypominały tych chaotycznych śladów w korytarzu i jadalni. Taylor spytała Sam, co o tym sądzi.

– Małe dziecko zsuwa się po schodach na czworakach albo na tyłku stopień po stopniu. Więc jeśli dziewczynka była ubrudzona krwią...

– Aha. – Taylor wyobraziła sobie, jak to mogło wyglądać.

Poszli na górę, starając się stawać pomiędzy smugami krwi.

– Bramka na schody jest otwarta – zauważyła Sam. – Keri, skręć to, dobrze?

– To wyjaśnia, dlaczego mała mogła chodzić po całym domu – stwierdziła Taylor.

Po prawej zobaczyła troje drzwi prowadzących do sypialni. Po lewej ciągnął się dość długi korytarz. O ile na dole czerwień była obecna właściwie tylko na podłodze, o tyle na górze pokrywała i podłogę, i ściany. Wszędzie były plamy, długie smugi, odciski stópek i ślady rączek. Makabryczne malowidło autorstwa przerażonego, zagubionego i zapłakanego dziecka.

Każdy pokój był pomalowany na inny kolor. Łazienkę wykończono w stylu morskim, wyglądała jak żywcem przeniesiona z hotelu na plaży. Zrobiła wrażenie na Taylor. Pomyślała, że ktoś musiał włożyć bardzo dużo wysiłku i pieniędzy w wykończenie i wyposażenie domu. Właściciele nie zadowolili się zwykłymi, niedrogimi materiałami z marketów budowlanych, lecz postawili na rzeczy z wyższej półki.

Taylor zajrzała do sypialni dla gości, biura i pokoju dzieciennego. Do każdego z tych pomieszczeń prowadziła krwawa ścieżka wydeptana przez małą Hayden. Taylor ruszyła jej śladem. Pokój dziecienny pomalowano na różowo i liliowo, na ścianie po lewej znajdowało się malowidło przedstawiające las. Meble z białego dębu. Duże łóżeczko, nad nim wisząca zabawka karuzela. Przez okno wpadały promienie słońca. Do pokoju przylegała niewielka łazienka. Taylor zajrzała do środka. Uderzył ją ostry zapach moczu i odchodów. Na podłodze obok sedesu stał pełny po brzegi nocnik. Dziewczynka potrafiła korzystać z nocnika, ale niestety nie miał kto go opróżniać.

Taylor zmarszczyła nos i skierowała się w stronę sypialni rodziców Hayden. Drzwi były otwarte na oścież, przed zamknięciem zabezpieczała je podpórka w kształcie brązowej myszy. Corinne Wolff ewidentnie nie przepadała za zamkniętymi drzwiami. Ściany w kolorze kremowej

szałwii, meble z ciemnego rattanu i palisandru. Swobodny, relaksujący styl. Pokój miał być oazą spokoju. Taylor przypomniała sobie reklamę, w której zachwalano zestaw identycznych mebli, designerskich i absurdalnie drogich.

Wnętrze pokoju przypominało paletę malarza o skłonnościach do makabry. Na ścianach ciemnobrązowe plamy zaschniętej krwi. Na białym abażurze jej kolor przypominał raczej bordo.

Najpierw zobaczyli stopy. Ciało leżało za małżeńskim łóżem i było częściowo niewidoczne. Szli bardzo ostrożnie. Żadne z nich nie chciało przypadkiem zniszczyć dowodów. Pokój miał co najmniej dwanaście metrów szerokości. Łóżko stało centralnie przy ścianie naprzeciwko drzwi, po obu jego stronach do najbliższej ściany było około czterech i pół metra. Tim skrzętnie notował rozkład pomieszczeń i ułożenie ciała.

Bosa Corinne Wolff leżała na boku z podkulonymi nogami. Była zwrócona twarzą do wejścia. W otwartych czekoladowych oczach ani śladu życia; tęczówki wyglądały jak lepka kawa. Brązowe włosy zlepiała gęsta krew z rozcięcia na czole. Miała złamaną szczękę i przesuniętą żuchwę. Ciało było wykrzywione, ręce rozłożone, jakby denatka chciała zamortyzować upadek, ale rozmyśliła się. Była ubrana w majtki i sportowy biustonosz. Brzuch miała zasłonięty różowym kaszmirowym kocem. Na wysokości głowy i piersi rozlewała się kałuża krwi, długa na około sześćdziesiąt centymetrów i szeroka na trzydzieści. W zgięciu łokcia tkwiła mała pluszowa zabawka. Ślady prowadziły wokół ciała, rozchodziły się w każdą stronę. Tuż przy ciele plama krwi była wyraźnie rozmazana.

Taylor i Sam podeszły bliżej.

– O rany – szepnęła Sam. – Biedactwo.

– Corinne czy Hayden?

– Obie.

Taylor sama nie wiedziała, co ją bardziej rozkleiło: pluszowy miś, którego przytulała Corinne, koc na półnagim ciele czy stojący obok nieruchomej głowy zestaw małego lekarza. Hayden, nie rozumiejąc, co się dzieje, próbowała pomóc mamie. Przykleiła jej więc na rękę wielki zabawkowy plaster. Chciała ją wyleczyć. A potem położyła się obok w kałużę krwi.

Keri sfilmowała zwłoki, po czym do pracy przystąpiła Sam. Zdjęła koc i zobaczyła brzuch martwej ciężarnej.

– O Jezu, nienawidzę tego. – Dotknęła ciała. – Skóra jest zimna i plastyczna. Krew wsiąkła w dywan i jest lepka. Wprawdzie dokładny czas zgonu poznamy dopiero po autopsji, ale już teraz mogę powiedzieć, że ofiara nie żyje od co najmniej trzydziestu sześciu godzin.

Nastąpiło stężenie, są plamy pośmiertne, odbarwienia się utrwały, ponieważ ciało dłuższy czas leżało w niezmienionej pozycji. Powiedziałabym, że to się wydarzyło tutaj. Upadła i tak została. Nie wiesz, w którym była miesiącu? Wygląda na czwarty, może piąty.

– Nie mam pojęcia. Parks tylko nadmienił, że była w ciąży. Mówisz, że trzydzieści sześć godzin? Boże, biedne dziecko przez cały ten czas przebywało w domu z martwą matką.

– Brutalnie zatłuczona na śmierć matką. – Sam kontynuowała oględziny. – Zabito ją najprawdopodobniej tęnym narzędziem. Ciosy w głowę. Szczeka złamana, brakuje części zębów.

– Notowała spostrzeżenia w niewielkim czarnym notesiku. – Paskudny widok.

– Nie musisz mi tego mówić. Nie widzę narzędzia, którym zadano śmierć.

– Rzeczywiście. Napastnik na pewno nie posłużył się pięściami, ponieważ obrażenia są zbyt duże. Tim, słyszałeś? Szukamy narzędzia.

– Tak jest, doktor Loughley.

– No dobrze, dzieci, zabieramy się do roboty.

Keri filmowała poczynania Sam i Tima. Taylor podeszła do okna. Kremowe, obryzgane krwią rolety były opuszczone do połowy. Wyjrzała na ulicę. Sąsiedzi nadal okupowali drugą

stronę ulicy i rozmawiali między sobą. Żaden z nich na pierwszy rzut oka nie wydawał się podejrzany, nikt nie okazywał niezdrowego zainteresowania czynnościami policji, nikt się nie wychylał.

Sam wstała, pochyliła się nad ciałem i powiedziała do Taylor:

– To będzie długi dzień. Muszę skoczyć do auta po parę rzeczy. Chcesz się przewietrzyć?

– Tak.

Taylor raz jeszcze spojrzała na denatkę i ruszyła za Sam, a kiedy wyszły z domu, zadała sobie pytanie, które nurtowało ją od chwili, gdy zobaczyła zwłoki Corinne Wolff:

– Gdzie się podziewa jej mąż?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Rodzina Harrisów znalazła schronienie u sąsiadki Wolffów.

W domu oprócz Fitz, ojca Rossa i gospodyni były jeszcze cztery osoby. Przebywały w salonie, patrzyły tępo przed siebie albo płakały. Ojciec Ross przytulał mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietę o rudawych włosach. Matka... Cicho łkała wtulona w duchownego. Poza tym w pokoju panowała grobowa cisza.

Młoda ciemnowłosa kobieta przyciągnęła spojrzenie Taylor. Na jej twarzy pojawiła się mieszanina odrazy i tęsknoty, która po chwili ustąpiła masce, surowej zasłonie, obojętności nie do przebicia. Doskonale znała ten wzrok. Ludzie czuli, że policjantka jest zwiastunem złych wieści, a zarazem potrzebowali jej, bo mogła znać odpowiedzi, tropy, przyczyny. Kobieta miała dwadzieścia osiem, może trzydzieści lat i była podobna do ofiary. Michelle Harris, siostra. Na jej twarzy Taylor dostrzegła coś jeszcze, ale zignorowała to.

Całkowicie różniły się między sobą, po prostu dwa przeciwieństwa. Taylor była wysoka, o miodowych włosach i szeroka w ramionach, natomiast Michelle Harris miała ciemne włosy i liczyła nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Choć w tej chwili w ogóle się nie ruszała, emanowała czymś takim, że łatwo rozpoznawało się w niej sportsmenkę. Po prostu samo zdrowie, witalność, znakomite samopoczucie. Taki musiał być jej naturalny stan, to się czuło mimo tak niesprzyjających okoliczności. Na koniec można dodać, że wprawdzie nie była ładna, ale większość mężczyzn powiedziałyby dyplomatycznie, że ma ciekawe rysy i „może się podobać”.

Gdy posłała Taylor kolejne spojrzenie, tym razem nie dało się uciec od oczywistego wniosku.

Taylor poczuła się nieswojo, jakby nagle coś zaczęło ją uwierać. Zawsze tak było, gdy jakaś kobieta okazywała jej swoje zainteresowanie. Wprawdzie Michelle Harris nie przystawiała się, co zresztą z uwagi na okoliczności było raczej niemożliwe, ale to, co sygnalizowała, było bardzo intensywne. No to pięknie, pomyślała Taylor. O co jej chodzi? Czyżby naprawdę o to?

– Porucznik Taylor Jackson, policja w Nashville, Wydział Zabójstw – przedstawiła się. – Przykro mi z powodu pani siostry.

– Nazywam się Michelle Harris.

Zaskoczył ją jej głos. Był głęboki i chropowaty, a przy tym seksowny, pociągający. Ciekawe, bo Taylor miała bardzo podobny głos, z tą całą głębokością, seksownością i chropowatością.

Michelle wskazała zalaną łzami kobietę tkwiącą w objęciach ojca Rossa i powiedziała:

– To moja matka Julianne Harris. – Następnie przedstawiła pozostałe osoby: – Mój ojciec Matthew Harris. Moja siostra Nicole Harris. Carla Manchini, sąsiadka Corinne. Czekamy na Dereka, mojego brata, powinien przyjechać lada moment. Czy wiadomo, kto zabił Corinne?

– Niestety, jeszcze nie. Jest na to o wiele za wcześnie, pani Harris.

– Panno... Ale proszę mi mówić po imieniu.

– Przepraszam, panno Harris... to znaczy Michelle. Gdzie jest Hayden?

Na to pytanie odpowiedziała Nicole Harris:

– Śpi w pokoju gościnnym. – Sporo niższa od niewysokiej przecież siostry i bardzo drobna, mówiła zaskakująco donośnym głosem. – Biedactwo, była wykończona. Kiedy lekarz powiedział, że nic jej nie jest, umyliśmy ją, nakarmiliśmy i położyliśmy do łóżka. Fizycznie nic jej nie dolega.

– Skąd to pytanie? – ostro, zaczepnie zareagowała Michelle Harris. – Przecież Hayden nie ma z tym nic wspólnego.

Taylor darowała sobie komentarz. To zrozumiałe, że jest wzburzona, przecież tak bliska jej osoba została zamordowana. To samo dotyczyło oczywiście drugiej z sióstr, do której się zwróciła:

– Masz na imię Nicole, zgadza się?

– Tak, pani porucznik.

– Oddałaś ubranie Hayden policjantowi, prawda? Posłuży jako materiał dowodowy.

– Tak, oddałam. Kiedy ją przebieraliśmy, był z nami jeden z techników. Zrobiliśmy wszystko tak, jak kazał.

– To dobrze. Dziękuję, że nam pomagacie. Razem z sierżantem Fitzgeraldem spisujemy państwa zeznania. Pani Manchini, chciałabym porozmawiać z panią na osobności. Czy możemy przejść do drugiego pokoju?

– Nie chcesz zacząć ode mnie? – spytała Michelle.

Taylor spojrzała jej w oczy. Były błękitne i tak bardzo przejrzyste, że niemal przezroczyste. Innymi słowy, nietypowe, oryginalne, tak jak oczy Taylor, które były szare jak zachmurzone niebo, jedno ciemniejsze od drugiego.

– Chcę porozmawiać ze wszystkimi, którzy znajdują się w tym pokoju. Na początek chciałabym uzyskać nieco informacji od pani Manchini. Wytrzymaj. To będzie długi dzień, jak na pewno już wiesz. Pani Manchini, czy możemy?

Gospodyni wstała i przygarbiona, jakby dźwigała jakiś ciężar, poszła przodem. Kiedy znalazły się w korytarzu, Taylor usłyszała, jak Matthew Harris pyta niskim głosem:

– W porządku, kochanie?

Taylor przystanęła, a potem cofnęła się i stanęła przed wejściem do pokoju, zadbawszy o to, by nikt ze środka jej nie zauważył. Widziała, co się dzieje w pokoju, ponieważ na przeciwległej ścianie, tuż nad niewielkim biurkiem, wisiało lustro.

Fitz siedział odwrócony plecami do Taylor i rozmawiał z kapelanem, natomiast Michelle Harris przywarła do ojca, a z jej ust wylał się potok słów:

– Och, tatusiu, nic nie jest w porządku! Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zapomnieć ten widok. Corinne na podłodze, cała we krwi, a obok niej Hayden... Nigdy nie pozbędę się tego z pamięci.

– Wiem, kochanie, wiem. To musiało być straszne. – Przytulił ją.

Taylor poczuła ukłucie zazdrości. Matthew Harris był wybawcą dla córki, był jej obrońcą.

– Czy Derek się odezwał? – spytała Michelle.

– Nie, ma zajęcia w laboratorium. Kończą się w południe. Pojadę na uczelnię i zaczekam na niego. Nie chcę, żeby o tym, co się stało, dowiedział się od kogoś obcego. Przywiozę go. Poradzicie sobie jakiś czas beze mnie?

– Damy sobie radę, tatusiu. Porozmawiam z tą policjantką, a potem posiedzę z mamą. Nie musisz się śpieszyć. Derek będzie zdruzgotany.

– Tak... Dziękuję za wyrozumiałość, moja mała Shelly. Kocham cię, córeczko, zawsze byłaś taka dobra. Zaopiekuj się Nikki, dobrze? Nie jest tak silna jak ty i mama. – Przytulił ją do piersi.

Taylor odwróciła się i poszła za panią Manchini. Rodzina w żałobie. Czemu patrząc na nich, czuła... dojmującą pustkę?

Pani Manchini zaprowadziła Taylor do perkalowej sypialni. W odróżnieniu od gustownego w sposób wręcz doskonały domu Wolffów, tutaj wszystko tchnęło swojskim kiczem.

Pokój był stosunkowo nieduży, mniej więcej o połowę mniejszy niż sypialnia sąsiadów.



Większość miejsca zajmowało łoże z baldachimem i poduchami z falbankami. Ale banał, pomyślała Taylor, ale zaraz się zbeształa. Dom pani Manchini wydawał się karykaturą, a jego właścicielka nierzeczywistą postacią. Carla Manchini równie dobrze mogła mieć czterdzieści pięć albo sześćdziesiąt pięć lat, nosiła niemodne okulary w drucianej oprawce, miała przerzedzone blond włosy, trwała z odrostami i nieco krzywe zęby – ale widocznie na tyle proste, że rodzice nie uznali za słusne zainwestować w aparat, kiedy Carla była małą dziewczynką. W rezultacie kiedy mówiła, prawy górny siekacz wystawał tak, że zaczepiała o niego dolna warga.

Zadumana Taylor nagle zdała sobie sprawę, że Carla już coś do niej mówi. Otrząsnęła się i skupiła na jej słowach.

– Nie bardzo wiem, czego pani ode mnie oczekuje, pani porucznik. Nie znałam ich za dobrze. Nie wtykałam nosa w ich sprawy, co to, to nie. Jak Bóg przykazał siedzę w swoim domu i nie szpieguję, nie zaglądam sąsiadom przez płot, o nie. Naprawdę.

Taylor przyjrzała się jej uważnie. Ciekawe, dlaczego Carla Manchini tak uparcie zaprzecza swemu wścibstwu i jakiegokolwiek wiedzy, siedząc na brzegu łóżka, nerwowo wyłamując palce i popatrując po pokoju tu i tam, byle nie zetknąć się wzrokiem z policjantką.

– Pani Manchini, chciałam zapytać, czy może w ciągu ostatnich kilku dni zauważyła pani coś niezwyklego.

– Nie, nic takiego. – Powoli pokręciła głową.

– Naprawdę nic? – dociskała Taylor.

Carla Manchini zawahała się, a potem zamknęła oczy, jakby starała się przypomnieć sobie ostatnie dni.

– Światło się świeciło – powiedziała wreszcie. – Pani Wolff zawsze wyłącza je rano, ale paliło się cały weekend.

– To było aż tak bardzo niezwykle?

– Tak. Już mówiłam, zawsze je wyłączała. Zawsze.

Taylor odnotowała w pamięci kolejny szczegół w chronologii zdarzeń.

– Kiedy pani po raz ostatni widziała panią Wolff?

– Och, trudno tak dokładnie powiedzieć. Jest poniedziałek, w poniedziałki mam klub książki. Nie pamiętam, żebym ją dzisiaj widziała, a zwykle widzę, jak podlewa begonie na tyłach domu. Ładny ma ogródek, to trzeba przyznać. Urządziła go dopiero w zeszły weekend. Jak dla mnie, to trochę za wcześnie na takie kwiatki, ale ja się nie znam. No więc widziałam ją... w piątek. No tak, w piątek mam klub ogrodniczy. – Pyk, pyk, pyk.

Taylor skryła irytację. Jeśli pani Manchini nie przestanie, połamię sobie palce.

– W piątek o której?

– Tak co do minuty nie pamiętam. Po piętnastej, jakieś dwadzieścia po, ale nie jestem w stu procentach pewna. Mówię, bo pani nalega, naciska na mnie, ale nie chciałam pani wprowadzić w błąd.

– Nie wprowadza pani. Świetnie sobie pani radzi.

Na tę pochwałę Carla Manchini nieśmiało się uśmiechnęła. Taylor uzmysłowiła sobie, że nikt nie prawi jej komplementów.

– Co wtedy robiła Corinne?

– Bawiła się z Hayden. Piękne dziecko, nieprawdaż?

– Przed domem? Za domem?

– Ach, nie powiedziałam. Ani przed, ani za, tylko z boku. Pani Wolff sadziła kwiatki, upiększała teren wokół pojemników na śmieci. Pewnie tak to sobie wymyśliła.

Nie zagląda sąsiadom przez płot. Jasne, skwitowała w duchu Taylor.

- Czy był ktoś z nią?
- Poza Hayden? Nie, nikt.
- A pan Wolff?

Przelotne spojrzenie w oczy, prawie niezauważalne. Carla Manchini zaczęła splatać dłonie. Rozmowa wyraźnie ją denerwowała. Kiedy człowiek jest zdenerwowany, mówi ciekawe rzeczy.

– Och, właściwie to jakbym go nie znała. Przystojny mężczyzna, nikt temu nie zaprzeczy, ale niezbyt dobrze nastawiony do takich osób jak ja.

– Czy zauważyła pani, żeby mieli jakieś problemy?

– Ależ skąd, żadnych. Wyglądali na bardzo szczęśliwych i zadowolonych z życia. Tak, bardzo.

– Jak rozumiem, w piątek nie widziała pani nikogo więcej w pobliżu domu. A w sobotę?

– W sobotę nikogo nie widziałam. Chciałabym już wrócić do gości. Czy mogę?

– Jeszcze kilka pytań, pani Manchini. Czy w ciągu dnia przebywa pani w domu?

– Tak, owszem. Kiedyś pracowałam na poczcie, ale przeszłam na emeryturę. Mieszkam sama, nikomu nie zawadzam. Czytam, oglądam telewizję, chodzę do klubu książki i uprawiam ogródek. Mam mnóstwo przyjaciółek, całe mnóstwo.

– To dobrze, pani Manchini. Czy państwo Wolff udzielają się towarzysko?

– Naturalnie, pani porucznik. To młodzi ludzie, do tego lubiani i popularni, jak większość mieszkańców naszej uliczki. Powiem pani, że mieszkam tu od czterdziestu lat, ludzie się wprowadzają i wyprowadzają, ale wszyscy są tu szczęśliwi. – Przestała wyłamywać palce, położyła dłonie na podolku. Miała czerwone krzywe kłykcie. Z nich, jak również z wyczuwalnej w głosie tęsknoty za dawnymi czasami, można było wywnioskować jej prawdziwy wiek. Samotna stara kobieta, taki był teraz jej status.

– No dobrze, wróćmy do pozostałych. To miłe, że przyjęła pani rodzinę Harrisów. Na pewno doceniają pani pomoc. Niewykluczone, że jeszcze będą chciała z panią porozmawiać. Dobrze?

Carla Manchini powoli wstała. Zaskrzypiały sprężyny.

– Oczywiście, naturalnie. Kiedy tylko będzie trzeba. Będę w domu, o tak.

Taylor i nieśmiała, strachliwa pani Manchini wróciły do salonu. Niewiele się w nim zmieniło, jedynie to, że Michelle Harris siedziała w perkalowym kwiecistym fotelu i trzymała w ramionach blond aniołka. Dziewczynka miała niebieskie oczy, kremową skórę i czerwone policzki. W głębi chabrowego spojrzenia Hayden mignęła trudna do uchwycenia czerni. Spostrzegła broń Taylor, utkwiała w niej wzrok, po czym rozplakała się, rzuciła się cioci na szyję i mocno do niej przytuliła.

Taylor i Michelle Harris siedziały przy stole. Przez wychodzące na południową stronę okna do kuchni pani Manchini wlewało się popołudniowe słońce. Michelle trzymała się nieźle, choć wspomnienie koszmarne poranka musiało być dramatycznie żywe w jej pamięci.

Ojciec ofiary przyjechał z synem, który bardzo źle przyjął wiadomość o śmierci Corinne. Fitz zabrał Dereka Harrisa na taras na poważną rozmowę. Taylor obserwowała ich ponad ramieniem Michelle. Stali za dużym wykuszowym oknem przystrojonym krótkimi perkalowymi zasłonkami z frędzlami. Mój Boże, ileż można patrzeć na perkal w kolorowe kwiatki, pomyślała Taylor. Szybko by oszalała w takim wnętrzu.

Udało jej się zidentyfikować nieznaną zapach z domu Wolffów. Chodziło o perfumy Michelle Harris. Były bardzo mocne, z dominującą nutą jaśminu i irysa, zdecydowanie przesłodzone i używane w zbyt dużych ilościach, jak gdyby Michelle korzystała z mydła, balsamu i perfum tej samej firmy, w dodatku z tej samej linii zapachowej.

Zmarszczyła nos i powiedziała:

– Dobrze, zacznijmy od początku. Kiedy ostatni raz rozmawiałas z siostrą? – Michelle była blada, wyglądała na wykończoną i załamana. Co chwila zerkała przez ramię. Na pewno chciała pójść do młodszego brata i pocieszyć go. – Michelle?

– Przepraszam. Wiesz, jak to jest między rodzeństwem. Człowiek pragnie chronić je za wszelką cenę.

– Niestety nie wiem. Jestem jedynaczką. Zacznijmy od początku. Byłyście umówione na mecz tenisa, tak? – Oparła się o drewniane oparcie krzesła, założyła ręce na piersi i cierpliwie czekała, aż doczeka się odpowiedzi.

Michelle bawiła się kucykiem, owinęła go sobie wokół szyi. Kompulsywny gest, jak zidentyfikowała go Taylor.

– Zgadza się. Gramy w Richland. Walczymy o mistrzostwo. Jesteśmy parą w deblu, praktycznie od zawsze. Kiedyś chciałam grać w singlu, ale Corinne mi to wyperswadowała. Na korcie istnieje między nami wyjątkowe porozumienie, nigdy nie wiem, jak to nazwać, no, po prostu wyczuwamy swoje ruchy.

– Siostra grała pomimo ciąży?

– Tak. Przed urodzeniem Hayden grała dosłownie do ostatniej chwili, przerwała na tydzień przed rozwiązaniem, bo Todd ją ublażał. Tym razem ciąża przebiegała nadzwyczaj gładko, dlatego siostra żartowała, że prosto z kortu pojedzie na porodówkę. Wcale bym się nie zdziwiła. Corinne zawsze potrafiła zmusić swój organizm do wysiłku. Jeśli coś sobie wymyśliła, miało tak być i koniec. Kiedy zdarzało się, że skreśliła kostkę, zawsze zdążyła ją wyleczyć przed następnym meczem. Kobieta ze stali.

– Kiedy miało się urodzić dziecko?

– Za osiem tygodni – odparła Michelle zachrypłym głosem.

– O! – zdziwiła się Taylor. – Miała mały brzuch jak na kobietę w siódmym miesiącu ciąży.

– W poprzedniej ciąży przytyła raptem cztery kilo, a Hayden ważyła trzy trzydzieści cztery. Zaraz po porodzie wróciła do dawnej sylwetki. Teraz pewnie byłoby tak samo. Boże, biedne dziecko. Co z nią będzie? – Łzy napłynęły jej do oczu.

Taylor odwróciła głowę, a Michelle prędko wzięła się w garść. Taylor wołała nie myśleć teraz o akcie zgonu płodu.

– Porozmawiajmy o szczegółach – powiedziała. – Przyjechałaś po Corinne...

– ...i zauważyłam, że nie zgasiła światła przed garażem. To dla niej nietypowe. Corinne była bardzo... zasadnicza w pewnych sprawach. Zawsze, ale to naprawdę zawsze gasiła te lampy zaraz po przebudzeniu, czyli przeważnie o wpół do szóstej rano. Czasem myślałam, że robiła to na złość Toddowi. Pamiętam, że pokłócili się o wygląd lamp. Przepraszam, to nie ma żadnego znaczenia. Budzi się, wyłącza światło, parzy kawę, zalicza pół godziny ćwiczeń na orbitreku, budzi Todda, jeśli jest w domu.

– O której godzinie włącza lampy przed garażem?

– Słucham?

– Światło na zewnątrz. O której Corinne je włącza?

– Aha. – Michelle zastanowiła się. – Wiesz co, nie jestem pewna. Pewnie kiedy robi się ciemno.

– Tak... A zatem kiedy przyjechałaś, lampy przed garażem były włączone. Co jeszcze zwróciło twoją uwagę?

– Wysiadłam z samochodu i zaczęłam iść w stronę domu. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale to akurat normalne. W tej okolicy nikt się nie zamyka na noc. Wiem, to głupie, ale

tutejsi mieszkańcy naprawdę czują się bezpiecznie. Założę się, że teraz zaczną się zamykać. – Spojrzenie Michelle stało się nieobecne, mówiła, jakby recytowała z pamięci. – Weszłam do środka, zobaczyłam krew, pobiegłam na górę, zobaczyłam Corinne, zobaczyłam Hayden, spanikowałam, złapałam Hayden, zbiegłam na dół.

– Zadzwoiłaś pod numer alarmowy.

– Tak. Przepraszam cię, ale nadal jestem w szoku. Jak sobie przypominę tę krew.

I Hayden... – Zamilkła. Jej oczy zaszkliły się od łez. – Nigdy nie zapomnę tej chwili. Też tak masz? Na pewno widziałaś już tyle trupów, że potrafisz się wyłączyć i nie myśleć o śmierci. Ale ja nigdy nie wyprę z pamięci sypialni Corinne.

– Michelle, trzymasz się dobrze, naprawdę. Jeszcze tylko kilka pytań. Opowiedz mi o Toddzie.

– A o czym tu opowiadać? Todd jest...

– O czym opowiadać? – Do kuchni wparował Matthew Harris. – Powiem pani o czym. Otóż Corinne nie żyje, a jego tu nie ma. On i te jego wieczne wyjazdy. Chciał się stąd wyrwać. Gdyby był w domu, gdyby chronił Corinne, tak jak powinien, nie doszłoby do tego. Moja córka i mój wnuk wciąż by żyli.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Matthew Harris podszedł do Taylor, wykonując ruchy, jakby dźgał ją palcem w pierś.

– Jedyne, co chcę od pani usłyszeć, pani porucznik, to: „Zapuszkuję drania za to, co zrobił”. Tylko tyle.

Taylor stała z wyprostowanymi plecami. Mierząc metr osiemdziesiąt, była raptem o dwa centymetry niższa od ojca Corinne. Zrobił kolejny krok i wtedy podniosła rękę.

– Panie Harris, proszę się cofnąć.

– Tatusiu! – Michelle uwiesiła mu się na ramieniu i odciągnęła. – Przepraszam cię, to do niego niepodobne. Tato, co z tobą?

W głowie Taylor błysnęło wspomnienie własnego ojca, który z pełną niedowierzania miną patrzy na nią przez grubą pleksi w radiowozie.

Matthew Harris z ciężkim westchnieniem usiadł przy kuchennym stole, położył ręce na blacie, oparł na nich głowę i zaczął płakać.

Fitz zobaczył, co się dzieje, i natychmiast przyszedł. W ślad za nim zjawił się Derek Harris.

– Tato, wszystko w porządku? – Usiadł i dotknął pleców ojca.

Taylor kiwnęła na Fitz'a i oboje wyszli na taras, zostawiając zrozpaczonych Harrisów i zamykając za sobą drzwi balkonowe. Taylor włożyła ciemne okulary.

– Coś nowego? – spytał Fitz, marszcząc czoło.

– Nie. Michelle Harris dwa razy przedstawiła mi własną wersję zdarzeń, w obu przypadkach podając identyczne szczegóły. Brzmi wiarygodnie. Przynajmniej udało się jako tako ustalić kolejność zdarzeń. Światło paliło się przez cały weekend, sąsiadka widziała Corinne w piątek. Michelle Harris twierdzi, że Corinne włącza oświetlenie przed domem, kiedy robi się ciemno, możemy zatem na początek założyć, że morderstwo popełniono w piątek po zapadnięciu zmroku. Siostry są wstrząśnięte, ojciec się załamał.

– Można ich zrozumieć.

– Oczywiście, że tak. Matka odmówiła przyjęcia środków uspokajających. Chcę z nią porozmawiać, zanim zmieni zdanie. No i nie mogę się doczekać męża denatki.

– Brat Corinne o nim wspomniał.

– Tak? Ciekawe. Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia. Ojciec przed chwilą dał do zrozumienia, że za śmierć córki odpowiada jej mąż. Był bardzo zdenerwowany. Ale nie powiedział wprost, że to mąż ją zabił, tylko że nie było go na miejscu i nie zdołał jej ochronić.

– Za to odniosłem wrażenie, że Derek Harris dopuszcza tę myśl. Podobno wiecznie się kłócili, a Corinne wspominała o rozwodzie.

Taylor spojrzała na podwórze Wolffów, które znajdowało się za niewysokim żywopłotem. Niezły widok miała pani Manchini.

– Ciekawe. Michelle słowem o tym nie wspomniała. Porozmawiajmy z matką Corinne. Potem pogadamy z najmłodszym z rodziny, z Derekiem.

– Pani Harris, proszę opowiedzieć o córce.

Taylor znów siedziała przy stole w perkalowej kuchni. Stała przed nią filiżanka gorącej herbaty. Matka Corinne Wolff czuła się lepiej. Był przy niej ojciec Ross, trzymał ją za rękę. Matthew Harris czekał w sąsiednim pokoju. W tej chwili Taylor nie miała ochoty na użeranie się z nim. Poza tym matka z reguły stanowi lepsze źródło informacji o swoich córkach.

Wydmuchala nos.

– A co pani chce wiedzieć?  
– Czy miała wrogów? Czy kłóciła się z mężem? Jaką była osobą? Zanim zacznę szukać mordercy Corinne, muszę ją poznać.

– Była cudownym dzieckiem. Bardzo utalentowanym.

– W jakim sensie?

– W sensie sportowym. Grała w tenisa. Przez większość kariery znajdowała się w pierwszej dziesiątce rankingu w swojej grupie wiekowej. Chciała się zakwalifikować na igrzyska olimpijskie. Takie miała marzenie, ale to się zmieniło, kiedy poszła do liceum.

– Co się stało?

– Moja Corinne odkryła chłopców. – Julianne Harris musiała się uśmiechnąć. – Zamiast na korcie zaczęła brylować na imprezach. Przestała trenować, uznała, że chce być „normalna”. I, niestety, zmarnowała swój talent. A mogła przejść na zawodowstwo. W mistrzostwach juniorów w Wimbledonie dotarła do finałów i zmierzyła się z zawodniczką z pierwszego miejsca, z dziewczyną z Rosji, i przegrała niewielką różnicą punktów. Bardzo przeżyła porażkę.

Z tonu pani Harris Taylor wywnioskowała, że również – a może nawet bardziej – matce trudno było pogodzić się z przegraną córki.

– Co robiła potem?

– Była wzorową uczennicą, bez trudu dostała się na Uniwersytet Vanderbilta. Nadal grała w tenisa, ale już bez tego zapału, jaki miała, kiedy była małą dziewczynką. Poznała Todda, skończyli studia, Corinne poszła do pracy, ale szybko zaszła w ciążę. Byli bardzo szczęśliwi, och, gdyby pani widziała jej minę, kiedy mi powiedziała o Hayden. To była bardzo lekka ciąża. Druga przebiegała podobnie.

– Jak by pani opisała stosunki pomiędzy córką a jej mężem?

Pani Harris skubała chusteczkę. Ciekawe. Taylor czuła, że matka denatki starannie dobiera słowa. Zamierzała chronić córkę czy zięcia? Było w tym coś jeszcze. Harrisowie nie byli bezstronni, musieli mieć na względzie dobro wnuczki.

– Pani porucznik, co mam pani powiedzieć? – Westchnęła ciężko. – Byli zwyczajną rodziną. Mieli swoje problemy, jak wszyscy, ale nic poważnego. Kiedy Todd robił coś, co denerwowało Corinne, dzwoniła do mnie i żaliła się. Kiedy mówiłam, że ją rozumiem, zarzucała mi niechęć do Todda. Typowy trójkąt matka-córka-zięć. O ile mi wiadomo, Todd nigdy nie zrobił nic wyjątkowego, zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym sensie. To porządny człowiek, dba o rodzinę. Wprawdzie dość dużo pracuje, ale przecież sam odpowiada za utrzymanie domu. Corinne nie chciała rodzić dzieci tylko po to, żeby wychowywała je opiekunka. Uparła się, że zostanie w domu z Hayden. A Dalton... Wie pani, że chłopczykowi chcieli dać na imię Dalton? Za moich czasów rozmawianie o nienarodzonym dziecku przynosiło pecha, ale teraz młodzi się tym nie przejmują. – Znów się rozplakała.

– To bardzo ładne imię, pani Harris. – Taylor uznała, że na razie wystarczy. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Dziękuję za szczerość. Proszę wrócić do rodziny.

Odprowadzenie pani Harris Taylor zostawiła ojcu Rossowi. On przynajmniej potrafił pocieszać ludzi.

Taylor poprosiła Dereka Harrisa i wyszła z nim na taras. Był z nimi też Fitz. Usiedli na fotelach.

Derek bez skrępowania obsmarował szwagra:

– Od pewnego czasu mieli problemy. Corinne mi się zwierzyła, ale potem kazała trzymać język za zębami. Wiedziała, że nic nie powiem Michelle. To było dla niej ważne, bo Michelle reaguje dość... emocjonalnie. Gdyby się dowiedziała, że Corinne nie układało się w małżeństwie, suszyłaby jej głowę, żeby się wyprowadziła od męża albo nie wiem co.

- Opowiedz, co się stało.
- Corinne nie powiedziała, o co się poprzytykali, tylko że doszło do totalnej kłótni.

Tamtego wieczoru przyjechała do rodziców i wyglądała, jakby wylała rzekę łez. Rozmawialiśmy po kolacji. Powiedziała, że Todd się na nią wściekł i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Nie było go pięć dni. Nie wiadomo, gdzie się podziewał. – Przerwał na moment, a Taylor czekała cierpliwie. – W końcu jednak wrócił. Po zajęciach pojechałem do Corinne sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Todd siedział w salonie i żłopał piwo. Corinne wyglądała... radośnie, chyba bardzo się ucieszyła, że mąż wreszcie zawitał do domu. Myślicie, że to on ją zabił?

Taylor nie odpowiedziała, tylko spytała:

- Czym się zajmuje Todd?

– Jest budowląncem. The Trace, Harpeth on the Walk, tego typu luksusowe osiedla, to jego dzieło. Przyjmuje zlecenia spoza stanu, to dlatego tyle podróżuje. W weekendy zwykle wyjeżdża doglądać budów.

- Wolff Construction? To jego firma? – spytał Fitz.

- No tak. Zna ją pan?

– Oglądałem dom w Harpeth on the Walk. Dom pokazowy, służył za reklamę. Bardzo ładny.

– Todd jest świetnym fachowcem. Pasjonat zawodu, to widać. Zawsze miałem go za porządnego gościa. Dopóki Corinne nie opowiedziała mi o kłótni, nawet nie wiedziałem, że między nimi zgrzyta. Przypuszczam, że w małżeństwie to normalne, ale wie pani, miałem za wzór jedynie swoich rodziców, a ci są w sobie zakochani do szaleństwa. Nie pamiętam, żeby się kłócili.

Miło. Rodzice Taylor też się nie kłócili, tylko odnosili się do siebie z lodowatą uprzejmością.

- Czy twoim zdaniem Todd byłby zdolny skrzywdzić Corinne?

Dereka wyraźnie zaszokowało to pytanie. Oczywiście zrozumiał aluzję, nie był już dzieckiem, by do nieprzyjemnego „a” nie dostawić od razu groźnego „b”.

– O Jezu, nie wyobrażam sobie, żeby to on ją zabił. Pytałem panią, czy może go podejrzewacie, ale... – Znowu przerwał na moment. – Jezu, ale wszystko jest możliwe...

- Możliwe?

- No tak... Wiem, jak to brzmi. Ale możliwe – zakończył cicho.

– No dobrze, dziękujemy ci. – Właśnie to chciała usłyszeć. – Jeśli coś sobie przypomnisz, skontaktuj się ze mną. – Podala mu wizytówkę.

Derek wrócił do domu, a Taylor i Fitz zaczęli porównywać notatki. Zadzwoiła jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i odebrała.

- No co tam, Tim?

– Proszę natychmiast przyjść – powiedział poruszony Tim Davis. – Chyba znalazłem narzędzie zbrodni.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Taylor stała w wypieszczonej garderobie Corinne Wolff i słuchała Tima Davisa. Drażnił ją zapach drewna cedrowego.

– Przeglądałem garderobę, kiedy zauważyłem kroplę krwi na szufladzie. Otworzyłem ją i wtedy to zobaczyłem. Było ukryte pod chustami, ale nie dało się nie zauważyć, że całe przesiąkły krwią. Myślę, że ktoś, kto to tu schował, nie spodziewał się, że będziemy szukać aż tak dokładnie.

Tim zademonstrował, jak otworzył szufladę podpisaną CHUSTY. Oczom Taylor ukazała się kolorowa płatanina szalików, apaszek i chust, a pośród niej rakietka do tenisa. Zgięta i wgnieciona. Były na niej ślady krwi.

Taylor wróciła myślami do ran na ciele Corinne. Sam potwierdzi, czy morderca mógł zadać ofierze obrażenia rakieta tenisową, jednak już wiedziała, że to możliwe. Użyta z odpowiednią siłą rakietka mogła przemienić się w niebezpieczną broń.

– Myślisz, że to wystarczy do zadania takich obrażeń? – dla pewności spytała Tima, który widział ciało i musiał mieć swoją teorię.

– Pewnie. Rakietka jest wykonana z twardego i wytrzymałego materiału, a czaszka jest jak dojrzały melon. Kiedy uderzysz ją z wystarczającą siłą, pęknie. Sama pani wie, że rany głowy obficie krwawią, co wyjaśnia tę kałużę wokół ofiary. Biedne dziecko niemal się w niej wykapało i rozniosło po całym domu. Ktoś musiał być ostro wkurzony na Corinne.

– Co ty powiesz. – Powiodła wzrokiem w stronę pokoju i spojrzała na plamę, która znaczyła miejsce, gdzie Corinne Wolff leżała na dywanie i wykrwawiała. Wzdrygnęła się. Nie chciałyby tak umierać. – Dobra robota – pochwaliła Tima. – Obfotografuj tę rakietkę i zdejmij odciski. Byłoby świetnie, gdyby udało nam się rozwiązać tę sprawę jeszcze dziś.

– Zajmę się tym, pani porucznik. Uwielbiam, kiedy mordercy są aż tak głupi, by zostawić narzędzie zbrodni na miejscu popełnienia przestępstwa.

– Myślę, że sprawca użył tego, co miał pod ręką. Torba sportowa Corinne stała na łóżku, a rakietka z niej wystawała. Morderca działał pod wpływem impulsu, ale nie musiał być idiotą, który z głupoty zostawił tak oczywiste ślady. Może ktoś mu przeszkodził, dlatego w pośpiechu byle jak ukrył rakietkę i czym prędzej ulotnił się z domu. Co o tym myślisz?

– Brzmi logicznie. Albo nie przyszło mu do głowy, że będziemy szukali w garderobie. Wie pani, jacy są niektórzy. Wprawdzie nie urodzili się kretynami, ale nas mają za bandę kretynów.

– Masz absolutną rację. Daj znać, jeśli znajdziecie jeszcze coś.

Elementy układanki zaczynały do siebie pasować, połowa roboty została wykonana. Jest ofiara, jest narzędzie zbrodni, jest zeznanie świadka, który twierdzi, że u Wolffów źle się działo.

Brakowało jedynie męża.

Jocelyn Hollow Court sunął ciemny SUV. Podjechał pod rozpiętą wokół podjazdu Wolffów taśmę policyjną i zatrzymał się. Wychodząc z domu, Taylor usłyszała komentarze sąsiadów i pstryknięcia aparatów fotoreporterów. Wprawdzie policja odsunęła media stosunkowo daleko od miejsca zdarzenia, ale od czego są teleobiektywy? Zanosilo się na sensacyjne fotki. Oto przyjechał mąż.

Roztrzęsiony Todd Wolff wysiadł z potężnego lincolna navigatora. Zostawił otwarte drzwi i kluczyk w stacyjce. Osiem cylindrów na jałowym biegu mrucało jak rozdrażniony lew. Obszedł samochód i zatrzymał się przy drzwiach od strony pasażera. Stał ze zwieszonymi



ramionami i czerwonymi oczami. Było widać, że płakał. Patrzył na swój dom, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. O śmierci swojej żony i nienarodzonego syna dowiedział się przed sześcioma godzinami.

Fitz podszedł do Taylor.

– Wolff musiał gnać na złamanie karku. Sądziłem, że nie wyrobi się przed szóstą. – Podał jej butelkę wody.

Przyjęła ją z wdzięcznością. Odkręciła zakrętkę i jednym haustem wypijała połowę zawartości. Chciała splukać posmak śmierci. Zakręciła butelkę, odetchnęła i powiedziała:

– Wygląda na zrozpaczonego.

– Mało powiedziane. Wygląda jak wyjęty psu z dupy – skomentował Fitz.

Wolff nie mógł oderwać oczu od budynku. Zrobił kilka chwiejnych kroków w jego stronę. Taylor podeszła do niego szybko i chwyciła za ramię. Zatrzymał się i spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– Kim pani jest? – spytał płaskim tonem.

– Porucznik Taylor Jackson, Wydział Zabójstw. A to sierżant Pete Fitzgerald.

Porozmawiajmy, panie Wolff. – Pociągnęła go z powrotem do samochodu.

– Nie, chcę wejść do środka. – Próbował się wyrwać. – Chcę zobaczyć Corinne. Chcę zobaczyć Hayden.

– Panie Wolff, pańskiej żony tu nie ma. Została odwieziona do kostnicy. Proszę usiąść.

Ciekawscy sąsiedzi wyciągali szyje, a równie wścibskie obiektywy fotoreporterów dokumentowały każdy gest zrozpaczonego męża ofiary i pomagającej mu pani policjant.

Cholera, zakłęła w duchu Taylor. Musiała zapewnić Toddowi Wolffowi choć trochę prywatności. Zamierzała wpuścić go do domu, dopiero kiedy technicy zakończą pracę.

– Mam propozycję. Chodźmy do sąsiadki. Usiądziemy i porozmawiamy. Co pan na to?

– Do pani Manchini? Ona mnie nie znosi – zaprotestował, ale dał się poprowadzić.

Taylor zerknęła na Fitz, który stał obok lincolna navigatora i zaglądał do środka przez otwarte drzwi, a kiedy sierżant pokręcił głową, odprowadziła Todda Wolffa do domu sąsiadki. Przynajmniej na pierwszy rzut oka Fitz nie zauważył nic podejrzanego.

Harrisów zwolniono o piętnastej trzydzieści. Zostawili swój adres – mieszkali w Sylvan Park – a także numery telefonów. Zabrali ze sobą Hayden. Taylor uznała, że nie ma sensu robić afery. Po prostu z oczywistych przyczyn uważała, że dziadkowie nie uprowadzą dziewczynki.

Wolff nagle zastygł na skraju trawnika, po czym zakolysał się i zaczął ciężko dyszeć.

– Gdzie Hayden? Gdzie moja córka? – Ruszył w kierunku domu, ale Taylor złapała go za ramię.

– Dokąd to, panie Wolff? Pana córka jest u dziadków. U pana teściów. Nic jej nie jest, była tylko zmęczona i głodna. Jest bezpieczna. Proszę się nie martwić.

– Chcę ją zobaczyć. Natychmiast! Chcę zobaczyć moją córkę! – Mówił coraz wyższym głosem, ostatnie słowo przypominało jęk zranionego zwierzęcia.

Gdy padł na kolana na trawniku pomiędzy swoim domem a domem sąsiadki, nasilił się dźwięk wyzwalanych migawek. Zaczął płakać. Kamery filmowały moment, w którym się załamał. Scena chwytła za serce. Oczami wyobraźni Taylor widziała ją w wieczornych wiadomościach.

Podeszła do niego i kucnęła. Cholera jasna, czy musi to robić na oczach kamer?

– Panie Wolff – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Proszę się podnieść i pójść ze mną. Usiądziemy u pana sąsiadki i porozmawiamy. Im prędzej to zrobimy, tym szybciej będzie pan mógł zobaczyć Hayden.

– Mój syn! – wrzasnął mężczyzna. – Moja żona i syn nie żyją, a wy nie pozwalacie mi się

zobaczyć z córką! Nie macie prawa tego robić, to niesprawiedliwe!

Podszedł Fitz i bez słów porozumiał się z Taylor. Skinęła głową. Chwycili Wolffa za ręce i podnieśli. Płakał. Łzy i wydzielina z nosa płynęły mu po brodzie. Ale przynajmniej przestał krzyczeć. To już coś. Zaprowadzili go do pani Manchini.

Zadzwoił telefon Taylor. Fitz zabrał załamane Todda Wolffa do salonu i posadził go na perkalowej sofie. Carla Manchini stała pośrodku pokoju i przyglądała się scenie z załzawionymi oczami. Od wielu lat nie była świadkiem takiego poruszenia.

Dzwonił nieznany numer. Taylor nie odebrała, uznawszy, że to pewnie jakiś dziennikarz, więc niech się nagra, i dołączyła do Fitz, pani Manchini i Todda Wolffa.

– Pani Manchini, czy moglibyśmy przez kilka minut zostać sami z panem Wolffem? Bylibyśmy wdzięczni.

Na twarzy gospodyni pojawiło się rozczarowanie, ale pokiwała głową i powiedziała:

– I tak powinnam się zbierać, niedługo mam spotkanie klubu czytelniczego, przede mną pół godziny jazdy do księgarni. Tam się spotykamy, wie pani. W kuchni stoi dzbanek ze świeżo zaparzoną herbatą. Pani porucznik zamknie dom, kiedy skończycie, dobrze? W normalnych okolicznościach bym się tym nie przejmowała, ale teraz...

– Oczywiście, pani Manchini. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pani pomoc. Wyświadczyła nam pani ogromną przysługę. – Mile połączona gospodyni zabrała torebkę, zacytany egzemplarz „A Fatal Waltz” Tashy Alexander i wyszła. Będzie miała o czym opowiadać koleżankom. Natomiast Todd Wolff zapadł się w kanapę. Przestał już płakać, ale pociągał nosem i wycierał go rękawem. Taylor usiadła obok niego w fotelu. Zaczekała, aż weźmie się w garść. Podała mu chusteczkę ze stojącego na stoliku pudełka w szydełkowym wdzianku. – Panie Wolff, chciałabym zapytać, gdzie pan był.

Milczał. Taylor miała okazję go ocenić. Był przystojnym, zadbanym mężczyzną. Miał czarne oczy, czarne gęste włosy i ciemny, kilkudniowy zarost. Kiedy tak na niego patrzyła, przyszła jej do głowy jasnowłosa Hayden. Ciekawa rzecz, ta genetyka. Rodzice byli brunetami, a córka miała blond włosy i jasnoniebieskie oczy.

Wolff głośno pociągnął nosem i wreszcie się odezwał:

– Szykujemy się do oddania nowego osiedla w Savannah w Georgii. Pojechałem tam, żeby dopilnować przygotowań. Jest milion rzeczy do zrobienia, no i na fakturach musi widnieć mój podpis.

– Buduje pan domy? Wolff Construction to pana firma?

– Tak.

– Kiedy pan wyjechał?

– W piątek około południa. Teraz, kiedy dosłownie na dniach kończymy projekt, jeżdżę co dwa tygodnie.

– Jeździ pan samochodem?

– Tak. Powodzi mi się, ale nie śpię na forsie. Samochodem jest taniej niż samolotem.

– To długa podróż – zauważył Fitz.

– Lubię prowadzić. To pomaga mi myśleć.

– Czy podczas tych wyjazdów cały weekend spędza pan poza domem? – spytała Taylor.

– Tak. Wracam przeważnie w poniedziałek po południu.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z żoną?

– W sobotę rano – odparł po chwili milczenia.

– Wtedy to był ostatni raz?

– Tak.

– Czy po tej rozmowie dzwonił pan do niej?

– Tak. W sobotę wieczorem chciałem przeczytać Hayden bajkę. Taki mieliśmy zwyczaj.

– Ale nie odebrała?

– Nie. – Głos mu zadrżał, ale zdołał opanować łzy.

– Corinne nie odebrała. Nie zaniepokoiło to pana?

Wolff wzdrygnął się na dźwięk imienia żony.

– Boże drogi, w ogóle się tym nie przejąłem, tylko nagrałem wiadomość. Nie miałem powodu, by się zaniepokoić. Pomyślałem, że pewnie gdzieś wyszła z siostrą. Kiedy wyjeżdżałem, często urządzała babskie wieczory albo chodziła z Michelle i Nicole do kina. Załatwiała opiekunkę dla Hayden i miała trochę czasu dla siebie. Nie myślałem o tym zbyt długo, bo na budowie miałem mnóstwo problemów do rozwiązania, a termin nas gonił. Drugi raz próbowałem się do niej dodzwonić około dziesiątej, ale rozłączyłem się, kiedy odezwała się sekretarka. Zadzwoiłem jeszcze raz na komórkę, a potem położyłem się spać. Nie lubiła, kiedy się do niej dobijałem, zarzucała mi, że ją kontroluję.

– A czy w niedzielę też pan próbował?

– Tak, zadzwoniłem około południa i znowu nie odebrała. Ale wtedy też się nie zaniepokoiłem. Corinne to bardzo niezależna kobieta, doskonale daje sobie radę sama. Urodziła się z tą cechą, ja też w tym dopomogłem, bo często nie ma mnie w domu. Jak ona... w jaki sposób... – Rozplakał się. – Pani porucznik, kto mógł to zrobić? Kocham moją żonę. Mamy śliczną córeczkę, miał się nam urodzić syn, byliśmy szczęśliwi. Przecież szczęśliwym ludziom coś tak straszego się nie przytrafia.

Och, gdyby to było takie proste, pomyślała Taylor. Dobrzy i szczęśliwi ludzie prowadzą normalne życie, a wszystko co złe dotyka wyłącznie złych. Tak, jasne.

– Niestety, panie Wolff, ale w tej chwili nie potrafię panu udzielić odpowiedzi na to pytanie. Porozmawiajmy o tym, czym pan się zajmował w Savannah. Kiedy pan tam jeździ, to gdzie pan się zatrzymuje?

– Niedaleko budowy znajduje się hotel Hampton Inn. Moja sekretarka zna wszystkie szczegóły.

– Zawsze pan się w nim zatrzymuje?

– Tak. Hotel jest czysty, mam blisko na budowę, no i nie jest drogo. Nie lubię zbędnych wydatków, wie pani.

– Pana firma jest dość znana. Proszę opowiedzieć o swoich początkach w branży.

– Przeszedłem ciężką, uczciwą drogę. Kiedy byłem nastolatkiem, latem pomagałem ojcu, który był operatorem dźwigu w firmie z Ashland City. Na budowie robiłem wszystko, wie pani, przynieś, podaj, pozamiataj. Lubię pracować w drewnie. Podoba mi się, jak powstają domy, jak rosną w szczerym polu. A przy tym mam głowę do interesów. Jak pani widzi, decyzja o założeniu firmy budowlanej w pewnym sensie narodziła się już w dzieciństwie, decydujący wpływ miało to, w jaki sposób zostałem wychowany. Dlaczego pani pyta? Czy to ważne?

– Po prostu rozmawiamy, panie Wolff. Firma się rozwija?

– Nie narzekam.

– Nie macie problemów finansowych? Rodzinie nie brakowało pieniędzy?

– Pani porucznik, naprawdę uważam, że to... – Zamilkł i zrozumiał, do czego Taylor zmierza. – Pani myśli, że ja to zrobiłem.

– Niczego nie sugeruję, tylko próbuję zrozumieć, jak wygląda pana życie. Proszę powiedzieć coś więcej o stronie finansowej pana działalności. Wspomniał pan, że lubi oszczędzać, i dlatego zamiast latać, dojeżdża na budowę samochodem. Czy firma ma kłopoty?

Zamarł na moment, wreszcie spytał:

– Pani porucznik, co tu się stało? Co się stało z moją żoną? Nikt mi nic nie chce

powiedzieć.

Surowe spojrzenie Wolffa przebiło Taylor na wylot. Zerknęła na Fitzę. Todd Wolff albo był świetnym aktorem, albo naprawdę nie wiedział, jak zginęła jego żona.

– Panie Wolff – podjęła kolejną próbę – czy kłócił się pan z żoną?

Popatrzyła mu w oczy. Spojrzenie miał pewne i nieruchome. Dostrzegła w nim ból.

– Oczywiście, że się kłóciłem. Nie jesteśmy doskonali. Sprzecaliśmy się jak każda para. Natomiast jeśli pyta mnie pani, czy to ja zabiłem żonę, to odpowiedź brzmi: nie, nie zabiłem jej.

Taylor zmierzyła go wzrokiem. Coś w jego postawie podpowiedziało jej, że można mu wierzyć. Postanowiła podjąć to ryzyko, choć tylko na razie, tytułem próby. Gdy zerknęła na Fitzę, przekonała się, że myślał tak samo.

– Na razie niewiele wiemy, panie Wolff. Zabezpieczamy ślady i prowadzimy śledztwo. Mogę powiedzieć tylko tyle, że dziś rano pana szwagierka przyjechała po Corinne, ponieważ była z nią umówiona na tenisa, po czym znalazła siostrę martwą w sypialni. Hayden nic się nie stało.

– A dziecko? – Głos mu się załamał, a po policzkach popłynęły łzy. Głos człowieka, który nie ma żadnej nadziei, bo zna odpowiedź na swoje pytanie, ale i tak zmusza się, by je zadać.

– Przykro mi, panie Wolff, ale syn nie przeżył. Kiedy pana żona została znaleziona, nie żyła już od pewnego czasu.

Wolff czknął, wstał i biegiem wyszedł z salonu. Taylor usłyszała, jak wymiotuje w łazience na dole. Resztę odgłosów zagłuszył szum wody.

Przez cały ten czas Fitz milczał, dopiero teraz spytał:

– Uważasz, że powinniśmy zabrać go na posterunek?

Wciąż było słychać szum wody.

– Nie – odparła Taylor. – Myślę, że chwilowo wystarczy mu atrakcji. To było autentyczne. Zareagował bardzo naturalnie. Nie sądzę, żeby wiedział, co usłyszy. Wydaje mi się, że mówi prawdę, choć nie możemy wykluczyć, że świetnie gra i robi nas w konia. Albo zaplanował to wszystko w najdrobniejszych szczegółach, to znaczy wynajął kogoś do zabicia żony i wyjechał z miasta, albo naprawdę nie wie, co się stało. Pozwólmy mu spędzić wieczór z córką. Przesłuchamy go rano. Mamy nad czym pracować. Trzeba się przyjrzeć jego finansom, a także zbadać materiały, które zebrał Tim. Proponuję zakończyć na dziś.

– Zgadzam się. Zawiozę go do Harrisów.

– W porządku. Pojadę do biura, założę akta sprawy i porozmawiam z kapitanem. Spotkamy się na posterunku.

Wolff spuścił wodę i szum ustał. Po chwili wrócił do salonu. Miał zaczerwienione oczy i był blady jak śmierć.

– Przepraszam za to...

– Nie szkodzi. Rozumiemy pana. Uznaliśmy, że na dziś wystarczy. Rano patolog przeprowadzi sekcję zwłok pana żony. Będziemy też chcieli pana przesłuchać. Teraz pojedzie pan do teściów zobaczyć się z Haydenem.

Odjeżdżając, Taylor raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem dom Wolffów. Co tu się wydarzyło? Włamanie z tragicznym finałem? Nie wyglądało na to, aby z domu cokolwiek zginęło, nic też nie zostało zniszczone. Nie, celem i ofiarą była Corinne. To zbrodnia z motywem osobistym, a w takim razie z oczywistych względów Todd był głównym podejrzanym.

Poza tym było w nim coś takiego... Jak do tej pory reagował wręcz podręcznikowo. Taylor przypomniała sobie słowa ojca Corinne, który oskarżał zięcia o morderstwo.

Taylor pomyślała, że nie po raz pierwszy by ją okłamano.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Taylor nie śpieszyła się z powrotem do centrum. Myślała o wydarzeniach popołudnia. O narzędziu zbrodni ukrytym w garderobie. O histerii Todda Wolffa, która wyglądała na autentyczną, choć jest stanowczo zbyt wcześnie, by skreślić go z listy podejrzanych. Tego typu przemoc, szczególnie gdy miejscem zbrodni jest dom ofiary, często była rezultatem małżeńskiej kłótni, podczas której jedno z małżonków posunęło się zbyt daleko. Udającym rozpacz mężom udawało się przekonać niejednego doświadczonego śledczego. Przyszedł jej do głowy Mark Hacking. Był w telewizji, płakał i błagał, domagał się sprawiedliwości i ukarania winnego śmierci ciężarnej żony, po czym okazało się, że sam ją zastrzelił, w sensie dosłownym wyrzucił ciało na śmietnik, zmienił materac na łóżku, na którym odebrał jej życie, i o mały włos wywinąłby się od odpowiedzialności. Kolejnym klasycznym przykładem był Scott Peterson. Smutna statystyka mówiła, że ciężarne kobiety najczęściej tracą życie w wyniku kłótni z mężem.

Jeśli Todd Wolff naprawdę to zrobił, musi być wyjątkowo bezwzględny i opanowanym sukinsynem. Zamordować żonę i nienarodzone dziecko, po czym na kilka dni zostawić małą córeczkę samą w domu z trupem matki? Boże drogi. Trzeba mieć nerwy ze stali – albo być skrajnie zdesperowanym – żeby zrobić coś takiego.

Gdy było dziesięć po szóstej, dojechała do Nine Mile Hill. Zanim skierowała się w stronę centrum, zahaczyła o Bellevue i wstąpiła do McDonalda. Cały dzień spędziła na miejscu zbrodni, u Wolffów i u pani Manchini, i nawet nie miała okazji na jakikolwiek posiłek. Kupiła w okienku kanapkę z kurczakiem i zjadła ją po drodze, gratulując sobie, że nie skusiła się na frytki.

Z Nine Mile Hill – wzgórza, które, jak sugeruje nazwa, wznosi się dziewięć mil od serca Nashville, bijącego w jednym z meandrów rzeki Cumberland – roztaczał się efektowny widok na centrum miasta. Zachodzące za plecami Taylor słońce odbijało się od szyb domu handlowego LifeWay. Drapacze chmur i Kapitol, składające się na panoramę śródmieścia Nashville, tonęły w różowo-miedzianej poświacie, tym lśniącem miejskim mirażu. Taylor przeżyła w Nashville całe życie, ale jeszcze nigdy nie widziała takiego spektaklu światła. Widok był zachwycający i upajający, wywoływał nostalgię i w cudowny sposób uspokajał. Miała ochotę zatrzymać się i podziwiać pokaz, aż się skończy, ale wtedy nagle słońce zrobiło psikusa, przesunęło się i nieoczekiwanie z bajkowej, malowniczej mgły wyłoniło się szare centrum, tak dobrze znane Taylor.

Liczyły się drobne rzeczy. Zawsze umiała odkryć je tam, gdzie najmniej można było się ich spodziewać. Gdy objawiały się bez specjalnego zaproszenia, odbierała je jako błogosławieństwo losu.

Jadąc przez Belle Meade, myślała o Corinne Wolff. Całe Nashville będzie mówiło o tej zbrodni. Miasto, od zawsze zafascynowane przestępczością na przedmieściach, temat zamordowanej ciężarnej kobiety przewalkuje na wszystkie strony. Zapisała w pamięci, żeby porozmawiać z Danem Franklinem, rzecznikiem Wydziału Zabójstw, jako że w tym przypadku wyjątkowo istotny jest właściwy dobór słów. Jeżeli Taylor szybko nie wytypuje podejrzanego, sprawa zacznie budzić coraz większe emocje i kontrowersje, a wieść o niej rozniesie się poza granice stanu, gdy tym ostatnim, czego Taylor potrzebowała, to przyłot do Nashville sępów z ogólnokrajowych mediów. Przy poprzedniej dużej sprawie miała okazję przekonać się, jakie mogą być tego skutki.

Plotki, pomówienia, insynuacje. Przyjaźń między funkcjonariuszami została wystawiona na ciężką próbę, dokonywały się różne roszady i zmiany sojuszy, napłynęła cuchnąca fala

oszczerstw. Odsiewanie ziaren od plew, czyli prawdy od kłamstw, wymagało naprawdę dużych umiejętności, ale Taylor zawsze miała wycucie tego, co słuszne. Sęk w tym, że kiedy do gry włączyły się media, śledztwo zaczynało przypominać show, którego przebiegiem rządziły wskaźniki oglądalności i cennik reklam. Witajcie w nowym wspaniałym świecie.

Taylor tylko dwa razy w swojej karierze miała poważne problemy z mediami. Pierwszy raz stało się to przed kilku laty, a drugi zaledwie przed miesiącem. Zabójca posługujący się pseudonimem Królowa Śnieżka, od dawna uśpiony i przyczajony w Nashville, odrodził się niczym feniks z popiołów i znów zaczął zabijać. Taylor nadal uwierało chore zainteresowanie mediów tą sprawą i to, jak różne gazety i stacje telewizyjne zszargały dobre imię pani porucznik i całego wydziału. Pismaki próbowały przewidzieć zachowanie mordercy, odgadnąć jego zamiary, a potem były mądre poniewczasie. Po dwóch miesiącach cyrku Taylor leżała wieczorem w łóżku, oglądała w kablówce niekończące się powtórki reportaży o śledztwie w sprawie Królowej Śnieżki i zastanawiała się, czy zainteresowanie mediów mordercą kiedykolwiek się skończy. Wozy transmisyjne stacji telewizyjnych i rozgłośni radiowych z całego kraju zapychały ulice centrum Nashville, parkowały, gdzie popadło, i żerowały na ludzkim nieszczęściu, na tragedii rodzin ofiar. Wystarczyło powiedzieć tylko słowo, a znów zleciałyby się jak pszczoły do miodu.

A do tej wcześniejszej sprawy nawet nie chciało jej się wracać.

Królowa Śnieżka. W jej głowie całkiem nieproszone pojawiły się setki obrazów. Królowa Śnieżka i uczeń, samozwańczy Naśladowca, człowiek bez nazwiska i bez skrupułów. Zimny zabójca. Nadal na wolności. Czai się, czeka, by uderzyć.

Baldwin... W nim pokładała nadzieję. Miał dostęp do wszystkich nowych materiałów w sprawie, której końca nadal nie było widać. Obiecał, że podczas wizyty w Quantico zajrzy do archiwum.

Miała nadzieję, że uda mu się znaleźć coś naprawdę istotnego i konkretnego. Że będzie to coś więcej niż ulotne wrażenie czy enigmatyczne przecucie. Owszem, przecucia to nic złego, Taylor ufała sobie, swojej intuicji i instynktom. Na przykład zawsze wiedziała, gdy ktoś ją obserwował. Przypuszczała, że Naśladowca monitoruje ich postępy, przygląda się wysiłkom policji zmierzającym do ustalenia jego miejsca pobytu. I że czasem ją śledzi. Bywało, że wyczuwała jego obecność. Zdawała sobie sprawę, że jest blisko, choć nigdy go nie widziała.

Potrzebowali niezbitych dowodów. Musieli poznać nazwisko mordercy, który lubił paradować w przebraniu słynnych złoczyńców, ale jak dotąd nic nie mieli.

Zareagowała na błysk świateł, wróciła do rzeczywistości i z zaskoczeniem stwierdziła, że zbliża się do budynku policji. Baldwin nazywał taki stan śpiączką samochodową. Często w nią zapadała. Gubiła się w myślach, a instynkt i przyzwyczajenie prowadziły ją do celu. Wiedziała, że musi się skupić, wziąć się w garść i do roboty. Urlop się skończył, czas wrócić myślami do Nashville i zadbać o bezpieczeństwo swoje i innych.

Zaparkowała, szybkim krokiem przecięła parking i podeszła do tylnego wejścia do budynku, skąd było bliżej do biur Wydziału Zabójstw. Przeciągnęła kartą przez czytnik i znalazła się w środku. Pracowała druga zmiana. Biuro tętniło życiem.

W korytarzu Taylor natknęła się na młodą policjantkę z pierwszej zmiany. Pochyliła się, wypinając tyłek, i wyjmowała kserokopie ze stojącego na podłodze pudełka. Wyprostowała się i z wprawą poukładała różnego rodzaju ogłoszenia i rozpiski we właściwej kolejności, po czym przypinała je do tablicy korkowej. Zrobiła krok do tyłu, przyjrzała się swemu dziełu, upewniła się, że wszystko wisi prosto i we właściwym miejscu, a na koniec zamknęła gablotę i przekreśliła miniaturowy klucz w zamku.

Gdy zauważyła Taylor, bąknęła:

– Przepraszam, pani porucznik – i usunęła pudło z drogi.

Kiedy Taylor ją minęła, policjantka przeszła do kolejnej gabloty zawierającej informacje o aktualnie poszukiwanych przestępcach. Otworzyła ją, sięgnęła do pudełka i wyjęła z niego kilka plakatów, które następnie rozwiesiła, poczynając od tych, które miały najwyższy priorytet. Na samej górze znajdowała się jedna z niewyjaśnionych spraw, w której pojawił się nowy wątek.

To należało do zespołu zajmującego się nierozwiązanymi sprawami, które „ostygły”, zalegały w archiwum, dlatego tę grupę detektywów nazywano Zespołem Zimnych Spraw. Członkowie zespołu próbowali je ożywić, szukali nowych tropów, szukali morderców, którzy byli pewni, że już nic im nie grozi. Taylor ani trochę nie zazdrościła kolegom, którzy tym się zajmowali. Nie potrafiłaby tak pracować, nieustannie przeżywać czyjś ból, czyjąś mękę. Doskonale wiedziała, że rodzina ofiary nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się, co się stało. Dla rodzin osób, które zaginęły albo o których wiadomo, że nie żyją, lecz ich zabójców nigdy nie ujęto, brak odpowiedzi i czekanie na przełom było nie do zniesienia. Policja w Nashville miała mnóstwo takich spraw, z czego nad sześcioma czy siedmioma nadal intensywnie pracowano.

Przywitała się z funkcjonariuszami drugiej zmiany, poszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy zobaczyła swoje biurko, osłupiała. Wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. A przecież zostawiła wszystko w idealnym porządku: przegródki na wiadomości wchodzące i wychodzące były puste, na blacie nie leżał ani jeden papierek. A teraz? Istna lawina dokumentów. Co najmniej cztery raporty z miejsca zbrodni, wnioski, przypuszczenia, proponowane plany działania, a także pusty segregator, który jakaś zapobiegliwa dusza dostarczyła, wiedząc, że Taylor wkrótce zapełni go materiałami na temat morderstwa u Wolffów. Bloczek kolorowych karteczek, terminarz, długopisy, ołówki... Prześlizgujące się pomiędzy listkami żaluzji światło księżycy padało na białą rozpiskę meczów koszykówki, do której ktoś przykleił różową karteczkę z przypomnieniem, że jeśli Taylor nie zdecyduje się do czwartku do południa, nie będzie mogła wziąć udziału w tegorocznych zakładach. Wystarczyło, że trochę jej tu nie było, a biurko zakwitło makulaturą jak forsycja kwiatami – puste badyle, które w jednej chwili wybuchają żółtym kwieciem.

Westchnęła, usiadła w fotelu i zabrała się do porządkowania chaosu. Nie znosiła nieporządku, nie potrafiła pracować w bałaganie.

Migało światelko sekretarki. Odsłuchiwała wiadomości. Jediną interesującą zostawił Lincoln Ross. Miło było znów usłyszeć jego głos.

Dopadła ją sentymalna chwila. Do Taylor dotarło, jak bardzo brakowało jej kolegów i koleżanek z wydziału, gdy była poza Nashville. Podczas wyjazdu, choć miała przy sobie Baldwina, a jednak tęskniła za nimi. Po powrocie Lincoln poinformował ją, że dostał „specjalne zadanie”, jak to określił. Mogła się jedynie domyślać, jak bardzo ważna musi być to sprawa, skoro przydzielono do niej funkcjonariusza Wydziału Zabójstw, i to na wyłączność. Kilka razy próbowała dowiedzieć się od kapitana Mitchella Price’a, o co chodzi, ale tylko kiwał głową i się uśmiechał, nie zdradzając, który z jej domysłów jest słuszny.

Odłożyła plik dokumentów, wyjęła komórkę i wybrała numer Lincolna. Odebrał po pierwszym sygnale. W jego głębokim, słodkim jak miód głosie pobrzmiwała nutka ironii.

– Taylor, dzięki Bogu, że to ty. Mam problem.

– Mów, o co chodzi. A tak przy okazji, to brakuje mi tu Ciebie. Kiedy się wygrzebieiesz z tego zadania?

– Mam nadzieję, że wkrótce. Myślę, że zbliża się przełom. Cholerny informator wkręcił mnie, za przeproszeniem, w niezłe gówno, więc musiałem trochę odpuścić. Między innymi na tym polega mój problem.



– Co się stało?  
– Musiałem wziąć. – Niemal wypluł z siebie te słowa, jak gdyby wypowiadając je, chciał się pozbyć złego posmaku z ust.

– Och, Lincoln. Wiesz, że nie wolno...

– Cholera, Taylor, jasne, że wiem. Wbijano mi to do głowy tysiąc razy, zanim przejąłem tę sprawę, ale nie miałem wyboru. To wszystko wygląda coraz bardziej niepewnie. Nie wiedziałem, co robić.

– Co wzięłeś?

– Crack, a cóż by innego? Nieźle mną trzepnęło, a wypaliłem tylko trochę. Boże, Taylor, to było okropne. Jak myślisz, wyrzucą mnie?

– Nie, Linc, spokojnie. – Roześmiała się. – Jesteś jednym z najlepszych policjantów, jakich mamy w wydziale. Jeśli twierdzisz, że nie miałeś wyboru, to tak było. Ja ci wierzę, Price też uwierzy. Skocz za tobą w ogień. Powiedz, jak do tego doszło.

– Spotkałem się z informatorem w obskurnym motelu, który wyglądał jak melina.

Mieliśmy pogadać w cztery oczy, ale przyszli jego kolesie. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy grać swoje role, żeby nie wsypać operacji. Szczęście w nieszczęściu, że mnie nie poznali, bo gdyby było inaczej, zdechłbym, leżąc w kałuży krwi na brudnej podłodze w tej cholernej norze. Kumpie informatora byli już ujarani i mieli ochotę jeszcze się zabawić. Sprzedawałem informatorowi prochy, to była moja przykrywka. Kolesie postanowili wypróbować mój towar, a kiedy się nie zgodziłem, ich szef przystawił mi pistolet do głowy. Wtedy nie miałem już nic do powiedzenia. Starłem się, jak to mówią, nie zaciągać, ale wiesz, to nie takie proste udawać, że się pali.

Zmora policjantów prowadzących tajne dochodzenie, zwłaszcza tych, którzy rozpracowywali środowiska związane z narkotykami. Trzeba jednocześnie być policjantem i nie zdradzić, że się nim jest, a zachowanie równowagi to naprawdę trudna sztuka. Tyle że Lincoln zasadniczo nie był tajniakiem. Taylor nie chciała dodatkowo stresować go tym, że najprawdopodobniej zostanie przeciw niemu wszczęte postępowanie dyscyplinarne i bez kary jednak się nie obejdzie. Zapewne zostanie zawieszony. Ale to może poczekać.

– Lincoln, musisz zachować wyjątkową ostrożność. Napisz raport. Razem się tym zajmujemy, dobrze?

– Okej. Dzięki. Muszę kończyć. Za dwadzieścia minut mam spotkanie. Na razie.

Fatalnie, że przez czyjąś głupotę Lincoln naraził się na niebezpieczeństwo.

Na sekretarce była jeszcze jedna wiadomość, od Baldwina. Zadzwoił, by, jak to ujął, „zameldować się”. Poznała po głosie, że jest zestresowany. Ja też nie jestem na wakacjach, pomyślała. Zadzwoiła do niego, ale nie odebrał. Odłożyła telefon i zabrała się do pracy. Miała mordercę do schwytania.

W Quantico w Wirginii zachodziło słońce.

Doktor John Baldwin wstał. Siedział na niewygodnym krześle, zbyt niskim jak na jego długie nogi, a kiedy gwałtownie się podniósł, groźnie zaskrzypiało.

– Cholera jasna. Nie lubię jej okłamywać.

– Wiem, Baldwin. Wiesz doskonale, że nie prosiłbym cię, gdyby to nie było absolutnie konieczne – powiedział łagodnie Garrett Woods.

Jednak Baldwin nie dał się nabrać. Znał go wystarczająco długo, by wiedzieć, że za pojedynczym tonem kryje się coś więcej.

– To się na tobie zemści, zobaczysz. Nie wolno symulować tak poważnej choroby jak problemy z sercem.

Garrett się uśmiechnął. Wokół oczu zrobiły mu się zmarszczki.

– Jestem cukrzykiem. Mogłem zapaść w śpiączkę cukrzycową – powiedział. – Czy to byłoby bardziej prawdopodobne?

– Powinieneś o sobie zadbać. – Baldwin machnął ręką. – Tak w ogóle zadbać o siebie. – Przerwał na moment. – Jeżeli się okaże, że on zmierza do Nashville, nie zatrzymasz mnie tu. Jak, u diabła, zdołał się wam wymknąć?

– Nie wiemy, ale tylko na razie, to kwestia czasu. Nie martw się o swoją księżniczkę, sama potrafi o siebie zadbać. Przeżyła tyle lat bez ciebie, to przeżyje jeszcze parę dni. Sam wiesz, że nie jest sierotką, która potrzebuje nieustającej opieki. Spokojnie, wkrótce do niej wrócisz. Najpierw zadanie.

Baldwin podszedł do niewielkiego okna wychodzącego na plac apelowy przed bramą wjazdową do kompleksu. Garrett poprosił o spotkanie w budynku gospodarczym, poza siedzibą Krajowego Centrum Badań nad Brutalnymi Przestępstwami, w której mieściły się biura zarówno Jednostki Badań Behawioralnych, jak i Jednostki Analiz Behawioralnych. Była to rozsądna decyzja. Budynek KCBBP zaludniali wścibscy i spostrzegawczy agenci, a spotkanie Garretta i Baldwina nie potrzebowało świadków.

Spędziwszy rok w Nashville, Baldwin wzdragał się na myśl o ponownym zamknięciu w czterech ścianach JBB. Z uwagi na swój charakter i temperament nie lubił pracować za biurkiem czy w laboratorium, zdecydowanie preferował akcje w terenie. Oczywiście uwielbiał swoją pracę, tylko wolałby nie dzielić się biurem z czterdziestką kolegów i koleżanek.

Garrett coraz częściej ściągał Baldwina do Quantico. Wysłuchawszy go, Baldwin doszedł do wniosku, że niestety nieprędko opuści to miejsce, choć naprawdę wiele by dał, by być teraz w Nashville.

– Mógłbym ją ostrzec, tak ogólnie, bez wchodzenia w szczegóły. Żeby ustrzec ją przed przykrą niespodzianką.

– Nie. – Garrett pokręcił głową, a krople potu załśniły na jego czole. – Jeszcze nie teraz. Najpierw musimy zdobyć potwierdzenie. Możliwe, że do niczego nie dojdzie, na razie to tylko przypuszczenia. Lepiej, żebyś nie dał się zdemaskować, bo Langley nie będzie zadowolone.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy Taylor angażowała się w śledztwo, każdy kolejny dzień pracy trwał dłużej od poprzedniego.

Wyszła z biura krótko po dwudziestej trzeciej z zamiarem posilenia się kanapką z serem i popicia jej winem. Raz, że było już zbyt późno na porządną kolację, a dwa, że po pięciu miesiącach mieszkania z Baldwinem odzwyczała się od jedzenia w samotności. Wróciła do domu o wpół do dwunastej, ziewnęła i stwierdziła, że do cholery z tym. Poszła prosto na górę i postanowiła, że rano zafunduje sobie królewskie śniadanie.

Baldwin dzwonił. Zostawił wiadomość – taką, która miała sprawić, żeby Taylor zatęskniła za jego bliskością. Uśmiechnęła się, słysząc tę ciekawą próbę wzbudzenia pożądania za pośrednictwem automatycznej sekretarki, ale była zbyt zmęczona, by myśleć o czymkolwiek innym niż o ciepłym łóżku i głębokim śnie.

Na blacie leżał rachunek od hydraulika. O rany, zupełnie zapomniała o cieknącej łazience. Niesamowite, że ten długi dzień rozpoczął się od czegoś tak banalnego. Miała wrażenie, jakby od awarii minął tydzień.

„Wymiana zaworu pływakowego”, napisał hydraulik. Ta drobna awaria doprowadziła do przelewania się wody w toalecie, dopowiedziała sobie Taylor. Wymiana wadliwego elementu wraz z dojazdem i robocizną została przez hydraulika wyceniona na sto pięćdziesiąt dolarów. Na szczęście dom był na gwarancji, więc faktycznie zapłacą z Baldwinem tylko czterdzieści dwa i pół dolara. Da się wytrzymać. Poszła sprawdzić sufit w salonie. Wysechł, nie została nawet plama. Super. Naprawa sufitu nie znajdowała się wysoko na liście spraw, którymi miała ochotę zawracać sobie głowę. W budynku dochodziło do tysiąca drobnych usterek. „Drobnych” było tu kluczowym słowem. I niech tak zostanie! Odpukała w niemalowane drewno. Wołała mieć do czynienia z setką pomniejszych wad niż z jedną naprawdę poważną.

Oddzwoniła do Baldwina i porozmawiali kilka minut. Opowiedziała mu, jak minął dzień, a on ją zapewnił, że Garrett czuje się już znacznie lepiej. Kiedy po raz czwarty ziewnęła tak, że niemal połknęła telefon, Baldwin zaproponował, żeby położyła się spać. Rozłączyli się, obiecując sobie, że porozmawiają rano.

Gdzieś zaszczekał pies, potem zawył. Taylor przeszedł dreszcz. Włączyła alarm i poszła na górę.

Umyła się, wyszczotkowała zęby i już miała się położyć do łóżka, gdy jej uwagę przyciągnęły wiadomości w telewizji. Na dostępnym w sieciach kablowych kanale informacyjnym o północy powtarzano wiadomości nadawane o dwudziestej drugiej na zwykłej antenie. Prezenter ostrzegł widzów, że nagranie zawiera drastyczne treści.

– Odtworzymy dla państwa nagranie z telefonu alarmowego. Słysząc na nim dyspozytorkę oraz osobę, która powiadomiła policję o znalezieniu zwłok Corinne Wolff. Nagranie nie jest przeznaczone dla młodych widzów.

Ekran zrobił się czarny i po chwili pojawiła się na nim grafika przedstawiająca biały telefon z tarczą na niebieskim tle. Napis głosił: „Telefon alarmowy”. Najpierw słysząc było tylko trzaski, stopniowo wyłoniły się słowa, którym towarzyszyły napisy na dole ekranu:

Dyspozytorka:

– Halo! Co się stało? Proszę się odezwać!

Michelle Harris:

– Boże. Moja siostra... Chyba nie żyje.

(Płacz).

Dyspozytorka:

– Halo, proszę pani! Proszę powtórzyć.

Michelle Harris:

– Wszędzie krew, mój Boże, tyle krwi. I ślady stóp. Hayden?

Dyspozytorka:

– Proszę pani! Kto nie żyje?

Michelle Harris:

– O Jezu, Hayden, cała jesteś we krwi. Chodź tutaj. Jak ci się udało wyjść z łóżeczka?

Dyspozytorka:

– Proszę pani! Proszę powiedzieć, skąd pani dzwoni!

Michelle Harris:

– Już... już mówię. 4589 Jocelyn Hollow Court. Moja siostra...

Dyspozytorka:

– Czy Hayden to pani siostra?

Michelle Harris:

– Nie, jej córka. O Boże.

Głos w tle:

– Mama boli.

Dyspozytorka:

– Proszę pani, proszę powiedzieć, kto nie żyje.

Michelle Harris:

– Moja siostra, Corinne Wolff. Och, Corinne. Ona jest... zimna.

(Płacz, hałas w tle).

Dyspozytorka:

– Natychmiast wysyłam patrol.

Taylor wyłączyła telewizor. No to już wiedziała, że prędko nie zaśnie. Wstała i poszła do pokoju, do którego z Baldwinem wstawili stół do bilardu. Partyjka albo dwie pomogą zebrać myśli.

Zapaliła lampę, zdjęła narzutę ze stołu i wyjęła piwo z małej lodówki ukrytej we wnęce za drzwiami. Otworzyła butelkę, kapsel posłała do kosza rzutem za trzy punkty i zaklęła. Zapomniała zabrać rozpiškę meczów z pracy. Ech, trudno, zajmie się tym rano.

Wzięła kij, rozbiła bile i zaczęła posyłać je do luz. Równomierny, nieśpieszny rytm gry pozwolił jej się rozluźnić. Pochylić się, wycelować, uderzyć – miłe dla ucha stuknięcie bili o bilę – potem ocenić sytuację, powtórzyć od początku. Kiedy skończyła partię, ponownie ustawiła bile. Butelka była pusta, więc wzięła następną. Popijała pomiędzy uderzeniami. Była całkowicie skupiona na grze. Nie myślała o niczym innym.

Męczyło ją to, że miała trudności z zasypianiem. Od dawna nie zaznała głębokiego, niczym nieprzerywanego snu. No, ale skutkiem ubocznym bezsenności było to, że doskonaliła umiejętności w grze w bilard. Gdyby w przyszłości postanowiła zmienić zawód, mogłaby zarabiać jako profesjonalna bilardzistka.

Trzecia trzydzieści. Wreszcie oczy zaczęły jej się zamykać. Przykryła stół, włożyła puste butelki do kosza, wyłączyła światło i wróciła do sypialni.

Wyczuła, że coś jest nie tak. Podeszła do okna, podniosła roletę i wyjrzała na tonącą w ciemności ulicę. Rada mieszkańców osiedla wprowadziła zakaz zapalania latarni, co Taylor uznała za jeden z najgłupszych pomysłów, o jakich słyszała. Właściciele niektórych posesji przez całą noc palili światło na ganku. Żółty jasny krąg dawał im poczucie bezpieczeństwa i stanowił

ostrzeżenie dla każdego, komu przyszłoby do głowy zbliżyć się do domu. Wiadomo, światło odstrasza złodziei. Niemniej jednak nie wszyscy mieszkańcy się z tym zgadzali.

Tej nocy światło paliło się tylko u trzech sąsiadów, i to mieszkających spory kawałek dalej, dlatego odcinek ulicy przed domem Taylor tonął w głębokim, niemal nieprzeniknionym mroku. Zaczekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, po czym przesunęła wzrokiem po niewyraźnej konstrukcji z cegły i nagich gałęziach drzew. Za dzień lub dwa okryją się pączkami. Do Nashville wiosna przychodziła znienacka. Ciekawe, czy gdyby czekała, wychwyciłaby moment zrównania wiosennego. Och, to zwykła ulotna chwila, a na ulicy nie było na co patrzeć. Nikt tam nie stał, nikt nie zaglądał ludziom w okna.

– Idiotka – mruknęła, zniesmaczona głupotami przychodzącymi jej do głowy.

Położyła się do łóżka i popatrzyła na grę świateł na suficie. Pomyślała o Corinne Wolff. Sama w domu, pobita, niezdolna do obrony przed napastnikiem... Obróciła się na bok i pogłaskała pustą poduszkę. Brakowało jej dającej pociechę obecności Baldwina. Pustka była wręcz namacalna. Wsunęła rękę pod poduszkę, a gdy dotknęła zimnej rękojeści glocka, przeszedł ją dreszcz. Po chwili wreszcie zasnęła.

W końcu zgasła światło. Ciekawe, jak śpi. Na boku? Na plecach? A może na brzuchu, w najbardziej bezbronnej pozycji? Gdyby ją zaskoczył, nie obroniłaby się. Och, gdyby tylko o to chodziło. Ale nie. Widział, jak się porusza, jak pewnie stawia długie kroki, nigdy się nie waha i nie uznaje kompromisów. Wiedział, że sypia na boku, jedną nogą obejmując swojego faceta. Pewność siebie... Miała jej w sobie bardzo dużo. Wiele by dał, by nauczyć ją pokory.

Wyczuł go wścibski pies i zaczął ujadać. Cofnął się głębiej w las, dalej od domu, dalej od cywilizacji. Przyjdzie czas. Po prostu musi być cierpliwy.

## WTOREK

### ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Taylor nie mogła się zbudzić, mimo że budzik w telefonie dzwonił od dwudziestu minut. Wreszcie wyłączyła go i spojrzała na godzinę. Prawie wpół do ósmej. Ożeż cholera! O ósmej miała się stawić w zakładzie medycyny sądowej na sekcji zwłok Corinne Wolff.

Wygrzebała się spod kołdry i poszła do łazienki. Odkręciła wodę, wycisnęła pastę na szczoteczkę i weszła pod prysznic. Kwadrans później siedziała już za kółkiem i wyjeżdżała z garażu, między nogami trzymając puszkę dietetycznej coli. Była bosa, w dżinsach i T-shircie, z mokrymi włosami niedbale spiętymi w kok. Bolała ją szyja, oczywisty znak, że zasnęła w niewygodnej pozycji, a prysznic nie pomógł. Buty włoży, kiedy dotrze na Gass Boulevard. Sweter też. Ranek był zimny jak diabli.

Pracując w policji, niezliczoną liczbę razy pokonywała tę trasę. Czuła trudną do wytłumaczenia więź ze „swoimi” ofiarami, zawsze musiała zajrzeć do środka, dowiedzieć się tego wszystkiego, co tylko można było wydobyć na światło dzienne. Tak samo było z Corinne Wolff. Jak dokładnie umarła? A może jej martwe ciało kryło jeszcze w sobie jakieś inne tajemnice?

Droga I-40 jak zawsze była zapchana, ludzie jechali do pracy, a wypadek przy Charlotte Pike spowodował, że ruch odbywał się jeszcze wolniej niż zwykle. W zachodniej części Nashville z reguły było luźniej na drogach i ci, którzy od tej strony chcieli dostać się do miasta, o wiele rzadziej utykali w korkach niż mieszkańcy dojeżdżający do centrum ze wschodu, północy i południa. Jednak wypadek sprawił, że tego dnia wszyscy byli sobie równi. Auta posuwały się w ślimaczym tempie. Taylor piła colę i modliła się o cierpliwość. Samochody stały w miejscu, nic nie wskazywało na to, by zaraz miały się ruszyć. Nienawidziła siedzieć bezczynnie. Cholera, spóźni się. Minęło dziesięć minut, zanim nadarzyła się okazja, żeby zjechać z Charlotte Pike. Z ulgą skręciła w lewo, pomimo zakazu zawróciła przed sklepem Cracker Barrel, dotarła do White Bridge i wjechała na Briley Parkway.

Z nowego rozjazdu zjechała na starą, czteropasmową autostradę, i by nadrobić stracony czas, mocno wcisnęła pedał gazu. Minęła nieczynne więzienie stanowe, w którym Rod Lurie nakręcił „Ostatni bastion” z Robertem Redfordem. Budowla wyglądała jak żywcem przeniesiona ze słynnego kawałka Johnny’ego Casha „Folsom Prison Blues”. Opuszczona i popadająca w ruinę, obecnie zamieszkała była tylko przez duchy i szczury. Pomyślała o ojcu, który kiedyś na krótko trafił do jednej z tutejszych cel.

Dziś więźniowie trafiają do Riverbend, supernowoczesnego zakładu karnego, w którym przebywają również osoby skazane na karę śmierci. Taylor miała okazję zwiedzić celę śmierci, niewielkie pomieszczenie o pomalowanych na kremowo betonowych ścianach i niebieskich drzwiach, i nigdy nie chciałaby tam wrócić. W celi opadł ją strach, poczuła się klaustrofobicznie. Na dziesięciu zbrodniarzy czekających na wykonanie wyroku śmierci co najmniej jeden trafił tam dzięki Taylor. Gdy myślała o tym, jaki czeka ich los, nie czuła wyrzutów sumienia, ale za nic nie chciałaby sama doświadczyć tego, co przeżywali w celi skazańców.

Co innego jej ojciec. Warunków, w jakich odbywał karę, nie dało się nawet porównać do tych, które panowały w więzieniu stanowym. Ale cóż, federalni łaskawie traktowali przestępców w białych kołnierzykach, którzy nikogo nie zadźgali ani nie zastrzelili, tylko wykorzystali

urzędnicze kompetencje czy kruczki prawne w przestępczym procederze. W każdym razie faktyczne winy Wintropa Jacksona zostały mocno pomniejszone przez federalnych.

Dotarła do węzła Briley Parkway z I-24, minęła zjazd i skręciła kawałek dalej, w Dickerson Road. Znalazła się w zaniedbanej części miasta, aż żal było patrzeć. Zobaczyła idącą chodnikiem młodą kobietę, bez wątpienia ćpunkę i prostytutkę. Pięćdziesiąt metrów za nią snuł się płochliwy czarnoskóry facet. Czy już dobili targu? Pewnie tak, bo kobieta miała błogi wyraz twarzy narkomanki, która wie, że za chwilę weźmie działkę.

Taylor pokręciła głową. Prawo było bezsilne, nie potrafiło wypenić kupczenia ciałem z ubogich dzielnic Nashville. Dla prostytutki noc w areszcie oznaczała tylko przerwę w pracy i nie zniechęcała do powrotu na ulicę. Alfonsom zapuszkowanie też nie przynosiło większej szkody, najwyżej trochę mieszało w interesach.

Skręciła w Gass Boulevard, minęła siedzibę Tennessee Bureau of Investigation. Grupa operacyjna TBI będzie wściekła, kiedy się dowie, że Lincoln złamał zasady. Wprawdzie zrobił to, aby ratować swoją skórę, ale i tak go ukarzą, w najlepszym razie tylko usuną z grupy. To na pewno, ale co dalej? Miała nadzieję, że jednak uda się wyciszyć sprawę. Zaraz jednak nakazała sobie, by na razie o tym nie myśleć. Skupić się na jednym, załatwić jak należy, dopiero zająć się kolejną trudną czy drażliwą sprawą. Taka była jej metoda. Gdyby próbowała robić wszystko naraz, szybko by trafiła do wariatkowa.

Po lewej ukazał się zakład medycyny sądowej. Lśnił jak świeżo wybita moneta. Taylor zaparkowała na miejscu dla gości. Włożyła buty, schowała okulary przeciwsłoneczne do sztywnego etui, wzięła ze sobą sweter i wyszła na poranny ziąb. „Dereniowa zima” – tak jej matka nazywała chłodne wiosenne poranki. Kiedy na drzewach pojawiały się pąki, prawie na pewno można się było spodziewać przymrozków wysuszających młodzieńskie, delikatne kwiaty. Szansę na przetrwanie miały jedynie najsilniejsze drzewa i krzewy, natomiast wszystkie pozostałe na kilka tygodni zapadały w zimowe dosypianie.

Przed wejściem do zakładu rosły kępy forsycji i azalii. Tym pierwszym zimno najwyraźniej nie przeszkadzało, wyciągały bowiem ku niebu żółte kielichy, spragnione choćby i chłodnego słońca. Uśmiechnęła się na ten widok. Zawsze lubiła tę na swój sposób buntowniczą naturę forsycji i nie znosiła, kiedy ludzie przycinali ją tak, że przypominała kulę albo sześcian. Uważała, że to zabija dziką naturę krzewu. Szkoda tylko, że forsycja tak szybko przekwita. Lato byłoby piękniejsze z jej żółtymi kwiatkami.

Przeciągnęła kartą w czytniku i weszła do chłodnego budynku. Poczula zapach lawendowej świeczki. Pewnie zapaliła ją recepcjonistka Kris. Woń była tylko trochę łagodniejsza od kadzidełka z paczuli, którego aromat czasem wypełniał korytarz zakładu, ale i tak sprawiała, że Taylor chciało się kichać. Ilekroć wchodziła do zakładu medycyny sądowej, atakowała ją kakofonia zapachów, bo oprócz ciężkiej woni kwiatów w powietrzu unosiły się ostre drobinki środka antyseptycznego, no i oczywiście był tu wszechobecny *profumo della morte*, odór śmierci, odrażający niezależnie od tego, pod jak bardzo wyszukany określeniem starano się go ukryć.

Przebieła hol, stukając obcasami na twardej podłodze. Użyła karty i poszła korytarzem w kierunku bloku sekcyjnego. Wiedząc, co ją czeka, pozbyła się myśli o wiośnie, kwiatkach, szczęściu i innych radosnych zjawiskach.

Przebrała się w szatni. Skórzane buty zamieniła na gumowe chodaki i włożyła fartuch. Zerknęła na zegarek. Dziesięć po ósmej. Nie jest źle, jeśli wziąć pod uwagę, że musiała porządnie nadłożyć drogi. Gdy łokciem otworzyła drzwi do sali, poczuła zapach formaldehydu, zaschniętej krwi i odchodów.

– No, najwyższa pora. Już miałam zacząć bez ciebie.

Sam była gotowa do pracy. Stała nad ciałem Corinne Wolff. Na głowie miała słuchawki,

a w prawej dłoni trzymała skalpel, którym rytmicznie uderzała o stół, wystukując zniecierpliwione *staccato*. Wpadające przez zamontowane w suficie świetliki światło malowało na jej włosach miedziane pasemka.

– Przepraszam, wczoraj późno się położyłam.

– W porządku. Ale wiesz, jak nie lubię czekać.

Taylor rozejrzała się po pomieszczeniu. Cztery pozostałe stoły, zwykle zajęte przez ciała poddawane autopsji, dziś miały zostać milczącymi świadkami sekcji Corinne Wolff. Zwłoki leżały na plastikowym prześcieradle, były prześwietlone i przygotowane do pokrojenia. Corinne wyglądała na drobniejszą i bardziej delikatną, niż kiedy widzieli ją w domu. Zanim pobito ją na śmierć, była piękną kobietą. Charakterystyczna wypukłość na brzuchu sprawiała, że żołądek Taylor podchodził do gardła. Autopsje kobiet w ciąży, zwłaszcza zaawansowanej, zawsze wytrącały ją z równowagi. Zauważyła, że nawet dla doświadczonych patologów było to szczególne przeżycie.

– Będzie mi asystował Stuart Charisse – powiedziała Sam, uruchamiając dyktafon.

Jak na zawołanie pojawił się przy niej tyczkowaty młody mężczyzna z dziką burzą kręconych włosów. Uśmiechnął się uprzejmie do Taylor i z chłodnym profesjonalizmem przystąpił do pracy.

Sam rozpoczęła oględziny zewnętrzne, nagrywając na dyktafon swoje spostrzeżenia:

– Sekcja zwłok numer T-08-8768, sprawa numer T-2008-5389. Corinne Wolff, biała kobieta, lat dwadzieścia sześć, sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, waga sześćdziesiąt kilogramów, ogólny stan fizyczny dobry, liczne obrażenia. Niska temperatura ciała, stężenie pośmiertne niewyczuwalne, ciemne plamy pośmiertne ograniczają się do przedniej strony nóg, do brzucha oraz klatki piersiowej. Ciemne włosy, długość do ramion, brązowe oczy, własne zęby. Brak zarostu. Ubrana w sportowy biustonosz i figi. Na dłoniach papierowe torebki. Głowa, szyja oraz biustonosz zakrwawione. – Przerwała na moment. – Zmiażdżona żuchwa, najprawdopodobniej wskutek silnego uderzenia. Dysponujemy niewielką kopertą opisaną jako „zęby znalezione obok ciała”. Koperta zawiera dwa zakrwawione, ale nienaruszone trzonowce należące do ofiary. Pasują do odpowiednich zębodołów. Pozostałe fragmenty również pasują do pustych zębodołów w żuchwie ofiary. Zęby zostaną sfotografowane.

Stuart zrobił zdjęcia, a następnie umieścił przedmioty w opisanym słoju. Przed pochówkiem zostaną wydane rodzinie razem z ciałem.

– Zdejmuję torebki z dłoni denatki. Po zewnętrznej stronie prawego nadgarstka znajduje się częściowo odstający plastikowy plaster. Paznokcie zostaną obcięte i wciągnięte do materiału dowodowego.

Po obcięciu paznokci i umieszczeniu ich w plastikowej torebce Stuart i Sam przystąpili do zmuśnionego procesu rozbierania zwłok i mycia ich. Dwadzieścia minut później Sam była gotowa do dalszych oględzin. Corinne leżała na stole naga i wydawała się jeszcze bardziej bezbronna i słaba. Taylor poczuła falę współczucia. Kto tak bardzo zniechęcił tę nieszczęsną kobietę, że postanowił odebrać jej życie?

Wyrwała ją z zamyślenia Sam, która powiedziała:

– Zwłoki należą do białej, zadbanej i właściwie odżywionej kobiety. Ciało wygląda na podaną liczbę lat.

Sam przeszła do oględzin ran na głowie i w górnej części ciała. Rana numer jeden zadana tęnym narzędziem. Rana numer dwa zadana tęym narzędziem. Rana numer trzy zadana tęym narzędziem. Wybite zęby, otarcia, rany szarpane, stłuczenia, złamania szczęki. Ponieważ obrażeń było bardzo dużo, Sam zaczęła grupować drobniejsze rozcięcia i pęknięcia w większe jednostki. Przy numerze ósmym Taylor się wyłączyła.



Złość. Szal. Niepohamowany gniew. Osoba, która zamordowała Corinne Wolff, była na nią naprawdę wściekła. Przed oczami Taylor stanęła twarz Todda Wolffa. Czerwone, załzawione oczy. Trasę z Savannah do Nashville pokonał w rekordowym czasie. Podróż zamiast ośmiu godzin zajęła tylko sześć. Może jednak kłamał? Ale czy byłby na tyle bezwzględny, by zostawić małą córkę samą na tak długo? Głodną, brudną, pełzającą w krwi matki... Czy byłby w stanie zamordować nienarodzonego syna? Musiałby być lodowatym, wypranym z wszelkich ludzkich uczuć sukinsynem.

Sam była biegła w swoim fachu. Gdy Taylor rozmyślała o podejrzanym i jego motywach, ona otworzyła zwłoki, zważyła i opisała organy wewnętrzne, usunęła płód i przystąpiła do rozcinania czaszki Corinne za pomocą piłki oscylacyjnej. Od pisku tarczy, kojarzącego się z przesuwaniem styropianu po szybie albo drapaniem widelcem po talerzu, Taylor przeszedł dreszcz.

Na szczęście cięcie trwało krótko. Kiedy Sam skończyła, powiedziała:

– Czaszka jest otwarta. Rozległy krwotok podpajęczynówkowy, dwustronny, najbardziej widoczny u podstawy mózgu. Po wyjęciu... – Przerwa, chlupot i plaśnięcie. – Po wyjęciu mózgu widać linearne pęknięcie czaszki w tylnej części.

A zatem ktoś rozłupał Corinne głowę, co do tego nie było wątpliwości. Zadzwoił telefon Taylor. Z ulgą przeprosiła i ruszyła do wyjścia, by odebrać połączenie. Niespecjalnie miała ochotę na studiowanie martwego płodu.

Kiedy była przy drzwiach, usłyszała Sam:

– No proszę!

Odrzuciła połączenie – niech ten ktoś nagra się na pocztę – i wróciła do stołu.

– O co chodzi?

– Została uduszona.

– Chcesz powiedzieć, że pęknięcie czaszki nie było przyczyną śmierci?

– Myślę, że obrażenia odniesione wskutek pobicia dokończyły dzieła, że się tak wyrażę.

Na szyi, o tutaj, widzisz? Tu są delikatne ślady. Wygląda to tak, jakby morderca najpierw próbował ją udusić, ale szło mu opornie. Wcale nie tak łatwo udusić człowieka gołymi rękami. Jeżeli ofiara walczy, a wiele wskazuje na to, że ofiara się broniła, bardzo łatwo stracić uchwyt. Corinne była silną kobietą, nawet w ciąży. Postawiła mu się.

– Czyli co? Morderca traci kontrolę nad sytuacją i zaczyna uderzać ofiarę?

– Tak. Chwyta coś, co ma pod ręką, i zaczyna zadawać ciosy. Rakieta tenisowa zostawiła na skórze Corinne wyraźne ślady. Odbiły się na niej węzłki naciągu, które znajdują się z boku główki. Uderzenia spowodowały otwarte rany. Zabójca stał nad ofiarą i uderzał raz, drugi, trzeci, dziesiąty. – Sam zakończyła autopsję. Sprzątała przyrządy, zamykała wieczka pojemników i zaklejała koperty. Organy przekazała Stuartowi do analizy. – Jak najszybciej wyślemy do zbadania resztki spod paznokci i krew, a także zrobimy pełną toksykologię. Ale jak dla mnie sprawa jest jasna.

– Bez podtekstów seksualnych?

– No właśnie, bez. Nie ma stłuczeń ani rozdarć, brak śladów środka nawilżającego. Na wszelki wypadek pobrałam wymaz, ale nie stwierdziłam obecności nasienia ani w pochwie, ani w odbycie. Nic nie wskazuje na to, aby doszło do napaści na tle seksualnym. To było morderstwo. Aż i tylko.

Aż i tylko. Jakie to proste.

– Czy na rękiecie i na ciele znalazłaś odciski palców?

– Rakiety wytarto. Zostało kilka smug, ale do niczego się nie nadawały. Poszukamy jeszcze na szyi, ale sama dobrze wiesz, jak trudno zdjąć dobre odciski palców ze skóry.

Taylor podziękowała, wyszła z sali, zdjęła fartuch, włożyła go do pojemnika na odpady biologiczne. Następnie pokonała długi korytarz i znalazła się w holu recepcji. Nadal czuła intensywny zapach lawendy, tym razem zmieszany ze znajomą wonią słodkich, ciężkich perfum. Znak rozpoznawczy Michelle Harris. Przybyła w otoczeniu rodziny, ale brakowało Todda Wolffa.

Harrisowie rozmawiali cicho między sobą. Od razu było widać, jak bardzo cierpieli. Zgarbione plecy, ciemne kręgi pod oczami i czerwone od ciągłego wycierania nosy mówiły same za siebie.

Było ich pięcioro: rodzice, Michelle, Nicole oraz najmłodszy z nich, Derek. Stali blisko siebie, jakby skumulowane ciepło ciał dodawało im otuchy. Taylor wiele razy widziała takie sceny. Niektóre rodziny tragedia niszczyła, inne wzmacniała i motywowała do wspólnego wysiłku. Harrisowie najwyraźniej należeli do drugiej grupy.

Taylor zatrzymała się, pociągnęła za kok i pozwoliła włosom opaść falami na ramiona. Niezadowolona z efektu, ponownie związała je w kucyk. Duże, kochające się rodziny wytręcały ją z równowagi, napełniały osobliwą tęsknotą. Nie miała rodzeństwa, nie mogła liczyć na jego wsparcie. Owszem, Sam była dla niej jak siostra, ale to jednak co innego, przyjaciółek nie łączyły więzy krwi. Chociaż kiedy miały dziesięć lat, próbowały odbyć rytuał siostrzeństwa krwi. Głupie to było i nic z tego nie wyszło, bo żadna nie miała na tyle odwagi, by wystarczająco głęboko wbić w palec ostrze noża.

Właśnie miała odchrząknąć, żeby zwrócić na siebie uwagę Harrisów, kiedy Michelle ją zobaczyła. Przestali rozmawiać, popatrzyli smutnymi oczami, bąknęli jakieś powitania.

Taylor skinęła głową i spytała:

– Co mogę dla państwa zrobić?

– Przyszliśmy do... Corinne – odezwała się matka. – Czy... jest już po wszystkim?

– Tak – powiedziała Taylor. – Doktor Loughley zakończyła autopsję. Proszę wybaczyć, ale na tym etapie śledztwa nie mogę rozmawiać z państwem o wynikach.

– Tak, rozumiemy. Po prostu chcieliśmy być... blisko niej. – Pociągnęła nosem, ale nie wybuchła płaczem. To dobrze. – Trudno zaakceptować, że robią z nią... to, co robią. Jeśli duch Corinne krąży wokół ciała, wie, że przyszliśmy tu dla niej.

– Todd nie chciał przyjść?

Pan Harris zakasłał, po czym wyjaśnił, nie kryjąc odrazy:

– Rano Todd zawiózł Hayden do swoich rodziców. Zabrał ją i wyszedł, ot tak. Jego Corinne nic a nic nie obchodzi. On martwi się wyłącznie o swoją skórę.

– Tatusiu, to nie w porządku. – Michelle wzięła ojca pod ramię. – Todd wie, że ty i mama jesteście zbyt wstrząśnięci tym, co się stało, by odpowiednio zaopiekować się Hayden. Zrobił to, żeby wam ulżyć.

– Pieprzenie! – ostro skomentował Derek Harris. Gęste, grube włosy opadały mu na czoło. Zwrócił się do Taylor: – Pani porucznik, proszę się dobrze przyjrzeć mojemu szwagrowi. Ja wiem, że on ma z tym coś wspólnego! Wczoraj, kiedy rozmawialiśmy, nie byłem pewien, ale teraz jestem. Dziwnie się zachowuje, wyraźnie jest z nim coś nie tak. Moim zdaniem to on odpowiada za śmierć Corinne.

Ciekawe. Front zjednoczonych sił pod wezwaniem Corinne najwyraźniej nie obejmował jej męża. Taylor uniosła dłoń.

– Gwarantuję państwu, że przeanalizuję wszelkie aspekty tej sprawy, niczego nie pominię. Teraz jednak muszę państwa przeprosić, mam spotkanie w centrum.

– Pani porucznik? – Nicole Harris podniosła rękę jak w szkole. Wyglądała bardzo... charakterystycznie. Włosy czarne jak noc, smutne brązowe oczy, drobna figura, wychudzona.

– Tak, słucham?

– Chodzi o dziecko. – Nicole odetchnęła głęboko. – Chcielibyśmy wiedzieć, co się... z nim stanie.

– Ach, oczywiście. Przepraszam. Decyzja należy do państwa. Pracownik zakładu medycyny sądowej wystawi kartę zgonu. Będziecie mogli pochować go z Corinne lub oddzielnie. Ciała zostaną wydane razem.

Wyraźnie odczuli ulgę. Michelle wzięła matkę za rękę i popatrzyła na Taylor.

– Baliśmy się, że zakład po prostu... pozbędzie się ciała.

Taylor żołądek podszedł do gardła na samą myśl. Widok martwego ciała był wystarczająco przerażający, a kiedy pomyślała, że mieliby je zwyczajnie wyrzucić...

– Rozumiem. Rzeczywiście czasem tak się dzieje, ale dotyczy to przeważnie ubogich samotnych kobiet we wcześniejszej fazie ciąży, gdy nie ma nikogo z rodziny, kto mógłby się zająć pochówkiem martwego płodu. Od dwudziestego tygodnia ciąży patolog traktuje płód jak osobę. Mogę państwa zapewnić, że pracownicy zakładu potraktowali dziecko z należyтым szacunkiem.

– Czy... widziała go pani? – spytał pan Harris cichym głosem, jakby bał się odpowiedzi, którą usłyszy.

– Owszem. – Taylor poczuła, że głos się jej łamie. – Przepraszam, ale naprawdę muszę już jechać. Proszę przyjąć moje kondolencje. Wkrótce się z państwem skontaktuję.

Idąc do samochodu, nie oglądała się za siebie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Taylor wsiadła do auta i ciężkim gestem przetarła oczy. Weź się w garść, dziewczyno! – napomniwała siebie w duchu. Cóż, mogło być jeszcze gorzej. Jak by się czuła, gdyby musiała powiedzieć Harrisom, że ich córka została zgwałcona, wypatroszona albo wrzucona do beczki z kwasem? Jasne, Corinne Wolff zginęła w okrutny sposób, tego nikt nie negował, ale praktyka kryminalna wskazuje, że mogło być znacznie gorzej. Tylko co to za pociecha dla Harrisów?

Mając nadzieję, że otrząśnie się ze wspomnienia o oskarżających spojrzeniach rodziców i rodzeństwa Corinne, podłączyła telefon do ładowarki, włączyła głośnik i wybrała numer poczty głosowej.

Usłyszała głęboki głos Baldwina, spłycony przez kiepskiej jakości głośniczki w aparacie.

– Dzwonię, żeby się zameldować. Mam nadzieję, kochanie, że miło spędzasz czas. Zadzwon, kiedy będziesz mogła. Buziaki.

Wybrała jego numer. Odebrał po pierwszym dzwonku. Znów wyczuła w jego głosie, że jest zdenerwowany.

– Miałam cudowny poranek – rzuciła ironicznie. – A co u ciebie? Wszystko dobrze?

– Tak, jak najbardziej.

– A co u Garretta?

– Też, też. Dochodzi do siebie.

– No to dobrze. Przekaż mu ode mnie pozdrowienia. I trzymaj się ciepło.

Zamienili jeszcze kilka słów, po czym rozłączyli się. Taylor myślami wróciła do śledztwa. No to do pracy, rodacy!

Baldwin rozłączył się i westchnął głęboko. Gdy przeczesał włosy palcami, zaczęły sterczeć, co nieodmiennie śmieszyło Taylor. Nazywała go jeżozwierzakiem.

Pomyślał, że najchętniej wróciłby do domu.

Nie znosił sytuacji, kiedy musiał okłamywać Taylor.

Bo wcale nie było dobrze.

Zawsze potrafił zachować zimną krew w stresujących sytuacjach. Umiał pracować pod presją. Wybywszy się emocji, precyzyjnie analizował dane i zachowywał dystans. Rozwiązywał sprawę, po czym bez żalu i zobowiązań przechodził do kolejnej. FBI znało jego zalety, kiedy go zatrudniało. Znała je również CIA, kiedy poprosiła o pomoc.

Pewnego dnia Garrett zaproponował mu wyjazd do Waszyngtonu.

– Chciałbym, żebyśmy przyjrzeni się pewnej nietypowej sprawie. – I dodał enigmatycznie: – To przysługa dla znajomego. Zależy mi na tym, żebyś rzucił okiem na miejsce zbrodni, przejrzał materiał dowodowy i powiedział, co o tym sądzisz.

Później Baldwin zarazem miał za złe, jak i dziękował Opatrzności za to, że wysłała go do stolicy. Chętnie się zgodził, bo Garrett zawsze był uczciwy wobec niego, poza tym uważał go za swego mentora. Wrócił myślami do czerwcowego poranka, który zmienił jego życie.

Na południowej wylotówce z Waszyngtonu jak zwykle panował duży ruch. Garrett milczał przez większość drogi. Dotarcie do obwodnicy zajęło im godzinę i czterdzieści minut. Kiedy wreszcie znaleźli się na I-495, nagle zrobiło się niemal pusto, więc w pięć minut zameldowali się na George Washington Memorial Parkway i pomknęli w kierunku McLean.

Kawałek za zjazdem na Chain Bridge Road Garrett zatrzymał się przy otoczonym gęstym, niegościnnym lasem punkcie widokowym na Potomac. W dole słyszeli huk rzeki. Garrett znalazł wąską ścieżkę między drzewami i ruszył nią, dając Baldwinowi znak, by podążył za nim. Okolica

wydała się Baldwinowi znajoma. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że znajdują się w pobliżu Fort Marcy Park, gdzie znaleziono ciało prawnika Białego Domu Vince'a Fostera, który popełnił tutaj samobójstwo. To znaczy domniemane samobójstwo, jedno z najszlachetniejszych w historii Waszyngtonu. Puszka Pandory, hm?

Szedł za Garrettem dalej w las przez gęste zarośla. Pokonawszy mniej więcej dwieście metrów, dotarli do niewielkiej polanki. Baldwin wyczuł krew, zanim ją zobaczył.

Polanka przypominała scenografię niskobudżetowego horroru. Między drzewami ktoś rozpiął sieć ze sznura do bielizny i rozwiesił na niej ludzką skórę, genitalia i odcięte głowy patrzące szalonymi, mętными oczami. Co najmniej pięć ciał kobiet w różnej fazie rozkładu, rozczłonkowanych i we fragmentach rozwieszonych na sznurze do bielizny. Jak pranie. Na korpusie, który wyglądał na najświeższy, uctował rój much.

Baldwin poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zwykle nie reagował gwałtownie na widok zwłok, ale w tym lesie czaiło się zło, wlewało się do ciała wszystkimi otworami, przenikało przez skórę. Miał ochotę odwrócić się i uciec do samochodu.

– Na miłość boską, Garrett, co to takiego?

– Liczyłem na to, że ty mi powiesz – odparł z cichym westchnieniem.

Po kilku godzinach, gdy byli już w Waszyngtonie, Baldwin z bladą i ściągniętą twarzą siedział przy stoliku na piętrze w hałaśliwym barze Mr. Henry's.

Milczący Garrett zajmował krzesło obok. Obiecał, że zamówią po piwie i porozmawiają, ale przynajmniej jak dotąd nie odezwał się ani słowem. Baldwin pił beczkowane piwo marki Sierra Nevada Pale Ale, rozpaczliwie usiłując splukać posmak rozkładu i strachu.

Spojrzał za okno. Ulicą spacerowali ludzie nieświadomi horroru czającego się tuż za progiem ich bezpiecznego miasta. Jak tych ludzi przed tym uchronić?

Kiedy odwrócił głowę, przy stoliku usiadł starszy, postawny, ogolony na łyso mężczyzna o grubym karku. Obrzucił Baldwina przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu. Przedstawił się jako Atlantic. Rzeczywiście był wielki jak ocean.

Oświadczył, że zapozna Baldwina z utrzymywaną w tajemnicy serią makabrycznych morderstw. Baldwin słuchał uważnie wpatrzony w hipnotyzujące oczy przybysza, próbując odgadnąć jego narodowość. Doszedł do wniosku, że Atlantic pochodził z Bałkanów, ale nie umiał wskazać konkretnego kraju, zwłaszcza że mówił po angielsku z doskonałym brytyjskim akcentem. Irytowało go to.

Wykład Atlantica ciągnął się w nieskończoność, choć w rzeczywistości minęło zaledwie kilka minut. Kiedy skończył, Baldwin spytał:

– Dlaczego ja?

– Bo jesteś najlepszy. Bo masz talent do języków. Bo potrafisz przystosować się do różnych warunków. Ile znasz języków? Osiem? Dziewięć?

– Trzydzieści.

Atlantic z uznaniem pokiwał głową, po czym dodał:

– Bo masz w sobie na tyle współczucia, by doprowadzić tę sprawę do końca, żeby ofiary znalazły spokój, i na tyle rozsądku, by trzymać gębę na kłódkę. No i jeszcze dlatego, że cię o to prosimy.

Taka odpowiedź mu wystarczyła. Na razie. Baldwin zgodził się zostać profilerem w zespole pracującym nad sprawą, którą Atlantic nazwał Operacją Twórcy Anioła, a jej członków zaczęto nazywać Twórcami Aniołów.

Jego pierwszym zadaniem było znalezienie Leśnego Zabójcy. Baldwin rozpracował sprawę w ciągu kilku dni. Mordercą okazał się attaché prawny Zambii. Baldwin powstrzymał go, zanim pozbawił życia szóstą ofiarę. Dyplomata został deportowany w trybie doraźnym i otrzymał

dożywotni zakaz wjazdu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Szeroki, radosny uśmiech mordercy wchodzącego na pokład odrzutowca lecącego do Lusaki jeszcze długo powracał do Baldwina w koszmarach.

Potem przyszły kolejne zadania. Były to głównie sprawy rozgrywające się poza granicami USA, zawsze bardzo niebezpieczne i wymagające najwyższej dyskrecji. Różni mordercy, różne metody działania, różne motywy. Miejsca zbrodni i wydarzenia, o których nikt nie mógł się dowiedzieć. Ci zabójcy nie stawali się bohaterami programów nadawanych przez telewizje specjalizujące się w transmitowaniu procesów sądowych ani nawet nie stawali przed obliczem sądu, lecz trafiali pod specjalną ochronę.

Rządy krajów utrzymywały oddziały cichych zabójców. Kobiety i mężczyźni, którym płacono za zabijanie i których szkolono, by robili to bez emocji i zbędnych pytań, czasem zrywali się z rządowej smyczy i zaspokajali swe mordercze instynkty, pałali bowiem żądzą krwi, której nie mogły ugasić wyznaczone przez mocodawców cele. Misje wyłapywania bezpańskich morderców powierzano wyłącznie najlepszym agentom.

Operacja miała swoją oficjalną nazwę, która brzmiała Grupa Zadaniowa Połączonych Sił do spraw Potencjalnie Niebezpiecznych Współpracowników, ale ponieważ GZPSdsPNW kiepsko się sprawdzało jako akronim, było zbyt długie i nie zapadało w pamięć, zdecydowano się na nieformalną Operację Twórcy Anioła, a OTA brzmiało dużo lepiej. Grupa była tajna nawet dla tajniaków. Nie nadzorował jej Kongres i nie sprawował nad nią kontroli prezydent. Krąg wtajemniczonych ograniczał się do członków grupy, szefa CIA i wąskiego grona agentów w myśl zasady: „Wie ten, kto ma wiedzieć”.

Atlantic umówił się z Garrettem, że od czasu do czasu „wypożyczy” mu Baldwina do nadzorowania „projektów”. Praca polegała na tworzeniu profili psychologicznych międzynarodowych seryjnych morderców, ludzi, których w normalnych okolicznościach rząd Stanów Zjednoczonych widziałby za kratami, a najlepiej w celi śmierci. Jednak każdy z tych zabójców ze specyficznych powodów był potrzebny zarówno dla rządu swojego kraju, jak i dla władz USA. Chodziło o „osoby o nienaturalnych skłonnościach”, jak celnie to ujął Atlantic. Zadaniem Baldwina było nie tyle zapobieganie działaniom tych ludzi czy ich kontrolowanie, co w głównej mierze przewidywanie, gdzie uderzą w następnej kolejności. Jeżeli agenci OTA wiedzieli, gdzie morderca zaatakuje, mogli zarzucić przynętę, to znaczy zaanonsować zlecenie na zabójstwo. Zajmowali tym mordercę, w ten sposób sprawując nad nim kontrolę i nie narażając niewinnych ludzi.

Baldwina fascynowała międzykulturowa analiza. W przypadku OTA dylemat natura kontra wychowanie nie istniał. Czynnikiem nadrzędnym było zło.

Choć program stał w sprzeczności z jego poglądami, Baldwin doskonale rozumiał, że czasem trzeba się ubrudzić. Poza tym z samej swej natury był posłusznym i zdyscyplinowanym funkcjonariuszem, co miało wpływ na ocenę dylematów moralnych. Służba krajowi, służba społeczeństwu – to były priorytety, do których nieraz naginano całą resztę. Dlatego po głębokim namyśle zgodził się na współpracę, choć pod jednym warunkiem: jeżeli którykolwiek z tych mężczyzn – doskonale wiedział, do czego są zdolni – przyjedzie do Ameryki, natychmiast zostanie o tym poinformowany. Chodziło o to, że rząd Stanów Zjednoczonych unikał wykorzystywania pozostających na jego usługach płatnych zabójców na terenie kraju. Atlantic się zgodził.

Baldwin współpracował z OTA już od dziesięciu długich lat. Prowadzono stałą kontrolę nad co najmniej pięćdziesięcioma płatnymi rządowymi zabójcami.

Problemy Garretta z sercem okazały się tylko wymówką. Baldwin został wezwany do Quantico po to, by Atlantic mógł dotrzymać umowy. Poinformował Baldwina, że jeden

z morderców zniknął OTA z oczu. Wyczyścił dom, zabrał wszystkie dokumenty, w tym wszystkie fałszywe dowody tożsamości, i przepadł jak kamień w wodę. Krążyły pogłoski, że dostał zlecenie na zabójstwo na terenie Stanów Zjednoczonych, ale jak na razie nikt się do niego nie przyznał.

Morderca urodził się w Ameryce, ale dorastał w różnych miejscach na całym świecie. Był bystrym, lubiącym wystawne życie synem dyplomaty. Bardzo wcześnie zaczął zabijać z błogosławieństwem rządu. Dobrze chronił swoje drugie życie, zawsze zachowywał absolutną dyskrecję. Która jednak po jakimś czasie okazała się nie aż tak absolutna, przez co zwrócił na siebie uwagę OTA i zaczęto bacznie go obserwować. Agenci terenowi byli zgodni: morderca znany jako Aiden przymierzał się do skoku przez ocean albo już go wykonał.

Baldwin wielokrotnie miał do czynienia z Aidenem, dlatego potrafił rozpoznać jego styl. Otóż Aiden uważał siebie za staroświeckiego zabójcę, innymi słowy, za artystę wśród morderców, i używał srebrnej garoty, którą dusił ofiary. Miał na swoim koncie czterdzieści zabójstw odnotowanych przez OTA, ale mogło ich być o wiele więcej. Akceptował reguły gry, wiedział o istnieniu OTA, miał świadomość, że rząd podsuwa mu cele, i jeśli o nie chodzi, nie był wybredny, nie interesował go człowiek, patrzył tylko na szyję, na której mógł zacisnąć garotę. To czyniło go szczególnie niebezpiecznym.

Jeśli raporty mówiły prawdę i Aiden rzeczywiście przybył do Stanów, Baldwin najpierw musiał go odnaleźć, a potem obserwować każdy jego krok.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Taylor i Fitz usiedli przy stoliku na tarasie w Las Palmas. Salę wypełniali roześmiani studenci Uniwersytetu Vanderbilta i mający przerwę na lunch robotnicy sezonowi, co świadczyło na plus zarówno o jakości restauracji, jak i przystępności cen. Taylor skubała wołową quesadillę, a Fitz opychał się sałatką z taco. Zamówili też dzbanek herbaty z cukrem.

– Co powiedział Price? – spytał Fitz.

– Przede wszystkim zrozumiał. Obiecał, że nie dopuści do wyciągnięcia konsekwencji dyscyplinarnych. Lincoln trochę to uspokoi, biedaczysko zamartwia się na śmierć. Nie wiem, czy bardziej się przejął tym, że wziął narkotyki, czy też tym, że będzie to musiał zgłosić. Wyobrażasz sobie Lincoln palącego cracka?

– Nie, raczej nie. – Fitz uśmiechnął się. – Nasz pan strojniś zawsze wyglądał mi na takiego, co pije whisky do kolacji, bo tak wypada, a nie dlatego, że mu smakuje. On miałby stracić nad sobą kontrolę?

– A czego się spodziewałaś, biorąc pod uwagę jego pochodzenie? Cholera, przydałby nam się przy sprawie Corinne Wolff. Mamy mnóstwo materiałów do obrobienia, przede wszystkim finanse Wolffów, a Lincoln mógłby się wykazać, jaki to z niego komputerowiec. Jutro wraca Marcus, prawda?

Marcusowi Wade'owi, najmłodszemu w zespole, zafundowano czterodniowe szkolenie wewnętrzne. W wydziale było pusto, aż hulał wiatr.

– Tak, stawi się z samego rana, świeży i wypoczęty. Wyślemy go do miasta, może coś się ruszy w sprawie. Media mają używanie z tą taśmą.

– Cóż, mają. Słyszałam ją wczoraj wieczorem. Flaki się przewracają.

– Wolalbym, żeby nie wykręcali nam takich numerów. Wszystko utrudniają.

– A to nowość! – Zjadła kawałek quesadilli i wytarła usta serwetką. – Chciałabym pojechać do Wolffów. O drugiej jestem umówiona z Toddem. Mówiłam ci, że rano do zakładu medycyny sądowej przyjechała cała rodzina Corinne?

– Nie.

– Spotkaliśmy się przy wejściu. Nie mogłam z nimi zostać, miałam spotkanie. Smutny widok. Powiedzieli, że Todd zabrał Hayden do swoich rodziców. Znasz ich adres?

– Zapisalem, ale nie pamiętam. Wspomnieli, czy to niedaleko?

– Nie, nic nie mówili. Ale Todd nie odwołał spotkania, więc zakładam, że to gdzieś w okolicy. Myślisz, że przyjedzie z prawnikiem?

– Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, to tak. – Fitz przewrócił oczami. – Ale jeśli będziemy mieli szczęście, to nie.

– Warto by go wziąć w krzyżowy ogień. Może udałoby się coś wycisnąć? Wyniki sekcji zwłok są jednoznaczne. Sprawca zatłukł Corinne na śmierć, a wcześniej próbował ją udusić. Muszę dokładniej przyjrzeć się wyjazdowi Wolffa. – Odłożyła widelec. Nagle przestała być głodna. – Słuchaj, czy wiesz, nad czym pracuje Lincoln?

Zanim odpowiedział, zanurzył kawałek tortilli w pikantnej salsie i zjadł go.

– Nie, ale chyba się domyślam. Kiedy ty i federalny balowaliście na Starym Kontynencie, Lincoln odebrał kilka telefonów od tajnego informatora, wiesz, tego chłopaka, który pracuje jako didżej.

– Jasne, pamiętam go.

– Chłopak się nakręcił. Mówił, że chce rozprowadzać prochy w klubie. Potrzebował



dostawcy. Lincoln przez pewien czas współpracował z nim na pół gwizdka, a potem obyczajówka pozwoliła mu działać. Linc to niegłupi gość, zawsze wylądował na cztery łapy. Nie wiem wszystkiego, ale domyślam się, że sprawa ma coś wspólnego z naszym wspólnym znajomym Terrence'em Nortonem.

Taylor jęknęła. Terrence Norton od lat był solą w oku wydziału. Zaczynał w gangu młodzieżowym, błyskawicznie awansował w przestępczych strukturach Nashville. Narkotyki, strzelaniny, napady – lista jego przestępstw była długa, ale Norton pozostawał bezkarny. Kolejne oddalone zarzuty i zawieszony sprawę tylko wzmacniały jego pozycję. Był największym w mieście dilerem heroiny i kokainy, handlował prochami również poza Nashville, jego macki sięgały aż do Atlanty. Ale Norton nie działał sam, mimo wszystko był zbyt słaby i stał zbyt nisko w hierarchii, by w pojedynkę kierować operacją na taką skalę.

Taylor, co oczywiste, usilnie pragnęła zapuszkować Nortona, uwolnić od niego Nashville. Okazja nadarzyła się przed dwoma miesiącami. TBI przejęło sprawę domniemanego wpływania na decyzję ławy przysięgłych. Kiedy Taylor wróciła z podróży do Włoch, znalazła na biurku raport, w którym stwierdzono, że nie doszło do naruszenia prawa. TBI oddało sprawę Nortona miejscowej policji, ale na wszelki wypadek nie rozwiązało grupy operacyjnej, która go rozpracowywała.

Od powrotu Taylor do kraju Norton zachowywał się grzecznie. Nikogo nie zabił. Chyba.

– Nie, to nie może być Terrence – powiedziała po namyśle. – Przecież rozpoznałby Lincoln, prawda?

– Niekoniecznie. Linc nadal wygląda jak białas, nawet zapuścił brodę – powiedział rozbawiony Fitz. – Taką kręconą, zaniedbaną. Nie poznałabyś go, z naszego Lincoln elegancika zrobił się Lincoln żulobandzior. Jeśli chodzi o ludzi z naszego wydziału, to Terrence miał do czynienia tylko z tobą i ze mną, a Lincoln, zanim postanowił zrobić wypad na ciemną stronę mocy, pracował wyłącznie ze swoim informatorem. Nie, wydaje mi się, że Terrence go nie zna.

– Nie podoba mi się to. Nie chciałabym go stracić. W rozmowie Lincoln dał mi do zrozumienia, że zbliża się przełom, więc może wkrótce do nas wróci.

– Obyś się nie myliła.

Taylor odsunęła od siebie talerz. Przez chwilę oboje z Fitzem milczeli.

Z jednej strony bała się, że zaczyna mieć paranoję, a z drugiej wiedziała, że z kimś musi się podzielić swymi obawami. Dlatego w końcu powiedziała:

– Wiesz co? Myślę, że ktoś mnie śledzi.

Fitz spojrzął jej w oczy. Nie zamrugał z rozbawieniem, nie pokręcił głową ze zdziwieniem, nie poklepał współczująco po ramieniu. I bardzo dobrze. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że kiedy Taylor mówi, że jest śledzona, to znaczy, że jest śledzona.

– Myślisz, że to ten uczeń Królowej Śnieżki? Naśladowca? Dlaczego akurat Naśladowca? – Pokazał palcami cudzysłów. – Wydaje mi się, że to uwłaczający pseudonim.

– Naśladuje mistrza, by z czasem zająć jego miejsce. Wtedy zrzuci kostium imitatora i stanie się prawowitym władcą, nie wiem, może królestwa seryjnych morderców. Myślę, że to cholernie pewny siebie facet. – Napila się herbaty, poprawiła na krześle i rozejrzała, zmieniając pozycję. – Wydaje mi się, że to nie on. Nie powiem ci dlaczego, nie umiem tego nazwać, ale to zupełnie inne uczucie. Wrażenie, że coś jest nie tak. Wiesz, włosy stają mi dęba, jakby przechodził przeze mnie prąd. Dziwne... – Przerwała na moment. – Do diabła, pewnie przesadzam. To nic takiego, błahostka...

– Błahostka? I kto to mówi?

– No wiem. – Uśmiechnęła się. – Ale wszystko będzie dobrze. Po prostu wyczuwam czyjaś obecność, więc siłą rzeczy zastanawiam się nad tym. Słuchaj – zmieniła temat – chcesz

pojechać ze mną do Wolffów? Przed rozmową z Toddem obejrzymy dom.

– Czemu nie? Nie mam nic lepszego do roboty. Jedźmy.

W Hillwood, gdzie mieszkali Wolffowie, panowały cisza i spokój, całkowite przeciwieństwo tego, co działo się tu wczoraj o tej samej porze. Wjazd na posesję zagradała taśma, a przed domem w radiowozie siedział policjant, który miał dopilnować, by poszukiwacze mocnych wrażeń nie narobili bałaganu na miejscu zbrodni.

Dopóki nie zakończą czynności, ktoś musiał pilnować miejsca zdarzenia. Taylor miała nadzieję, że wkrótce to nastąpi. Po co marnować czas funkcjonariuszy, którzy mogą się przydać gdzie indziej?

Zaparkowała za radiowozem. Kiedy z Fitzem wysiedli z wydziałowego chevroleta impali – w sprawach służbowych musieli jeździć służbowym autem – również policjant pilnujący posesji wysiadł ze swego pojazdu. Taylor nigdy nie lubiła impali, ale cóż począć? Przecież nie mogła poprosić szefa o porsche. Chevrolet miał przynajmniej niezłą moc i kiedy było trzeba, potrafił błysnąć świetnym przyśpieszeniem, całkiem inaczej niż ford mercury, którym jeździła na początku policyjnej kariery. W białym, stosunkowo niewielkim sedanie czuła, że rzuca się w oczy, bo zbyt długo jeździła suwami. W Nashville większy znaczy lepszy, a suburbanem jeżdżą wszyscy niezależnie od klasy społecznej.

Fitz zagadnął policjanta o mistrzostwa regionu w grillowaniu, a Taylor postanowiła w spokoju obejrzeć dom Wolffów. Uroczy piętrowy domek z jasnobrązowej cegły, wzniesiony w stylu kolonialnym, z wąskim białym gankiem, niebieskimi okiennicami i dużymi oknami rozmieszczonymi symetrycznie po obu stronach wejścia.

Na lewo, gdzie wznosił się komin, znajdował się salon. Taylor zauważyła, że zarówno Wolffowie, jak i Carla Manchini przestawili się na kominki gazowe. W nowych domach w Nashville coraz rzadziej spotykało się tradycyjne kominki, w których można było palić drewnem. Natomiast Taylor oświadczyła Baldwinowi, że absolutnie nie ma takiej możliwości, żeby zgodziła się na gaz. Takie kominki ładnie wyglądają, są praktyczne i wygodne, niech będzie, ale ona woli coś autentycznego, jak to wyraziła. Przynoszenie drewna, rozpalanie w kominku, zapach klonu i dębu to były dla niej takie autentyki. Wolała trochę się natrudzić i rozpalić prawdziwy ogień z prawdziwym dymem, niż kontentować się jakimś erzacem.

Z bliska dało się zauważyć nieznaczną różnicę w kolorze cegieł na parterze i na piętrze. Stawała się widoczna jedynie wtedy, gdy patrzyło się pod odpowiednim kątem i przy dobrym świetle. Nic niezwykłego. Ta część miasta, podzielona na ładne, gęsto porośnięte drzewami działki o powierzchni dwóch lub czterech tysięcy metrów, w ostatnim czasie cieszyła się dużą popularnością. Mieszkańcy hrabstwa Davidson, jeśli jeszcze go nie mieli, to marzyli o własnym kawałku ziemi. Prawie wszystkie stare budynki w tej okolicy, jak na przykład ten, który należał do pani Manchini, były to klasyczne małe domki parterowe, które w porównaniu z nowo wznoszonymi rezydencjami wyglądały niemal jak domki dla lalek.

W ostatnich latach Hillwood przeżył najazd architektów. Starzy i nowi mieszkańcy budowali i rozbudowywali swoje domy. Jedni przerabiali wiaty na garaże albo garaże na pokoje, wznosili nowe portyki, tu i tam dodawali świetlik i zadowalali się prostą renowacją rodzinnego gniazdka, natomiast bardziej ambitni dobudowywali całe piętra. Tak też zrobiono w przypadku domu Wolffów. Gdy już wiedziała, czego ma szukać, Taylor dostrzegła linie podziału, gdzie kończyła się stara część domu, a zaczynała nowa. Dobra robota. Pod okazałą dostojną fasadą można było dostrzec niesforne oblicze starego parterowca.

Koszt dostawienia piętra do domu takiej wielkości był zapewne porównywalny z ceną nowego budynku w innej, mniej prestiżowej okolicy, ale jak domyślała się Taylor, Hillwood skusił młode małżeństwo Wolffów świetnymi szkołami, urokliwymi terenami zielonymi

i ekskluzywnym ośrodkiem rekreacyjno-sportowym. Ciekawe, dlaczego nie zamieszkali na jednym z osiedli wybudowanych przez firmę Wolffa. Doszła do wniosku, że pewnie z tego samego powodu, dla którego również ona i Baldwin nie zdecydowali się na dom od Wolff Construction. Po prostu zero drzew i zero prywatności. Owszem, budynki Wolffa były świetnie zaprojektowane i wykonane, tego nikt nie kwestionował, ale stawiano je na niewielkich działkach pozbawionych wszelkiej roślinności, a urządzenie terenu wokół domów zlecano profesjonalnemu projektantowi. To nie to. Piękne, ale sztuczne. Hillwood zaś tchnęło autentycznością, przytulnością i bezpretensjonalnością. I zapewniało o wiele więcej prywatności.

Gdy dała znak Fitzowi, zakończył rozmowę z policjantem i spotkał się z nią na podjeździe.

– To co, wchodzimy do środka? – spytała.

– Pewnie. Kolega strasznie się napalił na Memphis Bake, ale wszystko mu się pomyliło, myślał o innym konkursie w grillowaniu. Wyprowadziłem go z błędu.

– Uprzejmie z twojej strony. Przypuszczam, że nie stanowi dla ciebie konkurencji.

– Ten dzieciak? Daj spokój! Dla niego sos i przecier pomidorowy to to samo. Nie ma szans w starciu ze starym wygą. – Poklepał się w pierś. – Ten stary wyga dobrze wie, co robi. Znalazłem, rozumiesz, genialną gałkę muszkatołową. Sprowadziłem ją z małego sklepiku w Bombaju, jest delikatna i smakuje zupełnie inaczej niż te sprzedawane u nas. Zetrę konkurentów na miazgę. Będą leżeć i kwiczeć.

Fitz był fanatykiem grillowania, triumfotorem wielu mistrzostw regionu, jego marynaty i szynki wieprzowe podbijały podniebienia. W prawie każdy weekend jeździł na zawody, zgarniał nagrody i w poniedziałek przywoził lunch dla całego wydziału.

– Używasz gałki muszkatołowej? Czy to nie jest zabronione?

Roześmiał się.

– Tylko w Teksasie, moja mała, tylko w Teksasie.

Ruszył do domu, Taylor za nim. Drzwi wejściowe były zaklejone taśmą, Fitz wyjął scyzoryk i przeciął ją. Weszli do środka.

Wewnątrz nadal unosił się intensywny zapach śmierci, przenikał ściany, osadzał się na zakrwawionej wykładzinie. Taylor zastanawiała się, czy Wolff sprzeda dom, czy też nadal będzie w nim mieszkać. Wprawdzie nie przeżył takiego szoku jak Michelle Harris, która znalazła siostrę w kałuży krwi w sypialni, ale świadomość, że zabito tu jego żonę, na pewno nie dawałaby mu spokoju. Nawet najbardziej profesjonalne ekipy sprzątające nie oczyszczą atmosfery domu, w którym popełniono makabryczną zbrodnię. Pod lśniącą od czystości powierzchnią wciąż tlić się będzie zło, nigdy nie da się go usunąć do końca.

Ruszyli tą samą trasą, którą Taylor szła poprzedniego ranka, czyli z korytarza przez jadalnię do kuchni, a następnie do gustownie urządzonego salonu. Na ławie leżały ułożone w zgrabną kupkę magazyny „Architectural Digest”, trzy kryształowe zegary pokazywały dokładnie tę samą godzinę, a na świeczniku z różowego marmuru stała nieużywana świeca zapachowa. Na gzymsie kominka znajdowały się trzy różnej wysokości wazonów w kolorze espresso, zawierały kremowe storczyki, każdy o nieco innym odcieniu. Ściany pokryto farbą écru imitującą stiuk wenecki. Pośrodku stała sofa i fotele obite skórą w kolorze czekolady. Na przeciwnej ścianie wisiał płaski czterdziestocalowy telewizor. Wolffom najwyraźniej nieźle się powodziło.

O tym, że w domu oprócz dwojga dorosłych mieszkało półtoraroczne dziecko, świadczył jedynie prosty, wręcz spartańsko urządzone pokój dziecienny, a także bramka na schody i zabezpieczone rogi szafek. Niesamowite. Chociaż Taylor widziała już takie wnętrza i знаła ludzi, którzy nie dostawali bzika na punkcie swoich dzieci, nie kupowali im każdej nowej

reklamowanej zabawki i nie zamieniali salonu w bawialnię i graciarnię. Sama dorastała w takim domu i jakoś wyrosła na ludzi. To tylko jej rodzice byli popieprzeni. I wcale nie wrzucała ich do jednego worka z Wolffami, którzy popieprzencami na wzór państwa Jacksonów z pewnością nie byli.

– Co to takiego? – Fitz stał obok niskiego skórzanego fotela w kolorze koniaku, nad którym wisiał szeroki na co najmniej dwa metry gobelin przedstawiający przeszywanego włóczykami jednorożca, który biegł przez wodę.

– To reprodukcja jednej z tapiserii należącej do cyklu przedstawiającego jednorożce. Ta się pewnie nazywa „Jednorożec przechodzący przez strumień”.

– Jesteś pewna, że to nie oryginał? – Ujął tkaninę. – Ciężki.

– Oryginał? No co ty. To tylko wysokiej klasy reprodukcja. Wydaje mi się, że oryginał znajduje się w The Cloisters, oddziale nowojorskiego Metropolitan Museum of Art. O ile dobrze pamiętam, utkano je w Niderlandach gdzieś pod koniec piętnastego wieku na zamówienie francuskiego króla, bodaj Ludwika XII albo jego żony. Wolffowie mogli kupić tę reprodukcję w muzealnym sklepie lub zamówili przez internet. Dlaczego pytasz?

Fitz tylko uśmiechnął się półgębkiem. W jego niebieskich oczach pojawił się błysk rozbawienia. Czasem posyłał Taylor zagadkowe spojrzenia, co wprawiało ją w zakłopotanie i odruchowo poprawiała kucyk. Nie jej wina, że rodzice jeździli z nią po wszystkich możliwych muzeach, a ona chłonęła sztukę.

– Ciągnie od ściany. – Przesunął dłonią po gobelinie.

Nagle coś ją tknęło.

– Odsuńmy to. U Carli Manchini w tym miejscu w salonie znajdują się drzwi. Może to piwnica? – Z pewnym wysiłkiem zdjęli ciężką tkaninę ze ściany i ostrożnie położyli na skórzanym fotelu, a Taylor powiedziała: – Bingo!

Przez otwór, w którym powinna znajdować się klamka, wpadało powietrze. No tak, to logiczne, trzeba ją było usunąć, żeby uniknąć wybrzuszenia na gobelinie. Drzwi otwierały się do środka. Zobaczyli schody prowadzące w ciemność. A jednak piwnica.

– Czy ktoś to wczoraj zauważył? – spytała Taylor.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Fitz pokonał raptem trzy schodki, po czym cofnął się, machając rękami.

– Tfu! Ohydztwo!

– Co jest?

– Pajęczyna!

Taylor wybuchła śmiechem i byłaby wpadła do piwnicy, gdyby w porę nie oparła się o ścianę. Rzeczona pajęczyna dyndała wesoło w wejściu, podczas gdy Fitz pluł i drapał się po głowie jak oszalały. Taylor ledwie się opanowała.

– To nie pajęczyna, głupku, tylko sznurek. Taki do zapalania światła.

Zademonstrowała jego działanie. Gdy zapaliła się goła stuwatowa żarówka, oślepieni zmrużyli oczy.

Taylor zamrugała, a kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do światła, spojrzała w dół. Żarówka oświetlała jedynie pierwsze kilkanaście schodków. Z tyłu Fitz mruczał przekleństwa pod nosem. Taylor rozpięła skórzaną kaburę i wyjęła glocka. Trzymając broń w pogotowiu, zaczęła schodzić. Dotarła do podestu, zatrzymała się i ostrożnie zajrzała za róg. Nie zauważyła nic podejrzanego, schowała więc pistolet i pokonała ostatni odcinek schodów. Na dole znajdował się włącznik światła. Kiedy go nacisnęła, pyknęła wisząca na suficie lampa fluorescencyjna i w pomieszczeniu zrobiło się jasno.

Piwnica była całkiem zwyczajna. Betonowa podłoga, trzy niewykończone ściany, jedna

otynkowana i pomalowana, jak gdyby właściciele zastanawiali się nad wyszykowaniem pomieszczenia, ale najpierw chcieli sprawdzić, jak mogłoby tu wyglądać. W powietrzu był wyczuwalny zapach stęchlizny, a więc jest problem z wilgocią. Na podłodze kartonowe pudła, rowery, sanki. Wszystko, co nie pasowało do garażu, trafiało do piwnicznego składziku, który miał około czterdziestu metrów kwadratowych powierzchni. Ot, piwnica jak każda inna.

Obejrzeni pudła, zajrzeli tu i tam, ale nie znaleźli nic podejrzanego.

– Proponuję przysłać tu Tima, żeby wszystko dokładnie przejrzał. Co ty na to? Tak na wszelki wypadek.

– Zgoda... – Nagle zastygł. – Słyszałaś? – spytał szeptem.

Zatrzymała się i nadstawiła uszu. Tak, coś słychać. Jakby kroki. Ktoś wszedł do domu.

Wyjęła pistolet i wycelowała w otwór drzwiowy. Fitz położył dłoń na kaburze, w której spoczywał służbowy glock. Taylor dała mu znak, że pójdzie przodem.

Schody zatrzeszczały. Kroki na górze zatrzymały się.

– Cholera – szepnęła.

To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia. W mgnieniu oka wbiegła po schodkach, wpadła do salonu i wzrokiem omiotła pomieszczenie. Brak zagrożeń. Sekundę później u jej boku pojawił się Fitz. Kiwnęła mu głową, po czym w trzech krokach przecięła pokój i skręciła w lewo, wychodząc na korytarz. Fitz skierował się w prawo, do kuchni. Nic. Pusto. Spotkali się w jadalni. Taylor lufą pokazała sufit. Nasłuchiwali. Znowu kroki. Intruz udał się na górę.

Taylor stanęła u podnóża schodów. Właśnie miała postawić nogę na pierwszym stopniu, kiedy w korytarzu na górze mignął cień. Nabrała powietrza. Pierwszy schodek, drugi, trzeci, na razie nikogo, czwarty, piąty, cień, zbliża się, szósty...

– Policja! Nie ruszać się! – krzyknęła.

Cień podskoczył i pisnął. Taylor poprawiła chwyt i z palcem na spuście zrobiła jeszcze jeden krok.

– Nie strzelaj! – wrzasnął intruz.

Taylor rozpoznała głos i zdjęła palec ze spustu. Na szczycie schodów pojawiła się młoda kobieta z podniesionymi rękami.

Taylor opuściła broń.

– Jezus Maria, Page! Do ciężkiej cholery, co ty tu robisz? Chcesz, żebym cię zastrzeliła?

Fitz niby się śmiał, ale tak naprawdę maskował zdenerwowanie. Oboje z Taylor oparli się o ścianę. Julia Page, asystentka prokuratora okręgowego, założyła ręce na piersi. Jej kręcone i sięgające uszu kasztanowe włosy sterczały we wszystkie strony, jakby chciały się ewakuować.

– A wy co tu robicie? I czemu skradacie się z bronią w rękę? – odparowała.

– Najpierw powiedz, czego tu szukasz. I dlaczego nic o tym nie wiem?

– Przecież dzwoniłam! Zostawiłam ci wiadomość. Powiedziałam, że przyjeżdżam, bo chcę się z tobą spotkać.

Page zeszła na dół. Była biała jak ściana. Taylor obróciła się na pięcie i poszła do kuchni. Trzęsły jej się ręce, więc schowała je do kieszeni, by to ukryć. Po chwili zjawili się Fitz i Page, której włosy sterczały, jakby włożyła palec do gniazdka. Zawsze zdradzały jej prawdziwe emocje. Widząc nastroszoną szopę przyjaciółki, Taylor miała ochotę parsknąć śmiechem, ale się powstrzymała, a na koniec w ogóle wzięła się w garść.

– Niewiele brakowało, Julio – powiedziała już spokojnym, wyważonym tonem. – Powinnaś była się odezwać, kiedy weszłaś do domu.

– Wiem – przyznała Page. – Przepraszam. Nie znalazłam was, więc uznałam, że posłicie na tył domu albo jeszcze gdzieś indziej. Nie chciałam zawracać wam głowy, więc sama postanowiłam się tu rozejrzeć. Przepraszam – powtórzyła.

– Okej, najważniejsze, że nic złego się nie stało. No i już wiesz, dlaczego od osób z zewnątrz wymagamy zezwolenia na odwiedzenie miejsca zbrodni. Policjant, który stoi przed domem, nie poinstruował cię, żebyś się zapowiedziała, zanim wejdiesz do środka?

– Taylor, nie jestem osobą tak zupełnie z zewnątrz.

– W porządku, ale to nie zmienia faktu, że prawie cię sprzątnęłam, więc następnym razem... – Ręce przestały się jej trząść, poziom adrenaliny opadł.

Page pokiwała głową.

– Dobrze, dobrze. Po prostu chciałam zobaczyć dom. Nie rozmawiałam z policjantem. Pozdrowiłam go, a on tylko machnął ręką. Powiesz mi, jak idzie śledztwo?

– Na razie ślamazarnie. O czternastej mam spotkanie z mężem ofiary.

– Jest za kwadrans, więc radziłabym ci się pośpieszyć, jeśli nie chcesz się spóźnić.

Taylor spojrzała na zegarek i zaklęła.

– Fitz, zbieramy się. Julio, porozmawiamy później, okej? Spotkajmy się u mnie w biurze około trzeciej, dobrze?

– Jasne. Do zobaczenia – odparła Page, kiwając głową.

We trójkę wyszli z domu. Fitz zakleił drzwi nową taśmą, po czym zostawił koleżanki i poszedł porozmawiać z policjantem pilnującym domu. Taylor wiedziała, że młody funkcjonariusz dostanie ostrą reprimendę. Powinien był uprzedzić znajdujących się w środku detektywów o tym, że przyjechała asystentka prokuratora okręgowego. Nie popisał się. Wtargnięcie osób z zewnątrz na miejsce zbrodni wprawdzie nie zawsze kończy się tak dramatycznie, ale naprawdę niewiele brakowało. Prasa dopiero miałaby używanie: policjantka z Wydziału Zabójstw prowadząca śledztwo w sprawie morderstwa zabija asystentkę prokuratora okręgowego na miejscu zbrodni. Taylor pokręciła głową. Lubiła Julię Page. Nie ścierpiałaby, gdyby musiała ją zabić.

Todd Wolff czekał na posterunku. Był sam. To dobrze, bo bez czujnej obecności adwokata mogli swobodniej zadawać pytania. Taylor musiała przyznać Wolffowi, że nie brakowało mu odwagi, skoro zrezygnował z prawnej pomocy i grał niewinnego. Ciekawe, co z tego wyniknie. Wypełnili niezbędne formularze, wręczyli Wolffowi przepustkę i zaprowadzili do niebieskiego pokoju przesłuchań wyposażonego w stół i cztery krzesła. Na stole czekały napoje, sprzęt nagrywający był włączony.

Zaczął Fitz:

– Panie Wolff, wie pan, że ma pan prawo do adwokata, prawda? – Podrapał się długopisem na uchem, starając się wyglądać jak najbardziej rozbrajająco.

– Nie sądziłem, że jestem aresztowany – odparł Wolff.

– Bo nie jest pan, po prostu rozmawiamy, ale byłoby to z mojej strony poważne zaniedbanie, gdybym pana o tym nie poinformował. Przepisy, wie pan, jak to jest. Gotowy? Proszę podać imię i nazwisko.

– Theodore Amadeus Wolff. Używam skróconej formy imienia: Todd.

– Data urodzenia?

– Czwarty sierpnia 1979 roku.

– Miejsce urodzenia?

– Clarksville w stanie Tennessee.

– Numer ubezpieczenia?

– 413-00-8897.

– Miejsce zamieszkania?

– 4589 Jocelyn Hollow Court, Nashville, 37205.

Fitz podziękował i odchylił się na krzesło, pokazując Taylor, że przesłuchiwany jest do jej

dyspozycji.

– Dziękujemy, panie Wolff. Ma pan ochotę czegoś się napić?

– Nie, dziękuję. Zaczniemy już. Chciałbym mieć to z głowy. Chcę wrócić do córki.

– Wiemy, że zabrał pan Hayden do swoich rodziców. – Taylor postukała długopisem

w stół. – Gdzie oni mieszkają?

– W Clarksville.

– Dlaczego nie chciał pan, żeby została z pańskimi teściami? Mieszkają bliżej. Nie byłoby panu wygodniej?

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie? – Gdy Taylor uniosła brwi, Todd zadumał się na moment, po czym powiedział: – No dobrze. Nie należę do tych, którzy wieszają psy na teściach, więc nie będę się rozwodził i powiem tylko tyle, że moim zdaniem obecnie to moi rodzice lepiej się zaopiekują małym dzieckiem. Harrisowie to wspaniała rodzina, świetnie się dogadywaliśmy i tak dalej, ale Corinne... Widzi pani, Corinne była dla nich kimś wyjątkowym, takim oczkiem w głowie. Hayden to światło ich życia, ale teraz, gdy przeżywają żałobę, przede wszystkim przypomina im o dziecku, które utracili. Chciałem im tego oszczędzić. Rozumie pani?

Wyglądał tak żałośnie, że Taylor mu uwierzyła. Rozluźniła się, przyjęła mniej oficjalną postawę.

– Bardzo słuszna decyzja, panie Wolff. Proszę mi opowiedzieć o swojej żonie.

Znów dumiał przez moment, a kiedy się odezwał, mówił wprawdzie cicho, ale pewnie. Słowa, które popłynęły z jego ust, brzmiały, jakby jakaś wewnętrzna siła kazała mu otworzyć serce.

– Corinne była... żywołem. Poznaliśmy się na studiach i zakochaliśmy się w sobie na zabój. Studiowaliśmy na Uniwersytecie Vanderbilta. Była cheerleaderką, a ja grzałem ławkę w drużynie koszykarskiej. Była po prostu idealna. Pełna życia, urocza, swoim uśmiechem rozłożyła mnie na łopatki. Wszyscy ją uwielbiali. Była przewodniczącą korporacji studentek, kapitanem drużyny tenisowej i świetnie się uczyła. Chodziliśmy ze sobą zaledwie tydzień, kiedy zadeklarowałem, że kiedyś się z nią ożenię. Od razu się zgodziła. – Uśmiechnął się do siebie. – Siedzieliśmy na tarasie San Antonio Taco Company, piliśmy piwo, och, wypiliśmy zdecydowanie za dużo, i jedliśmy taco. Aż nagle pochyliłem się i szepnąłem jej do ucha: „Ożenie się z tobą, wiesz?”. A ona odparła z uśmiechem: „Kiedy poprosisz mnie o rękę, zgodzę się”. To było piękne. Ona jest... była niesamowita. Jezu, nie wierzę, że już nigdy nie zobaczę, jak się śmieje.

Taylor dała mu czas, by wziął się w garść. Wiedziała, że przetacza się przez niego fala wspomnień. Był przystojnym mężczyzną, miał czarne jak atrament, lekko pofalowane włosy, brązowe, niemal czarne oczy i szerokie pełne usta. Grające pod koszulą mięśnie sugerowały ponadprzeciętną siłę. Niejedna studentka z miejsca by się zgodziła, gdyby taki przystojniak złożył jej propozycję matrymonialną.

– Proszę powiedzieć, jakim sposobem udało się panu wczoraj wrócić tak szybko z Savannah?

Głowa mu odskoczyła, jak gdyby Taylor wymierzyła mu policzek.

– No... przecież mówiłem. Po drodze naruszyłem wszystkie możliwe przepisy.

– Z ośmiogodzinnej podróży zaoszczędził pan dwie godziny?

– Zgadza się.

– Nie wierzę panu.

Zapadła cisza. Oskarżenie zawisło nad Toddem niczym chmura gradowa. Nic nie powiedział, tylko zacisnął usta i pokręcił głową.

– Czy Corinne miała ubezpieczenie na życie? – spytała Taylor.

Todd wyraźnie zastanawiał się nad czymś, targały nim wątpliwości. Najpewniej zrozumiał, że postąpił nierozważnie, stawiając się na posterunku bez adwokata.

– Panie Wolff, zadałam panu pytanie. Czy pańska żona miała ubezpieczenie na życie?

– Tak, oczywiście, że miała. Mamy dziecko. Oboje wykupiliśmy polisy, tak na wszelki wypadek.

– Na jaką kwotę? – Gdy coś bąknął w odpowiedzi, Taylor zażądała: – Proszę powtórzyć. Nie usłyszałam.

– Każde z nas zostało ubezpieczone na trzy miliony dolarów. Chciałbym się skontaktować z moim prawnikiem.

– Panie Wolff, czy zamordował pan swoją żonę?

Nagle wstał. Krzesło z piskiem odjechało do tyłu.

– Do cholery, oczywiście, że nie! Ale widzę, że zamierza mnie pani obarczyć winą za jej śmierć. To jasne jak słońce. Nie pozwolę robić z siebie idioty, pani porucznik. Nie zabiłem swojej żony! Czy to jasne? Czy jestem aresztowany?

Atmosfera zgęstniała. Taylor wbiła spojrzenie w czarne oczy Wolffa i ujrzała w nich cień strachu, co ją mocno zaintrygowało.

– Nie, panie Wolff, nie jest pan aresztowany. – I dodała po chwili: – Na razie.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Taylor przeglądała papiery, kiedy zadzwonił telefon. Wyświetlacz wskazał zakład medycyny sądowej, numer wewnętrzny Sam. Gdy spojrzała na zegar wiszący na ścianie, stwierdziła, że dochodzi piąta. Było za wcześnie na raport toksykologiczny. Odebrała po drugim dzwonku.

– Szczęściara z ciebie – oznajmiła z entuzjazmem Sam, darując sobie zbędne powitania.

Taylor odchyliła się na krzesło i położyła nogi na biurku.

– A czemuż to?

– Ponieważ pojedziesz do domu, weźmiesz szybki prysznic, włożysz coś wystrzałowego i pojedziesz ze mną na imprezę.

– O nie. Nie ma mowy. Jestem zarobiona i nie chce mi się.

– Odrzucasz zaproszenie, chociaż nawet nie wiesz, o co chodzi?

– Tak.

– Och, Taylor, nie bądź taka. Zależy mi na tym. Miałam iść z takim jednym, ale bardziej podniecają go mikroby, które rosną na szalce Petriego. Nie mogę iść sama. Przecież taka młoda dama jak ja nie może włączyć się samotnie po mieście. To niedopuszczalne. Więc zbieraj się, kochana, leć do domu i do roboty, raz, dwa, trzy, i masz wyglądać elegancko.

– Elegancko? – marudziła Taylor. – Gdzie chcesz mnie zaciągnąć? Przyznaj się.

– Na kolację organizowaną przez Amerykańskie Towarzystwo Onkologiczne. Będę główną mówczynią.

– Nie, Sam. Absolutnie nie – zaprotestowała Taylor.

– Cieszę się, że jesteśmy umówione. Przyjadę po ciebie za piętnaście siódma. Włóż tę czerwoną sukienkę, którą ci kupiliśmy na Barbadosie.

– A gdzie schowam broń, hm?

– Dobre pytanie, moja droga. Otóż sądzę, że w Frist Center nie będziesz musiała do nikogo strzelać.

– Tak? Chcę ci przypomnieć, że kiedy ostatni raz cię posłuchałam i nie wzięłam broni, zostałam porwana.

– Spokojnie, dziś wieczorem na pewno nikt cię nie porwie. Obiecuję. Nie porwie cię też jedzenie, bo spodziewam się tylko zwykłych przekąsek, ale za to będzie rzeka darmowego szampana. Musisz odetchnąć, Taylor. Założę się, że przez cały dzień łapałaś złoczyńców.

– Oczywiście. – Westchnęła. – Na tym polega moja praca – dodała, ale Sam już się rozłączyła. Taylor przewróciła oczami, odłożyła słuchawkę i zdjęła nogi z biurka.

Cóż, musiała wybrać jedno z dwojga. Mogła albo siedzieć przy biurku, przekładać papierki, słuchać pierdzenia i sprośnych żartów kolegów z drugiej zmiany, czekając na jakiegokolwiek nowe informacje w sprawie, albo włożyć na siebie coś koszmarnie niewygodnego i uśmiechać się przez cały wieczór. Nie potrafiła się zdecydować, który scenariusz jest gorszy.

Taylor z powątpiewaniem przyglądała się czerwonej sukience. Miała na sobie stanik bez ramiączek, czarne pończochy i czarne czółenka na siedmioipółcentymetrowym obcasie. Sam i Simon przywieźli jej tę sukienkę z wakacji na Karaibach. Sam rozpływała się nad nią, twierdząc, że materiał doskonale układa się na ciele, a krój idealnie pasuje do figury. Taylor prezent przyjęła, podziękowała, ale nigdy go nie włożyła.

Raz kozie śmierć, pomyślała. Włożyła sukienkę przez głowę, zaskoczona, że przy tak niewielkiej ilości materiału waży tak dużo. Potrząsnęła tyłkiem, żeby materiał się ułożył,

wygładziła na biodrach i pociągnęła za rąbek. Sukienka przylgnęła do niej jak druga skóra, opięła ciało i podkreśliła krągłości. Taylor przejrzała się w lustrze. O cholera. Sam miała rację, rzeczywiście bardzo ładna. Na wysokości biustu cienkie paseczki tkaniny idealnie podkreślały dekolt. Wysoka talia sprawiała, że poniżej pasa obcisła sukienka stawała się wręcz powłóczysta. Pomyślała, że ubierze się tak dla Baldwina. Na pewno mu się spodoba.

Gdy rozpuściła włosy, spadły gęstą kaskadą na kark. Położyła odrobinę cienia do powiek i tuszu do rzęs, po czym zaszalała i pomalowała usta na czerwono. No proszę, tajemnicza nieznajoma w czerwieni.

Gdy usłyszała klakson, wyłączyła światło, pobiegła na dół, złapała torebkę oraz szal i wyszła. Niestety musiała się przełamać i wziąć kopertówkę, chociaż to i tak lepiej, niż gdyby musiała targać ze sobą pełnowymiarową torebkę. Organicznie nie znosiła torebek, były kompletnie nie w jej stylu. W zupełności wystarczały jej kieszenie na balsam do ust, telefon i drobnostki, oraz pasek, do którego mogła przymocować kaburę.

Ale gdzie schować broń w takim stroju? Na upartego mogła ukryć nóż w podwiązce albo któryś z jednostrzałowców w dekolcie, ale oba rozwiązania były bardzo niepraktyczne. Dlatego zdecydowała się na czarną atlasową kopertówkę, w sam raz na taurusa 941 kaliber 22, zgrabny pistolecik z pięciocentymetrową lufą, jedną z wielu ciekawostek w kolekcji, którą trzymała z sejfie. Na co dzień na łydce – a mówiąc ściślej, w specjalnym, uszytym na zamówienie skórzanym schowku w prawym bucie – nosiła nieco większą berettę kaliber 22, ale akurat ten pistolet nie nadawał się do torebki, bo był za ciężki.

Sam wychyliła się z bmw i zagwizdała jak znużony pracą uliczny robotnik na widok wyjątkowo atrakcyjnej kobiety.

Taylor pokazała środkowy palec, po czym kiwnęła głową na otwarty dach w samochodzie i powiedziała:

- Sam, zamknij to. Jest za zimno, żeby się popisywać.
- Niech ci będzie, zrzędo. – Sam uśmiechnęła się. – Myślałam, że będziesz chciała się przewietrzyć. – Posłusznie zamknęła dach. – Ładnie wyglądasz.
- I nawzajem.

Sam była ubrana w ciemnogramatową suknię w greckim stylu i rzymskie sandały. Włosy związała w niedbały supeł na czubku głowy, czoło zasłaniały grube kosmyki. Jak zwykle wyglądała elegancko, ale bez przesady.

Wrzuciła wsteczny i wycofała na ulicę. Taylor przejrzała się w lusterku i pomyślała, że z tą czerwoną szminką wygląda jednak trochę zbyt krzykliwie.

- Nie ruszaj – powiedziała Sam. – Wyglądasz bosko.
- Dzięki – odparła z uśmiechem Taylor.
- A poza tym, że taka lala z ciebie, to co tak w ogóle słyhać?

Po drodze miały kwadrans na pogaduszki o wszystkim, byle nie o pracy. Wjechały na parking przed Frist Center for the Visual Arts. Taylor musiała przyznać, że już dawno nie czuła się tak rozluźniona.

Wysiadły i weszły do namiotu ustawionego przed imponującym wejściem do muzeum. Impreza trwała w najlepsze. Tu i tam przechadzali się ubrani w ciemne garnitury panowie oraz panie w eleganckich sukniach. Popijali szampana i podjadali przekąski serwowane na srebrnych tacach. Kelner wręczył Sam i Taylor wysokie kieliszki z bąbelkami. Stuknęły się i wzniosły toast.

- *Salute!* – Taylor od razu zatęskniła za Baldwinem i Włochami.

Krążyli wśród gości, witając się ze znajomymi, czyli prawie ze wszystkimi. Taylor spotkała kilka przyjaciółek matki, które skomplementowały sukienkę i zapytały, jak się miewa Kitty Jackson. Ze dwie łaskawie spytały o Wina, ojca Taylor.

Odpowiedziała niefrasobliwie, że Kitty ma się dobrze. Bawiąc na nartach w Gstaad, poznała szwajcarskiego bankiera i postanowiła zostać do końca wiosny w Europie. Natomiast Win siedział w więzieniu o złagodzonego rygorze w Wirginii Zachodniej. Utrzymywał go rząd federalny.

Mało kto znał szczegóły związane ze sprawą Wintropa Jacksona. Federalni skutecznie wyciszyli jego udział w operacji prania brudnych pieniędzy i handlu żywym towarem na wielką skalę, dzięki czemu Win nie musiał zeznawać przeciwko byłemu bossowi. Człowiek znany jako L'Uomo, czyli... Człowiek, siedział w brazylijskim więzieniu najpewniej przykuty łańcuchem do ściany. Krzyżek mu na drogę. Dla Taylor był i na zawsze pozostanie śmieciem.

Przykleiła uśmiech do twarzy. Tego typu imprezy już dawno straciły dla niej swój urok. Przez długie lata chodziła na przyjęcia i imprezy charytatywne, które w kalendarzu towarzyskim Nashville zajmowały poczesne miejsce, ale robiła to tylko ze względu na rodziców. Przeżyła nawet koszarne, trwające rok wprowadzanie do socjety, akurat w jej przypadku wypełnione ostrym piciem i przygodami z chłopcami, którego kulminacją był snobistyczny bal dla debutantek. Jakby była dziewiętnastowieczną panienką z londyńskiej socjety! Sam i Simon w zdrowym odruchu po prostu rzeli ze śmiechu.

To, że ich miała, dało jej siłę, by zbuntować się przeciwko intencjom rodziców, skądinąd zrodzonym z dobrej woli. Sam też nie widziała dla siebie życia w Junior League. Świadomość, że wyjadą do Knoxville na studia i znajdą się z dala od ciekawskich spojrzeń elity towarzyskiej Nashville, pomagała im przecierpieć nudne imprezy.

Przyjaciółki w skrajnie odmienny sposób odnosiły się do tej rzeczywistości, w której funkcjonowali i którą współkreowali ich rodzice. Taylor starała się chronić prywatność, natomiast Sam wywlekała na światło dzienne najmroczniejsze sekrety, kierując się zasadą: Skoro nawarzyło się piwa, to nie ma zmiłuj się, samemu trzeba je wypić.

Śmietanka towarzyska Nashville była jak zwykle do bólu uprzejma. Sam i Taylor wczuły się w klimat przyjęcia i ku radości wszystkich powstrzymały się od urządzania scen, a to już naprawdę dużo. Tematem rozmów było morderstwo Corinne Wolff, więc siłą rzeczy Harrisowie znaleźli się na językach. Wprawdzie nie zapraszano ich na najbardziej eleganckie i elitarne przyjęcia, ale nie byli też całkiem nieznaną rodziną. Na przykład Corinne należała do ekskluzywnego klubu sportowego.

– Nuworysze – szepnęła pewna napompowana botoksem dama.

No tak, dla tych ludzi to największy grzech.

Dominowało przekonanie, że do domu Wolffów włamał się jakiś narkoman, który chciał ukraść pieniądze na prochy. Taylor nie miała już siły tłumaczyć, że większość ćpunów to w gruncie rzeczy ludzie łagodni jak baranki, którzy prędzej ukradną torebkę paniusi na ulicy, niż włamią się do domu i zabiją właścicielkę rakieta do tenisa. A niech się boją, cholerni egoiści.

Nie zabrakło lokalnej prasy. Taylor i Sam zapozowały do dziesiątek zdjęć. Taylor wiedziała, że koledzy w pracy mocno sobie na niej poużywają, ale nie przejmowała się tym. Niech sobie poćwiczą jęzory, pomyślała z uśmiechem. Ucięła miłą pogawędkę z Amy Hendricks, dziennikarką „The Tennessean” i koleżanką z czasów, kiedy chodziły do Father Ryan High School. Mówiąc krótko, był to typowy koktajl w Nashville, spokojny, może nawet trochę senny.

Po półgodzinie luźnych pogaduszek Linda Whaley, organizatorka imprezy, porwała Sam, więc Taylor zaczęła samotnie krążyć wśród gości. Jednak niezbyt długo cieszyła się brakiem towarzystwa, bo zainteresowało się nią trzech dżentelmenów, proponując drinka. W rozmowie była uprzejma, pozwoliła sobie nawet na łagodny flirt, choć przy tym zasłaniała się pierścieniem zaręczynowym, to znaczy odpowiednio go eksponowała, podnosząc do ust kieliszek z szampanem. Wprawdzie pierścionek odstraszał zalotników słabiej niż szerokie złote

obrączki noszone przez mężatki, ale zawsze to było coś.

Zerknęła na zegarek. Lada moment powinna się zacząć kolacja i jak na zawołanie rozległ się dzwonek. Dopięła szampana, oddała kieliszek kelnerowi i poszła do stolika. Linda powiedziała, że zarezerwowała jej miejsce obok Sam, czyli przy stoliku stojącym przed samą sceną. No to super! Akurat miała ochotę znaleźć się w centrum zainteresowania...

Jegomość w pełnym stroju wieczorowym – biały krawat kontrastował z czarnymi atłasowymi klapami marynarki – przytrzymał jej drzwi do jadalni. Podziękowała i weszła do środka. Zatrzymała się, żeby zorientować się w sytuacji i rozmieszczeniu stolików, gdy nagle przy uchu usłyszała jakiś szept. Podskoczyła i mocniej ścisnęła torebkę. Czy ludzie nie mają dość rozumu, by wiedzieć, że nie należy się podkradać do policjantki?

– Cześć, Tawny!

Odwróciła się i zmierzyła wzrokiem przysadzistego faceta pod pięćdziesiątkę, siwiejącego, o obwisłych policzkach. Jego koszula trzeszczała w szwach. Albo była o jeden rozmiar za mała, albo przesadził z przekąskami. Gapił się na Taylor, pożerając ją wzrokiem. Nie miała pojęcia, któż to taki.

– Przepraszam, czy my się znamy?

Obejrzał się przez ramię, pochylił się i szepnął:

– Tawny, Tawny, Tawny. Mój Boże, nie sądziłem, że będę miał okazję ujrzeć cię na żywo. Ale cuda się zdarzają. Czerwony anioł. Albo diabeł. Kto wie? Może urwiemy się z tej imprezy i urządzimy sobie własną? Co ty na to?

Słyszając ten prymitywny tekst, Taylor niemal roześmiała się koleśowi w twarz.

– Przepraszam, ale nie wiem, kim pan jest.

Ruszyła w swoją stronę, ale chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i rzucił władczo:

– Dokąd to, mała? Mówię do ciebie.

Posunął się zdecydowanie za daleko, innymi słowy, popełnił poważny błąd.

– Proszę... natychmiast... mnie... puścić – wycedziła. – Albo złamię panu rękę.

Gdy ją puścił, odwróciła się i odeszła, uznając sprawę za niebyłą, jednak facet pobiegł za nią i warknął:

– A ty, kurwa, dokąd?

Taylor w milczeniu zatrzymała się, otworzyła torebkę i pokazała chamskiemu natrętowi broń. On zaś uśmiechnął się. Dolne zęby wyglądały jak kołki i były brązowe. Przeszedł ją dreszcz.

– No proszę, ale z ciebie tygryszka. Ukryliśmy pistolecik w torebeczce, co? Mam znajomych, których by to zainteresowało. Myślę, że powinnaś mi go oddać, moja panno, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Wyciągnął rękę po broń, ale Taylor błyskawicznym ruchem zamknęła torebkę, złapała faceta za rękę i wykręciła ją. Zrobiła to tak mocno, że zmusiła go do odwrócenia się, po czym pchnęła w stronę drzwi.

– Hola! – powiedział na tyle głośno, że zwrócił uwagę kelnera, który patrzył zdumiony, jak Taylor wyprowadza prostaka na korytarz.

Popchnęła go na ścianę. Wylądował z głuchym łupnięciem, stęknął i odwrócił się. Ponieważ Taylor zdążyła już wyjąć odznakę, facet wybałuszył oczy, patrząc na złotą blachę.

– Słuchaj no... – zaczął.

– Nie, to ty posłuchaj! – przerwała mu zdecydowanym tonem. – Nie mam pojęcia, za kogo mnie masz, ale pozwól, że cię oświecę. Porucznik Taylor Jackson, Wydział Zabójstw. Z kim, do jasnej cholery, mam przyjemność?

– Tony Gorman. – Zmrużył świńskie oczka.

– Okej, Gorman. A teraz mów, dlaczego nazwałeś mnie Tawny.

Niemal słyszała, jak obracają się trybiki w jego głowie.

– Bo... bo masz płowe włosy – bąknął.

– Kłamiesz, Gorman – syknęła mu do ucha. – Zrobimy tak: zaraz się stąd zmyjesz, a ja nie zatrzymam ciebie pod zarzutem napaści na funkcjonariusza policji. Radzę się zastanowić, kiedy kolejny raz będziesz się przystawiał do kobiety. Niektóre z nas potrafią ugryźć.

Odszedł wściekły, mrużąc coś pod nosem. Wychwyciła, że nazwał ją suką. Spasiony dureń. Rozmasowała miejsce, w którym chwyciły ją grube paluchy Gormana. Będą siniaki. Niektórzy mają tłuszcz zamiast mózgu.

Wróciła do jadalni, czując na sobie wzrok gości. Właśnie podawano sałatki. Usiadła obok Sam, która spojrzała na nią z troską.

Taylor pokręciła głową.

– Później – szepnęła.

Zjadła, uprzejmie porozmawiała z siedzącą po lewej parą, wypila spory kieliszek bordo, nagrodziła przemowę Sam brawami, a kiedy wieczór wreszcie się skończył, odetchnęła z ulgą. Marzyła tylko o tym, żeby się przebrać i wślizgnąć pod kołdrę.

W drodze powrotnej opowiedziała Sam o zdarzeniu. Kiedy dotarli do domu, już tylko śmiała się ze spotkania z Gormanem, a Sam zdążyła nadać przyjaciółce nowy przydomek: panna Tawny T. Pożegnały się i Sam odjechała. Taylor weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Włączyła alarm, poszła do kuchni i zzuła buty, które z głośnym stuknięciem spadły na drewnianą podłogę. Jutro je schowa. Za pół godziny północ. Za późno, żeby zawracać głowę Baldwinowi, zresztą w jego strefie czasowej było wpół do pierwszej, więc pewnie już śpi. Zazdrościła mu łatwości, z jaką zasypiał. Wystarczyło, że przyłożył głowę do poduszki, i zaraz odpływał. Nalała sobie kieliszek chianti i udała się na górę do gabinetu.

Czekając, aż komputer się włączy, poszła do sypialni, żeby się przebrać. Zrzuciła sukienkę jak poczwarka kokon. Zdjęła bieliznę i kiedy stanęła naga, od razu poczuła się lepiej. Wróciła do komputera, postawiła kieliszek na podkładce pod szklankę i wpisała w wyszukiwarce „Tawny”.

Jak się okazało, Tawny był pseudonimem, który upodobały sobie gwiazdki porno i młode, początkujące aktorki. Tawny Frogmouth był ptakiem, paszczakiem australijskim. Ktoś założył stronę swojemu królikowi, którego ochrzcił Tawny. W ogóle sporo rzeczy nosiło nazwę Tawny, nawet jeden z gatunków porto. Nic z tego nie było jednak w żaden sposób związane z Taylor Jackson. Wpisała „Tawny Nashville”. Wyniki zawierały linki do kilku sekschatów i adres greckiej restauracji. Nadal nic, co kojarzyło się z Taylor. Coś się Gormanowi pomyliło.

Nie poddała się jednak. Rzekoma pomyłka Tony’ego Gormana nie dawała jej spokoju. Widziała jego spojrzenie, tę poządlivość w oczach. Kiedy ją zobaczył, pomyślał o niej jak o obiekcie seksualnym. Poczowała się nieswojo. Gdyby miała słabszy charakter albo gdyby na jej miejscu znalazła się inna kobieta, ten incydent mógłby mieć zupełnie inny finał.

Wykasowała „Tawny”, wpisała „Tony Gorman” i wyskoczyły dziesiątki tysięcy wyników. Spróbowała zawęzić wyszukiwanie: „Anthony Gorman”, „Tony Gorman Nashville”, „Anthony Gorman Tennessee”, ale nadal pojawiało się zbyt dużo trafień. Była zmęczona. Uznała, że w pracy spróbuje namierzyć drania przez kanały policyjne.

Zamknęła przeglądarkę i odchyliła się na krześle. Pomyślała, że już w stosunkowo młodym wieku wiedziała, czym jest pożądanie i seksualność. Rodzice, pomimo wszystkich swych wad, dość wcześnie, to znaczy kiedy tylko uznali, że jest zdolna do podejmowania świadomych decyzji, zaczęli traktować ją jak dorosłą. Była dzieckiem rozwiniętym nad wiek.

Kiedy w ślad za rozwojem psychicznym piętnastoletniej Taylor rozwinęło się jej ciało,

a mianowicie kiedy z tyczkowatej chłopczycy przemieniła się w pannę o ponętnych kształtach, spotkała się z wieloma przypadkami niechcianego zainteresowania, w większości ze strony starszych mężczyzn. Chłopcy w jej wieku jeszcze nie za bardzo wiedzieli, co z nią robić. W przeciągu kilku tygodni ze słodkiego żrebaka stała się czystej krwi klaczą i odsunęła się od kolegów, którzy zawsze traktowali ją jak równą sobie, to znaczy jak chłopaka. Uznała, że to nie w porządku, że chce być traktowana wyjątkowo, i zaczęła spotykać się z facetami starszymi od siebie.

Straciła dziewictwo z kumplem ojca, z którym wdała się w burzliwy romans, mając zaledwie siedemnaście lat. Nie widziała świata poza łóżkiem. Wykładał filologię klasyczną na Uniwersytecie Vanderbilta, nazywał się James Morley, był seksowny i dobrze wychowany. Nauczył ją niejednego o życiu i miłości. Związek z Taylor okazał się gwoździem do trumny rozpadającego się małżeństwa Morleya, ale po wszystkim udało mu się pozostać na przyjacielskiej stopie zarówno z Taylor, jak i z byłą żoną. Kilka lat później zmarł na atak serca. Taylor opłakała jego śmierć.

Przez następnych kilka lat nawiązała parę przelotnych znajomości. Miała kochanków w swoim wieku – tych onieśmielała dzika witalność i nieokiełznana seksualność Taylor – a także starszych partnerów, którzy z kolei pragnęli ją chronić i trzymać w klatce. Tak się składało, że wiązała się z mężczyznami, których nie umiała pokochać, ale którzy kochali ją. Miała za sobą kilka wyjątkowo trudnych rozstań.

Baldwin był pierwszym mężczyzną, którego obdarzyła prawdziwą miłością, choć zawsze sądziła, że nie jest do tego zdolna. Drwiła z wzajemności uczuć, a jednak w tym przypadku dopadła ją ta emocjonalna koincydencja i okazała się zarazem cudowna, jak i przerażająca. Taylor musiała uczciwie przyznać, że Baldwin posiadał wiele cech jej pierwszego kochanka, to znaczy miał kosmopolityczną naturę, był inteligentny i zabójczo przystojny. Ale też pod wieloma względami różnił się od Morleya. No i był uczciwy. Nie musiała się obawiać zdrady, niczego przed nią nie ukrywał. Nie musiała sprawdzać jego mejli ani przetrząsać kieszeni. Wystarczyło, że spytała, i zawsze uzyskiwała odpowiedź.

Właśnie owo głęboko zakorzenione przekonanie, że jest i zawsze będzie wobec niej uczciwy, stworzyło w Taylor coś całkiem nowego, a mianowicie niezłomne zaufanie, co ostatecznie przesądziło o tym, że oddała się Baldwinowi ciałem i sercem.

Pokręciła głową. Nie pora na roztrząsanie emocji. Wyłączyła komputer, dopiła wino i zgasiła światło.

Położyła się do miękkiego, ciepłego łóżka. Szybko poczuła, że odpływa w objęcia Morfeusza, najpewniej zresztą przez alkohol. Cholera! Wstała, połknęła dwie tabletki advilu i obficie popiła wodą. Oby poskutkowało, pomyślała z nadzieją, oby dzięki proszkom poranny kac pozwolił jej funkcjonować. Co prawda rzadko miewała kaca po winie, ale wolała się zabezpieczyć. Czasem cierpiała na migrenowy ból głowy.

Powlokła się z powrotem do łóżka i opadła na materac. W jej głowie wirowały wspomnienia z imprezy: lubieżny uśmiezek tłustego faceta, zaskoczeni kelnerzy, damy po liftingu z identycznie napompowanymi ustami. Zasnęła w ciągu kilku sekund.

Zbudził ją dzwonek telefonu. Było ciemno. Instynktownie wsunęła dłoń pod poduszkę Baldwina i dotknęła rękojeści glocka.

– Słucham? – odebrała.

Cisza. Niepokojąca, dzwoniąca w uszach cisza. Na wyświetlaczu informacja: nieznanym kontakt. No jasne.

– Słucham – powtórzyła z naciskiem już całkiem rozbudzona.

W słuchawce zabrzmiał męski śmiech. Na pewno nie był to Tony Gorman. Zupełnie inny

głos. Potem intruz się rozłączył.

Taylor trzymała telefon przy uchu. Sygnał brzęczał jej w głowie. Powoli odłożyła słuchawkę i usiadła. Postawiła poduszkę i oparła się o nią. Nie włączyła światła, bo jeżeli ten, kto dzwonił, stał na zewnątrz i obserwował, tylko ułatwiłaby mu zadanie. Wiedziałby, że ją zdenerwował. Czyli koniec spania. Poglądziła glocka, wdzięczna za poczucie bezpieczeństwa, które dawał. Ciekawe, komu zależało, by ją nastraszyć.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bywały dni, kiedy Baldwin nie posiadał się z radości, że pracuje w agencji rządowej. Ogólnie rzecz biorąc, nie był zwolennikiem biurokracji i gromadzenia danych, które wprowadzono w następstwie wydarzeń z 11 września 2001 roku, ale miały przynajmniej tę zaletę, że kiedy FBI albo CIA musiały kogoś odszukać, szczegółowe bazy sprawiały, że załatwiał się to łatwiej.

Zerknął na zegarek. Druga w nocy. Późno. Ciekawe, czy Taylor śpi, czy znowu gra w bilard. To była jej godzina duchów, pora, kiedy nie spała, tylko myślała. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej, ale zrezygnował. Może jednak śpi, a telefon ją obudzi?

Zamiast tego zdecydował się na kawę.

W budynku gospodarczym, w którym z Garrettem po cichu urządzili prowizoryczne biuro, nadal paliły się światła. W pomieszczeniu obok Garrett rozmawiał przez telefon z jakąś międzynarodową agencją. W polowaniu na mordercę nie odrzucał żadnej propozycji pomocy.

Krótki korytarz kończył się kuchnią. Na blacie stały dwa dzbanki świeżo zaparzonej kawy. Baldwin nalał sobie kubek i wrócił do biurka, popijając po drodze.

Zobowiązał się, że znajdzie Aideną, i to prędzej niż później. Aiden z myśliwego stał się zwierzyną. Baldwinowi mózg się lasował od ogromu danych, które wymagały przeanalizowania, lecz mimo to czuł, że krok po kroku zbliża się do rozwiązania zagadki. Instynkt podpowiadał mu, że podróż Aideną po Stanach będzie przebiegać według pewnego określonego schematu. Kluczowego znaczenia nabrało określenie punktu początkowego. Odrzucono Włochy, Niemcy i Anglię. Nie brano pod uwagę również krajów południowoamerykańskich. Przed miesiącem Aiden przebywał w Europie i oczywiście mógł wyprawić się na inny kontynent, aby zrealizować zlecenie, o którym agencja nie wiedziała, ale uznano to za mało prawdopodobne. Raz, że rzadko pracował w tym regionie, a dwa, że w Europie mógł łatwiej zniknąć w tłumie.

Aiden był ciekawym typem. OTA miała go na oku już od sześciu lat. Był wrażliwym samotnikiem, który w młodości podróżował po świecie z ojcem dyplomatą. Po jednej z gwałtownych kłótni zbuntował się i wstąpił do wojska. W mundurze radził sobie całkiem nieźle, został strzelcem wyborowym, ale w pewnym momencie zaczęło zgrzytać i po trzech latach służby Aiden został wydalony z armii za zachowanie niegodne żołnierza.

Zniknął, po czym wrócił jako płatny zabójca. W tajniki zawodu wprowadzili go byli kumple z wojska, którzy zeszli na złą drogę. Osiągnął szacunek i wysoką pozycję w świecie zamachowców jako najwyższej klasy snajper. Stał się ekspertem od likwidacji celów z dużej odległości. Drogo sprzedawał swoje usługi. Jednak znudziło go to, dlatego zaczął przyjmować zlecenia wymagające bliższego kontaktu z ofiarą. Zleceniodawcy zwracali się do niego, kiedy zależało im na tym, aby likwidacja celu była zarazem wiadomością dla innych. Srebrna garota Aideną nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, kto dokonał zabójstwa.

Ale to mu nie wystarczało. Nie lubił trzymać się planu, wolał chadzać własnymi ścieżkami. OTA zawsze starała się uważnie monitorować jego poczynania, mieć go na oku i uchu, kiedy zaczynał improwizować.

Baldwin wiedział, że Aiden jest niebezpiecznym zabójcą. Wiedział również, że należało go namierzyć za wszelką cenę, zanim zginą kolejni niewinni ludzie.

Stworzył listę znanych fałszywych nazwisk i pseudonimów Aideną i przesłał ją do Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych, które przepuściło ją przez swoje bazy zawierające dane z punktów kontroli celnej i paszportowej, a następnie odesłało zwrócone



przez system wyniki wyszukiwania, które pasowały do parametrów podanych przez Baldwina. Ta skomplikowana procedura w sumie sprowadzała się do tego, że zrzeczenie przeczesало listy pasażerów.

Z wypitą do połowy kawą usiadł przy biurku i spojrzął na stos papierów zawierających nazwiska, numery lotów, daty, liczbę pasażerów lecących na jednym bilecie i tym podobne dane. Szukał podróżującego samotnie mężczyzny, który kupował bilety w jedną stronę albo powrotne, ale z przedłużoną ważnością. Właśnie takim schematem posługiwał się Aiden. Baldwin był zwolennikiem „brzytwy Ockhama”, zasady głoszącej, że w logicznym rozumowaniu należy dążyć do najprostszych rozwiązań, a komplikować je tylko w razie konieczności. Innymi słowy, wychodził z założenia, że najbardziej oczywista odpowiedź prawie zawsze jest tą właściwą.

O czwartej nad ranem znalazł to, czego szukał. Otworzył teczkę zawierającą raport numer osiem i nazwisko samo rzuciło mu się w oczy.

– Mam cię – wyszeptał.

## ŚRODA

### ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Taylor się przeciągnęła. Zasnęła, choć postanowiła, że nie zmrzy oka przez resztę nocy. Niesmak wieczoru zniknął w ciepłych promieniach porannego słońca, które przeciskały się pomiędzy listkami żaluzji. Pomyślała, że może wszystko tylko jej się przyśniło. Ale nie, w rękę nadal ścisnęła glocka.

Gdy włączył się telewizor, huknęły wiadomości. Ściszyła głos, przekręciła się na bok, potem na brzuch i znowu na bok. Jak to zwykle rano, długo się zastanawiała, czy wstawać, czy wagarować. Jak zwykle wygrało to pierwsze, niestety.

Jęknęła, ukryła pistolet pod poduszką i włożyła dresy. Pomyślała, że musi umyć twarz, zrobiła nawet kilka kroków w stronę łazienki, ale zatrzymała się, słysząc znajome słowa:

– Proszę się odezwać!

– Boże. Moja siostra... chyba nie żyje.

Z głośników telewizora popłynął łamiący się głos Michelle Harris. Taylor usiadła na łóżku i wysłuchiwała całej taśmy, której towarzyszyła transkrypcja. Słowa powoli przesuwają się na dole ekranu.

Zamknęła oczy i potarła je. Media będą wykorzystywały, po prostu zajeżdżały tę taśmę, dopóki nie dopadną czegoś bardziej sensacyjnego.

Ostry, mocny głos Michelle Harris sprawił, że wyprostowała plecy i nadstawiła uszu. Coś nowego, wywiad na żywo albo niedawno nagrany. Sięgnęła po pilota i pogłośniła.

Michelle Harris była ubrana w białą koszulę, w której wyglądała jeszcze bardziej blado niż zwykle. Miała wychudzoną twarz i bezbarwne usta. Włosy związała w wyjątkowo ciasny kucyk. Wyglądała fatalnie.

– Panno Harris, kiedy po raz ostatni widziała pani siostrę?

– W piątek. Po tenisie poszliśmy do Starbucks.

– I potem już nie widziała jej pani żywej? – Oczy prowadzącej zaszły łzami, było widać, że przepełnia ją współczucie.

– Tak. Kiedy ponownie zobaczyłam Corinne, była już... martwa. – Głos Michelle zaczął się łamać, ale oczy pozostały suche.

– I wtedy... – zaczęła dziennikarka.

Jednak Michelle gwałtownie jej przerwała:

– Niech ten, kto ją zabił, wie, że nie spoczniemy, póki go nie złapiemy! Znajdziemy cię i własnoręcznie zabijemy, kanalio! Nie unikniesz kary. Nie wierzę, że ktoś mógł zrobić coś takiego mojej siostrze. A jednak zrobił... To nie powinno się stać! – Michelle rozpląkała się pod wpływem silnych emocji. Gospodyni programu dała znak reżyserowi i puszczone reklamy.

Taylor wyłączyła telewizor. Jasna cholera. Akurat tego było im trzeba. Michelle Harris odgrywała ofiarę w ogólnokrajowej telewizji.

Poirytowana zeszła na dół, pocierając zaspane oczy. Była głodna jak wilk. Przygotowała miseczkę płatków. Powąchała mleko, szczęśliwie jeszcze się nadawało. Organiczne, na które namówił ją Baldwin, zachowywało świeżość dobry tydzień dłużej niż zwyczajne. Włożyła torebkę herbaty do kubka i zalała wrzątkiem. Wlała mleko do płatków, dodała łyżeczkę miodu. Oparła się o zlew i powoli zaczęła jeść, przyglądając się drzewom za oknem i rozmyślając.

W ogrodzie na tyłach domu buszował duży królik i skubał koniczynę. Drugi, pewnie samiec, stał nieco dalej, na linii lasu. Czatował, pilnował partnerki, która zaryzykowała wyprawę na śniadanie. Taylor uśmiechnęła się na myśl, że wkrótce będzie miała w ogrodzie stadko królicząt. Patrzyła, jak zwierzak kica i podgryza. W pewnej chwili zatrzymał się, nadstawił uszu i poruszył nosem.

I wtedy nagle – tak niespodziewanie, że Taylor aż podskoczyła – dał susa w krzaki, najwyraźniej czymś przestraszony. Pewnie zląkł się psa, pomyślała. Słyszała stłumione przez grube szyby szczekanie. Przyjrzała się trawnikowi, na którym stał spłoszony królik. Co to było?

Odstawiła miseczkę z płatkami i otworzyła drzwi na taras. Kiedy wyszła na zewnątrz, zapikał alarm. O cholera, zapomniała wyłączyć. Wróciła do środka i wstukała kod. Alarm pisnął i zamrugał zielonym światelkiem. Gotowe.

Wyszła na podwórko i stanęła gołymi stopami na mokrej od rosy trawie. Po prawej, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów, na wysokości kuchennego okna, leżał jakiś ciemny przedmiot.

Podeszła bliżej. Czowała zapach rozkładu, słyszała bzyczenie much. Włochaty kształt, czerwony i lśniący. Rozpoznała charakterystyczny króliczy ogon. Ktoś obdarł biednego zwierzaka ze skóry. Głęboko w szyi królika tkwił cienki drut ze skręconymi końcami. Wyglądało to jak zamknięcie foliowego opakowania chleba tostowego.

Stojąc w cienkiej koszulce nad zwłokami zwierzęcia, poczuła się naga i odsłonięta. Zrobiło jej się zimno. Nie była głupia, doskonale wiedziała, że to wiadomość dla niej. Mniej ważne, kto to zrobił – założyła, że nocny prześladowca – ale przede wszystkim dlaczego? Czy to dzieło Naśladowcy? Wydawał się zbyt subtelny na tak odrażający pokaz siły, ale może myliła się co do niego.

Nie chciała dotykać padliny, a jednak musiała ją jakoś zabezpieczyć, żeby nie dobrały się do niej inne zwierzęta. Niech technicy to zbadają. Niech odczytają tę wiadomość. Obeszła dom. Pokrywa od śmietnika była zbyt płaska, ale stojąca pod oknem pusta doniczka, w której zmarniała hortensja, miała odpowiednią wielkość. Wyjęła zwiędnięty kwiat, wróciła do martwego królika i ostrożnie zasłoniła go odwróconą do góry dnem doniczką. Wystarczy na godzinę albo dwie.

Miała wrażenie, że cała okolica ją obserwuje. Popatrzyła na prowizoryczny króliczy grobowiec, po czym wróciła do domu. Zostawiła zaparzoną herbatę na blacie w kuchni, ubrała się w pośpiechu i pojechała do biura.

Przed posterunkiem stał sznur wozów transmisyjnych wyciągających anteny ku niebu, dlatego Taylor zaparkowała na sąsiednim parkingu, żeby nie przebijać się przez tłum dziennikarzy. Wjechała na górny poziom, a potem zeszła po betonowej rampie, stukając obcasami. Rytm odbijających się echem kroków uspokajał ją.

Wślizgnęła się do budynku policji bocznymi drzwiami. W środku wrzało jak w ulu. Zatrzymała się przy automacie z napojami, wrzuciła dolara i wybrała dietetyczną colę. Kiedy puszka wypadła na tackę, zawsze robiła przy tym sporo hałasu. Ale nie dziś, bo tym razem hałas utonął w ogólnym zgiełku. Na skraju swego biurka siedział Lincoln Ross i brylował wśród kolegów. Wyglądało to tak, jakby do biura Wydziału Zabójstw wcisnęła się połowa pracowników policji w Nashville.

Kilka osób skinęło Taylor głową, rzucając:

– Dzień dobry, pani porucznik.

Kiedy Lincoln ją zobaczył, uśmiechnął się od ucha do ucha, eksponując słynną przerwę między zębami, zeskoczył z biurka i uściskał Taylor. Odwzajemniła się. Ulżyło jej. Najwyraźniej było już po wszystkim i Lincoln wyszedł z afery bez szwanku. Zrobiła krok do tyłu i obejrzała

go, z podziwem kręcąc głową. Wyglądał jak pirat: łysy jak kolano, kręcona broda, błysk w oku, łobuzerski urok. Z kordem w ręku wyróżniałby w pień pół Nashville.

– Dziewczyno, ale ty wspaniale wyglądasz! Co porabiałaś, kiedy mnie nie było? Jak wakacje z federalnym?

– Świetnie cię widzieć, Linc. Najpierw powiedz mi, co się dzieje.

Uśmiechnął się znacząco i poruszył brwiami.

– Przywiozłem ci Terrence’a Nortona w lśniącym papierku i ze wstążeczką.

Przybili żółwika. Pokolenie ich rodziców przybiłoby piątkę.

– Serio? To świetna wiadomość. Ale dlaczego przed drzwiami warują pismaki?

– Bo mam też jego szefa. – Powiedział to lekkim tonem, jakby chodziło o coś błahego.

Taylor od razu się domyśliła, że chodzi o kogoś znanego i rozpoznawalnego.

– Zatkalo mnie – przyznała. – Zdradzisz, kto kręci tym biznesem?

– Sidney Edgar we własnej osobie.

Zaskoczona otworzyła usta.

– Kong?

– Aha.

– Sidney Edgar? Skrzydłowy Tennessee Titans? Jaja sobie robisz.

Sidney „King Kong” Edgar, wybrany w pierwszej rundzie draftu młody gracz z Atlanty, prawdziwy zaklinacz deszczu Titanów, cierpiący na przerost mięśni nad mózgiem. Metr dziewięćdziesiąt trzy doskonale wyrzeźbionej, umięśnionej sylwetki. Diabelnie niebezpieczny, gdy walczył o piłkę do gry w futbol amerykański, zwaną potocznie jajem, ale nie tylko wtedy. Kapitalny gracz, a do tego, jak się okazuje, gangster. Grając w barwach Titanów, Kong zdobył ponad tysiąc jardów i był osiem razy aresztowany, ale za każdym razem cudem wykręcał się od poważnych zarzutów. Zadawał się z grupą bandziorów krążących między Nashville a Atlantą, regularnie zatrzymywanych pod zarzutem posiadania broni i narkotyków.

Nigdy jednak tej bandy nie łączono z gangiem Terrence’a Nortona, jak zauważyła Taylor.

– Rzeczywiście, aż do wczorajszego wieczoru nie byliśmy pewni tych powiązań – przytaknął Lincoln. – Ale po tym, co się wydarzyło w niedzielę... – Posłał jej znaczące spojrzenie. Zrozumiała. Zaakceptowali go po przygodzie z crackiem. – Informator powiedział, że ma spotkanie z bossem – mówił dalej Lincoln. – Zadzwoił do mnie i schował telefon do kieszeni, nie przerywając połączenia, żebym mógł usłyszeć, jak dobijają targu. Wezwałem posiłki. To był cudowny widok: Kong i Terrence Norton z torebkami pełnymi cracku.

Nadal był w euforii. Luźną postawą maskował nerwy, bo przecież gra toczyła się o wysoką stawkę. Aresztowanie takich szych to nie przelewki, dużo ryzykował, po prostu na szali postawił swoje życie.

Edgar był jednym z tych, którzy zdążyli poznać brutalny świat ulicy, zanim matka odstawiła ich od cycka. Zawsze balansował na krawędzi i wystarczył jeden krok, by runął w przepaść. Smutne. Wielu chłopców ze środowisk takich jak to, w którym wychował się Edgar, dzięki sportowi wychodziło na prostą i zaczynało robić w życiu coś pożytecznego. Niektórzy byli jednak zbyt słabi i zbyt łatwo dawali się omamić złudzeniu władzy.

– No więc zaobrączkowaliśmy King Konga, Terrence’a Nortona i piętnastu innych – skończył opowieść Lincoln. – Jeszcze dziś zostaną im postawione zarzuty. Stąd zainteresowanie mediów.

– Złożyłeś raport? – Gdy przytaknął, dodała: – No to zrób sobie wolne. Jedź do domu, odpocznij. Musisz być wykończony.

– Na pewno? Słyszałem, że nie narzekamy na brak zajęć.

– Na pewno, Lincoln. Wrócisz, kiedy będziesz gotowy. Jeśli chodzi o ciebie, to nie ma

pośpiechu. Chcę, żebyś był świeży, wypoczęty i miał jasny umysł. Idź do domu i zrób wszystko, co trzeba, żeby przywrócić się do stanu używalności. W porządku?

– W porządku. Dzięki.

Zostawiła go pełnemu podziwu tłumowi i poszła do swojego gabinetu. Po kilku minutach przyszedł Marcus.

– O, cześć – powitała go. – Jak tam szkolenie?

– Odznaki i broni jeszcze mi nie odebrali, więc chyba nieźle. Piąty etap mam w czerwcu.

– Przewrócił oczami.

Szkolenie wydziałowe, obowiązkowe i nudne jak flaki z olejem – szkółka dla policjantów, cztery dni powtarzania formułek, które znali na pamięć. Nie wiedzieć czemu egzamin ze strzelania zdawało się dopiero po kilku miesiącach od szkolenia.

– O, ja też – powiedziała Taylor. – Czy Fitz wprowadził cię w sprawę morderstwa Corinne Wolff?

– Tak, wprowadził.

– To dobrze. Marcus, chcę, żebyś nad nią popracował, ale najpierw mam do ciebie prośbę. – Pochyliła się i powiedziała cicho, by żaden z fanów Lincolna przypadkiem nie usłyszał.

– Wczoraj wieczorem spotkałam pewną podejrzaną osobę. Zależy mi, żebyś przeprowadził szybkie rozeznanie, co to za typ.

– Nie ma sprawy, Taylor. Podaj nazwisko.

– Przedstawił się jako Tony Gorman. To wszystko, co mam. Wiem, że to dość pospolite nazwisko, ale jeśli wyciągniesz dane z Wydziału Komunikacji, rozpoznam go na zdjęciu. Wtedy przyjrzymy mu się lepiej.

– Domyślam się, że wskazana jest dyskrecja.

– Jesteś bardzo domyślny. Przypuszczam, że ma powiązania z elitą Nashville. Wczoraj był na balu dobroczynnym, więc zakładam, że nie cierpi na brak gotówki. Znał mnie, chociaż nie skojarzyłam jego twarzy. Nazwał mnie „Tawny”. Kiedy zapytałam dlaczego, zaplątał się w zeznaniach. To było dziwne spotkanie.

– Tawny? Brzmi jak...

– Wiem. – Zacerwieniła się. – Cholera, ten szczur potraktował mnie jak jedną z takich panienek. No wiesz... Sam zobacz. – Wyjęła prawą rękę z rękawa i pokazała siniaka na bicepsie. Były to cztery wyraźne odciski w miejscu, gdzie chwyciły ją grube palce Gormana.

Brwi Marcusa zniknęły pod gęstą brązową grzywą, która opadała mu na czoło.

– Trzeba było go zakuć.

– Tak zamierzałam, ale przyszło mi do głowy, że jeżeli faktycznie pomylił mnie z kimś, to nie mam powodu, żeby go aresztować. Wiesz, zapalczywość to nie zbrodnia. Ale postarałam się, żeby mnie zapamiętał. Założyłam dźwignię i rzuciłam nim o ścianę, a że się wyrywał, to na pewno została mu pamiątka. – Schowała rękę.

– Dowiem się, co to za jeden.

– Dzięki, Marcus. Daj znać, kiedy coś znajdziesz. To pewnie nic takiego, ale wolałabym się upewnić.

Słowa przeczyły myślom. Gorman patrzył na Taylor, jakby doskonale ją znał, jakby nie miała przed nim tajemnic. Czowała, że za seksownym przewiskiem kryje się coś więcej. Albo miała sobowtóra, albo coś było na rzeczy. Do tego ten martwy królik...

Marcus był jedną nogą za drzwiami gabinetu.

– Marcus! – zawołała za nim. – Jeszcze jedno.

– Tak?

– Powiedz Timowi Davisowi, żeby podjechał do mnie do domu. Ktoś mi zostawił prezent

w ogrodzie. Martwego królika uduszonego linką. Zabezpieczyłam ślady. Niech Tim to zbada, dobrze?

Marcus cofnął się do gabinetu.

– Ktoś zabił królika i zostawił go pod twoim domem? Jesteś pewna, że ten królik nie dostał się we wnyki i spłoszony nie wbiegł do ogrodu?

Taylor przypomniała sobie czerwono-szare truchło i sterczący z niego srebrny drut. Wzdrygnęła się.

– Tak, jestem pewna.

Marcus przyglądał się jej. Wiedziała, że krążą mu po głowie dziesiątki myśli. Zamknął drzwi i usiadł.

– Taylor, czy wszystko w porządku? Wydajesz się trochę...

– Tak, wszystko gra. – Niecierpliwie poprawiła włosy. – Naprawdę. To były dwa długie dni. W dodatku ktoś mi wyciął chory numer. Ale to nic takiego. Nie ma się czym przejmować. – Posłała mu ujmujący uśmiech.

Jednak nie odwzajemnił go, tylko wstał, patrząc na Taylor z wyraźnym niepokojem.

– Dam znać, kiedy coś znajdziemy.

– Dzięki, Marcus. – Zawahała się. – Przy okazji załóż podsłuch na mojej linii. Odbieram głuche telefony. Pewnie ktoś chce mnie wyprowadzić z równowagi.

Chciał to skomentować, jednak zrezygnował, kiedy pokręciła głową. Popatrzył na nią badawczo, ale nie odezwał się.

Kiedy wyszedł, spojrzała na telefon. Powinna zadzwonić do Baldwina i opowiedzieć mu o wszystkim, co się wydarzyło. Dotknęła słuchawki i palcem nakreśliła ósemkę na gładkiej plastikowej powierzchni. Naraz odezwał się dzwonek. Na wyświetlaczu pojawił się numer zakładu medycyny sądowej. Jeszcze będzie okazja przekręcić do Baldwina i zabawić się w damulkę w opalach. Odebrała.

– Porucznik Jackson.

– Cześć, tu Sam. Mam coś nowego w sprawie Corinne Wolff.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Taylor wysłuchiwała Sam, dla pewności wszystko zapisała, a kiedy już zakończyły rozmowę, zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Z pozoru nie było to nic istotnego, ale jeśli się wzięło pod uwagę delikatny stan ofiary, wówczas informacja nabierała nowego, intrygującego znaczenia.

Coraz więcej pytań do Todda. Zerknęła na zegarek, zobaczyła, że jest dziesiąta trzydzieści pięć.

– W dupę palec!

Wstała zza biurka, złapała żółty notatnik z zapiskami i szybkim krokiem wyszła z gabinetu. Miała pięć minut spóźnienia.

Spotkała się z Fitzem przed pokojem przesłuchań. Poszli do pomieszczenia technicznego, w którym na stoliku stał włączony stary telewizor, a aparatura nagrywająca śledziła każdy ruch i każde słowo mężczyzn znajdujących się w pokoju obok. Todd Wolff przyprowadził prawnika. Jasna sprawa, nie chciał drugi raz popełnić tego samego błędu. Siedzieli przy stole z założonymi rękami i milczeli. Wyglądali na zniecierpliwionych, poirytowanych i zaniepokojonych. Doskonale.

Przyglądała im się przez chwilę.

– Spójrz na Wolffa. Wygląda na zdenerwowanego, prawda?

– Na pewno nie jest zadowolony.

Rozpuściła włosy, przeczesała je i ponownie związała w kucyk.

– Rozmawiałam z Sam. Mamy bardzo ciekawe kwestie do omówienia z panem Wolffem.

– Nie tylko te od Sam. Wolff twierdził, że zameldował się w hotelu w Savannah.

Sprawdziliśmy to. W ostatni weekend nikt taki tam nie mieszkał. Czyli ma na koncie pierwsze kłamstwo.

– Tak? Interesujące. Czy operator komórkowy może nam podać jego lokalizację w chwili, gdy do niego zadzwoniliśmy?

– Przygotowujemy nakaz. – Fitz zerknął na monitor. – Myślisz, że to on?

– Nie wiem, ale bardzo mnie ciekawi jego reakcja na informację, którą przekazała Sam.

– W takim razie bierzmy się do roboty. Szkoda czasu.

Taylor pokiwała głową i zanim weszła do pokoju przesłuchań, głośno zapukała, tak dla lepszego efektu.

Adwokat aż podskoczył. Zerwał się na nogi i z szerokim uśmiechem na smagłej twarzy podszedł do Taylor, wyciągając rękę. Miał rzadkie, siwiejące włosy, wydatny nos, a na nim okulary w rogowej oprawie, oraz wielkie, lekko wytrzeszczone oczy. Zrenice były niebieskie, a białka przekrwione, być może po zakrapianej imprezie albo z powodu dokuczliwej alergii. Uścisnął jej dłoń, zapytał o samopoczucie i przywitał się z Fitzem, wszystko w bardzo zasadniczym tonie. A potem kichnął i wytarł nos, używając do tego gustownej haftowanej chusteczki. Aha, czyli jednak alergja.

– Miles Rose. Miło mi.

Todd Wolff potraktował policjantów jak powietrze. Taylor przyjrzała mu się. Czy naprawdę był aż tak przygnębiony, że nie było go stać na minimum uprzejmości? Czy też zdenerwował się, bo potraktowano go jak podejrzanego? Nie umiała jednoznacznie rozstrzygnąć. Od ostatniej rozmowy Wolff jakby zamknął się w sobie.

Usiedli, Fitz i Taylor po jednej stronie stołu, a Rose i milcząco wpatrzony w ścianę Todd

po drugiej. Prawnik wyjął dokumenty z teczki, z kolekcji długopisów wybrał ten, który jego zdaniem tego dnia najlepiej miał spełnić swe zadanie, ułożył go równo na notatniku i uśmiechnął się.

– Gotowi – powiedział.

Rozbawiona jego pedanterią Taylor spytała:

– Na pewno?

– Ależ oczywiście. Mam wszystko, czego potrzebuję. – Postukał długopisem o kartki, po czym dotknął nim skroni.

Usłyszała, jak Fitz wydał z siebie drwiące westchnienie.

– Zatem w porządku. – Zwróciła się do Todda. – Panie Wolff, chciałabym dokończyć naszą rozmowę z wczoraj. Staramy się odtworzyć przebieg wydarzeń. O tym, co się wydarzyło, został pan poinformowany, gdy przebywał pan w Savannah, zgadza się?

Todd popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– A czy to ważne? Wiecie już, kto zabił moją żonę i syna?

– Prowadzimy intensywne śledztwo, panie Wolff, proszę mi wierzyć. Porozmawiajmy o pańskim powrocie do domu. Był pan w Savannah, kiedy dowiedział się o śmierci żony, tak?

– Tak. – Odwrócił głowę.

– Wsiadł pan do samochodu i ośmiogodzinną trasę pokonał w niecałe sześć godzin.

Zgadza się?

– Zgadza.

– Dlaczego nie skorzystał pan z samolotu? Czy w ten sposób nie byłoby szybciej?

– Już mnie pani o to pytała – odparł Wolff.

Rose lekko się pochylił.

– Mój klient zadzwonił do linii lotniczych, ale niestety nie było żadnego połączenia, które omijałoby Atlantę. Nie wiem, pani porucznik, czy kiedykolwiek latała pani przez Atlantę, ale z pewnością rozumie pani, że mój klient pragnął wrócić do Nashville możliwie najszybciej i bez zakłóceń.

Taylor posłała Rose'owi przelotny uśmiech, po czym zwróciła się do Wolffa:

– Nie zatrzymała pana drogówka? Mielibyśmy potwierdzenie czasu i miejsca. Bo widzi pan, panie Wolff, ja jechałam tamtą trasą i wiem, że pokonanie jej zajmuje bite osiem godzin, nawet kiedy się jedzie sto dwadzieścia na godzinę.

Todd pokręcił głową i zanim odpowiedział, spojrzał na Rose'a.

– Nie dostałem mandatu, ale jechałem szybciej niż sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Pędziłem tak, że parę razy było naprawdę niebezpiecznie.

– W takim razie może paragon ze stacji benzynowej? Ma pan duży samochód. Wątpię, żeby nawet takie auto zdołało pokonać osiemset kilometrów na jednym baku.

– Tankowałem, ale nie mam paragonu, nie zachowuję ich. Rachunki za paliwo sprawdzam na wyciągach z banku. – Kiedy Taylor nie odpowiedziała, Wolff pośpiesznie wypełnił ciszę: – Mam oddzielną kartę na paliwo. W ten sposób jest mi łatwiej kontrolować wydatki, mogę je sobie odliczyć od podatku i tak dalej. Zatrzymałem się w jakimś miasteczku, ale... nie pamiętam, jak się nazywało. Powiem pani, kiedy dostanę wyciąg z rachunku. – Uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej rozmowy, najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi.

– Świetnie, panie Wolff. Wzięliśmy pod lupę pańskie finanse, dlatego za chwilę dowiemy się, gdzie pan tankował. – Taylor odchyliła się na krześle i sięgnęła po telefon stojący na niedużym stoliku w kącie. Wybrała numer i włączyła głośnik.

Odezwał się Marcus. Jego głos mocno zabrzmiał w małym pomieszczeniu:

– Słucham, pani porucznik?



– Poproszę o analizę wyciągów bankowych pana Wolffa. Chodzi nam o transakcje zarejestrowane na karcie służącej do uiszczania opłat za paliwo. Chcemy się dowiedzieć, gdzie tankował niedługo przed i po śmierci Corinne Wolff. Pan Wolff twierdzi, że zatrzymał się w jakimś miasteczku, którego nazwy nie pamięta.

– Już się robi.

Wyłączyła głośnik i spojrzała na wyraźnie pobladłego Todda.

– Coś nie tak, panie Wolff? – spytała.

– Ja... właśnie sobie uświadomiłem, że... – Nie dokończył myśli.

Za to wtrącił się Rose:

– To wbrew przepisom, pani porucznik. Nie przypominam sobie, żeby widział...

– Proszę sobie darować, panie Rose. Pan Wolff nas okłamuje. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego to robi. – Po tej riposie skupiła się na Toddzie. – Panie Wolff, kiedy po raz ostatni uprawiał pan seks ze swoją żoną?

– A co to ma do rzeczy? – Todd zrobił wielkie oczy. Zaraz jednak zaczął się zastanawiać. Było widać, że w myślach analizuje pytanie. Naraz zeszywniał. – O mój Boże. Chce pani powiedzieć, że została zgwałcona?

Taylor nie odpowiedziała. Odchyliła się na krześle i zerknęła na Fitz, który prawie niezauważalnie skinął głową.

– Panie Wolff – powiedziała – pytam tylko, kiedy po raz ostatni odbył pan stosunek ze swoją żoną.

Rose podniósł rękę, mówiąc przy tym:

– Chciałbym się naradzić z klientem.

– To proste pytanie. Proszę odpowiedzieć, panie Wolff. Kiedy po raz ostatni uprawiał pan seks z Corinne?

Todd spoglądał to na Taylor, to na prawnika.

Rose wstał.

– Panie Wolff, proszę nie odpowiadać. Pani porucznik, chciałbym porozmawiać z moim klientem. Na osobności.

Odczekała chwilę i pokiwała głową. Taylor i Fitz wyszli na korytarz. Rose zamknęła za nimi drzwi.

– Pokój obok? – spytał Fitz.

– Tak!

Weszli do pokoju z aparaturą nagrywającą. Niestety, zgodnie z prawem nie mogli ani posłuchać, o czym rozmawiają Wolff i jego adwokat, ani też zarejestrować rozmowy. Mogli jedynie patrzeć.

– Czemu uchyla się od odpowiedzi na pytanie o stosunek?

– No właśnie, Fitz. Sama chciałabym wiedzieć. Byli małżeństwem. Wprawdzie od brata Corinne wiemy, że się ostro pokłócili, ale to było przed miesiącem. Przez ten czas zapewne się pogodzili. Chyba że...

Na ekranie było widać, że mówił głównie Rose. Todd siedział, trzymając się za głowę. Był wyraźnie przybity. Po kilku minutach Rose ze złością machnął ręką, odwrócił się do kamery i dał policjantom znak, że mogą wrócić do pokoju przesłuchań.

Wrócili więc i usiedli, a kiedy Taylor włączyła nagrywanie, odezwał się Rose:

– Doradziłem mojemu klientowi, że powinien odmówić dalszego udziału w przesłuchaniu, chyba że tu i teraz przedstawicie konkretne zarzuty. Pan Wolff nie zgodził się i postanowił kontynuować rozmowę. Ostrzegłem go, że to zły pomysł, ale postawił na swoim. A zatem proszę bardzo, Todd, oddaję ci głos.

Todd Wolff miał zaczerwienione oczy. Napotkał spojrzenie Taylor i powiedział:

– Nie zabiłem mojej żony.

– Nie pytałam, czy pan ją zabił, tylko kiedy po raz ostatni uprawiał pan z nią seks. –

Taylor założyła ręce na piersi i czekała.

Wolff ewidentnie bił się z myślami. W końcu odetchnął głęboko i powiedział:

– Corinne i ja nie uprawialiśmy seksu co najmniej przez tydzień przed moim wyjazdem.

– Czy zgodzi się pan na badanie DNA, abyśmy mogli to potwierdzić?

– Po co wam moje DNA? Przecież powiedziałem, że nie uprawialiśmy seksu.

Taylor spojrzała na Fitza, który kiwnął głową i coś zanotował.

– Ponieważ nie wiem, czy mówi pan prawdę. A testy nie kłamią. Sekcja zwłok Corinne wykazała, że krótko przed śmiercią odbyła stosunek seksualny.

Todd przewiercał wzrokiem własne dłonie. Zaciskał zęby. Za wszelką cenę starał się zachować spokój, co przychodziło mu z wyraźnym trudem. Jego reakcja wydała się Taylor ciekawsza niż to wszystko, co mówił. A jeśli jednak zabił swoją żonę? Kłamiąc na temat seksu, wpadłyby we własną pułapkę.

Jak do tej pory Wolff okazywał niewiele emocji, pomijając scenę rozpaczy po przyjeździe do domu. Ale niektórzy potrafią doskonale grać. Wolff łatwo wpadał w złość, co było widać gołym okiem. Taylor postanowiła przycisnąć go i przekonać się, czy i kiedy się złamie.

– Czy pańska żona miała romans?

– Nie! – Wzdrygnął się. – Oczywiście, że nie. Coś się pani pomyliło. Uprawialiśmy seks przed moim wyjazdem. Zupełnie o tym zapomniałem.

– Przed chwilą powiedział pan, że nie mieliście stosunku przynajmniej przez tydzień przed pana wyjazdem.

– Pomyliłem się. Uprawialiśmy seks dzień przed moim wyjazdem. Proszę mnie zrozumieć, pani porucznik, jestem zdenerwowany. Wszystko mi się miesza.

– W porządku, panie Wolff. Nie szkodzi. Przeprowadzimy badanie DNA, żeby jak najszybciej wyjaśnić tę wątpliwość. Porozmawiajmy o czymś innym. Proszę powiedzieć, czy pańska żona przyjmowała jakieś leki na receptę?

Zmiana tematu zaskoczyła go. Wyprostował się i podejrzliwie zmrużył oczy.

– O ile mi wiadomo, brała jakieś witaminy dla kobiet w ciąży i dodatkowo kwas foliowy. Kiedy bolała ją głowa, czasem łykała tylenol, ale nic poza tym. Moja żona była zdrową kobietą i jeśli nie musiała, starała się nie faszzerować lekami, nawet kiedy nie była w ciąży. Byliście w domu, to na pewno zauważyliście, że mamy skromną apteczkę.

Taylor przypomniała sobie stojący na blacie w kuchni Wolffów karton po chudym mleku. W porządku, na razie jest konsekwentny.

– W takim razie zaciekawia pana fakt, że w jej organizmie wykryto benzodiazepiny.

– Benzo co?

– Benzodiazepiny w postaci wydawanego na receptę lorazepamu, mającego działanie przeciwlękowe. Nazwa handlowa tego leku to ativan. Znaleźliśmy go w jej organizmie.

– To niemożliwe. – Todd pokręcił głową.

– Możliwe i prawdziwe. Zdaniem lekarza sądowego pańska żona przyjmowała ten lek od co najmniej kilku tygodni. Jest pan pewien, że tego nie pamięta? Nie wspominała, że czuje niepokój, że chodzi do lekarza, że dostała receptę?

– Nie. Nie ma opcji, żeby brała coś takiego. Cholera jasna, przecież nawet nie piła kawy, od kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Po prostu niemożliwe, żeby świadomie brała taki lek. Powiedziałyby mi o tym.

– Kto prowadził jej ciążę?

– Katie Walberg ze szpitala baptystów. Chodziła do niej od kilku lat. Przyjaźniły się. Proszę ją zapytać, na pewno potwierdzi moje słowa. Corinne na sto procent nie brałaby czegoś, co mogłoby zagrozić ciąży. Proszę mi uwierzyć. Gdyby odczuwała jakiś niepokój, porozmawiałaby ze mną o tym. – Założył ręce na piersi i zacisnął zęby.

Taylor już znała ten gest. Zajął pozycję obronną. Coś ukrywał.

– Oczywiście skontaktujemy się z doktor Walberg jeszcze dziś. Wygląda na to, panie Wolff, że nie miał pan pełnej wiedzy o tym, co robiła żona. Czy chciałby pan nam o czymś powiedzieć, zanim zaczniemy głębiej wnikać w pańskie życie? Proszę mi wierzyć, im więcej pan kłamie, tym bardziej pan się pograża. W takiej sytuacji nie będę mogła panu pomóc i nie dam panu drugiej szansy. Czy pan to rozumie?

Wolff spojrzał jej w oczy i kiwnął głową.

– Tak, rozumiem – odparł. – Nie kłamię.

– Hotel, w którym rzekomo zatrzymał się pan w Savannah, nie ma pana nazwiska na liście gości.

Todd spojrzał spanikowanym wzrokiem na prawnika. Rose położył dłoń na stole.

– Wystarczy, pani porucznik. Albo mój klient usłyszy konkretne zarzuty, albo wychodzimy.

Taylor odczekała chwilę, zanim odpowiedziała:

– W porządku. Każę jednemu z techników pobrać próbkę DNA od pana Wolffa. Potem zamierzam porozmawiać z doktor Walberg. Proszę tu zostać.

Gdy wyszli z pokoju, Fitz powiedział:

– Wow! Toś go załatwiła.

– Zmienia zeznania. Dajmy mu trochę czasu, może wymyśli kolejną wersję.

Rozdzielili się. Fitz poszedł po technika, który miał pobrać próbkę DNA, zaś Taylor chciała porozmawiać z lekarką Corinne.

W gabinecie natknęła się na Marcusa, który rozmawiał przez telefon. Usiadła naprzeciwko niego i zaczęła, aż skończy. Słuchał rozmówcy, mruzczał coś do słuchawki i robił notatki. Po chwili podziękował i rozłączył się. Spojrzał Taylor w oczy, a następnie podsunął jej kartkę z zapiskami i powiedział:

– Musimy aresztować Todda Wolffa.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Taylor przeczytała to, co Marcus napisał, zagryzła wargę i przeczytała ponownie. Cholera. Ma rację. Trzeba aresztować Todda Wolffa. Podejrzani kłamią w różnych sprawach, czasem mniej, czasem bardziej istotnych, i Wolff nie był tu wyjątkiem, ale jak dotąd nie powiedział nic, co pozwoliłoby bez cienia wątpliwości uznać go za winnego. Jednak informacja, którą Taylor miała przed sobą, to zmieniała.

– Kto na to wpadł? – spytała.

– Tim Davis. Przed kilkoma minutami przefaksował raport. Zadzwoń do niego, żeby potwierdzić. Mówi, że wrócił do domu Wolffów i chce go ponownie przeszukać. Da nam znać, jeśli pojawi się coś nowego.

Taylor po raz trzeci zapoznała się z treścią wiadomości, skupiając się na fragmencie podkreślonym przez Marcusa na różowo:

„W pojeździe męża denatki – czarnym lincolnie navigatorze z 2006 roku, zarejestrowanym na Theodore’a Wolffa – znaleziono ślady krwi. Jedną grupę tworzą plamy o średnicy 2 milimetrów znajdujące się na dźwigni zmiany biegów. Drugą grupę tworzą plamy o średnicy 0,5 centymetra znajdujące się w wewnętrznej części – dokładnie w lewym rogu – skrzynki na narzędzia (skrzynka zbudowana na zamówienie, dostosowana do modelu auta, zamontowana w bagażniku). Próbkę zabezpieczono i pobrano do analizy pod kątem DNA. Wstępne badanie krwi wykazało grupę ARh+, tożsamą z grupą krwi zmarłej Corinne Wolff”.

No proszę, krew Corinne w samochodzie męża. Oczywiście należało przeprowadzić kolejne badania, aby ze stuprocentową pewnością stwierdzić, iż krew rzeczywiście należała do denatki. Poza tym istniała możliwość, że plamy są stare i nie mają nic wspólnego z morderstwem. Tak byłoby najlepiej dla Wolffa. Niemniej jednak wyglądało na to, że policja właśnie zyskała mocny argument, na tyle silny, by przekonał prokuratora do wystawienia nakazu aresztowania, zaś wielką ławę przysięgłych do zasadności oskarżenia. Dowody zbierane w toku śledztwa często pozwalają podważyć początkowe bzdury wygadywane przez podejrzanych. Czyżby i tutaj miała zastosowanie ta reguła?

– Co chcesz zrobić? – spytał Marcus, odchylając się na krześle.

Postukała palcem o blat. Rzadko oglądała własne biurko z tej perspektywy, nawet już zapomniiała, jak wygląda, choć przez wiele lat raportowała swemu przełożonemu, siedząc na tym samym krześle co teraz. Miejscami lakier się poprzecierał, odsłaniając drewno. Przesunęła placem po jednym z takich miejsc. Podobała jej się zmiana perspektywy, bo poczuła się, jakby wróciła na linię frontu.

– Wolff jest na posterunku. Fitz miał załatwić, żeby pobrano od niego próbkę DNA. Musimy szybko zbadać krew Wolffa i upewnić się, że nie ma grupy ARh+. Potem poprosimy o nakaz aresztowania. Kiedy dostaniemy wyniki analizy krwi, Julia Page będzie mogła zwołać posiedzenie wielkiej ławy przysięgłych. Trzeba również potwierdzić obecność leku w organizmie Corinne. Mówisz, że Tim jest u Wolffów?

– Tak. Chciał ponownie obejrzyć miejsce zbrodni i upewnić się, że niczego nie pominęliśmy.

Zadzwoił telefon na biurku. Marcus zerknął na wyświetlacz.

– O wilku mowa. – Podniósł słuchawkę i podał ją Taylor.

– Porucznik Jackson – powiedziała.

– Pani porucznik, mówi Tim Davis. Jestem w domu Wolffów. Mam tu coś, co powinna

pani zobaczyć.

– Marcus pokazał mi twój raport na temat śladów biologicznych w samochodzie męża ofiary. Znalazłeś coś podobnego w domu?

– Nie, myślę, że zabezpieczyliśmy już wszystkie ślady biologiczne mające cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Przechesałem miejsce zbrodni i na moje oko już nic nowego nie znajdziemy. Chodzi o coś zupełnie innego, ale... naprawdę sama pani powinna to zobaczyć. Znalazłem to w piwnicy.

Tim był odpowiedzialnym człowiekiem, poważnie traktował swoją pracę i na pewno nie prosiłby o przyjazd oficer prowadzącej śledztwo, gdyby nie miał ku temu ważnych powodów.

– Okej, Tim, już jadę. – Odłożyła słuchawkę i przeciągnęła się. – Marcus, zrób coś dla mnie. Skontaktuj się z doktor Katie Walberg i umów mnie na spotkanie. Koniecznie dzisiaj. Porozmawiamy później, dobrze?

Taylor wsiadła do nieoznakowanej impali i ruszyła w kierunku West Nashville. Przejechała przez most na Woodland Street i wskoczyła na autostradę, uznawszy, że tak będzie szybciej. Pędziła ku zachodzącemu słońcu. Na horyzoncie tworzyły się ciemne chmury.

Wyrobiła się przed wieczornym szczytem, ruch odbywał się płynnie i nigdzie nie utknęła. Zadzwonił telefon. Był to Marcus, więc odebrała.

– Słuchaj, kilka spraw. Po pierwsze, rozmawiałem z doktor Walberg, ale niestety krótko, bo właśnie odbierała poród. Potwierdziła, że Corinne Wolff była jej pacjentką, ale bez nakazu nie mogła nic więcej powiedzieć. To miła kobieta, wyraźnie chce współpracować, ale musi mieć podkładkę. Już wysłałem prośbę. Obiecała, że zadzwoni, kiedy będzie wolna. Chętnie z tobą porozmawia, o ile będzie miała pewność, że formalnie wszystko gra.

– Okej. Wstąpię do niej, wracając od Wolffów.

– Jeśli chcesz, ja mogę to zrobić. Nie ma potrzeby, żebyś jeździła po mieście i sama wszystko załatwiała. Po to cię awansowali, żebyś miała ludzi od czarnej roboty, prawda?

Uśmiechnęła się. Marcus zawsze wiedział, co powiedzieć.

– Wiem o tym i dziękuję za propozycję, ale przecież mnie znasz, lubię być w akcji.

– No tak, da się zauważyć, że siedzenie za biurkiem to nie twoja bajka. W takim razie załatwię nakaz i uprzedzę panią doktor, że wpadniesz z wizytą. I zajmę się tym twoim Gormanem. Jeszcze nic nie znalazłem, ale dopiero zacząłem. Wolff trochę mi zdeorganizował poranek. Słuchaj, jeszcze jedno. Ten królik.

– Ach, królik. To może poczekać.

– Tim wysłał do ciebie Keri McGee. Przed chwilą dzwoniła. Nie ma żadnego królika.

– Ależ oczywiście, że jest. Przecież go widziałam i osłoniłam doniczką. Na pewno była u mnie?

– Na pewno. Doniczka stoi pod domem, ale królika nie ma. Może sprzątnął go któryś z uczynnych sąsiadów?

Taylor zastanowiła się nad tym. Brzmiało logicznie. Tylko dlaczego nagle włosy stanęły jej dęba?

– Pewnie masz rację. Mogło tak być. Popytam, kiedy wrócę do domu. Sąsiedzi mają psy, może wyczuły padlinę i zaczęły ujadać? Podziękuj Keri ode mnie.

Rozłączyli się. Taylor zobaczyła zjazd na Charlotte Avenue, przecięła Hillwood i po kilku minutach znalazła się w okolicy, w której mieszkali Wolffowie. Skręciła w ślepą uliczkę i zaparkowała za oznakowanym wozem techników, którym jeździł Tim.

Tim siedział na huśtawce na ganku. Tkwił na niej bez ruchu, siedział tak sztywno, że plecami nie dotykał oparcia. Kiedy Taylor wysiadła z samochodu, natychmiast zerwał się na nogi.

– Cześć – powiedziała.

– Dzień dobry. Przepraszam, że panią tu ściągnąłem, ale chciałem, żeby pani to zobaczyła, zanim zacznę demontaż.

– Demontaż czego? Oświeć mnie, skoro już tu jestem.

Tim zaczerwienił się i odwrócił wzrok. O rany, pomyślała Taylor. Ci staroświeccy faceci z Południa nadal wierzą, że kobietom, tej „delikatnej, słabej płci”, należy się wyjątkowe traktowanie. Miała ochotę z niego zadrwić, ale ciekawość zwyciężyła.

– No dobrze. Po prostu pokaż mi to, o czym wstydzisz się opowiedzieć.

Speszony skinął głową, obrócił się na pięcie i ruszył do wejścia. Taylor poszła za nim. Skierował się do drzwi prowadzących do piwnicy i bez słowa zszedł na dół. W środku nadal pachniało stęchlizną i panował chłód. Zobaczyła rozstawiony zestaw oświetleniowy. Pięćsetwatowy snop światła padał na ścianę.

Tim wreszcie przemówił, wypluwając słowa jak karabin maszynowy:

– Przesuwałem pudła, szukałem czegoś, co mogło zostać za nimi ukryte. Jedno spadło ze sterty. – Pokazał zwykle kartonowe pudło, którego zawartość wysypała się na betonową podłogę. Były to plastikowe przezroczyste etui na płyty CD i DVD, a w nich srebrne krążki, od których odbijało się światło wpadające od strony schodów.

– Kopiowali płyty? Niech zgadnę. Są też kartony papierosów. Wolffowie pracowali dla Al-Kaidy. – Posłała mu uśmiech, by pokazać, że żartuje. Biedaczysko, był tak strasznie zaaferowany.

– Gorzej, pani porucznik.

Tim podszedł do jedynej ściany w piwnicy, która została pomalowana. Popukał i rozległo się echo. Popatrzył na Taylor, uniósł brwi i pchnął. Nagle cała ściana się obróciła.

– O, ukryte pomieszczenie. Super – skomentowała.

Tim zniknął w środku, Taylor poszła w jego ślady. Powietrze w tym pomieszczeniu nie było ani wilgotne, ani zatechłe. Za to pachniało detergentami.

Tim włączył światło. Taylor nabrała powietrza i mina jej zrzędła. Na pierwszy rzut oka to, co zobaczyła, skojarzyło jej się ze średniowieczną salą tortur. A na drugi – z planem filmu dla dorosłych. Tim milczał. Taylor ogarniała wzrokiem pomieszczenie: miało mniej więcej trzy i pół na siedem metrów, pośrodku stało duże, podwójne łóżko z białym prześcieradłem, kołdrą w tym samym kolorze i grubymi poduszkami. Na ścianie po prawej wisiała tablica z uchwytnymi, taka jak w warsztatach, z góry na dół obwieszona różnego rodzaju zabawkami. Lepsze określenie nie przychodziło Taylor do głowy. Były tam pejczy, strój dominy, gorset, kneble, sztuczne penisy, wibratory i inne akcesoria. Wszystko to wisiało w idealnym porządku i wyglądało jak wystawa sex-shopu. Tyle że znajdowało się w piwnicy rodzinnego domu na willowych przedmieściach Nashville. Taylor niejednokrotnie znajdowała tego rodzaju przedmioty na miejscu zbrodni, ale jeszcze nigdy nie spotkała się z urządzoną z takim rozmachem – jak to nazwać? – komnatą seksu, w dodatku wyposażoną w dwie profesjonalne kamery, cztery mikrofony i zawodowo rozstawione oświetlenie.

– Kręcą porno? – spytał Tim z wyraźnie słyszalnym drzeniem w głosie. Czuł się potwornie skrępowany, to było aż nazbyt jasne. Miał konserwatywne poglądy, regularnie chodził do kościoła i z pewnością nie znalazłby wspólnego języka z Wolffami, zwłaszcza teraz, znając ich... upodobania.

– Zakładam, że tak – odparła Taylor. – A przynajmniej jedno z nich. Całkiem możliwe, że zajmował się tym Todd, a Corinne o niczym nie wiedziała. Ale mogło być odwrotnie. Chociaż wątpię, żeby jedno ukrywało to przed drugim. Bo niby jak można robić coś takiego we własnym domu w konspiracji przed żoną czy mężem? Dom to dom, każdy wie, co się w nim dzieje. Pokaż

te pudła. – Wróciła do kartonów i wyciągnęła rękę, ale zatrzymała się. – Zdjąłeś odciski?

– Jeszcze nie. Jak tylko to odkryłem, wyszedłem i zadzwoniłem do pani.

– Są podpisane? – spytała, mając na myśli płyty.

– Mają daty. Najstarsze, o ile się zorientowałem, pochodzą sprzed kilku lat.

– No cóż, trzeba będzie to wszystko przejrzeć i opisać. – Kolejna czasochłonna robótka, pomyślała. – Wezmę kilka i zobaczę, co na nich jest. – Rozejrzała się po piwnicy. – Na pewno głównie będą to odciski palców Todda i Corinne. Koniecznie daj znać, jeśli znajdziesz jakieś obce.

Wyjęła długopis i zaczęła grzebać w płytach. Znalazła kilka z datami od 2005 do 2008 roku. Zaczekała, aż Tim zdejmie odciski z pudełek, po czym schowała je do plastikowej torebki i zabrała ze sobą.

Tim wezwał ekipę. Taylor pomyślała, że badanie, szukanie śladów i opisywanie jaskini grzechu, jak już nazwała osobliwą piwnicę Wolffów, zajmie technikom całe popołudnie, dlatego postanowiła, że wykorzysta ten czas na wizytę u doktor Walberg w szpitalu baptystów.

Po co, do ciężkiej cholery, Toddowi Wolffowi perwersyjny plan filmowy w piwnicy? Co tam się działo? I ile jeszcze tajemnic kryło się za fasadą idealnego życia Wolffów?

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Taylor zatrzymała się przed wjazdem na teren Centrum Zdrowia Kobiet szpitala baptystów i pokazała odznakę ochroniarzowi, który skierował ją na parking.

Doktor Walberg miała gabinet na siódmym piętrze. Taylor podeszła do windy i nacisnęła przycisk. Gdy weszła do środka, przejrzała się w zamontowanym w windzie lustrze i zakłęła pod nosem. Rozpuściła włosy, potrząsnęła głową i przeczesała je palcami. Wilgotne powietrze w piwnicy Wolffów, ale też na zewnątrz, bo zanościło się na deszcz, sprawiło, że kosmyki zlepiły się, poskręcały i sterczały we wszystkie strony. Związała włosy w porządną kucyk i sprawdziła efekt, a na koniec posmarowała usta pomadką z wyciągiem z owocu granatu.

Nagle drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta z wielkim brzuchem, w który Taylor wbiła zaintrygowane spojrzenie. Brzuch zafascynował ją tak, że nie potrafiłaby powiedzieć, jak wyglądała jego właścicielka. Przytrzymała jej drzwi. Ciężarna wtoczyła się do windy i podziękowała, uśmiechając się ze znużeniem, po czym dodała:

– Cholerne skurcze. Myślałam, że to już.

Taylor zrobiła pełną współczucia minę, ale kiedy winda się zamknęła, skrzywiła się. Nie jej bajka. Dziecko? Na razie nie czuła potrzeby macierzyństwa. Wiedziała jednak, że jako prawie trzydziestosześcioletnia kobieta wkrótce nie ucieknie od tematu. Ale jeszcze nie teraz. Przed kilkoma miesiącami przeżyła chwile grozy, ale alarm okazał się fałszywy. Przekonała się, że absolutnie nie jest gotowa na potomstwo.

Siódme piętro. Weszła do sporego pomieszczenia, w którym stały wygodne krzesła, a na stoliku leżał stos magazynów dla młodych rodziców. Dwie siedzące za biurkiem recepcjonistki jednocześnie podniosły głowę.

Zanim Taylor zdążyła się odezwać, kobieta po prawej wstała i pokazała na drzwi z napisem DLA PERSONELU. Taylor przeszła przez poczekalnię, ignorując zaintrygowane spojrzenia pacjentek.

– Pani musi być tą policjantką, na którą czeka pani doktor – powiedziała recepcjonistka, kiedy Taylor zamknęła za sobą drzwi.

– Po czym pani poznała? – spytała, wręczając jej wizytówkę.

– Po tym, że znam wszystkie nasze pacjentki, a na dziś nikt nowy się nie zapisał. Poza tym zdradziła panią broń.

– Ach, no tak – mruknęła Taylor.

Recepcjonistka uśmiechnęła się, po czym poinstruowała panią porucznik:

– Proszę pamiętać, żeby przynajmniej raz w roku zrobić przegląd i cytologię, a raz w miesiącu badanie piersi.

– Tak jest. Zapamiętam. – Taylor pokręciła głową. – Czy doktor Walberg...

– Czekaj na panią. Zapraszam.

Recepcjonistka zapukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź.

W gabinecie za masywnym mahoniowym biurkiem siedziała niewysoka siwowłosa kobieta z drucianymi okularami na nosie.

– Pani doktor, przyszła porucznik Jackson.

Lekarka energicznie wstała zza biurka i sprężystym krokiem, bardziej pasującym do nastolatki niż do kobiety w jej wieku, podeszła do drzwi i przywitała się z gościem, po czym dodała, patrząc na podwładną:

– Dziękuję, Darlene. – Kiwnęła głową i recepcjonistka wyszła, zamykając drzwi,



a lekarka znów zwróciła się do Taylor: – Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, pani porucznik. W mojej pracy o wiele częściej mam do czynienia z narodzinami niż ze śmiercią. Życzy pani sobie coś do picia?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie proszę usiąść. Mam kartę Corinne. Pani kolega przefaksował nakaz, a zatem możemy bez przeszkód porozmawiać o pacjentce. Postaram się pomóc.

– Dziękuję, pani doktor. – Taylor usiadła, założyła nogę na nogę i położyła dłonie na kolanach. – Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, czy przepisała pani Corinne lorazepam. Znaleźliśmy ślady tego leku w jej organizmie.

– Tak, przepisałam.

– Naprawdę? – Taylor nie kryła zaskoczenia. – Wydawało mi się, że to środek niewskazany dla kobiet w ciąży.

– W przypadku ciężarnej lorazepam to mniejsze zło, a już zwłaszcza w trzecim trymestrze. Corinne miała ataki paniki, napady strachu. Poprosiła o coś łagodnego, co pomogłoby jej się uspokoić. Przepisałam lek, ale też skierowałam Corinne do świetnej psycholożki, która poddała ją terapii behawioralnej. Z lękiem napadowym można sobie poradzić. Corinne robiła spore postępy.

– Czy ktoś jeszcze o tym wiedział? Przede wszystkim jej mąż?

– Wątpię. Corinne okropnie się wstydziła tego, że, jak sama mówiła, traciła nad sobą kontrolę. Zawsze była osobą niezwykle ambitną i wiele udało jej się osiągnąć. Uprawiała sport, przez pewien czas była zawodniczką światowej klasy. Corinne już jako nastolatka świetnie ogarniała umysłem całą rzeczywistość wokół i swoje w niej miejsce, że tak to obrazowo opiszę. Wiele dorosłych kobiet nigdy nie dociera do tego poziomu. Corinne stawiała sobie ambitne, ale realne cele i osiągała je w sposób perfekcyjny. Stopnie, sport, chłopcy. Ataki paniki nie pasowały do jej planów, były groźnym intruzem w idealnym świecie Corinne. Oczywiście śmierci z rąk mordercy też nie brała pod uwagę... – Doktor Walberg powiedziała to z głębokim smutkiem, może nawet z trudem powstrzymywała łzy.

– Została pani pacjentką już jako nastolatka? – spytała Taylor.

– Tak. Myślę, że jej matka nie wiedziała o tym. Corinne zgłosiła się do mnie wkrótce po swoich szesnastych urodzinach, zanim zaczęła uprawiać seks ze swoim chłopakiem. Chciała, żebym przepisała jej pigułki i poinstruowała w kwestii stosowania prezerwatyw. Przyznaję, że bardzo mnie rozbawiła swoją rzeczowością. Ale to pozory, w rzeczywistości okropnie się bała. No, ale właśnie taka była Corinne. Nosiała maskę opanowanej, chłodnej, racjonalnej kobiety sukcesu.

– Przed panią się odsłaniała.

– Pewnie dlatego, że byłam z nią szczerą, potraktowałam ją z szacunkiem i doradziłam, żeby nie szła do łóżka z tym chłopcem. Przekonywałam, że ma jeszcze mnóstwo czasu, by zakosztować fizycznej miłości. Kilka dni później, w weekend, straciła dziewictwo. – Lekarka się uśmiechnęła. – Była uparta jak osioł. Co ja mówię? Jak stado osłów! Tłumaczyło się jej, żeby odpuściła, bo coś jest zabronione, a Corinne robiła to z czystej przekory.

– Lubiła ją pani, prawda?

– Tak. Wydaje mi się, że łączyło nas coś więcej niż relacje lekarz-pacjent. Być może byliśmy nawet przyjaciółkami, a w każdym razie zbliżyłyśmy się do przyjaźni. Bardzo lubiłam Corinne. Była opanowana i zdeterminowana, zupełnie jak ja w jej wieku. Mnie przekora zaprowadziła na medycynę. Corinne mogła wszystko, mogła zostać tym, kim chciała, ale zdecydowała się na małżeństwo. Oczywiście nie ma w tym nic złego, proszę mnie źle nie zrozumieć, tylko że wyobrażałam ją sobie jako jedną z tych kobiet, które swoją energią

i inteligencją zmieniają świat. Dlatego rozczarowałam się, kiedy postawiła na wygodne rodzinne życie.

– Skąd wzięły się u Corinne napady lęku?

Doktor Walberg najpierw spojrzała za okno, nim odparła cicho:

– Nie chciała zdradzić przyczyn, opisała tylko objawy. Powiedziała, że przestaje nad tym panować, i spytała, czy mogłabym jej pomóc. Nic więcej nie dowiedziałam się od niej na ten temat i już nigdy się nie dowiemy. Do diabła, Corinne, ty uparciuchu. – Zdjęła okulary i przetarła załzawione oczy.

– Wspomniała pani o terapeutce.

Doktor Walberg włożyła okulary, po czym odparła:

– Tak, i jak rozumiem, chciałyby pani z nią porozmawiać. Wysłałam Corinne do doktor Ellen Ricard. Ma gabinet przy Broadwayu, niedaleko Arby's, w tym samym budynku co doktor Wang, ten znany okulista. – Napisała numer telefonu na odwrocie wizytówki i podała ją Taylor. – Musi pani wcześniej zadzwonić. Ellen ma wielu pacjentów i zapewne będzie mogła się spotkać dopiero po godzinach. Proszę powiedzieć, że panią przysyłam.

– Dziękuję.

Doktor Walberg odchrząknęła. Taylor zrozumiała, że już chciałyby wrócić do swoich pacjentek, ale postanowiła zadać jeszcze jedno pytanie:

– Powiedziała pani, że Corinne zaczęła przychodzić do pani, mając szesnaście lat. Czy po tym pierwszym stosunku zwierzała się pani z kolejnych?

Doktor Walberg patrzyła na Taylor ze ściągniętymi brwiami, jakby zastanawiała się nad podjęciem arcyważnej decyzji. Taylor cierpliwie czekała. Było widać, że lekarka bije się z myślami. W końcu uśmiechnęła się, choć spojrzenie nadal miała poważne.

– Pani porucznik, ujmę to tak: Corinne lubiła seks. Między innymi dlatego zdziwiłam się, kiedy w tak młodym wieku postanowiła się ustatkować. Po pierwszym stosunku oczywiście nastąpiły kolejne. W liceum i na studiach Corinne była wręcz nadaktywna seksualnie. Ale nie była puszczalska, tylko uprawiała seryjną monogamię, jak to się ładnie nazywa. Zanim wyszła za Todda Wolffa, miała dziesiątki partnerów. Po ślubie, jak sama podkreślała, to się skończyło. Był tylko mąż i nikt więcej. Nie zdradzała go. Twierdziła, że to by było „prostackie”, a prostactwa nie znosiła. Miałam nadzieję, że po prostu dorosła.

– Dziękuję bardzo, doktor Walberg. – Uściśnęły sobie dłonie. – Bardzo mi pani pomogła.

– Nie ma za co. W razie czego wie pani, gdzie mnie szukać.

Kiedy Taylor wychodziła, obejrzała się przez ramię. Doktor Walberg stała przy oknie i zatopiona w myślach patrzyła na miasto.

Po wyjściu od doktor Walberg Taylor zadzwoniła do psycholożki. Z telefonem przy uchu podeszła do windy i wcisnęła guzik. Gabinet terapeutki znajdował się rzut beretem od szpitala baptystów, więc gdyby się dodzwoniła, mogłyby się umówić choćby za kwadrans. Po czterech dzwonekch włączyła się sekretarka. Taylor wysłuchała instrukcji i nagrała się, prosząc Ellen Ricard o jak najszybszy kontakt.

Weszła do windy i zerknęła na zegarek. Jeśli doktor Walberg miała rację, Ricard odezwie się dopiero o siedemnastej albo osiemnastej, po przyjęciu wszystkich pacjentów. Była czwarta, akurat dość czasu, żeby wrócić do biura, spisać uwagi o życiu seksualnym Corinne i jej niepokojach, sprawdzić, czy nie wypłynęło coś nowego na miejscu zbrodni, i załatwić nakaz przed rozmową z doktor Ricard. Potem jeszcze przejrzeć fragment domowej wideoteki Wolffów, którą zabrała ze sobą. Sama radość.

Słońce zaszło, burzowe chmury rozwiały się. Kiedy rozmawiała z lekarką, padało, i to nieźle, a po deszczu zrobiło się dużo chłodniej. Idąc do samochodu, zadrżała z zimna.

Zwariowała ta pogoda.

Wysiadając, nie wyłączyła radia nastawionego na stację JACK FM, dlatego kiedy przekreśliła klucz w stacyjce, z głośników popłynął jeden z jej ulubionych kawałków, „Hungry Like the Wolf” Duran Duran. Wtórując wokaliście, skręciła w Charlotte Avenue, przejechała pod estakadą I-40 i po chwili znalazła się na James Robertson Parkway. Ulice były mokre i śliskie. Chłopcy z drogówki będą mieli pełne ręce roboty.

Pięć minut później wjechała na parking przed posterunkiem. Właśnie skończyła się dzienna zmiana i z budynku wysypała się kompania policjantów i pracowników cywilnych. Przynajmniej przez najbliższą godzinę w biurze będzie cisza i spokój. Może nawet uda się wygospodarować parę minut na telefon do Baldwina i spytać go, jak mu minął dzień. Jej dzisiejszy dzień na pewno był dużo ciekawszy niż jego...

Uśmiechnęła się pod nosem, podeszła do bocznego wejścia do budynku, szczytała kartę i weszła do środka. Jak zwykle zatrzymała się przy automacie, kupiła dietetyczną colę i poszła do swojego gabinetu.

Marcus i Lincoln siedzieli przy jej biurku. Byli pochyleni, jakby studiowali tajne dokumenty. Nie usłyszeli, kiedy weszła. Spojrzenia mieli utkwione w laptopie.

– Kochaanie... wróciłem! – krzyknęła, parodiując bohatera znanego serialu.

Obaj aż podskoczyli. Taylor posłała im ciepły uśmiech, ale nie odwzajemnili go. Co jest? Jeszcze nigdy nie widziała, żeby mieli tak poważne miny. Byli bladzi jak ściana.

– Co z wami? Lincoln, co tu robisz? Dałam ci wolne.

Marcus spojrział na nią z miną, jakby skręcał się z bólu.

– To ja go wezwałem. Potrzebowałem pomocy. Chodzi o... – Nie dokończył, zagryzł wargę.

Lincoln najpierw odetchnął głęboko, po czym wybąkał:

– Powiedz jej...

– O czym? Wylali mnie, kiedy mnie nie było? Panowie, przez was dostaję gęsiej skórki.

Marcus odwrócił laptopa, szepnął:

– Przepraszam – i zniknął za drzwiami.

Lincoln wyszedł zza biurka, położył dłoń na ramieniu Taylor i powiedział:

– To mój prywatny komputer. Naciśnij „play”. Nie pogłaśniaj. Obejrzyj to. Zaczekamy w biurze. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Taylor przez chwilę patrzyła za nim pustym wzrokiem, a potem usiadła na krześle. Postawiła sobie laptopa na kolanach. Czarne tło, pośrodku biały kwadrat, a na nim czarna strzałka. Kliknęła ją.

Wideo zaczęło się ładować. Piętnaście procent, czterdzieści pięć, siedemdziesiąt, sto. Serce Taylor waliło jak młot. Kurwa mać, o co chodzi?

Ekran jeszcze przez chwilę był czarny, a potem zobaczyła... ludzi. Jakość nagrania była kiepska, obraz ciemny i ziarnisty, do tego czarno-biały. Dało się jednak zobaczyć dwoje ludzi. Kobieta i mężczyznę. Nagich. Uprawiali seks, co do tego nie było wątpliwości. Mężczyzna leżał, kobieta siedziała na nim okrakiem i pochylała się. Kamera obejmowała ich od dołu. Gęsta blond czupryna zasłaniała twarze obojga kochanków. Kołysali się w równym rytmie, kochali się spokojnie, powoli, bez brutalnych zrywów, z gracją tańczyli ten najstarszy znany ludzkości taniec zmysłów. W pewnym momencie przyśpieszyli. Kobieta wygięła plecy i przestała się poruszać. Mężczyzna objął ją. Taylor dostrzegła tatuaż na jego prawym nadgarstku. Złapała się za czoło, a potem zasłoniła usta dłonią. Znała ten tatuaż.

Kobieta przesunęła się w lewo. Pojawił się profil mężczyzny. W tej samej chwili Taylor uświadomiła sobie, że patrzy na swojego dawnego partnera i kochanka Davida Martina. Co do...

– O mój Boże – szepnęła.  
Kobietą, która dosiadała Martina, była Taylor.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Taylor poczuła mdłości. Zakręciło jej się w głowie. Zapragnęła wyprzeć to, czemu nie dało się zaprzeczyć. To nie ja, powtarzała, wiedząc, że to na nic. To nie ja. Rozpoznała pościel, lampę, okno. Swoją sypialnię. I Davida Martina. Żywego jak jasna cholera! A zatem nagranie musiało pochodzić sprzed co najmniej dwóch lat.

Zmusiła się, by obejrzeć je ponownie. I jeszcze raz. Nagranie nieodmiennie kończyło się ujęciem twarzy Taylor i jej nagich piersi. Wiedziała, co było potem. Poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic, jak zawsze po seksie z Davidem Martinem. Nigdy nie czuła się z nim do końca komfortowo i zawsze po zbliżeniu pragnęła jak najszybciej zmyć z siebie jego zapach.

Wypuściła powietrze, kiedy uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech na tak długo, że zobaczyła plamki przed oczami. Marcus i Lincoln widzieli to nagranie. Pewnie cały zespół je widział. O Boże. Skąd wziął się ten plik? Jakim cudem trafił do internetu?

Nagle wstała. Laptop zsunął się z jej kolan i wylądował na podłodze. Zignorowała go. Otworzyła drzwi, wychyliła się z gabinetu i gestem przywołała kolegów. Weszli, nic nie mówiąc, zamknęli za sobą drzwi.

Taylor usiłowała zachować zimną krew.

– Siadać – poleciła, a gdy usiedli, spytała: – Skąd to macie?

Marcus podniósł głowę i odparł ze zboląłą miną:

– Szukałem tego faceta, z którym wczoraj miałaś to małe starcie. Poświęciłem na to większość popołudnia, kombinowałem z różnymi nazwiskami, łączyłem je z imieniem Tawny. No i znalazłem pewną stronę, znajdowała się nisko na liście wyników. Kliknąłem link, ale strona nie chciała się otworzyć. Próbowałem wszystkiego. W końcu zrezygnowałem i zadzwoniłem do Lincoln. Okazało się, że aby móc oglądać materiały na tej stronie, trzeba wykupić dostęp.

– To zaskakująco dobrze chroniona strona, Taylor – wtrącił Lincoln. – Nie było łatwo włamać się na nią. Ale dałem radę. Tam znaleźliśmy to nagranie. Ale to nie wszystko. – Zawiesił głos. – Lepiej usiądź.

– Co? – spytała.

Lincoln przełknął ślinę, a Marcus wyglądał, jakby miał się rozplakać.

Taylor zazgrzytała zębami.

– Co, pytam!

– Jest jeszcze osiem takich filmików. Wszystkie z tobą i Davidem Martinem. Ludzie płacą po sto dolarów, żeby je oglądać. Strona nazywa się Selectnet.com.

Taylor poczuła, jak ziemia osuwa jej się spod nóg. Nagle zakłuło ją w piersi. Nie mogła złapać tchu. Zamknęła oczy i postanowiła wziąć się w garść. Miałyby im tu zemdleć? Niedoczekanie. Odczekała chwilę. Kiedy zawroty głowy minęły, otworzyła oczy. Patrzyli na nią podejrzliwie. Musiała wyglądać groźnie, może pomyśleli, że wyjmie pistolet i zacznie pluć ogniem. Fakt, miała na to ochotę. O Jezu, ale się porobiło! Położyła dłonie na biurku, żeby je widzieli, i wydało się jej, że odetchnęła z ulgą.

– Kto jeszcze o tym wie? – spytała, a w duchu nakazała sobie: spokojnie, bez emocji, panujesz nad sytuacją.

Lincoln spojrział na Marcusa, a potem na Taylor.

– Tylko my. Z początku chcieliśmy usunąć nagrania ze strony, ale wtedy właściciel by się zorientował, że wpadliśmy do niego z wizytą. Mógłby zwinąć interes i zniknąć. A przecież tam są inne filmy, którym, jak sądzę, warto się przyjrzeć. Uznaliśmy, że lepiej zaczekać, pokazać ci,

co odkryliśmy, i razem ustalić plan działania. Zakładam, że nie wiedziałaś o kamerze. – Powiedział to w taki sposób, że Taylor miała ochotę podejść i go wyściskać. Mimo wszystko w nią wierzyli.

– Nie wiedziałam. Ja... – O cholera, nastąpiło drobne załamanie w głosie. O nie, tylko się nie rozpłacz, znów nakazała sobie. Nie ma mowy. Nie wolno ci płakać, słyszysz? Opanowały ją wściekłość i frustracja. Miała ochotę krzyknąć. Uderzyć kogoś, przywrócić Davida Martina do życia tylko po to, by udusić go gołymi rękami. Odchrząknęła i spróbowała raz jeszcze: – Za nic nie chciałabym zachować dla potomnych pamięci o Davidzie Martinie. – Próbowała się uśmiechnąć, ale czuła, że wychodzi jej tylko dziwny grymas. Jasna cholera. Co teraz? Przecież coś takiego mogło ją pogrążyć. Cholera, musi myśleć na chłodno, a nie poddawać się emocjom. Tylko jak to zrobić, gdy znów zobaczyła siebie, jak wstaje z łóżka, i ten pełen samozadowolenia uśmieszek Davida Martina?

– Siedzieliśmy nad tym całe popołudnie. Wydaje mi się, że trafiłem na ślad firmy, która zarządza stroną, ale to jeszcze nic pewnego. Chodzi o spółkę z Kalifornii.

Tak mocno brała siebie w ryzy, że wreszcie zaczęła odzyskiwać jasność myślenia.

– Okej. A co z tym wszystkim ma wspólnego Tony Gorman?

– Wykupił dostęp do strony – wyjaśnił Marcus. – Z tego, co udało nam się ustalić, wynika, że najpierw uiszcza się opłatę, a dopiero potem uzyskuje dostęp, o ile zgodzą się na to pozostali członkowie tego „klubu dla znajomych królika”. Każdego chętnego dokładnie sprawdzają. Kiedy kandydat zostaje członkiem, może ściągać, oglądać, wgrywać do woli. Istnieje pięć poziomów wtajemniczenia, każdemu odpowiada odrębne archiwum materiałów. Im więcej zapłacisz, w tym większych zasobach możesz przebierać. Twoje nagrania trafiły na trzeci poziom. Sprawdziliśmy pozostałe. Wygląda na to, że im wyższy poziom, tym lepsza jakość wideo. Pierwsze to głównie filmiki domowej roboty, marne i nieobrobione, potem jest już dużo lepiej, ale w sumie jakość nie powala.

– Mój Boże. – Usiadła na krześle. – Czy wszystkie te nagrania podpisano „Taylor Jackson”?

– Wreszcie dobra wiadomość. Nigdzie nie znaleźliśmy twojego nazwiska. Figurujesz jako „Tawny z Nashville”. Gorman musiał cię skojarzyć z którymś z filmików.

– Znaleźliście tego sukinkota?

– Tak, znaleźliśmy. – Marcus wreszcie się uśmiechnął.

Gdy zadzwoniła komórka, Taylor aż podskoczyła. Spojrzała na wyświetlacz. Odezwała się terapeutka Corinne Wolff. Pokazała kolegom, że musi odebrać.

– Porucznik Taylor Jackson, policja w Nashville, Wydział Zabójstw – przedstawiła się rutynowo.

– Mówi Ellen Ricard. – Miała wyraźny brytyjski akcent. – Dzwonię w sprawie informacji na temat Corinne Wolff.

Mówiła zasadniczym tonem i od razu przeszła do rzeczy, co ostatecznie otrzeźwiło Taylor.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać? – spytała.

– Tak, ale dopiero pojutrze. Możemy się spotkać u mnie w gabinecie w piątek o ósmej rano.

– Nie mogłybyśmy dzisiaj?

– Nie, pani porucznik, to niemożliwe. Zaraz mam wystąpienie, a potem śpieszę się na samolot. Wracam jutro, ale późnym wieczorem, więc też nie znajdę dla pani czasu. Przykro mi, ale nie ma na to rady. Tak więc widzimy się w piątek rano. Zna pani adres, prawda?

– Tak, znam. Dziękuję. Postaram się nie zająć pani zbyt dużo czasu.

– A zatem do zobaczenia. – Ricard rozłączyła się.  
Taylor schowała telefon, po czym powiedziała:  
– To w sprawie Corinne Wolff. Muszę wam przekazać najświeższe nowiny. – Podrapała się po czole. – Ale to później. Zacznijmy od Gormana. Skąd on jest?  
– Z Antioch. Mieszka przy Blue Hole Road. Możemy go zgarnąć, jeśli chcesz.  
– To jeden z wielu, ale myślę, że im wcześniej zapukamy do ich nor, tym lepiej. To cały pieprzony i śmierdzący podziemny przemysł, a na razie mamy tylko Gormana. A jeśli chodzi o mnie... – Przerwała na moment. – Dziękuję, że próbujecie mnie chronić, ale wygląda mi na to, że będzie to działać tylko na krótką metę. Jak już coś wpadnie do sieci... – Popatrzyła na nich. – Musimy się dowiedzieć, kto nagrał te filmiki, kto je wrzucił do internetu i tak dalej. I powtórzę jeszcze raz: małe są szanse na utrzymanie tego w tajemnicy. Prawie na pewno wypłynie na światło dzienne. Oby tylko Price nie dowiedział się zbyt szybko. – Nagle znów poczuła mdłości.  
– Czy Fitz to widział?  
– Nie – odpowiedzieli chórem.  
– Dzięki Bogu. Nie wiem, czy po czymś takim mogłabym mu spojrzeć w oczy. Wy dwaj i tak już jesteście zepsuci... – Wstała i odwróciła się do nich plecami. Do diabła, jak to rozegrać?  
– Taylor, myśmy nie obejrżeli tych nagrań. Kiedy zorientowaliśmy się, że to ty, wyłączyliśmy i zaczęliśmy grzebać w stronie. Naprawdę. – Lincoln wyciągnął ręce. Chciał ją przytulić.  
Miała ochotę się rozplakać, ale opanowała się. Płaczem niczego nie załatwi. Objęła go.  
– O ile dobrze pamiętam okoliczności, w jakich powstały te... sekstaśmy, to nie bardzo jest się czym chwalić. Ale dziękuję, jesteście wspaniali. – Podeszła do Marcusa i dotknęła jego ramienia. – Dorwijmy tego tłustego chujka. Zobaczymy, co nam powie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy Marcus i Lincoln wyszli, Taylor nie mogła usiedzieć na miejscu, chodziła z kąta w kąt, zwalczała impuls, by zadzwonić do Baldwina. Pragnęła usłyszeć jego głos, ale nie bardzo wyobrażała sobie przebieg rozmowy. Bo niby co miałyby mu powiedzieć?

– Cześć, kochanie. Jak ci minął dzień? Słuchaj, tak przy okazji, nie wiem, czy wiesz, ale po sieci krążą nagrania, na których się pieprzę z moim byłym facetem.

Raczej nie byłby zadowolony. Nigdy nie rozmawiała z nim o szczegółach strzelaniny z udziałem Davida Martina, ani tym bardziej nie wspominała, że sypiali ze sobą. Po prostu świetnie. Przerąbane na całej linii. Typowy David, potrafi schrzanić jej życie nawet z za grobu. Cholery drań.

Myśl! – nakazała sobie, ponownie odtwarzając nagranie. Jak on to zrobił?

David Martin był jednym z największych błędów jej życia. Pracowali razem. Był „złym gliną”, o czym dowiedziała się w trakcie romansu. Roztaczał wokół siebie typowo południowy wdzięk. Nazywał ją zdrobnieniami, które ją drażniły, na przykład „słodka dupeńko” albo „kwiatuszku”. Nie skończył studiów, do policji przyszedł z wojska, tak jak wielu jej kolegów. Nie dzwonił do matki w weekendy, przesadzał z alkoholem oraz, o czym dowiedziała się później, nie stronił od lekkich narkotyków. Po raz tysięczny przyszło jej do głowy pytanie, dlaczego w ogóle postanowiła pójść z nim do łóżka. Nawet Sam mocno się zdziwiła, kiedy Taylor w końcu wypowiedziała się, z kim się spotyka.

Od samego początku ich związek skazany był na niepowodzenie. Doszła do wniosku, że być może właśnie dlatego w ogóle się na niego zdecydowała. Nie szukała męża, po prostu chciała się zabawić. David był atrakcyjny, to na pewno, i od samego początku istniała między nimi jakaś chemia, choć wiązania nie okazały się zbyt trwałe. Zaczęło się od pewnej nabrzmiałej w emocje nocy, podczas której strzelano do nich i tylko cudem uniknęli śmierci. Znaleźli się w kiepskim położeniu, schowani za kontenerami na śmieci, i ostrzeliwali się z gangsterem, którego ścigali. Miał lepszą pozycję, powinien ich zabić, jednak tak się nie stało. Naprawdę można to zrozumieć tylko w kategoriach cudu.

Byli na adrenalinowym haju. Powrócili znad krawędzi i pragnęli czegoś intensywnego. Chcieli poczuć, że żyją. To normalne wśród stróżów prawa.

David ją uwiódł. Potem próbował być romantyczny – kwiatki, cukierki, miłe knajpki, cała ta afera – ale wychodziło mu komicznie i tandetnie. Taylor dała się skusić, bo się nudziła, ale kiedy zorientowała się, czy też tylko tak się jej zdawało, że David obdarzył ją szczerym uczuciem, natychmiast zakończyła ten związek bez przyszłości. Wkrótce awansowano ją na sierżanta, a potem dość szybko na porucznika. Natomiast David pozostał zwykłym detektywem i zazdrościł Taylor kariery. Przypuszczała, że nawet chodzi o coś więcej, w myśl narastającego wzorca: zazdrość, zawiść, nienawiść.

Kiedy odkryła, że David przeszedł na złą stronę mocy, a mianowicie spiknął się z dwoma detektywami z obyczajówki, którzy handlowali amfą, nie miała wyboru, musiała go aresztować. Wiedział o tym również David, dlatego doprowadził do konfrontacji w jej domu. Zastrzeliła go w obronie koniecznej.

Mimo to znalazł sposób, by nawet po śmierci jeszcze się z nią zabawić, i to jak najbardziej dosłownie. Skoro od roku nie żył, jakim cudem wrzucił do sieci sekstaśmy z ich udziałem?

Nacisnęła „play” i tym razem odrobinę, naprawdę bardzo lekko, pogłośniła. Cisza



w głośnikach. Nacisnęła „stop” i zastanowiła się. Chciała się zapoznać nie tylko z wideo, ale i z audio, lecz nie mogła puścić nagrania na całe biuro. Wtedy sobie przypomniała o iPodzide. Otworzyła szufladę biurka, wyjęła odtwarzacz, odłączyła od niego słuchawki i wpięła do laptopa Lincolna. Potem wstała i zrobiła coś, co jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło, a mianowicie zamknęła na klucz drzwi do gabinetu.

Upewniwszy się, że nikt jej nie przeszkodzi, wróciła na miejsce, włożyła słuchawki do uszu i nacisnęła „play”.

Godzinę później czuła się wykończona, wściekła i zawstydzona jak jeszcze nigdy. Obejrzała wszystkich dziewięć filmików, na których pieprzy się z Davidem Martinem. Budziła w niej odrazę sama myśl o tym, że ich intymne chwile oglądają obcy ludzie. Przerazało ją to. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie pozwalają się filmować podczas seksu.

Zamknęła laptopa. Po obejrzeniu wszystkich nagrań stwierdziła z całą pewnością, że w domu znajdowały się dwie kamery. Jedna była skierowana na łóżko, a druga oglądała z sypialni poddasze, gdzie stał stół do bilardu. Ta kamera pokazywała jedynie krótkie przebitki, jak David i Taylor grają w bilard, po czym obraz ponownie koncentrował się na wyczynach w sypialni. Z tego, pod jakim kątem oglądało się akcję, wywnioskowała, że kamery ukryto w otworach odpowietrzających.

Sukinsyn. Zastanowiła się, kiedy mógł mieć okazję, by zainstalować podgląd. Nigdy nie zostawiała go samego w swoim domu, rzadko kiedy pozwalała mu zostać na noc. Seks seksem, ale spanie z Davidem to zupełnie inna para kaloszy.

Gotując się ze złości i wymyślając sposoby zemsty na martwym kochanku, ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że David mógł nie działać sam.

– Nic nie zrobiłem! Po jaką cholere żecie mnie aresztowali? Ty głupia suko!

Wściekły Tony Gorman siedział w pokoju przesłuchań. Był sam. Wrzeszczał do kamery zamontowanej pod sufitem. Taylor, Marcus i Lincoln zebrali się w pomieszczeniu obok i obserwowali plującego jadem Gormana. Taylor przewróciła oczami i wyłączyła dźwięk. W pokoju zapanowała błoga cisza.

– Jak chcesz to zrobić? Najpierw my z nim pogadamy? Gość się mocno rzuca. – Lincoln rwał się do akcji. Kilka tygodni rozpracowywania sprawy Terrence’a Nortona odcisnęło na nim wyraźne piętno. Dobrze wychowany i elegancki Lincoln chwilowo ustąpił miejsca porywczemu i zaniedbanemu Lincowi.

– Nie, sama chcę z nim porozmawiać.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – spytał Marcus, stukając palcem w monitor. – Nie wiesz, do czego jest zdolny.

Wbiła spojrzenie w Gormana.

– Chcę z nim pogadać. Sama. – Było w jej głosie coś takiego, co ucinało wszelką dyskusję. Dostrzegła, że Lincoln i Marcus zamilkli i odsunęli się, podkreślając, że szanują jej przestrzeń. Popatrzyła na nich. – Spokojnie, co to za miny? Chcę, żebyście słuchali naszej rozmowy. Może wyłapiecie coś, czego on nie powie mi wprost. Przecież ten palant nie zacznie śpiewać jak ptaszek tylko dlatego, że grzecznie go o to poproszę. Mogę na was liczyć?

– Oczywiście – odparł Marcus, a Lincoln tylko pokiwał głową.

– To dobrze. W takim razie do roboty.

Wyszła i stanęła przed drzwiami do pokoju przesłuchań. Cholera, liczy się czas. Trzeba to załatwić szybko. Media lada moment zwietrzą, że policja aresztowała Todda Wolffa. Taylor nie zamierzała pozwalać, by jakiś tłusty cymbał odciągał ją od trudnego śledztwa w sprawie morderstwa. Ale musiała poznać prawdę.

Kiedy otworzyła drzwi, Gorman niemal się na nią rzucił.

– Kurwa, co tak długo?! – Prawie się zapluł od tego wrzasku, a gdy Taylor zignorowała go i usiadła przy stole, dalej się pieklił: – Pytałem, co tak długo, do kurwy nędzy! Rozkuj mnie. Nic nie zrobiłem. Nie wiem, po co mnie tu przywieźliście. Chcę się widzieć z moim adwokatem!

– Opuść sobie. Oczekuję od ciebie odpowiedzi na kilka pytań. Jeśli się uspokoisz, załatwimy to szybko i bezboleśnie. Oczywiście o ile nie zrobiłeś niczego nielegalnego.

Gorman pocił się jak świnia, a blisko osadzone oczka świeciły. Kryła się w nich pogarda, a także coś mrocznego. Wyglądał jak oprych – małe oczy, perkaty nos, zaczerwieniona skóra, wąskie usta. Gdyby był damskim bokserem, można by go wziąć za typowego mieszkańca osiedla przyczep kempingowych, a gdyby mu włożyć bejsbolówkę, wyglądałby jak jeden z tysięcy dobrze się zapowiadających chłopaków po studiach, którzy zeszli na psy. Ciekawe, czy istnieje gen odpowiadający za taką powierzchowność. Taylor dostrzegała okrucieństwo w rysach Gormana, to musiała być jedna z jego naczelnych cech. Przyglądała mu się z uwagą, jakby czyniła jakieś antropologiczne badania. Doskonale widziała, jak Gorman bije się z myślami.

Gdy w końcu pokiwał głową i posłał jej wściekłe spojrzenie, oznajmiła:

– Bardzo dobrze. Zatem chwilowo będziemy dla siebie uprzejmi. – Gdy obniżyła głos, pojawiła się chrypka. Nieco pochyliła się do przodu. – Panie Gorman, proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze, czy lubi pan patrzeć, jak inni uprawiają seks?

Nie odpowiedział, ale oczy mu zaślniły. Oblizał się. Taylor poczuła guł w gardle. Tfu, co za oblech! Nic dziwnego, że nie pozostawało mu nic innego, jak podglądać innych...

– Rozumiem, że tak. Byłabym wdzięczna za informacje o internetowym klubie, do którego pan należy. Nazywa się Selectnet.com, nie mylę się?

Tony Gorman był świetnym kłamcą, po prostu wyśmienitym. Spojrzał Taylor w oczy i opowiedział wszystko, co wiedział na temat Selectnet.com. Nawet nie mrugnęła mu powieka, nie odwrócił wzroku, skóra w kącikach oczu nie napięła się, nie poruszył dłonią ani nawet palcem. Za opanowanie mowy ciała zasługiwał na Oscara. Mówił bardzo długo. Nie wiedział tylko, że za każdym razem, gdy z jego ust padało kłamstwo, jego źrenice rozszerzały się i zwęzły. Taylor musiała przyznać, że przynajmniej był pomysłowym kłamcą.

Doskonale знаła takich facetów, według których miejscem kobiety była kuchnia. Kobieta powinna przygotowywać posiłki, mieszać drinki i dbać o to, by mężczyzna zawsze był należycie obsłużony. Baby do garów, co?

Dlatego pozwoliła mu mówić, ale nie słuchała, co miał do powiedzenia, tylko zastanawiała się, z jakiego powodu ten typ wymyśla piętrowe kłamstwo. Co takiego chce ukryć?

Kwadrans później ziewnęła i przeciągnęła się.

– To fascynujące, panie Gorman.

– Powiedziałem wszystko, co wiem.

– Same bzdury. Jeśli chce pan prędko opuścić ten pokój, radziłabym, żeby pan zaczął mówić prawdę. Selectnet.com. Słucham.

Zaczął bełkotać przekleństwa – pozwoliła mu na to. Zaczął zaprzeczać – to też przełknęła. Oglądała paznokcie i czekała. Potem spróbowała raz jeszcze, zawahawszy się tylko przez ułamek sekundy. Cóż, trudne sytuacje wymagają zastosowania radykalnych środków. Odchyliła się na krześle i powiedziała wymijająco lekkim tonem:

– Panie Gorman, prawdę proszę. Nie wiem, czy pan zauważył, ale nie został pan formalnie zaaresztowany. Sprowadziliśmy pana na, nazwijmy to, bardzo nieoficjalną rozmowę. Nie włączyłam kamer. Mogę z panem zrobić, co mi się spodoba, i nikt się o tym nie dowie. – Prawą ręką wyjęła glocka z kabury i położyła go na stole.

Gorman otworzył oczy ze zdumienia.

– Grozisz mi?

– Nie, daję ci wybór. Albo porozmawiamy tu i teraz, albo wyprowadzę cię tylnymi drzwiami i nikt nie będzie wiedział, dokąd pojedziemy. – Przesuwała palcem po rękojeści pistoletu. – Nie chciałabym, żeby coś przykrego ci się przytrafiło, no wiesz... Ale wtedy musielibyśmy skontaktować się z mediami i powiedzieć, skąd się u nas wzięłaś. Musielibyśmy ujawnić, że zostałeś przywieziony na policję jako podejrzany w sprawie o, powiedzmy, pornografię dziecięcą. – Uniosła brwi, uśmiechnęła się. – Tak, to dobry pomysł! – ucieszyła się. – Media z miejsca to kupią, bo idealnie pasujesz do wizerunku palanta, którego kręcą te wszystkie chore, zboczone świństwa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Tutaj ja rządę, Gorman. Albo zaczniesz mówić prawdę o klubie, do którego należysz, albo to popołudnie skończy się dla ciebie źle, po prostu fatalnie. Dotarło?

Dotarło. Gorman spasował i potulnie wyśpiewał wszystko, co Taylor chciała usłyszeć. Słuchając jego opowieści, czuła wzbierającą furję.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Choć zaciągnięto grube zasłony, do pokoju konferencyjnego przesączało się ciepłe światło popołudniowego słońca. Baldwin i Garrett siedzieli przy prostokątnym stole, a na zawieszonym na ścianie płaskim monitorze widniała okrągła facjata Atlantica. Prowadzili zaszyfrowaną rozmowę z Berlinem, bo tam aktualnie przebywał Atlantic.

Baldwin miał zaczerwienione, zapuchnięte oczy. Potrzebował snu. Jeszcze trochę. Przeczesał włosy palcami, ziewnął i potarł oczy.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem zmęczony. Pracowaliśmy do rana.

– Jasne, rozumiem to – odparł Atlantic.

– Wracając do tematu. Pierwsze nazwisko, na które zwróciłem uwagę, to Ali Fatima. Trzy tygodnie temu poleciał z Lizbony do Paryża, gdzie jako André Guigernon zatrzymał się na tygodniowy pobyt w hotelu. Pod tym nazwiskiem poleciał z Paryża do Montrealu, gdzie również spędził tydzień. Aby dowiedzieć się, co robił w tych miastach, będziemy musieli dokładniej pogrzebać w materiałach, ale to może poczekać, wrócimy do tego. Natomiast warto skontaktować się z francuskimi i kanadyjskimi władzami i dowiedzieć się, czy w tym czasie nie zdarzyły się jakieś niewyjaśnione morderstwa, których sprawców nie udało się odnaleźć. Kto wie, może jest za nie odpowiedzialny nasz człowiek?

– Zajmę się tym – powiedział Garrett.

– Okej. W Montrealu zmienił nazwisko na Alexandre Cadoc i przeniósł się do Seattle.

Tutaj mieliśmy trochę szczęścia. Otóż na lotnisku Sea-Tac mają specjalny korytarz dla pasażerów lotów międzynarodowych, który umożliwia szybsze przejście odprawy. Z kamery zamontowanej w korytarzu uzyskaliśmy piękne ujęcie jego twarzy. Odebrał bagaż, opuścił lotnisko, ale wrócił dwie godziny później już jako Arthur Bleheris i poleciał do Denver. Wiemy, że tam wynajął samochód. I tyle. Zgłosiliśmy samochód do bazy poszukiwanych aut, ale od wyjazdu z Denver ślad po nim zaginął. Firma wynajmująca samochody standardowo montuje GPS w swoich autach, ale nasz człowiek ponoć wyraźnie zaznaczył, że życzy sobie model niewyposażony w to urządzenie. Pracownica firmy pamięta, że wspominał, jakoby „lubił się zgubić”, bo „tylko w ten sposób można naprawdę poznać kraj”.

– To w tej chwili wszystko, czym dysponujemy. Nie wiem, gdzie Aiden przebywa ani co planuje. Nadal nie wiadomo, od kogo przyjął zlecenie na terenie Stanów Zjednoczonych. – Spojrzał Atlanticowi w jego wielkie, zimne oczy. – Gdzie się podział jego opiekun? Jak Aidenowi udało się dokonać tego wszystkiego bez naszej wiedzy?

– Opiekun nie żyje.

– Kiedy? – Baldwin zmrużył oczy.

– Miesiąc temu we Florencji.

We Florencji? Przed miesiącem? Czyli wtedy, kiedy bawili tam z Taylor. Kupił jej nowy pierścionek, a potem żartowali i gruchali jak nastolatki. Nagle zrozumiał. Aiden. Taylor. Oboje w jednym mieście. Baldwin jako wspólny mianownik. Zerwał się z krzesła.

– Wiedziałeś, do jasnej cholery! Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Nie znamy jego zamiarów. – Tyle Atlantic miał do powiedzenia.

– Zgadza się, nie znamy – przyznał Baldwin. – Ale zastanów się: głowimy się nad zleceniem, o którym nic nie wiemy. Nad zleceniem od nieznanego źródła, którego nie namierzaliśmy. Kilka tygodni temu Aiden był w tym samym mieście, w którym przebywam na wakacjach z moją narzeczoną. Jego opiekun zostaje znaleziony martwy. Aiden przylatuje do

Stanów. Jak myślisz, do ciężkiej cholery, jakie może mieć zamiary? Poluje na mnie, to przecież jasne! Po fiasku operacji z jego rodziną poprzysiągł, że mnie załatwi. No i proszę, siedzę w Quantico, w bezpiecznych murach biura, podczas gdy powinienem być w Nashville i pilnować, by Aiden nie zniszczył mi życia, tak jak ja zniszczyłem jemu.

Atlantic pochylił głowę i powiedział:

– Baldwin, zależy nam przede wszystkim na tym, żebyś go odnalazł.

Był zbyt zmęczony, by się kłócić, zresztą spieranie się z Atlantikiem nie miało sensu, o czym przekonał się już dawno temu. Zwrócił się więc do Garretta:

– Jak mogłeś mi nie powiedzieć? Przecież wiesz, że do odnalezienia tego człowieka może się przydać każda informacja, a ty zataiłeś przede mną tę najważniejszą. Jezu, Garrett, sądziłem, że mogę ci ufać.

Atlantic odchrząknął, po czym oznajmił:

– Garrett zrobił tylko to, o co go poprosiłem. Nie chcieliśmy, aby sprawy osobiste przeszkodziły ci w trzeźwej ocenie sytuacji. Gdybyś wiedział, że jesteś celem Aideny, nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku.

– No jasne. Bo nic innego się dla ciebie nie liczy, prawda? Mam robić swoje i się nie wychylać. Wal się, Atlantic.

Baldwin wypadł z pokoju i poszedł do biura. Do diabła z wami wszystkimi! – dudniło mu w głowie. Kładziecie na szali ludzkie życie w imię swych brudnych interesów. Kij wam w oko.

Nie pora o tym myśleć. Gdzieś tam, w sercu Stanów Aiden siedzi za kierownicą wynajętego samochodu, którym zmierza do swego celu. I Baldwin musi go znaleźć, zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Taylor zleciła Lincolnowi zweryfikowanie informacji uzyskanych od Tony'ego Gormana, który na jej wyczucie nawet nie zdawał sobie sprawy, jak istotną wiedzą podzielił się z policjantami. Natychmiast zrozumiała, że sprawa ma zadatki na szeroko zakrojone śledztwo federalne. Wiedziała też, że nie ma zbyt wiele czasu.

Wypuściła Gormana. Marcus odprowadził go do wyjścia, a nawet złapał mu taksówkę. Gorman nieprędko wróci do gmachu policji. Nie odgrywał istotnej roli w sprawie, był tylko zbokiem, nieuleczalnym podglądaczem. Choć zbokiem w sumie niegroźnym, i tak też ujmuje to prawo. Oglądanie ludzi, którzy uprawiają seks, nie jest czynem nielegalnym, nie podpada pod paragraf, chyba że któraś z tych osób jest nieletnia. Taylor była pewna, że Gorman będzie grzeczny i nie puści pary z ust. Dobrze trafiła, grożąc, że może go powiązać z pornografią dziecięcą. Gorman sprawiał wrażenie, że nie może się doczekać, kiedy wróci do domu i czym prędzej wykasuje zawartość twardego dysku, by komputer stał się czysty. Jeden zero dla umiejętności czytania w ludzkich duszach. Jeśli nazwisko Gormana wypłynie na późniejszym etapie śledztwa i trzeba go będzie aresztować, Taylor robi to bez żalu. No, po prostu z ochotą.

Zabębniła palcami o blat biurka, zastanawiając się, co dalej. Musiała odwiedzić miejsce upokorzenia, czyli pojechać do swojego domu. Nie mieszkała już w nim, ale nie potrafiła go sprzedać. Był to jej pierwszy prawdziwy dom i czuła się związana z nim emocjonalnie, dlatego wynajęła go dwóm studentkom Uniwersytetu Belmont. W jednej z sypialni do dziś mogła znajdować się kamera.

Pomyślała o Baldwinie. Wiedziała, że musi mu powiedzieć, co się stało. Zdając sobie sprawę, że próbuje zyskać na czasie, postanowiła zadzwonić do niego wtedy, gdy znajdzie wystarczająco dużo czasu, by spokojnie porozmawiać. Przecież nie mogła zadzwonić w środku dnia i wychłipać do słuchawki, jaki to miała gigantycznie, wręcz kosmicznie zły dzień. Gorszy, niż kiedy podejrzany poderżnął jej gardło. Gorszy, niż kiedy została porwana w dniu ślubu. Kurwa, nawet gorszy, niż kiedy musiała aresztować własnego ojca.

Dość tego! Schowała emocje do szuflady, wrzuciła tam również bolesną pewność, że Baldwin będzie nią bardzo zawiedziony, i przekreśliła klucz. Praca czeka.

Absolutnym priorytetem powinna być dla niej sprawa morderstwa Corinne Wolff. Czuła się, jakby po raz ostatni myślała o niej nie przed godziną, lecz przed rokiem. Ponieważ była mocno wypompowana psychicznie, przez co czuła się również wyczerpana fizycznie, wołała na razie nie wlec się do pokoju przesłuchań. To musi poczekać, aż złapie oddech, a teraz zadzwoniła do Fitz'a.

– No cześć – rzucił do słuchawki.

Uff... Nic nie wiedział o szaleństwie, które rozpętało się w biurze. Nie potrafiła sobie wyobrazić konfrontacji z rozczarowanym Baldwinem, ale z jeszcze większym strachem myślała o reakcji Fitz'a, gdy dowie się o filmikach. Ale to później. Przełknęła ślinę i robiąc dobrą minę do złej gry, spytała:

– Cześć, Fitz. Jak stoją sprawy?

– Wolff opornie współpracuje, ale tego się spodziewaliśmy. I wydaje mi się, że powinniśmy uważać na Miles'a Rose'a. Wyszedł przed dziesięć minutami, klnąc, na czym świat stoi. Zagroził, że zwoła konferencję prasową i poinformuje media, w jaki sposób traktujemy jego klienta. Piekli się, że wywieramy na Wolffa presję.

– Ciekawe, bo Rose nie wygląda na takiego, który by wierzył w skuteczność konferencji

prasowych.

– Racja. Po tym, jak pobraliśmy próbkę DNA od Wolffa, mieli czas, żeby się naradzić. Rose i Wolff wyglądali jak koty, które zjadły kanarka.

– Wolff nie wie, że znaleźliśmy krew Corinne w jego aucie. Zdziwi się, kiedy go o tym poinformujemy. Co poza tym?

– Nie powiedział nic nowego, nie podał żadnego nowego alibi, nic z tych rzeczy. Wścieka się, że chcemy go aresztować, i tyle. Ale czuję, że coś się kroi.

– Kiedy ma być konferencja Rose'a?

– Nie wiem.

– Rozumiem... Fitz, pogadamy później, dobrze? Odezwij się, jeśli wypłynie coś nowego.

I vice versa.

– Jasna sprawa. Na razie.

Gdy rozłączyli się, głośno westchnęła. Cholerni prawnicy zawsze potrafią zaleźć za skórę. Podnosiła się z krzesła, kiedy telefon znów zabrzączał. Tym razem dzwonił ktoś z biura prokuratora okręgowego. Oho.

– Porucznik Jackson.

– Cześć, mówi Julia Page. Widzę, że jednak Todd Wolff zostanie aresztowany. Sędzia już zwołał posiedzenie. Właśnie się zastanawia, czy mamy dość materiału, by przedstawić go wielkiej ławie przysięgłych, i na kiedy wyznaczyć wstępne przesłuchanie stron. Myślę, że nie będziemy tracili czasu. Czy macie nowe dowody?

Taylor poczuła nieodpartą chęć uderzenia się otwartą dłonią w czoło. Płyty! Kompletnie zapomniała o pięciu srebrnych krążkach, które przywiozła z domu Wolffów.

– Prawdopodobnie. W tej chwili przeglądamy zabezpieczone materiały. Nie sądzisz, że za bardzo się śpieszycie? Ta sprawa wciąż jeszcze jest rozwojowa, nie mamy jeszcze nic absolutnie pewnego. Moim zdaniem za wcześnie na przedstawianie jej wielkiej ławie.

– Wolff jest podejrzewany o zamordowanie ciężarnej żony, a w takich przypadkach próg tolerancji jest bardzo niski, zwłaszcza na wstępnym przesłuchaniu. Na sto procent sprawa zostanie skierowana do rozpatrzenia przez wielką ławę przysięgłych.

– Nie wołałabyś, żebyśmy najpierw zgromadzili więcej dowodów?

– Nie ma takiej potrzeby. Pójdziemy na całość. Zaufaj mi. Postawimy go w stan oskarżenia, a wy stopniowo będziecie dostarczać materiały.

– Myślisz, że wyjdzie za kaucją?

– Zależy, na kogo trafi. Jeśli na sędziego Harrisona, to nie ma takiej możliwości, ale ta nowa, Bottelli, może go puścić. Tak czy owak, będzie go to drogo kosztowało.

– No dobrze. Jak chcesz, Julio. To ty jesteś gwiazdą prokuratury, nie ja. Dopilnuj, żeby oskarżenie się kleiło, bo nie mam ochoty tłumaczyć się przed kamerami, dlaczego koncertowo spieprzyliśmy tę sprawę. A jak już dojdzie do katastrofy, to całą winę zwałę na ciebie.

Page roześmiała się, doceniając cierpki humor Taylor, po czym odparła:

– Nie łudzę się, by mogło być inaczej. Na razie.

Rozłączyła się, zanim Taylor zdążyła odpowiedzieć. Sądząc po tonie głosu, po pobrzmiwających w nim nutach, Julia Page stała się jak tygrys, który zwietrzył plaster soczystego steku, położył na nim łapę i nie zamierza podzielić się z innymi. Gorączka śledztwa w sprawie morderstwa udziela się nawet najbardziej opanowanym prawnikom.

Mało czasu, a mnóstwo do zrobienia. Wizyta w starym domu, a także przeżywanie i osvajanie się ze wstydem wynikłym z tego, że naga i pieprząca się została wystawiona na widok publiczny – to znaczy nie do końca publiczny, ale dostępny dla każdego, kto wyłożył odpowiednią kwotę – wszystko to musiało poczekać, ponieważ pierwszeństwo miała analiza płyt

zabranych z domu Wolffów.

– Marcus! – krzyknęła, zaglądając do gabinetu.

Detektyw Wade miał potargane włosy. Przypomniała sobie o Baldwinie i zatęskniła za nim. Ale na takie tęsknoty pozwoli sobie później.

– Jeszcze nic nie mamy, pracujemy...

– Nie o to chodzi. W piwnicy w domu Wolffów Tim znalazł kartony z płytami. Przyniosłam pięć sztuk. Wypadałoby je przejrzeć. Masz ochotę na kolejny seans?

Zobaczyła jego minę i wybuchnęła śmiechem. No i proszę, od razu lepiej! Poczwała ulgę, pomyślała, że wszystko będzie dobrze. Jeszcze nie wiedziała jak, ale na pewno przetrwa ten kryzys. Przecież w niczym nie zawiniła. To nie ona wrzuciła nagrania do sieci.

– Spokojnie, nie ma mnie na nich. No, chyba. Wolffowie mają w piwnicy niezłe urządzone studio filmowe. Podejrzewam, że to ich autorska produkcja. Obejrzyjmy. Co nam szkodzi, i tak ten dzień stoi pod znakiem sprośności. – Uśmiechnęła się.

– Okej – odparł Marcus z kwaśną miną.

– Jeszcze jedno. Zamów pizzę albo coś. Umieram z głodu.

– Zrobi się. Będzie pizza. Za minutę w konferencyjnej?

– Okej.

Po chwili włączyła telewizor w sali konferencyjnej, włożyła płytę do odtwarzacza DVD i wybrała pierwszą scenę. Wszedł Marcus i zajął miejsce w fotelu. Naciśnęła „play”.

Filmiki ze strony Selectnet.com były ziarniste i czarno-białe, zaś ten z płyty miał krystalicznie czysty, kolorowy obraz. Ekran wypełniło ciepłe światło. Oko kamery skierowano na łóżko. Poznała je, stało w piwnicy Wolffów. Film był domowej roboty, ale robił wrażenie wysoką jakością nagrania i dało się zauważyć, że realizator musi mieć spore doświadczenie w tego rodzaju produkcjach. W tle dyskretnie sączył się smooth jazz.

Zbliżenie. Na łóżku dwie splecione w uścisku kobiety namiętnie się całowały. Jedna była całkiem naga, jeśli nie liczyć cienkiego paska ze świecidełkami, a druga miała na sobie biustonosz bez miseczek, z którego wylewały się obfite piersi. W pewnej chwili w kadrze pojawił się mężczyzna. Był to Todd Wolff. Kobiety przywitały go zalotnymi uśmiechami, po czym rozebrały i pociągnęły na łóżko.

Marcus pokręcił głową.

– Klasyka. Domowy pornos...

– W którym gra nasz główny podejrzany – wpadła mu w słowo. – Co on tam robi? –

Przekrzywiła głowę. – A niech to...

Todd, który stał tyłem do kamery, wymierzył jednej z kobiet solidnego klapsa. Taylor wcisnęła pauzę i skrzywiła się. Nie była pruderyjna, ale miała już dość oglądania ludzi uprawiających seks.

Marcus zabrał jej pilota, naciśnął „play” i włączył przewijanie. Postaci na ekranie zaczęły poruszać się w przyspieszonym tempie, i w ten sposób powstała parodia łóżkowych igraszek.

– Wygląda profesjonalnie – powiedział Marcus. – Musimy się dowiedzieć, czy Wolff kręcił to na własny użytek, czy na handel.

– Czy w tym drugim przypadku możemy ich aresztować?

– Zależy. Jeśli rzecz odbywała się bez wiedzy uczestników, wtedy tak, ale te dziewczyny wyglądają na świadome i chętne. Z tego, jak opisałaś ukryte w piwnicy studio Wolffa, wynika, że musiałyby być kompletnymi kretynkami, gdyby nie wiedziały, co jest grane. Myślę, że to jednak legalna produkcja. – Zrobił się czerwony, ale brnął dalej: – Byłaś kiedyś w sklepie Hustlera przy Church Street?

– Oho... – Posłała mu sardoniczny uśmiech. – Rozumiem, że ty byłeś?



– A ty nie? – Odwdzięczył się tym samym.  
– Nie. Milion razy tamtędy przejeżdżałam, ale jakoś nigdy nie weszłam do środka.  
– W takim razie myślę, że przydałaby ci się wycieczka edukacyjna. Otóż w tym sklepie mają dział poświęcony domowemu porno. „Niegrzeczne sąsiadeczki”, „Puszczalskie mamusie młodych sportowców” i tak dalej. Okazuje się, że istnieje spore zapotrzebowanie na tego typu produkcje. Może Wolff próbował znaleźć sobie miejsce na rynku?

– Wiesz co, wydaje mi się, że zbadanie tego wątku pozostawię tobie. – Spojrzała na ekran. – A może to pospolity zbok, który lubi filmować siebie podczas uprawiania seksu pozamałżeńskiego? Nic dziwnego, że Corinne miała napady lęku. Też bym miała.

– Zaraz! – krzyknął zaintrygowany Marcus, naciskając „play”, by akcja zwolniła. – A niech mnie...

– Co?

– Już wiemy, kto stał za kamerą.

– Cofnij.

– Okej. – Kiedy dotarł do momentu, który zwrócił jego uwagę, nacisnął „play”.

Na ekranie pojawiła się Corinne Wolff. Miała warkoczyki, była ubrana w spódniczkę w szkocką kratę i koronkowy biustonosz z otworami na sutki. Trzymała w ustach lizaka. Tańczyła przed kamerą, zmysłowo wyginała się i przeciągała, a mąż i jego dwie kochanki oglądali ją, leżąc na łóżku. Corinne zrobiła nieśpieszny striptiz. Pozbyła się spódniczki i zdjęła biustonosz, a potem powoli podeszła do łóżka. Todd wyciągnął do niej rękę. Położyła się i po chwili zniknęła pod nagimi ciałami i pieszczotą ich ust i dłoni. Nastąpiło zaciemnienie, muzyka ucichła, było słyhać tylko jęki rozkoszy Corinne. Po kilkusekundowej przerwie ekran znów pojaśniał i zaczęła się kolejna scena, dość podobna do poprzedniej.

– To tyle, jeśli chodzi o ataki paniki. – Taylor jeszcze nie wiedziała, co począć z nowo nabytą wiedzą. Na nagraniu Corinne nie wyglądała na ciężarną, musiało więc powstać przed pięcioma, sześcioma miesiącami, może wcześniej.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– To pewnie pizza. – Marcus otworzył i uśmiechnął się do młodej recepcjonistki, która okazała się na tyle uprzejma, by osobiście przynieść śledczym zamówione jedzenie.

Dziewczyna zacerwieniła się i czym prędzej wycofała. Taylor uświadomiła sobie, że nie zatrzymała nagrania. Wcisnęła „stop”, notując w pamięci, żeby później wytłumaczyć się recepcjonistce.

Marcus zamknął drzwi i położył pizzę na stole. Zaczęli jeść. Przez chwilę milczeli.

– Zdajesz sobie sprawę, że niniejszym grono osób podejrzanych o zamordowanie Corinne znacznie się powiększyło, prawda? – Mówiąc to, Marcus wciągał długą nitkę sera.

– To się wie. Będziemy musieli znaleźć wszystkich, którzy przewinili się przez rozrywkową piwnicę Wolffów. W Nashville na pewno mieszka przynajmniej kilka sfrustrowanych aktorek. Z tym amatorskim porno w sklepie Hustlera to prawda?

– Tak. Dział robi wrażenie, jest naprawdę imponujący. Myślę, że w pierwszym rzędzie musimy ustalić, czy Wolff kręcił pornosy na własny użytek, czy na sprzedaż.

– Wiesz, Marcus, to był naprawdę dziwny dzień. Mam propozycję: przejrzyj pozostałe płyty i sprawdź, co na nich jest. W piwnicy Wolffów znajdziesz tego jeszcze kilka pudeł. Nie uciekniemy od tego, trzeba będzie wszystko obejrzeć. Cudownie, prawda? Ja w tym czasie dowiem się, czy będziemy mogli po raz kolejny porozmawiać z panem Wolffem.

– Nie ma sprawy. Powiem Timowi, żeby podesłał dyski, kiedy zabezpieczy ślady. – Spojrzał jej w oczy. – A co zamierzasz w sprawie swoich... no, taśm?

Taylor pokręciła głową.

– Sama nie wiem. Z tego, co wyśpiewał Gorman, wynika, że mamy do czynienia z przedsięwzięciem na znacznie szerszą skalę, niż sądziliśmy. Sami nie mamy wystarczających środków, żeby się tym zająć, więc sądzę, że pójdziemy z tym do TBI. – Skubnęła kawałek twardej skórki.

– A Baldwin?

– Co Baldwin?

– Nie mógłby tego przejąć?

– Że niby FBI, a nie TBI?

– No.

– Pomijając ewidentny konflikt interesów, nie wydaje mi się, żeby Baldwin miał ochotę bawić się w subtelności. – Odłożyła skórkę do pudełka. – Wytropiłby winnych i zmusił, by zapłacili za to, co zrobili. Albo zastrzeliłby mnie na miejscu. Wołałabym załatwić tę sprawę po cichu. – Posłała mu znaczące spojrzenie.

– Nie powiedziałaś mu?

– Jasne, że nie. Jakoś nie mam ochoty na tę rozmowę. Ale nie ma rady, będę musiała pogadać z Price'em, co może się dla mnie źle skończyć. Wiesz o tym, prawda?

– Właśnie dlatego najpierw powinnaś porozmawiać z Baldwinem. On cię ochroni.

– Wcale nie. – Ech, gdyby tylko mógł to zrobić, dodała w duchu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Taylor poszła do biura szeryfa i poprosiła o kolejne spotkanie z Toddem Wolffem.

W biurze panowała gorączkowa atmosfera. No, ale nie co dzień trafiało się takie popołudnie: podejrzany o popełnienie morderstwa za kratkami, a w celi obok słynny futbolista i piętnastu jego koleś. Innymi słowy, mnóstwo pracy dla funkcjonariuszy stosunkowo niewielkiego aresztu.

Dziesięć minut później do pokoju przesłuchań strażnik przyprowadził Todda Wolffa. Był w kajdankach, miał na sobie jasnobrązowy jednoczęściowy kombinezon z napisem „Własność Biura Szeryfa Hrabstwa Davidson”. Przynajmniej dobrze, że nie założyli mu łańcuchów na nogi, pomyślała. Nie było potrzeby dodatkowo upokarzać Wolffa.

Podążyła ręką Milesowi Rose'owi, skinęła głową Wolffowi i powiedziała:

– Proszę usiąść. Wyniknęły nowe okoliczności, panie Wolff. Odpowie pan na kilka pytań i wróci do celi.

– Pani porucznik – odezwał się Rose – poradziłem mojemu klientowi, żeby nie rozmawiał z panią. Bóg raczy wiedzieć, co znów ma pani w zanadrzu. Może kolejne sfabrykowane dowody?

– Uprzejmie dziękuję za pomoc – odparła z jawnym sarkazmem.

Ten taneczny układ nie zmieniał się od lat. Kolejny adwokat torpedował jej zamiary szyderczo-kpiącym tonem, ona zaś patrzyła na niego z góry, zbywała pogardą i robiła swoje. I tak w kółko, do znudzenia. Niczym aktorzy w prawniczym dramacie wyświetlanym i o poranku, i na seansach wieczornych.

Po zwyczajowej wymianie uprzejmości Taylor przyjrzała się Toddowi Wolffowi. Na kolanach trzymała szarą teczkę, do której spinaczem przypięto jego zdjęcie. Spojrzała na oryginał i ujrzała szare oblicze, nabiegłe krwią oczy, a na ustach cień uśmiechu. Tymczasem na fotografii były obnażone kły, jak u rozwścieczonego psa. Sympatycznego studencika zastąpił zmęczony życiem budowlaniec. Interesująca przemiana. Sprawily to kajdanki. Sprawdzały się za każdym razem. Za pieniądze można sobie kupić atrakcyjną aparycję, ale forsa nie zmienia się duszy, nie zmyje brudu, nie wypoleruje porysowanej powierzchni.

Otworzyła teczkę i wyjęła z niej dwa fotosy. Nie pokazała ich Wolffowi.

– Panie Wolff – zaczęła – dziś po południu odkryliśmy coś bardzo ciekawego. Otóż chciałabym pomówić z panem o pańskim domowym planie filmowym. – Patrzyła, jak Wolff w milczeniu podniósł rękę i podrapał się po brwi. Potem dłoń powędrowała ku skroni, którą zaczęła powoli masować. – Boli pana głowa?

– A panią by nie bolała? – rzucił niecierpliwie.

– Pewnie tak. Proszę odpowiedzieć na pytania, a dopilnuję, by dostał pan aspirynę przed snem.

– Wszystko jedno. – Odwrócił głowę.

Coraz bardziej było dla niej oczywiste, że próbował wykręcić się od współpracy.

– Domowe studio filmowe.

– No i co?

Położyła fotografie na stole. Wolff tylko zerknął, za to Miles upuścił długopis na podłogę. Zdjęcia były fotosami z pierwszego filmu, który obejrzel z Marcusem. Przedstawiały dwie dziewczyny i Wolffa. Taylor uniosła jedno z nich i stuknęła palcem.

– Proszę powiedzieć, kim są te kobiety.

Posłał jej wilczy uśmiech, groźny i złowieszczy, przeczący wizerunkowi łagodnego

studenta, zapalonego sportowca na boisku i poza nim postępującego zawsze fair.

– Nie.

Taylor spojrzała na Rose'a: nachylał się nad stołem i nie mógł oderwać wzroku od zdjęć. Jeszcze chwila i się spuści, pomyślała. Faceci i porno to zawsze była dla niej zagadka. Bo co oni, do cholery, w tym widzą?

Postanowiła spróbować ponownie.

– Panie Wolff, niech pan będzie rozsądny. Musimy porozmawiać z tymi kobietami choćby po to, by się upewnić, że wystąpiły w pana filmie z własnej woli. Rozumie pan?

– Do niczego ich nie zmuszałem, akurat tego może być pani pewna – rzucił z jawną i pełną pychy drwiną.

– W takim razie proszę mi umożliwić spotkanie z nimi. Chciałabym zaspokoić ciekawość.

– Nie. Rozmowa skończona. Miles, chcę do celi – oznajmił, podkreślając ostatnie słowo.

Czyżby nagle pogodził się z tym, że trafił za kratki? Dlaczego? Taylor wcale nie była przekonana, że to on zabił swoją żonę. Owszem, zarówno okoliczności, jak i dowody wskazywały na niego, czuła jednak, że wciąż im coś umyka. Wolffowie byli parą, która miała w piwnicy świetnie wyposażony pokój cielesnych rozkoszy; Corinne występowała w pornosach kręconych przez męża; Todda rozpieierała szydercza duma; i coś tu nie grało.

– Panie Wolff, w pańskim samochodzie znaleźliśmy ślady krwi pańskiej żony. Myślę, że czas najwyższy, aby opowiedział nam pan, co naprawdę się wydarzyło.

Położyła na stole zdjęcie Corinne, jedno z pierwszych zrobionych na miejscu zbrodni. Todd spojrział na nie i wybuchnął płaczem.

– Dość tego, pani porucznik! – ostro zaprotestował Rose. – Przesłuchanie skończone.

Kiedy wychodzili, złapała adwokata za ramię i powiedziała:

– Panie Rose, proszę z nim porozmawiać. Doskonale pan wie, że dla nas wszystkich byłoby dużo prościej, gdyby pan Wolff zaczął współpracować. Niech pan wyciągnie z niego nazwiska tych aktorek. Niech panu powie, skąd ślady krwi w samochodzie. Przecież jeśli nie zrobił nic złego, nie ma się czego obawiać.

– Zrobię, co będę mógł. – Rose pokiwał głową. – Wie pani, że powinienem dostać od was kopie tych nagrań, prawda?

Powiedział to takim tonem, że dostała gęsiej skórki.

– O tym proszę porozmawiać z prokuratorem okręgowym – odparła sucho i wyszła, ignorując lubieżny uśmiezek na jego wąskich ustach.

Taylor wróciła do gabinetu, usiadła za biurkiem i włączyła komputer. Czekając, aż się załoguje, bębniła palcami o blat, gorączkowo szukając odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób mogłaby zdobyć nazwiska kobiet, które występowały w filmach Wolffa. Aż wreszcie szepnęła:

– Jasmine.

Wyjęła telefon i znalazła w kontaktach numer do Castle Salon & Day Spa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Taylor Jackson! Kopę lat!

– Cześć, Jasmine. – Taylor przywitała się z przyjaciółką, która najpierw wzięła ją w pachnące bzem objęcia, a potem kazała się rozebrać.

Taylor uczyniła to, a następnie położyła się na brzuchu pod miękkim ręcznikiem, wtulając twarz w okrągłą poduchę z owczej skóry z otworem pośrodku. W powietrzu unosił się intrygujący zapach będący mieszanką kwiatowych aromatów, masła kakaowego i środków antyseptycznych. W połączeniu z panującym w spa półmrokiem sprawiał, że Taylor czuła się, jakby była na lekkim haju.

W ciemnoskórej Jasmine Allôns było coś intensywnie sensualnego, emanowała ponadczasowym, uświęconym przez tysiące lat kultury erotyzmem, była postacią z Kamasutry, ucieleśnieniem egzotyki i zmysłowości. Przy niej Taylor czuła się wręcz świętoszkowata, choć wcale taka nie była.

Uwielbiała patrzeć w migdałowe oczy Jasmine, gdy kłamała, z tym że te czasy minęły, bo już nie musiała kłamać.

Taylor jako jedna z niewielu osób wiedziała, że Jasmine Allôns kiedyś nosiła przydomek Jazz i zarabiała na życie tańcem na rurze. Była niepełnoletnia, kiedy zaczęła pracować w klubie prowadzonym przez pewnego pozbawionego skrupułów typa i szybko została gwiazdą przybytku. Taylor aresztowała piętnastoletnią Jasmine za nagabywanie mężczyzn w oczywistych celach. Dziewczyna wykorzystywała taneczny kunszt, by tym łatwiej się sprzedawać na tylnym siedzeniu samochodu. Taka historia życia w Nashville brzmiała wręcz banalnie, jedyna różnica polegała na tym, że Jasmine zdecydowała się na ten desperacki krok z innych przyczyn niż większość dziewczyn z branży.

Jej rodzice byli imigrantami. Prowadzili sklep przy Drugiej Alei, nieomal w samym centrum miasta, ale został zniszczony od wybuchu bomby podłożonej przez gang rasistów. Pożar strawił cały kwartał budynków, w tym również znajdujące się nad sklepem mieszkanie Jasmine i jej rodziców. Rodzina została bez dachu nad głową i stała się łatwym celem dla maniaków zaślepionych nienawiścią. Pochodząca z Iranu matka Jasmine skończyła biologię molekularną, była absolwentką Uniwersytetu Amerykańskiego w Bagdadzie. Ojciec Irakijczyk, fizyk jądrowy, na początku lat dziewięćdziesiątych po wybuchu wojny w Iraku wyjechał do Stanów i otrzymał azyl. W Ameryce gruntowne specjalistyczne wykształcenie pozwoliło matce otworzyć sklep z plakatami, a ojcu pracować jako kierowca taksówki. Zabiegali o obywatelstwo amerykańskie, jednak wybuch bomby zniszczył ich marzenia o lepszym życiu. Dla wrażliwej i podatnej na wpływy nastolatki, która w najtrudniejszym wieku wielokrotnie musiała zmieniać miejsce zamieszkania i nigdzie nie czuła się w domu, zniszczenie sklepu rodziców było kroplą, która przelała czarę goryczy.

Nastoletnia Jasmine była zbuntowana i zbyt radykalna jak na gust swoich rodziców. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że nowa ojczyzna nie pozwalał мамie i tacie kontynuować obiecujących karier naukowych. Wciąż kłóciła się z rodzicami, przestała używać ich nazwiska, wymyśliła sobie nowe i stała się Jasmine Allôns. Jej nowi amerykańscy przyjaciele nie widzieli powodu, by nie wierzyć, kiedy opowiadała, że pochodzi z Francji. Na amerykańskim Południu zagranicznik to zagranicznik i kto by tam rozróżnił tych wszystkich Europejczyków. Z tego powodu żyjący tu od pokoleń mieszkańcy Południa raczej nie kwestionowali francuskiego pochodzenia Jasmine, zwłaszcza że dla większości z nich jedynymi wyróżnikami obcości był

akcent albo, gdy chodziło o muzułmanów, „ręcznik na głowie”, jak to określali.

Kiedy rodzina straciła sklep, a przyszłość stała się bardzo niepewna, Jasmine poszła w tango i popełniła poważny błąd, a mianowicie zakochała się w białym chłopcu. Zostawiła rodziców z wszystkimi problemami i wyjechała z miłością swego życia, jak wówczas sądziła.

Stało się to, przed czym przestrzegali ją rodzice, mianowicie chłopak wprowadził ją w sfery życia, na które była jeszcze zdecydowanie za młoda, czyli seks i narkotyki. Historia stara jak świat: nastoletni bunt, nowo odkryta namiętność, żądza i rozwiązłość. Jasmine uzależniła się od cracku i ochoczo się zgodziła, kiedy chłopak powiedział, że na prochy mogłaby zarobić tyłkiem. Załatwił „przesłuchanie” w klubie ze striptizem, okłamując właściciela w sprawie wieku Jasmine, a także, co oczywiste, zatajając jej uzależnienie od narkotyków. Dostała pracę jako tancerka w klubie Deja Vu przy Demonbreun Street, raptem kilka przecznic od swego dawnego domu. Przez pięć wieczorów w tygodniu i w jedno weekendowe popołudnie pokazywała, czym obdarzyła ją Matka Natura.

Jasmine zapewne szybko upadłaby na samo dno, gdyby na parkingu na tyłach Deja Vu Taylor nie przyłapała jej na wciąganiu cracku i obciążaniu druta policjantowi z drogówki, który akurat miał przerwę na lunch.

W oczach Jasmine było coś takiego, co nie dawało Taylor spokoju. Podczas rozprawy wstawiła się za nią i przekonała sędziego, aby odstąpił od kary i ustanowił nadzór kuratorski. Pomogła Jasmine wrócić do szkoły i pozbyć się uzależnienia, a także znalazła jej pracę na zmywaku w restauracji. Bardzo się ucieszyła, kiedy Jasmine skończyła studia i odebrała dyplom z kinezylogii. Była jedną z wielu osób, którym Taylor pomogła, ale też jedną z nielicznych, które ostatecznie wyszły na prostą.

Wyginając ciało przy rurze, Jazz zarabiała nawet trzy tysiące dolarów za wieczór. Jasmine masażystka liczyła sobie sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Mentorkę, a obecnie przyjaciółkę z policji, masowała za darmo.

Taylor wiedziała, że Jasmine nie zapomiała o przeszłości i bez rozgłosu pomaga dziewczynom, które znalazły się w podobnej sytuacji jak ona kiedyś. Podaje im rękę i pokazuje, że istnieje inne, lepsze życie. Rodzice Jasmine dostali obywatelstwo, znaleźli nowy dom i pracę, a także otworzyli prywatny ośrodek resocjalizacji dla dziewczyn, które zapragnęły odmienić swój los.

Taylor rzadko przychodziła do Jasmine z prośbą o pomoc. Szanowała zmiany, które zaszły w jej życiu, i ceniła to, że nigdy nie stawiała siebie w roli ofiary. Taylor nie lubiła ludzi, którzy nie brali odpowiedzialności za swoje czyny. Jasmine była inna. Nie przeproszała za błędy młodości, tłumacząc się „cielęcym wiekiem”, tylko brała się z życiem za bary.

Ukojona aromatami i zatopiona we wspomnieniach, Taylor nie usłyszała, kiedy przyjaciółka weszła do pokoju. Lekko się wzdrygnęła, czując na nagich plecach dłoń Jasmine. Potrzebowała kilku chwil, by się rozluźnić i przyzwyczaić do dotyku kobiety, w którym przecież nie było żadnego podtekstu seksualnego. Masażystka nawiązywała kontakt z ciałem i wczuwała się w naturalny rytm osoby, którą masowała, to wszystko. Jasmine się nie śpieszyła. Kiedy wyczuła, że Taylor przestała się spinać, zaczęła masować. Najpierw zeszywniały kark, który ugniatała kciukami. Taylor westchnęła. Ale dobrze...

Kwadrans później Jasmine wreszcie się odezwała, to znaczy spytała:

– No więc?

Taylor nawet nie próbowała udawać, że przyszła wyłącznie po to, by zażyć masażu, bo to byłoby obrażą dla inteligencji przyjaciółki.

– Potrzebuję informacji.

– Jakich?

– Związanych ze środowiskiem, które znasz. Szukam dwóch dziewczyn. Pojawiają się na nagraniu, które znaleźliśmy na miejscu zbrodni. Chodzi o materiał domowej roboty, ale niezłej jakości.

– Seks czy tylko striptiz?

– Seks. Grupowy, bi i hetero. Co prawda nie wygląda, jakby robiły to wbrew swej woli, ale są młode, mają najwyżej osiemnaście lat.

– Chcesz je zapuszkować? – spytała Jasmine Allôns, niezłomna obrończyni uciśnionych.

– Nie, tylko porozmawiać. Chcę zapytać, czy wiedzą, dla kogo pracowały. Mam podejrzanego, który zostanie oskarżony o morderstwo, ale mówiąc szczerze, wcale nie jestem pewna, czy rzeczywiście jest winny.

Zapadła cisza, wreszcie Jasmine poleciła:

– Odwróć się. – A gdy Taylor obróciła się na plecy, zaczęła pracować nad jej prawym zginaczem biodra.

Taylor cierpliwie czekała, czuła bowiem, że przyjaciółka coś wie, tylko zwleka z odpowiedzią.

Jasmine odezwała się ponownie, dopiero kiedy usiadła za głową Taylor, wsunęła ręce pod łopatki i zaczęła masować mięśnie karku.

– Chodzi o Todda Wolffa, prawda? – Gdy Taylor niemal podskoczyła, rozbawiona Jasmine skomentowała: – Spokojnie, moja droga. Nie spinaj się tak. Myślę, że będę mogła pomóc, ale z tego, co wiem, Todd jest zupełnie nieszkodliwy.

– No nie wiem, czy facet, który kręci pornosy z udziałem pańienek i swojej żony, jest nieszkodliwy...

– Rzeczywiście może to brzmieć dziwnie, skoro jego żona została zamordowana, ale mówię, co usłyszałam. A usłyszałam tyle, że Wolff nieźle płaci, nie stawia żadnych perwersyjnych wymagań, a dziewczyny mają od szesnastu lat w górę. Wiesz, nie jest to seks po bożemu, ale też nic zbrodnego.

– Filmuje na własny użytek?

– Tego nie wiem, ale jeśli chcesz, to mogę cię poznać z jedną z jego modelek.

– To dzisiaj na tym polega zawód modelki?

– Ech, Taylor, gdzieś ty się chowała? – Jasmine poklepała ją po ramieniu, dając znak, że skończyła masaż.

Taylor wstała, owinęła się ręcznikiem i obróciła głowę, aż coś strzeliło w szyi, i spytała z niejakim oburzeniem:

– Gdzie się chowałam? Jak mam to rozumieć?

Gdy Jasmine zmieniła oświetlenie, półmrok rozjaśniła miękka, relaksująca poświata. Żarówka była skropiona olejkiem o zapachu frezji, a ciepło sprawiło, że aromat szybko wypełnił niewielkie pomieszczenie. Jasmine usiadła na stołku. W jej czarnych oczach Taylor dostrzegła przyczajony smutek.

– Seks jest w modzie. Dziewczyny kręcą filmy, bo mają na to ochotę, a nie dlatego, że ktoś je wykorzystuje. Dziś to atrybut statusu społecznego.

– Atrybut statusu?

– No właśnie. W twoich czasach tylko puszczałskie uprawiały seks ze swoimi chłopakami.

– Nie, puszczałskie miały gdzieś, czy inni wiedzieli, że się bzykają. Inne, jeśli też się bzykały, co wcale nie było taką rzadkością, trzymały to w tajemnicy. Młode damy nie dyskutowały na takie tematy.

– No tak... – Jasmine uśmiechnęła się. – Dziś licealistki stają się obiektem drwin, jeśli nie

mają na koncie co najmniej trzech albo czterech partnerów. Słyszałaś o określeniu „kumple od seksu”? Chodzi o kogoś, z kim spotykasz się wyłącznie po to, żeby z nim sypiać. Na czasie jest seks bez zobowiązań. Filmy to kolejny krok. Słyszałam o pewnym klubie, do którego należą uczennice z prywatnych szkół. Kręcą amatorskie filmiki. Przyznają sobie punkty za zaliczenie faceta, seks oralny, analny i tak dalej. Celem jest sprzedanie taśmy, wrzucenie jej do internetu. Jedno z tych „dzieł” trafiło nawet do oficjalnej dystrybucji, ale sklep wycofał je ze sprzedaży, kiedy wyszło na jaw, że wszyscy „aktorzy” są nieletni. Popyt na amatorskie porno jest tak olbrzymi, że zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał zapewnić podaż. Smutne, ale prawdziwe. Głupie dzieciaki oglądają sekstaśmy celebrytów i wydaje im się, że zyskają sławę, wrzucając swój goły tyłek do sieci. Nie zdają sobie sprawy, że ten biznes wciąga jak ruchome piaski. I że jest cholernie niebezpieczny. Założę się, że większość nawet nie uświadamia sobie, że ich rodzice mogą w każdej chwili kupić takie nagranie w internecie.

Taylor przypomniała sobie sceny z filmików zamieszczonych na stronie Selectnet.com. Nie była pierwszą naiwną, a jednak nie umiała sobie wyobrazić, że nastolatki robią to z własnej woli, i w dodatku bardzo chętnie.

– Nie miałam o tym pojęcia. Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Taylor, bez obrazy, ale to nie mój problem. Ja skupiam się na dziewczynach, które naprawdę potrzebują pomocy, a nie na rozwydrzonych bachorach, które w piątkowy wieczór wskakują do beemki tatusia i jadą zrobić laskę Toddowi Wolffowi, żeby zgromadzić więcej punktów.

– O Jezus. – Taylor zrobiło się niedobrze. Niektórym dzieciakom naprawdę odpieprza.

– Obawiam się, że niewiele tu pomoże, choć wzywanie Jego imienia w kontekście tej dziewczyny jest jak najbardziej na miejscu. Pójdę po numer. Koleżanki odsunęły się od niej, bo postanowiła zmienić swoje postępowanie. Myślę, że będzie chciała z tobą rozmawiać, ale niczego nie obiecuję.

– Stokrotne dzięki, Jasmine.

Kiedy została sama, szybko się ubrała. Po chwili Jasmine wróciła z numerem telefonu i nazwiskiem dziewczyny. Była to Thalia Abbott.

– Szkoda, że to owoc zatrutego drzewa i nie będę mogła wykorzystać tego w sądzie.

Jasmine się roześmiała.

– Kiedy zadzwonisz do Thalii, możesz się na mnie powołać. To dobra dziewczyna.

Wróciła na właściwe tory, teraz sama stara się pomagać innym.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście.

– O rany, nie wiedziałam. – Była zszokowana. Tak, to się nadawało do prokuratury.

– No to już wiesz. Posłuchaj, mam kolejną klientkę. Poradzisz sobie?

– Tak, jasne. Dzięki raz jeszcze, Jasmine.

– Nie ma za co.

Pożegnały się. Taylor wyszła na korytarz i zerknęła na zegarek. Czas pomyka, a na liście wciąż mnóstwo zadań, na przykład musi pojechać do dawnego domu i sprawdzić, czy w otworach wentylacyjnych nadal znajdują się kamery, za pomocą których ktoś podgląda studentki. Poza tym była głodna, kilka kęsów pizzy nie zaspokoiło apetytu. I tęskniła za Baldwinem. Czuliła na skórze tłustą warstwę olejku do masażu, a włosy sterczały we wszystkie strony. Wyglądała jak nieboskie stworzenie.

Poszła do samochodu, wsiadła i umieściła kluczyk w stacyjce. Miała do wyboru: pojechać do domu i doprowadzić się do ładu albo włożyć bejsbolówkę, wrzucić coś na ruszt w knajpie U Jonathana i zadzwonić do starego domu, by zapytać, czy dziewczyny nie mają nic przeciwko



odwiedzinom. Wprawdzie nie mogły odmówić, ponieważ w umowie najmu była klauzula, że właściciel lokalu ma prawo wejść do niego w każdej chwili i bez uprzedzenia, ale Taylor traktowała z szacunkiem swoje lokatorki i z formuły „bez uprzedzenia” nie zamierzała korzystać.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Sam, żeby wyciągnąć ją na drinka i coś do przegryzienia na szybko. Włączyła silnik i ruszyła na zachód. Wiedziała, że rozwiązanie jest blisko.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Baldwin obudził się zdezorientowany. Dopiero gdy się rozejrzył, przypomniał sobie, gdzie jest. Łóżko polowe, stół zawalony papierami. Wezbrała w nim złość. Zerwał się na nogi. Nie ma czasu na odpoczynek, praca czeka. Owszem, działania OTA nie zawsze wydawały się racjonalne, ale zżywanie się na proces decyzyjny w agencji do niczego nie doprowadzi.

Przeciągnął się, poszedł do łazienki, umył zęby i postanowił znaleźć szefa.

Garrett stał pośrodku biura ze słuchawką telefonu stacjonarnego przy uchu. Potakując rozmówcy, pokazał Baldwinowi, żeby usiadł na sofie, a po chwili zakończył rozmowę.

– No, wreszcie jakieś dobre wieści. Samochód, który Aiden wynajął w Kolorado, został namierzony w Missouri. Wygląda na to, że nasz uciekinier przenocował w St. Louis. Po czym, niestety, znów zapadł się pod ziemię. Nigdzie w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od St. Louis nie wypłynęło żadne z używanych przez niego dotąd nazwisk. Rozdaliśmy zdjęcia Aidenowi policji, ale jak na razie cisza.

Po prostu świetnie. St. Louis to tylko dzień jazdy od Nashville albo godzina samolotem. Jeśli przecucie Baldwina nie myliło, a jeszcze nigdy go nie zawiodło, Aiden nieuchronnie zbliżał się do celu.

– Po raz ostatni meldował się z Europy. Jego opiekuna znaleziono martwego we Włoszech. Czy jesteśmy w stanie stwierdzić, że on mnie tam widział? Że widział nas, mnie i Taylor? Czy kontaktował się z kimś?

– Atlantic nie znalazł niczego konkretnego. Lepszą wiedzę miał opiekun Aideny, ale od niego już niczego się nie dowiemy. Ale to ma ręce i nogi, że podjął trop, kiedy ty i Taylor byliście we Włoszech.

– Rzeczywiście ma. – Zadumał się na moment. – Posłuchaj, Garrett, muszę wrócić do Nashville. Nie mogę pozwolić, żeby się do niej zbliżył. On jest śmiertelnie groźny i kompletnie nieprzewidywalny. Nie wiem, co planuje, ale jeśli zamierza zemścić się na mnie, robiąc krzywdę Taylor, to za wszelką cenę muszę mu przeszkodzić. – I dodał cicho: – Nie mogę stracić Taylor.

– Baldwin, daj nam jeszcze trochę czasu. Namierzmy go. Umówmy się, że jeśli nie znajdziemy go do wieczoru, wtedy lecisz do Nashville. Zgoda?

– Naprawdę nie wiem, do czego jeszcze mogę się przydać. Nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

– Czekamy na meldunki od informatorów, jeszcze nie wszyscy się odezwali. Być może Aiden działa na czyjeś zlecenie. Albo do reszty mu odbiło i zerwał się ze smyczy... Wciąż błąkamy się w ciemnym tunelu. Potrzebujemy czasu, żeby się dowiedzieć, co nim powoduje. Okej?

Super. Po prostu fantastycznie. Utknął w Quantico, bezskutecznie szukając człowieka, który być może właśnie w tej chwili zasada się na jego narzeczoną. Cudownie, nie ma co.

– W porządku – odparł, starając się nie stracić kontroli nad głosem. – Znajdźmy drania.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Taylor siedziała na tarasie za domem i przyglądała się tańcowi robaczków świętojańskich. Uwielbiała tę porę dnia, tę chwilę oddechu pomiędzy wieczorem a nocą. Z roztargnieniem pociągała piwo z butelki.

Już od dawna nie miała tak popierdolonego dnia.

Zjadły quesadillę z chipsami, potem Sam pojechała odebrać bliźniaki, a Taylor zadzwoniła do studentek wynajmujących dom. Powiedziały, że wrócą najwcześniej za dwie godziny, więc umówiły się na dziewiątą, dlatego Taylor mogła wskoczyć do siebie, wziąć prysznic i pomyśleć.

Musiała porozmawiać z Thalią Abbott o seksklubie nastolatków. Musiała ocenić, czy Todd Wolff jest niegroźnym seksoholikiem i czy zdarzyło się coś, co sprawiło, że stracił nerwy i zabił żonę oraz nienarodzonego synka.

W piątek rano spotka się z terapeutką Corinne Wolff i być może dowie się, co pchnęło zdrową, silną kobietę w otchłań pornografii i zmusiło do brania leków psychotropowych oraz psychoterapii. Fascynowała ją ta dwubiegunowość osobowości Corinne.

Musiała postanowić, co dalej z jej sekstaśmami.

Była wykończona. Masaż okazał się błogosławieństwem i przekleństwem. W milczących przerwach podczas spotkania z Jasmine, Taylor dokładnie przemyślała rozmowę z Tonym Gormanem. Kiedy emocje nieco opadły, nie była z siebie dumna. Wprawdzie Gorman nie dał jej wyboru, ale nie zmieniało to faktu, że nigdy dotąd nie groziła podejrzanemu bronią podczas przesłuchania. Zresztą jakiemu znowu podejrzanemu? Raczej komuś, od kogo rozpaczliwie pragnęła wyciągnąć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Musiała być naprawdę zdesperowana. A jeśli Gorman wniesie oficjalną skargę?

Nie, nie zrobi tego. To tchórzliwy kutafon, tego była pewna. Nie wiedziała jednak, jak długo uda się utrzymać sprawę w tajemnicy przed Price'em. I przed Baldwinem.

Lincoln namierzył firmę z Kalifornii, której nazwa figurowała na fakturach za serwery Selectnet.com, ale na tym trop się urywał. Lincoln utknął, nie pomógł mu nawet niezwykły talent do wyszukiwania informacji. Urodził się z tym i doskonalił zdolności, ale teraz klops. Od Gormana dowiedzieli się zbyt mało, brakowało twardych konkretów, powinni więc kopać głębiej, a na to potrzebowali więcej środków. A to z kolei oznaczało rozszerzenie śledztwa, więc o zachowaniu sprawy w tajemnicy nie będzie mowy.

Kusiło ją, żeby pozwolić Lincolnowi po prostu usunąć filmiki z sieci. Miałaby wtedy problem z głowy. Ale najpewniej nie była jedyną, której nagrania bez zgody trafiły na Selectnet.com. Czy mogła, mówiąc wprost, wypiąć się na pozostałe ofiary sypialnianych filmowców?

Znała odpowiedź na to pytanie. Nie miała wyboru. Już nie. Napila się piwa i postawiła butelkę na barierce. Na ciemnej desce z sekwoi zostało mokre kółko. Był ciepły wieczór, popołudniowe słońce mocno nagrzało powietrze. Co za miła odmiana po chłodnym poranku. Pomasowała się po karku. Wyjęła telefon i wybrała numer. Baldwin odebrał po pierwszym dzwonku.

– Cześć, kochanie. Jak się masz?

– Bywało lepiej. – Odetchnęła głęboko. – Masz chwilę?

– Właściwie to tak. Co się stało?

– Potrzebuję fachowej porady. – Przekazała fakty najspokojniej, jak tylko zdołała.

Kiedy skończyła, usłyszała w słuchawce ciężkie posapywanie Baldwina, który po chwili mruknął:

– Sukinsyn. – No właśnie, sukinsyn, pomyślała, a Baldwin dodał pełnym napięcia głosem: – Jezu, Taylor, to nie jest najlepszy moment.

– Wierz mi, sama jestem zdenerwowana. I cholernie się wstydzę. Ale nie to jest największym problemem. Otóż nie wiem, ile jeszcze jest na stronie nagrań z kobietami, które kompletnie nie zdają sobie sprawy, w co zostały wplątane. Z tego, co już ustaliliśmy, wynika, że większość filmików jest dość niskiej jakości, obraz ciemny i ziarnisty. Wszystkie nakręcono ukrytą kamerą. Lincoln jeszcze nie dotarł na najwyższy poziom wtajemniczenia, a dopiero tam mogły zostać ukryte materiały najlepszej jakości. – Gdy Baldwin milczał, wybuchła: – Powiedz coś, na miłość boską!

– A co mam powiedzieć, Taylor? Czuję się przytłoczony. Jesteś pewna, że nie ma więcej twoich nagrań?

– Niczego nie jestem pewna. Wiem tylko, że na tej stronie znajduje się zbiór nagrań, na których pieprzę się z facetem, którego nienawidzę! Facetem, którego zabiłam! – Znow podniosła głos. – O co chodzi, Baldwin? Jesteś zazdrosny o pierdolonego ducha?

– Nie naskakuj na mnie. Ja...

– Nie masz pojęcia, jak bardzo czuję się upokorzona. Moja ekipa widziała te nagrania. Marcus i Lincoln je widzieli, Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Więc wyobraź sobie, że jestem wnerwiona i uważam, że mam do tego prawo. A ty mi nie pomagasz.

Milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, wyraźnie dało się odczuć, że dusi w sobie irytację:

– Nie podoba mi się, że w sieci krążą filmy, na których moja narzeczona pieprzy się, jak to elegancko ujęłaś, z innym facetem.

– Baldwin, co ty wygadujesz?! – wypaliła, gdy już wróciła jej mowa. – Przecież to nie ja wrzuciłam je do internetu! I nie zgodziłam się na nagrywanie! Gdy to do ciebie dotrze, może znów sobie porozmawiamy. – Zamierzała się rozłączyć i zakończyć tę prowadzącą donikąd wymianę zdań.

Jednak Baldwin wreszcie się odezwał:

– Przepraszam. Masz rację. Niepotrzebnie to powiedziałem. Wszystko u ciebie w porządku?

– W porządku? Jasne, że nie! – zareagowała gwałtownie. – Ale co mam robić? Muszę się zastanowić, jak powiedzieć o tym szefowi.

– Zaczekaj. Nie idź z tym do niego. Boże, Taylor, teraz to się naprawdę porobiło. Pozwól mi się tym zająć. Pamiętam, że kilka lat temu prowadziliśmy podobną sprawę. Rozbiliśmy bandę fanów motocykli i amatorskiego porno, którzy filmowali kąpiące się kobiety i wrzucali wideo do sieci. Zadzwoń do kilku osób, może uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Co, nagle zrobiło ci się przykro i chcesz pomóc? – Zaskoczył ją drwiący ton, jakim to powiedziała, ale kiedy Baldwin głęboko westchnął, od razu pożałowała swoich słów.

– Chodziło mi o to, że... – zaczął.

– Wiem, o co ci chodziło! – Boże, nie powinnam była mu mówić, dodała w duchu.

Wiedziała, co będzie.

– Przestań już, dobrze? Sam nie wiem, co o tym myśleć. Mam ochotę zabić Davida Martina, ale on już nie żyje. Mam ochotę zabić ciebie, ale jesteś za daleko.

Usłyszała coś dziwnego w jego głosie. Co się dzieje, do diabła? Czyżby całe jej życie miało się zawalić z winy pieprzonego Davida Martina?

– W takim razie cieszę się, że jestem tutaj, a ty tam. Mam zamiar jeszcze trochę pocieszyć

się życiem. – Sięgnęła po piwo.

– Pozwól mi się tym zająć – powtórzył. – Porozmawiamy później, dobrze?

Szorstkość, z jaką postanowił zakończyć rozmowę, zabolęła ją nawet bardziej niż jego oziębłość. Pożegnała się i rozłączyła, żalując, że nie może rzucić słuchawką, bo nie ma aparatu starego typu. Proste naciśnięcie czerwonego przycisku nijak się miało do emocji i nie dawało satysfakcji.

Zrobiło się ciemno. Taylor zerknęła na zegarek. Jeszcze nie ma dwudziestej pierwszej, ale wkrótce będzie musiała się zbierać. Weszła do środka i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Po piwie chciało jej się spać. Usiadła na kanapie i włączyła telewizor. Baldwin nie powiedział, że ją kocha, zanim się rozłączył. Nigdy wcześniej tak się nie pokłócili. Nigdy. Zdenerwowała się – i doszła do wniosku, że bardzo go kocha i jest dla niej ważne, co on o niej myśli. A to ją najbardziej przerażało.

Opanował ją dziwny spokój. Poczula senność. Nie, nie ma spania! Jest mnóstwo do zrobienia.

Ale było tak ciepło i wygodnie. I choć umysł się wzbraniał, ciało, od kilku dni pozbawione porządnego odpoczynku, postawiło na swoim.

Stał na tarasie na tyłach domu i przyglądał jej się przez żaluzje. Spała na kanapie. Ręka nad głową, kowbojski but oparty o ławę. Chciał, bardzo chciał wejść do środka, ale na razie musiał się zadowolić podglądaniem. Patrzył, jak jej pierś unosi się i opada. Jak z każdym uderzeniem serca lśni punkcik we wgłębieniu szyi.

Piękna była.

Doskonała.

Należała do niego.

## CZWARTEK

### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Taylor obudziło słońce wpadające przez okna wychodzące na południe. Zerknęła na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest szósta rano. Co do...? Przespała prawie dziesięć godzin. Nieczęsto morzył ją głęboki sen, a jeszcze rzadziej przesypiała kilka godzin pod rząd, już nie mówiąc o całej nocy. Czuła się przymulona, ale kiedy usiadła, uświadomiła sobie, że wreszcie porządnie wypoczęła. Byłoby cudownie, gdyby mogła tak codziennie. Och, marzenie ściętej głowy.

Wstała, zdjęła buty i poszła do kuchni napić się wody. Spojrzała za okno i zobaczyła, że przez ogród do jej domu zmierza Don Holmes. Postanowiła wyjść sąsiadowi na spotkanie. Dotarło do niej, że wieczorem nie włączyła alarmu.

Chwilę później Don – nie znała bardziej zatwardziałego rannego ptaszka – zapukał do drzwi. Na ustach miał maniackalny uśmieszek. Otworzyła, przygotowana na nieuchronny potok słów.

– Dzień dobry, Don. Jak się masz?

– Dobrze, Taylor, dobrze. Piękny poranek, co nie? Słuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że miałas w ogródku martwego królika. Sprzątnąłem go. Ktoś go, rozumiesz, zabił, a potem zasłonił doniczką. Ludziom to przychodzi pomysł. Psy ujadają, więc posprzątałem i pozbyłem się padliny. Wiesz, że na szyi miał drut? Jak to się stało, jak myślisz? Pewnie jakieś dzieciaki bawiły się w lesie. Więc pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Trochę mi się śpieszy, robota czeka i tak w ogóle. Miłego dnia!

I już go nie było. Miała dobrych sąsiadów, tylko niektórych odrobinę stukniętych. Ale wreszcie wszystko jasne, dlaczego ekipa nie znalazła królika. Zresztą może angażowanie techników policyjnych to jednak nie był dobry pomysł? Ale przynajmniej wiedziała, że nie miała zwidów.

Poszła na górę wziąć prysznic. Potem włożyła T-shirt, dżinsy i kowbojki i wróciła do kuchni. Zapięła pas z bronią i zrobiła sobie herbatę. Postanowiła zmierzyć się z porankiem na tarasie. Wzięła ze sobą kubek i telefon. Chciała zadzwonić do Baldwina i dowiedzieć się, co porabiał przez ten czas, kiedy ona przesypiała życie. Poza tym chciała oczyścić atmosferę.

Usiadła w ukochanym drewnianym fotelu, pomachała do Dona, który właśnie wyjeżdżał z garażu, i miała podwórze wyłącznie dla siebie.

Baldwin odebrał po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry – powiedziała neutralnym tonem. Ciekawiło ją, jak skończy się ta rozmowa.

– Cześć – rzucił krótko.

– Nie przeszła ci złość na mnie?

– Kto powiedział, że jestem zły?

– Tak to usłyszałam w twoim głosie. Wiesz przecież, że to się nie stało z mojej winy.

– Zakopmy topór, dobrze? – powiedział z westchnieniem. – Źle zareagowałem. Chciałem ci pomóc, a nie mogłem. Poza tym nie wiedziałem, że potrafisz być tak opryskliwa.

Zastanowiła się przez chwilę. Rzeczywiście chciał przyjechać i pomóc. No i miał rację, była opryskliwa. Ale uznała, że ma do tego prawo.

– W porządku. Przepraszam. Niepotrzebnie na ciebie nakrzyczałam.

– Przepraszasz też za to, że się rozłączyłaś?

Skrzywiła się. Okazywanie skruchy nie leżało w jej naturze. Ale okej, niech mu będzie, pomyślała już z uśmiechem.

– Tak, zachowałam się dziecinnie. Wystarczy?

Milczał przez chwilę. Czują, że jej wybaczył.

– Wystarczy, Taylor. Skąd ta radość w twoim głosie?

– Wyobraź sobie, że wczoraj wieczorem odpłynęłam po piwie, przespałam całą noc i dopiero teraz się obudziłam. Pomijając, że mam na głowie masę problemów, czuję się świetnie.

– Może powinniśmy zainwestować w proszki nasenne, żebyś częściej była w tak dobrym humorze.

Drażnił się z nią, co jeszcze bardziej poprawiło jej nastrój. Wszystko będzie dobrze.

– Był u mnie Don gaduła... – Zawahała się. Nie powiedziała Baldwinowi ani o martwym króliku, ani o prześladowcy, ani o niepokojącym uczuciu, którego nie potrafiła się pozbyć od kilku dni. Czas zmienić temat. – A co u ciebie? Jakies postępy?

– Tak. Udało nam się...

Nie usłyszała dalszego ciągu. Na skraju lasu, który rozciągał się tuż za granicą ich działki, zobaczyła bowiem mężczyznę. Zbladła, a potem poczuła adrenalinę. Zmrużyła oczy i wbiła spojrzenie w nieznanego. Od razu wiedziała bez żadnych wątpliwości, że to on. Ten, który podrzucił martwego królika. Ten, który dzwonił. Ten, który wyrwał ją ze snu. Zobaczył, że Taylor mu się przygląda, uśmiechnął się, odwrócił i zniknął między drzewami.

Spojrzała w prawo. Don już pojechał, właśnie zamykały się drzwi garażu. Była sama. Miała przywidzenia czy groziło jej realne niebezpieczeństwo?

– Baldwin, słuchaj... oddzwonię do ciebie, dobrze?

– Dlaczego? Co się stało? – zapytał, bo nie zdołała ukryć niepokoju w głosie.

– Nic takiego. Kręci się tu jakiś gość, wydzwania i nie odzywa się, wiesz, te sprawy. Wydaje mi się, że przed chwilą wyszedł z lasu i zatrzymał się na skraju trawnika. Patrzył na mnie. Chcę...

– Masz broń?

Głos Baldwina brzmiał z oddali i obco. Usłyszała w nim obawę. Przeszedł ją dreszcz. Położyła dłoń na kaburze, rozpięła ją i wyjęła glocka. Przesunęła palcem po spuście.

– Tak – szepnęła.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wróc do domu, włącz alarm, weź komórkę i zadzwoń po wsparcie. Nie rozłączaj się ze mną. Rozumiesz?

Nie protestowała. Cofnęła się do domu, zamknęła za sobą drzwi, a następnie uaktywniła cichy alarm, który powiadomi ochronę, że znalazła się w niebezpieczeństwie i jest potrzebna jak najszybsza interwencja policji. Nigdy wcześniej nie musiała korzystać z tej opcji. Poczula, jak jej włosy na karku stają dęba. Kiedy zakładali alarm, Baldwin uparł się, że ta funkcja jest absolutnie niezbędna. Teraz mogło się okazać, że jego upór był proroczy.

– Włączyłam cichy alarm. Powiesz mi, co jest grane?

– Nie mogę. Opisz mi tego człowieka.

– Baldwin, powiedz, o co chodzi.

– Taylor, proszę cię. Musisz mi zaufać. Powiedz, jak wyglądał.

Przypomniała sobie stojącą na skraju lasu postać i poczuła szybsze bicie serca.

– Wysoki, co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Brązowe włosy średniej długości opadające na prawe oko. Jasnobrązowe spodnie, kremowy sweter, niebieska wiatrówka. Tyle zdołałam zobaczyć.

– Przefaksuję ci zdjęcie. Powiedz, czy go rozpoznajesz.  
– Wiesz, kto to taki? Baldwin, porozmawiaj ze mną.  
– Taylor... odbierz faks, proszę cię. Wysyłam. Wydaje mi się, że wiem, kim on jest, a jeśli to ta osoba, o której myślę, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.  
– Potrafię o siebie zadbać. Nie jest kuloodporny...  
– Jest. Nie obawia się broni. Przy nim nikt nie powinien czuć się bezpieczny. Idź, odbierz faks.

W jego głosie słyszała napięcie, niepokój i coś jeszcze, co ją kompletnie zaskoczyło, a mianowicie strach. W rezultacie przeraziła się strachu Baldwina. Popędziła na górę i wpadła do gabinetu. Wyszarpnęła kartkę, która powoli wysuwała się z faksu.

– Tak, to on.  
– O Boże. – Baldwin ciężko oddychał. – Do cholery, gdzie jest ta cholerna policja?  
– Kochanie, przecież to ja jestem policjantką. Chyba nie zapomniałeś? – Dzwonek do drzwi. – Słyszysz? Już przyjechali.  
– Sprawdź, zanim otworzysz.

Zeszła na dół, słuchając, jak Baldwin opieprza kogoś w tle. Nigdy nie słyszała go tak zezłoszczonego. Człowiek, który ją obserwował, musi być kimś naprawdę niebezpiecznym.

Ponownie zabrzączał dzwonek. Zobaczyła ruch za szklaną wstawką w drzwiach wejściowych. Położyła dłoń na klamce. Wydawała się gorąca – widocznie wyobraźnia płatała Taylor figla. Nacisnęła i otworzyła.

Ujrzała scenę jak z horroru klasy B. Na schodach przed drzwiami w kałuży krwi leżało dwóch przysadzistych mężczyzn, jeden blondyn, drugi rudy. Przed domem zauważyła szarego forda taurusa, jeden ze starych roczników – cywilny patrol wysłany przez agencję ochrony. Ktoś poderżnął im gardła. Rudy jeszcze żył, poruszał ustami, powtarzał jedno słowo: „Przepraszam” i patrzył niewidzącym wzrokiem. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, zamilkł i umarł.

Kątem okiem dostrzegła mężczyznę, którego kilka minut wcześniej ujrzała na skraju lasu. Teraz stał na trawniku przed domem i trzymał ręce w kieszeniach. Czas się zatrzymał. Ich spojrzenia się spotkały. Mężczyzna nie poruszył się, nie zagroził jej. Skinął głową, ściągnął usta i... posłał całusa. Taylor zamrugała, jakby nie wierzyła w to, co widzi. Po chwili już go nie było. Minęły może dwie sekundy.

– O mój Boże – jęknęła.  
Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę. Mogła go sprzątnąć, ale nawet nie podniosła broni. Co się stało, do ciężkiej cholery? Sparaliżowało ją? Czy może obcy był jedynie wytworem jej wyobraźni? Przecież wpajano jej ten odruch: podnieść broń, wycelować, nacisnąć spust. Więc dlaczego tego nie zrobiła? Miała mętlik w głowie. Ocknęła się, dopiero kiedy usłyszała głos Baldwina.

– Co się dzieje?! Co się dzieje?! – krzychał.  
Zignorowała go, pobiegła na górę i wyjęła dwa dodatkowe magazynki. Potem wróciła do schodów i usiadła na najwyższym stopniu. Położyła broń na kolanach, wyjęła komórkę i zadzwoniła na policję. Dwa telefony, jeden pistolet i jeden niebezpieczny człowiek, który mieszał jej w głowie. Niedobrze.  
– Zaczekaj – powiedziała do Baldwina, kiedy w komórce odezwała się dyspozytorka.  
– Policja w Nashville.  
– Mówi porucznik Taylor Jackson. Kod trzeci, 10-51, 10-54. Powtarzam: kod trzeci, 10-51, 10-54! Potrzebne wsparcie. Proszę przysłać ludzi na mój adres. Na mojej posesji znajduje się podejrzany. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Powtarzam: uzbrojony i niebezpieczny. Zabił dwóch ochroniarzy z agencji. Nie mam kontaktu wzrokowego, schroniłam się w domu. Potrzebne



natychmiastowe wsparcie!

– Jezus Maria! – zawołał Baldwin.

– Pani porucznik, proszę o potwierdzenie – odezwała się dyspozytorka. – 10-51, 10-54, kod trzeci, dwie martwe osoby. Wysyłam wozy, będą za około trzy minuty. Czy jest pani cała?

– Potwierdzam. Dwa trupy. Nie zostałam ranna, ale to zaraz może się zmienić. Proszę przekazać wozom, że podejrzany ma około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, brązowe włosy, jasnobrązowe spodnie, kremowy sweter i niebieską wiatrówkę.

– Przyjęłam. Wozy już w drodze, pani porucznik.

Rozłączyła się. Usłyszała narastające wycie syren. Już wiedziała, że nic jej nie będzie, lecz mimo to nie potrafiła opanować drżenia rąk. Schowała komórkę do kieszeni i wzięła do ręki glocka. Obcy nie mógł szybko sforsować zamka i dostać się do środka. A nawet jeżeli, to siedziała na schodach z bronią wycelowaną w drzwi. Pot spływał jej po plecach i między piersiami. Kilka razy odetchnęła głęboko, by opanować nerwy, a zarazem czuła rosnącą złość.

– Baldwin – syknęła do słuchawki. – Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? Skąd znasz tego typa? Mów prędko, odsiecz nadciąga.

– Taylor, Taylor, przepraszam cię. Powinienem był zaufać przecuciu. Wiedziałem, że grozi ci niebezpieczeństwo, przyznaję, ale nie sądziłem, że on tak szybko zaatakuje. Za chwilę wsiadam do samolotu. Za kwadrans będę w powietrzu, maszyna już czeka. Nie możesz zostać w domu. Pojedź do biura i niech ktoś ma na ciebie oko. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to ci powiem, że on poluje na mnie, nie na ciebie.

– On, czyli kto? Baldwin, nic z tego nie rozumiem. – Rozległo się walenie do drzwi.

Wyrzała przez okno i zobaczyła cztery radiowozy. – Policja przyjechała. Muszę z nimi porozmawiać. Kiedy będziesz?

– Za godzinę.

– Kim on jest? Powiedz mi, proszę. – Zeszła na dół. Czuła, że Baldwin bije się z myślami. Świadomość, że wkrótce przyjedzie, dodawała jej odwagi. Zmusiła się, by otworzyć drzwi. Zobaczyła martwych ochroniarzy i wzdrygnęła się. Uzbrojeni po zęby policjanci otoczyli dom, rozpierzchli się po podwórzu i okolicy. W powietrzu unosił się intensywny zapach krwi. Psy po drugiej stronie ulicy ujadły jak szalone. – Kto to jest? – powtórzyła.

– Nazywa się Aiden – odparł Baldwin. – Ale równie dobrze mógłby mieć na imię Śmierć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Taylor siedziała w pokoju socjalnym i bawiła się styropianowym kubkiem. Tysięczny raz spójrzała na wiszący na ścianie wielki zegar. Cholera, prawie południe. Kiedy przyjdą z nią porozmawiać? Kiedy przyjedzie Baldwin?

Poczucie zbliżającego się nieszczęścia, a także świadomość, że nie można mu zapobiec, były dobijające. Nie znosiła czekać. Najpierw dokopać, potem pytać o nazwisko i ewentualnie zmierzyć się z konsekwencjami, to lubiła, tak działała. Wstępując do policji, nie podejrzewała, że będzie musiała siedzieć pod strażą i czekać nie wiadomo na co. Chronić to ona, a nie ją.

Utknęła w jasno oświetlonym pomieszczeniu, w tym miejscu odosobnienia, z dala od kanałów komunikacji. Nawet nie pozwolono jej pojechać do biura własnym samochodem. Widocznie Baldwin zawiadomił Price'a, bo rosły policjant o imieniu Bud niemal siłą wyprowadził ją z domu i zapakował do radiowozu. Odjechał z piskiem opon. Siedziała potulnie na fotelu pasażera, oszołomiona brutalnością akcji. Nie przywykła do takiego traktowania.

Price wyszedł po nią przed budynek policji. Z jego zwisających wąsów Taylor już dawno nauczyła się odczytywać emocje, zanim spójrzała mu w oczy. Zerknęła więc na usta Price'a, a kiedy zobaczyła w nich złość i zmęczenie, podniosła wzrok. Zaniepokoiło ją to, co zobaczyła. Działo się więcej, niż jej powiedziano.

Złożyła sprawozdanie z wydarzeń, po czym odprowadzono ją do pokoju, wręczono kubek kawy i kazano czekać. Price zamknął za nią drzwi. Czekwała, aż przekręci klucz w zamku, ale nie zrobił tego. Postanowiła ten jeden raz grzecznie posłuchać szefa. Mijały minuty, dziesięć, piętnaście, trzydzieści, czterdzieści pięć, pięćdziesiąt pięć. Prawie godzina i cisza. W końcu uznała, że dość tego.

Chrzanić to, pomyślała. Wstała, wrzuciła kubek do kosza, a kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Baldwina. Pędził w jej stronę niczym pocisk na podcierwień. Miał worki pod oczami i wyglądał na bardzo zmęczonego, ale uśmiechał się. Wprawdzie nadal czuła się podenerwowana wieczorną i poranną wymianą zdań, ale kiedy wziął ją w ramiona i pocałował, momentalnie zapomniała o kłótni. Objęła go i pocałowała, rozkoszując się jego ciepłem. Nie chciała przerywać pocałunku jako pierwsza, czekała, aż zrobi to Baldwin. Kiedy wreszcie ją puścił, wepchnęła go do pokoju socjalnego, trzasnęła drzwiami i założyła ręce na piersi.

– Miała być godzina – skomentowała. – Mów – rozkazała.

– Zaraz, moment – odparł. – Price...

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Price. Nie odezwał się, tylko nalał sobie kawy, usiadł przy stole, wypił spory łyk i skrzywił się.

– Ale paskudztwo. Stara czy co? – Wylał resztę do zlewu, postawił kubek na stole i głęboko westchnął.

– Kapitanie, co się dzieje? – spytała Taylor. Sytuacja zaczynała się robić nieznośna. Nikt nie chciał nic powiedzieć.

Price i Baldwin wymienili spojrzenia. Price niemal niezauważalnie kiwnął głową. Baldwin skinął na krzesło, co oznaczało: „Usiądź, Taylor, to długa historia”.

Obrzuciła ich wściekłym spojrzeniem, ale usiadła, rzucając nagłoco:

– No więc?

– Okej, posłuchaj – zaczął Baldwin. Przysunął sobie krzesło i usiadł. – Dwie sprawy. Po pierwsze, przeczesujemy las za domem w poszukiwaniu Aidena. To wyjątkowo niebezpieczny człowiek, w dodatku mocno na mnie wkurwiony, co czyni go jeszcze groźniejszym.

– Kto to taki?

Nerwowo przeczesał włosy palcami, nim odparł:

– Ani pora, ani miejsce, by ci to wyjaśniać. – Spojrzał na Price'a. – Powiem tylko, że znajduje się na liście poszukiwanych. Działa za granicą, dlatego go nie kojarzysz. Nie wiemy, po co przyleciał do Stanów. – Dostrzegła, że po tych słowach Price pokiwał głową, natomiast Baldwin dodał: – Ale najpierw musimy się zająć tą drugą sprawą.

– Mów, o co chodzi. – Gdy zamilkł, Taylor odczekała chwilę, walcząc z wyobraźnią, która podsuwała same najgorsze scenariusze. Price i Baldwin milczeli. Zirytowana machnęła ręką i rzuciła ostro: – Mówcie, do cholery. Przeżyję. Ojciec uciekł z więzienia? Matka nie żyje?

– Nie – odparł Baldwin.

– No to świat się jeszcze nie skończył. Mów, przecież wiesz, jak nie znoszę, kiedy mnie tak traktujesz.

Baldwin spojrzał na Price'a, a potem znów na Taylor.

– Media mają twoje taśmy.

Zamarła, serce w jej piersi waliło jak oszalałe. A jednak świat się skończył.

– Nie... – bąknęła.

– Tak. – Price odchrząknął. – Ale to jeszcze nic. W sieci krąży nagranie, na którym widać, jak zabijasz Davida Martina.

– Wiem, że go zastrzeliłam. Przecież tam byłam. Gonił mnie po domu i chciał zabić. Jedno z nas miało zginąć tamtej nocy, on albo ja. – Mówiła słabym głosem. Wyprostowała plecy. – On albo ja – powtórzyła pewniej. – Wszyscy o tym wiedzą.

– Owszem, my o tym wiemy. – Baldwin zaakcentował słowo „my”. – Ale na nagraniu widać co innego.

– O czym ty mówisz? Jeśli obraz pochodzi z tych samych kamer, którymi nagrywano, jak... przepraszam, kapitanie... uprawialiśmy seks, to doskonale widać, co się wtedy stało. Kamery znajdowały się pod takim kątem, że musiały idealnie uchwycić moment śmierci Martina.

– I uchwyciły. Tylko że to wcale nie wygląda na obronę konieczną. Martin błagał cię, żebyś nie strzelała, a ty podeszłaś bliżej i zabiłaś go. – Zaczęła protestować, ale Price podniósł rękę. – Wiem, że nie zamordowałaś go z zimną krwią. Sąd uznał twoją wersję zdarzeń, ja też ci wierzę. Ale ktoś zmontował ten materiał tak, że wygląda na egzekucję, no i nagranie trafiło do mediów. I oczywiście sama wiesz, że wprowadziło niezły ferment.

– Ale w czym problem? Pójdę do telewizji i wyjaśnię, że media dostały fałszywkę. Opowiem, jak było naprawdę.

– Widzisz, Taylor – odezwał się Price, przedtem wymieniwszy spojrzenia z Baldwinem – to nie jest takie proste. Najpierw będziesz musiała porozmawiać z Biurem Odpowiedzialności Zawodowej. Zrobiła się afera.

– Ale co? Teraz?

– Tak.

Gdy spojrzała na Baldwina, powiedział:

– Spokojnie, kochanie. Będzie dobrze. Idź z Price'em. Ja muszę zadzwonić w kilka miejsc. Obiecuję, że znajdziemy wyjście z sytuacji. Okej?

Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy Baldwin naprawdę panuje nad sytuacją, po czym uśmiechnęła się krzywo.

– Okej. – Zwróciła się do Price'a. – Kapitanie, proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, w jaki sposób nagranie trafiło do mediów.

– Dziś w pół do ósmej zadzwonił do mnie ktoś, kto twierdził, że jest w posiadaniu kompromitujących cię nagrań. Dodał, że materiały przed południem trafią do mediów.

Ktokolwiek to zrobił, dobrze skoordynował atak. Nagrania najpierw trafiły do ogólnokrajowych sieci kablowych, lokalne stacje jeszcze ich nie pokazały. Gnojki z mediów nie raczyły ujawnić źródła. Wyemitowano taśmy, zanim miałem szansę cokolwiek zrobić. – Głos mu się załamał. – Próbowałem, Taylor, naprawdę próbowałem. Moglibyśmy zażądać, aby odstąpili od emisji, ale sądzę, że w ten sposób jedynie dolalibyśmy oliwy do ognia. Ktoś tak to zaplanował, żeby cię zniszczyć. Przrzekam, że pomożemy ci z tego wybrnąć.

Niedobrze. Słowo „ogólnokrajowe” zabrzęczało jej w głowie. Bardzo niedobrze. Zamknęła oczy, wspominając, ile to razy i kiedy była wzywana do Biura Odpowiedzialności Zawodowej. Kiedyś nosiło nazwę Biura Spraw Wewnętrznych, a spotkania zawsze były trudne i nieprzyjemne. Potem wydział zreorganizowano i wymieniono w nim ludzi. Miała nadzieję, że tym razem będzie łatwiej. Ale, cholera, tak bardzo się bała, że aż poczuła ból. Przełknęła ślinę i otworzyła oczy.

– Kurwa mać! – syknęła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W Biurze Odpowiedzialności Zawodowej Komendy Policji w Nashville było zimno jak w psiarni. Ktoś nastawił na maksa klimatyzację, tylko po co, skoro na zewnątrz nie było zbyt gorąco?

Taylor starała się opanować drżenie. Nie chciała wyrzucić złego wrażenia, nie chciała też, by kapitan Delores Norris pomyślała, że się boi. Podejrzała, że użycie klimatyzacji było celowym zabiegiem, demonstracyjnym zaznaczeniem, kto tu rządzi. Price'owi chłód nie przeszkadzał. Założył nogę na nogę i w milczeniu siedział zamyślony.

Od śmierci Davida Martina Taylor rzadko miała do czynienia z BOZ-em ostatni raz miesiąc wcześniej, kiedy została zmuszona do oddania serii strzałów w kierunku mordercy posługującego się pseudonimem Królowna Śnieżka. Wizyta w biurze była standardową procedurą w takich sytuacjach. Funkcjonariusze BOZ-u nie cieszyli się popularnością wśród policjantów ani teraz, ani kiedy biuro nazywało się Wydziałem Wewnętrznym. Nic dziwnego, funkcjonariusze BOZ-u nie kumpłowali się z kolegami z innych wydziałów, zachowywali dystans i zawsze wyżej od innych nosili głowy. Zero spoufalania się, poza wszelkimi podejrzeniami.

Kiedy Biuro Spraw Wewnętrznych przerodziło się w Biuro Odpowiedzialności Zawodowej i zaczęto się posługiwać nowym skrótem BOZ, Fitz od razu przerobił go na „omójBOZe”. Cały Wydział Zabójstw miał z tego ubaw, a przewisko na stałe przyłgnęło do biura. W budynku policji nikt nie mówił o biurze inaczej, niż „OmójBOZe idą”, oczywiście za plecami funkcjonariuszy BOZ-u.

Niedawno stanowisko szefa BOZ-u objęła kapitan Delores Norris, kobieta stanowcza i siejąca postrach mimo niepozornych stu pięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Przewisko biura stało się tym bardziej adekwatne do uczuć, jakie wydział wzbudzał w policjantach. Gdyby wierzyć statystykom z rynku pracy, niska czarnoskóra kobieta nie miała szans na karierę, a jednak Norris sprawnie wspięła się po jej szczeblach, zaliczyła wszystkie stopnie policyjnego wtajemniczenia i wylądowała jako szefowa najbardziej znienawidzonego wydziału. Drobnej figurze, niskiemu wzrostowi, podobieństwu do Pigmejki i krzywymi nogami, przez które chodziła jak kaczką, zawdzięczała swój literacki przydomek Umpa-Lumpa. Kiedy szła korytarzem, dało się słyszeć szepty:

– Uwaga, Umpa!

Z jednej strony Taylor zastanawiała się, jakim cudem Delores Norris wytrzymała nieustające drwiny, a z drugiej w duchu sama się z niej podśmiewała.

Ale teraz wcale nie było jej do śmiechu.

Kapitan Norris siedziała prosto, jakby połknęła kij, plecami wykrochmalonej marynarki od munduru nie dotykała oparcia krzesła. Miała krótko obcięte, siwiejące nad skroniami włosy. Czytała leżący przed nią raport, stukając długopisem w szarą teczkę. Zerkała na Taylor sponad okularów w jaskrawoczerwonych oprawkach i kręciła głową. Wreszcie po kilku minutach, choć Taylor zdawało się, że minęła godzina, Norris zamknęła raport, schowała go do teczki i odłożyła długopis.

– Żałuję, pani porucznik, że spotykamy się w takich okolicznościach. Przebieg pani kariery w policji jest niemal *wzorowy*. Nie ukrywam, młoda damo, że od *pewnego* czasu przyglądam się pani poczynaniom. – Mówiła z dziwnym akcentem, nie obcym, ale nietypowym, co mogło sugerować, że próbowała ukryć seplenienie. W dodatku jakby na chybił trafił

akcentowała wyrazy, przez co rytm wypowiedzi kulał, a intonacja zdań zgrzytała.

Taylor czuła się jak uczennica na dywaniku u dyrektorki szkoły. Nie bardzo wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Nabijanie się z Umpy-Lumpy za jej plecami było łatwe, gorzej, gdy stanęło się z nią twarzą w twarz.

Norris przewiercała ją wzrokiem, a Taylor poczuła, że usta drgnęły jej nerwowo. Cholera, pomyślała, przecież to stara sztuczka Umpy. Uwielbia wprawiać w zakłopotanie i przyglądać się, gdy ofiara wije się jak piskorz. Poczowała wzbierającą złość. Wyprostowała plecy i popatrzyła Umpie prosto w oczy. Nie zrobiła nic złego. Nie pozwoli wzbudzić w sobie poczucia winy.

– *Zdaje* pani sobie sprawę, pani porucznik, że znalazła się pani w wyjątkowo *trudnym* położeniu. Nagrania, które... – przerwała i pociągnęła nosem, jakby poczuła wyjątkowo śmierdzącego baka – ...*przedstawiają* panią w sytuacji intymnej z policjantem, to jedno. Tą sprawą zajmiemy się później. W tej chwili najistotniejszy *jest* wątek śmierci pani kochanka. Z nagrania wynika, że zastrzeliła go *pani* z zimną krwią. Nie wygląda to dobrze, moja *droga*. Wygląda to bardzo źle.

Dykcja i akcenty kładzione przez Norris sprawiały, że Taylor chciało się wyć. Szczególnie deprymujące były te dziwne akcenty, bo człowiek się zastanawiał, dlaczego akurat te wyrazy zostały wyróżnione, choć najpewniej zostały wyróżnione bez logicznej przyczyny, innymi słowy – bez sensu.

Opanowała się jednak i odparła:

– Jasne, zapomnijmy o tym, że to nieprawda, zapomnijmy o tym, że zastrzeliłam Davida Martina w obronie własnej. Do diabła, przecież próbował mnie zabić! Czy muszę dodawać, że wielka ława przysięgłych zgodziła się z moją argumentacją? BOZ zresztą też.

– Taylor – ostrzegł Price.

Zacisnęła zęby, a Norris wykorzystała tę chwilę i powiedziała:

– Pani *porucznik*, wideo jest, powiedziałabym, *dość* obciążające.

– Wideo zostało sfabrykowane – wycodziła Taylor.

– To pani *tak* twierdzi, pani porucznik, to pani *tak* *twierdzi*. Nie jest łatwo, prawda?

Czyżby wspinanie się po *szczeblach* kariery na plecach kolegów nie *wystarczało* pani?

– Słucham?! – oburzyła się Taylor.

A gdy spojrzała na Price'a, dostrzegła, że również jest wściekły.

– Kapitan Norris, co pani sugeruje? – zareagował stanowczo. – Przebieg służby porucznik Taylor jest nienaganny. Zasłużyła na swoje stanowisko. Pani ocena jest niczym nieuzasadniona.

– Czyżby, *Mitchell*? Od kilku lat *prowadzisz* panią porucznik za rączkę. Może czas przestać ją niańczyć, pozwolić *jej* rozwinąć skrzydła i przekonać się, czy potrafi latać?

– Delores, nie sądzę, by była to właściwa pora na gierki słowne. Rozmawiamy o karierze jednej z najbardziej zasłużonych policjantek w wydziale, kobiecie cieszącej się szacunkiem zarówno szeregowych funkcjonariuszy, jak i szefostwa.

Price wyraził się jasno. Widząc, że Umpa napina się, jakby miała pęknąć, Taylor omal sama nie wybuchła... śmiechem. W głosie pani kapitan niespodziewanie zabrakło przesadnie poprawnej wymowy, za to pojawiło się seplenienie.

– Jak pan *śmie* sssugerować, że nie cieszę się sacunkiem podwładnych? Proszę sssobie zapamiętać, że czterokrotnie zossstałam odznaczona za *szczególne* poświęcenie...

– Delores, wyhamuj – przerwał jej Price, pochylając się nad stołem i mrużąc oczy. – Niczego nie sugeruję, natomiast mówię, że porucznik Jackson jest nie tylko świetną funkcjonariuszką, ale również dzięki przykładowej pracy oraz wieloletniemu doświadczeniu zdobyła szacunek swych współpracowników. Jest dla nas cenna. Skoro mówi, że nagranie zostało spreparowane i że nie zabiła detektywa Davida Martina z zimną krwią, to ja jej wierzę. Natomiast

jeśli zamierzasz upierać się przy swoim, to możemy się dalej kłócić, ale miej na uwadze to, że spór będzie długi i bolesny dla obu stron. – Price’owi nie udało się ukryć wściekłości. Fuknął z furją i przejechał dłonią po łysej czaszce, na której pojawiły się kropelki potu.

Taylor była zdumiona. Po raz pierwszy była świadkiem, jak Price rzuca zwierchnicze bezczelne „pieprz się!” prosto w twarz.

Norris zdębiała, a następnie spurpurowiała i poprawiła okulary na nosie, żeby zamaskować konsternację. Wreszcie odchrząknęła i powiedziała do Taylor:

– No cóż, moja droga, po *tak* żarliwej mowie w pani obronie nie pozostaje mi nic innego, jak wysłuchać pani *wersji* wydarzeń. – Włączyła stojący na stole magnetofon. – Naturalnie *oficjalnie*. – Uśmiechnęła się pomimo gniewu, który nadal wykrzywił jej rysy. Wyglądała jak opętany Mr. Potato Head. Zabawka-koszmar, Umpa-koszmar, co w sumie daje jeden wielki koszmar.

Taylor spojrzała na Price’a, który marszczył brwi, oczywiście nadal zły jak osa. Skinął głową i wykręcił wąsa.

– Opowiedz, co się dokładnie stało. Niczego nie pomijaj – polecił.

Taylor odchyliła się na krześle i westchnęła. Miała ochotę przygadać Delores Norris, ale ugryzła się w język. Nie ma sensu jeszcze bardziej zadzierać z kobietą pełniącą tak ważną funkcję. Odetchnęła głęboko i zaczęła mówić:

– No dobrze. Doskonale pamiętam wszystko, co się zdarzyło tamtej nocy. Nie potrafiłabym zapomnieć. – Zmarszczyła brwi. – Zastanawiałam się, jak powiedzieć kapitanowi Price’owi, co odkryłam. Kilka razy sięgałam po telefon i kilka razy go odkładałam. Wiedziałam, co się stanie, kiedy złożę raport. Wiedziałam, że polecą głowy. Ale nie miałam innego wyjścia...

Taylor włączyła ponowne wybieranie, usłyszała sygnał w słuchawce, po czym wcisnęła czerwony przycisk i położyła telefon na kolanach. Jeśli to zrobi, nie będzie odwrotu. Jeśli ma rację, wcale nie zyska sympatii, a jeżeli się myli... nawet nie chciała myśleć, co się wtedy stanie. Utrata pracy będzie najmniejszym z jej zmartwień. I tak źle, i tak niedobrze.

Położyła telefon na stole do bilardu i zeszła na dół. Poszła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła puszkę dietetycznej coli. Roześmiała się pod nosem. Tak, rzeczywiście, dodatkowa dawka kofeiny na pewno doda jej odwagi. Powinna napić się whisky. W każdym razie na filmach to zawsze pomaga.

Otworzyła puszkę i oparła się o blat. Spojrzała za okno. Zmierzch zapadł przed kilkoma godzinami, księżyc zniknął za chmurami, ciemność za oknem była nieprzenikniona, a za godzinę czy dwie miało wstać słońce. Do tego czasu musiała podjąć decyzję.

Odwróciła się. Nie miała innego wyjścia. Nie mogła, nie chciała podkładać się za tego durnia. Z zamyślenia wyrwał ją obcy dźwięk. Niskie elektryczne buczenie brzmiało jak stojący niedaleko podjazdu transformator. Sekundę później coś trzasnęło i zgasło światło. Serce jej podskoczyło, ale zaraz sobie przypomniała. Głupia, pomyślała. W tej części Bellevue wiecznie coś się psuło na linii, dlatego w elektrowni w Nashville dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurowała ekipa odpowiedzialna za ten obszar. Pewnie nastąpił skok napięcia i wywaliło korki czy co tam mają. Przestań się tak trząść, idiotko, nakazała sobie. Jesteś dorosła, nie boisz się ciemności.

Na pamięć sięgnęła do szuflady i wyjęła latarkę. Nacisnęła włącznik i zaklęła pod nosem, kiedy latarka nie zaświeciła. Gdzie, do cholery, są baterie?

Zamarła, kiedy usłyszała kolejny, delikatniejszy dźwięk. Nadstawiła uszu. I znowu. Szuranie, chyba na werandzie na tyłach. Odetchnęła głęboko i trzymając się ściany, ruszyła w stronę tylnego wejścia. Odruchowo sięgnęła po broń. Do diabła, pistolet został na górze.

Podskoczyła na dźwięk tłuczonego szkła. Ktoś wybił szybę w drzwiach balkonowych

wychodzących na podwórze za domem. Za późno, żeby pobiec na górę po broń, ponieważ by dostać się do schodów, musiała przejść przez salon. Włamywacz na pewno jej na to nie pozwoli. Wstrzymała oddech i cofnęła się do kuchni.

Nie zauważyła pięści, za to doskonale ją poczuła. Trzasnęła szczęka, oczy zaszczyły łzami. Zanim zdążyła zareagować, padł drugi cios. Z ust trysnęła krew. Rzuciło nią o ścianę. Walnęła tak mocno, że ją zatkało. Napastnik chwycił ją i przycisnął twarzą do ściany, kiedy się osuwała.

Poruszał się szybko, wykonywał precyzyjne, wyuczone ruchy. Dzięki temu, że ją złapał, przynajmniej wiedziała, gdzie jest. Próbowwała się obrócić i zadać cios, ale zaciśnięta na ramieniu dłoń znów posłała ją na ścianę. O kurwa, ale zabolalo.

Walczyła, jak mogła. Wiedziała, że napastnikiem jest mężczyzna. Raz, że był dużo silniejszy od niej, a dwa, że w dolnej części pleców czuła wbijającą się w nią charakterystyczną twardość. Pobicie mu nie wystarczy, będzie chciał sobie ulżyć.

Niedoczekanie.

Obróciła się i znów spróbowała zaatakować, ale zanim pięść dotarła do klatki piersiowej przeciwnika, złapał ją za rękę i przygwoździł do ściany. Drugą rękę zacisnął na jej gardle. Wyrwała się, ale na próżno, i szybko uzmysłowiła sobie, że nie przyszedł po to, aby ją pobić i zgwałcić. Nie, on chciał ją zabić. Nagle rozluźniła mięśnie, jakby kompletnie opadła z sił, i zaskoczyła go, opierając się na nim całym ciężarem. Wykorzystała moment zawahania, żeby prawą nogą z całej siły odepchnąć się od ściany. Wyślizgnęła mu się i uskoczyła do salonu. Wpadła na stolik z kamiennym blatem i rozcięła sobie łydkę. Znów zabolalo jak cholera.

Napastnik skoczył za nią. Taylor wykorzystała ciężki stolik do złapania równowagi i lewą ręką wyprowadziła mocny prosty, celując poniżej podbródka. Trafiała. Stęknął z bólu. Z satysfakcją splunęła krwią i kopnęła go w brzuch tak mocno, że uszło z niego powietrze. Zatoczył się i oparł o ścianę, a w tym czasie Taylor obróciła się na pięcie i pognęła w stronę schodów. Pobiegł za nią, ale była szybsza. Znalazła się w korytarzu na piętrze, kiedy napastnik dotarł dopiero do podestu schodów. Naraz włączyło się światło, oślepiając ją.

Pistolet leżał na stole obok telefonu. Zostawiła go tam, kiedy poszła na dół po colę. To było nierozważne. Ani na chwilę nie wolno jej zapominać, że nigdy i nigdzie nie jest bezpieczna, nawet we własnym domu.

Wzięła do ręki glocka. Zacisnęła dłoń na zimnej rękojeści i odwróciła się w tej samej chwili, w której do pokoju wpadł napastnik. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami, po prostu działała. Podniosła rękę i nawet nie wycelowała, tylko kierując się instynktem, wpakowała draniowi kulkę między oczy. Z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków, zanim z hukiem zwałił się na podłogę półtora metra od Taylor.

Słyszała swój nierówny oddech, czuła smak krwi. Podniosła posiniaczoną dłoń i ostrożnie dotknęła szczęki i ust, sprawdziła zęby. Pieprzony drań naruszył dwa trzonowce. Poczowała, jak opada adrenalina. Usiadła na podłodze obok martwego ciała.

Obudziło ją pulsowanie w szczęce. Na zewnątrz było jasno. Wpadające do środka promienie słońca oświetlały koszmarną scenę. Powoli wstała, przyglądając się ciału. Mężczyzna leżał na podłodze. Krew powoli wsiąkała w beżową wykładzinę.

– Za cholerę tego nie wywabię – mruknęła pod nosem.

Potrząsnęła głową. Co za idiotyczna myśl. Szok, to na pewno szok. Jak długo trwała walka? Pięć minut? Czy pół godziny? Wydawało jej się, że kilka dni, tak bardzo czuła się zmęczona i obolała. No i te zakrwawione usta oraz rozcięta łydka. Dotknęła nosa. Cholera, znowu złamany.

Spojrzała na mężczyznę. Leżał twarzą do ziemi, lekko przechylony w jedną stronę. Wsunęła stopę pod jego prawe ramię i przewróciła na plecy. Nie przywidziało jej się,



rzeczywiście trafiła go w sam środek czoła. Dotknęła jego szyi. Brak pulsu.

– Och, Davidzie – powiedziała. – Czego się spodziewałeś?

– Mam bliznę po spotkaniu ze stolikiem. – Taylor wytarła łzy i przełknęła kulę w gardle. Poprawiła się na krześle i pokręciła głową, wracając do rzeczywistości. Popatrzyła na Norris. – Wielka ława przysięgłych wysłuchała mnie i uznała, że działałam w granicach obrony koniecznej. Funkcjonariusz BOZ-u uwolnił mnie od wszelkich zarzutów. Jeśli na taśmie widać co innego, nie wiem dokładnie co, bo nie oglądałam jej, to zostało sfabrykowane. Podczas napaści wysiadł prąd, po czym znów go włączono. Stąd zapewne istnieje luka w nagraniu. Łatwo sobie dopowiedzieć to, czego brakuje.

Umpa wiała się na krześle. Na stojąco dorównywała wzrostem siedzącej Taylor.

– To my o *tym* zadecydujemy, pan porucznik. Złożono oficjalną *skargę* na panią za nękanie i bezprawne zatrzymanie. Wygląda na to, że ucięła sobie *pani* nieprzyjemną pogawędkę z jednym z potencjalnych *świadców*. Człowiek ten *twierdzi*, że postraszyła go pani bronią. Czy to prawda?

Cholera. Pieprzony Tony Gorman. Zlekceważyła go i ma za swoje.

– Nie do końca.

– Przekonamy się. Sądzę, pani porucznik, że *tym* razem posunęła się pani za daleko.

Przykro mi, ale jestem zmuszona *odsunąć* panią od śledztwa i poprosić o oddanie odznaki i broni służbowej. Musimy trzymać się *przepisów*. Niniejszym zawieszam panią i pani *pobory*. Zostanie wszczęte *śledztwo*, którego celem będzie wyjaśnienie, co naprawdę *zaszło* tamtej nocy, gdy zastrzeliła pani detektywa Martina. Wbrew temu, co można zobaczyć w serialach, *nagrania* wideo niełatwo poddają się manipulacjom. Przyjrzymy się *również* zarzutom sformułowanym w oficjalnej skardze.

– Że co? – spytała Taylor.

– Nie może jej pani za to zawiesić! Nie zrobiła nic złego! – zaprotestował Price.

Umpa posłała im krzywy uśmiech i podniosła rękę.

– Tak? Uważam, że *zamordowanie* oficera policji to jednak *coś* złego, panie kapitanie.

Myślę, że złym *możemy* nazwać również zagrożenie świadkowi. Mogę *zawiesić* panią porucznik w obowiązkach i właśnie to robię. Gdyby wyszło na *jaw*, że postąpiłam inaczej, media *zaczęłyby* grę o moją głowę. Pani porucznik, *poproszę* o odznakę i broń.

Taylor z trudem trzymała głowę na kłódkę. Nie pomogłaby sobie, gdyby rzuciła się Umpie do gardła. BOZ miało ją w garści. Śledztwo mogło oznaczać koniec kariery. Nie patrząc na Price'a, który mamrotał przekleństwa pod adresem Norris, wstała i pochyliła się nad Umpą, która nawet nie mrugnęła, a tylko wyżej podniosła rękę.

Taylor wyjęła glocka z kabury i oddała go kapitan Norris. Potem odczepiła odznakę i położyła ją na pistolecie. Przełknęła ślinę i usłyszała ogłuszające bicie swego serca. Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z gabinetu szefowej BOZ-u.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Taylor szła przed siebie, nie zatrzymując się. Zignorowała wołanie Price'a, puściła mimo uszu rzenie Umpy. Wyszła z biura administracji, a potem z budynku. Słońce zachodziło, powoli zapadał wiosenny zmrok.

Zawieszona. A jeszcze niedawno martwiła się o Lincolna. Miała to gdzieś. Trudno. Pragnęła tylko uciec przed szyderczym uśmiechem Norris, przed oburzeniem Price'a i przed wspomnieniami. Na schodach przyśpieszyła i zbiegła na dół. Obcasy kowbojek głośno stuknęły na betonowym chodniku. Wrzuciła najwyższy bieg i szybkim krokiem przecięła parking. Podeszła do pierwszego z brzegu samochodu, kremowego chevroleta caprice'a. Był otwarty, kluczyki znalazła za osłoną przeciwsłoneczną. Usiadła za kierownicą, włożyła kluczyk do stacyjki, przekręciła i ruszyła.

– Cholera, cholera, cholera – powtarzała jak mantrę.

Wyjechała z parkingu, czując, że musi znaleźć ujście dla wzbierającej złości. Jechała przed siebie, byle gdzie, byle jak najdalej stąd, widziała tylko drogę. Na północ, na południe, co za różnica? Zadzwoiła komórka. Sięgnęła do kieszeni i wyłączyła telefon, nawet na niego nie patrząc.

Zostawiła za sobą centrum. Hałas, brud, wspomnienia, wszystko to zostało w tyle. Pędziła przed siebie, nie myśląc o niczym.

Zjechała z autostrady. Zwróciła uwagę na księżyc w pełni. Krążyła dokoła Nashville, powinna zagłębić się w boczne uliczki i tam znaleźć schronienie. Skręciła w dwupasmówkę i pojechała na zachód. Znała tę okolicę. Znajdowała się na południowy zachód od Franklin, mniej więcej na wysokości Leiper's Fork. Wiedziała, jak stąd dostać się do domu: skręcić na zachód, dotrzeć do Natchez Trace, a potem na północ. Powrót do domu. Jak to się ładnie składa. Nigdy nie szła przez życie szeroką drogą, tą drogą, którą idą wszyscy, lecz mimo że wędrowała ostępami i wąskimi ścieżkami, zawsze potrafiła odnaleźć właściwy kierunek.

Noc stawała się coraz czarniejsza, oświetlane światłem księżycza szpalery drzew rosnących przy drodze rzucały długie cienie i wyglądały jak kolumna maszerujących żołnierzy. Duchy, pomyślała Taylor. Rozegrano tu niejedną bitwę. W ziemi spoczywały kości wielu poległych. Drzewa były niczym milczący wojacy, jak wartownicy rozstępujący się przed pojazdami.

Dotarła do linii kolejowej. Zwolniła i rozejrzała się, żeby się upewnić, czy nie nadjeżdża pociąg. Znalazszy się na torach, raz jeszcze spojrzała w lewo, potem w prawo. Coś zwróciło jej uwagę. Zwolniła i przyjrzała się. Dopiero po chwili dotarło do niej, że na oświetlonych srebrnym blaskiem torach widzi psa, beagle'a, powoli idącego w przeciwnym kierunku.

Widok chwycił ją za serce. Zatrzymała się kawałek dalej na poboczu, wysiadła, wróciła do przejazdu i pobiegła za psem.

– Hej, mały. Zatrzymaj się, psiaku. Nie chodź po torach, bo coś ci się stanie.

Pies rzeczywiście się zatrzymał. Odwrócił łeb i przekrzywił go. Wyglądało to tak, jakby posłał Taylor uśmiech. Jak gdyby chciał powiedzieć: „Co paniusia robi na torach? Paniusi coś się stanie”.

Pstryknęła palcami i zagwizdała. Psiak pomachał ogonem, ale nie podszedł. Stał i obserwował Taylor, która powoli zbliżała się do niego. Nie miał obroży. Wprawdzie nie wyglądał na szczególnie zaniedbanego, ale też nie był przesadnie czysty i odżywiony, raczej więc nie był uciekinierem z ostatnich dni. Taylor skojarzył się z doświadczonym podróżnikiem, który

doskonale zna wszelkie skróty i wie, gdzie można wędrować, a które rejony lepiej omijać. Psi wagabunda ciekawy świata. Kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki, dotknął pyskiem jej dłoni, po czym odwrócił się i pobiegł w swoją stronę. Tory skręcały w lewo. Taylor stała i patrzyła, jak pies znika za zakrętem. Nie oczekiwał pomocy. Miał swój świat, znał swoje miejsce i wiedział, co musi robić. Zupełnie inaczej niż Taylor.

Dopiero kiedy straciła go z oczu, uzmysłowiła sobie, że płacze.

Baldwin chodził na rzesach. Taylor od kilku godzin nie odbierała telefonu. Aiden nadal był na wolności, a wszystkie kanały telewizyjne trąbiły o Taylor i jej martwym kochanku. Gdyby dorwał go w swoje ręce, Baldwin bez wahania skrzyłby mu kark.

Zbliżała się północ, kiedy komórka wreszcie ożyła. Dzięki Bogu, to ona. Odebrał i rzucił do słuchawki:

– Taylor, na litość boską, gdzieś ty była? Potwornie mnie wystraszyłaś!

Wyczuł po jej głosie, że niedawno płakała. Pękło mu serce. Słabość nie była w jej stylu. Musiało stać się coś, co ją złamało.

– Nie krzycz na mnie, dobrze? – powiedziała cicho. – Nic mi nie jest. Jadę do domu.

Muszę się wyspać, a potem zastanowię się, co dalej. Jestem zmęczona. Słuchasz mnie?

– Słucham – odparł łagodnie. – Jadłaś coś?

– Nie jestem głodna – mruknęła. – Ale zapaliłabym.

– To się da załatwić. – Roześmiał się. – Pamiętam, że gdzieś schowałaś paczkę. Jedź ostrożnie, dobrze? Do zobaczenia na miejscu.

– Cześć. – Rozłączyła się.

Odetchnął. Dopiero kiedy wreszcie się odezwała, uświadomił sobie, jak bardzo się o nią martwił.

Cholera, jak to możliwe, że sprawy tak szybko się spieprzyły? Kilkanaście godzin wcześniej zadzwoniła do niego i opowiedziała o sekstaśmach, a teraz mówiły o nich wszystkie media, pokazywały fragmenty na zmianę z nagraniem, na którym Taylor zabija Martina. Był pewien, że zdoła podważyć prawdziwość tego materiału, zresztą już zlecił swoim ludziom przyjrzenie się mu. Wyglądało na to, że ktoś nałożył ścieżkę dźwiękową na wideo, aby stworzyć wrażenie, że Martin błaga o życie. Będzie łatwo to udowodnić. Dużo więcej trudu będzie wymagało naprawienie szkód, jakie afera wyrządzi w duszy Taylor.

Zobaczył światła na podjeździe. Wyłączył telewizor, poszedł do garażu i otworzył drzwi. Uśmiechnął się, kiedy ujrzał ją w łagodnym świetle. Miała rozczochrane włosy i zaczerwieniony nos. Wyglądała jak półtora nieszczęścia, a zarazem w szarych oczach szalała burza.

– I kto jest teraz jeżozwierzakiem? – zapytał, obejmując ją.

Westchnęła, ale nie odpowiedziała. Była bardzo spięta. Zastanawiał się, czy próbować z nią porozmawiać, czy może lepiej od razu położyć ją do łóżka. Podpowiedział mu jej brzuch, w którym nagle głośno zaburczało.

– Chodź, zrobię ci coś do jedzenia – powiedział.

– Nie trzeba. Nie jestem głodna – odparła nieobecny głosem. Ciałem znajdowała się w domu, ale myślami w zupełnie innym świecie.

Puścił ją i mimo protestów otworzył puszkę zupy, wlał ją do miseczki i włożył do piekarnika razem z kawałkiem bagietki. Taylor stała przy zlewie i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Zupa szybko się podgrzała. Postawił ją na stole, podał bagietkę, przyprowadził Taylor i posadził na krześle. Przypomniała mu się matka, kiedy opiekowała się nim po operacji usunięcia wyrostka robaczkowego, gdy chodził do gimnazjum. Pamiętał, jak bardzo irytowało go to całe cackanie się i dopytywanie, czy na pewno czegoś nie potrzebuje. Dlatego wycofał się

i pozwolił Taylor samej sięgnąć po łyżkę.

Minęło kilka chwil. Milczenie przeciągało się. W końcu Baldwin nalał sobie zupę i usiadł naprzeciwko Taylor.

– Staram się zbudować przyszłość, ale przeszłość wciąż mi na to nie pozwala – powiedziała wreszcie. – Martin, L’Uomo, moi durni rodzice. Ilekroć zrobię krok do przodu, coś pcha mnie do tyłu. Nie rozumiem tego. – W jej głosie pobrzmiwała rezygnacja.

Baldwin wiedział, że nie warto wyliczać wszystkiego, co jednak udało jej się osiągnąć. Nie teraz, dlatego spróbował z innej beczki:

– Chcesz się dowiedzieć, co jest grane? – spytał.

Spojrzała na niego. Dostrzegł błysk zainteresowania w oczach. Zuch dziewczyna, pomyślał.

Westchnęła, potem zanurzyła bagietkę w zupie i zaczęła jeść.

– Oj, gorąca. – Odłożyła bułkę na talerz. – No powiedz. Problem nie zniknie tylko dlatego, że zacznę go ignorować.

– Racja. Myślę, że będę mógł ci pomóc.

– Nie sądzę, kochanie. Tym razem naprawdę dałam ciała. – W głosie Taylor znów pojawiła się ta nietypowa dla niej słabość.

– Wcale nie. Posłuchaj, poprosiłem znajomą, żeby przyjrzała się nagraniu, na którym zabijasz Martina. Znalazła kilka śladów manipulacji dźwiękiem. Myślę, że do rana zbierzemy dość dowodów, by podważyć autentyczność taśmy. Co się tyczy pozostałych filmików, to po tym, jak wyszłaś, rozmawiałem z Lincolnem. Chciał, żebyś oddzwoniła. To tak przy okazji.

– Nie teraz. – Pokręciła głową.

– Jasne. Przekazał mi wszystkie informacje, podesłałem je innemu znajomemu, który, nie wiem, czy pamiętasz, pracował nad podobną sprawą. Udało mu się namierzyć właścicieli strony i usunąć ją z sieci. Tak więc nowe nagrania raczej nie wypłyną.

– O kurde! Dziewczyno!

– Słucham?

– Miałam pojechać do starego domu i poszukać ukrytych kamer, ale wczoraj wieczorem zasnęłam, a kiedy się rano obudziłam, nie pamiętałam o tym. Tyle się działo... – W jej głosie pojawiła się nieznana Baldwinowi gorycz.

– Ach, one – odparł. – Dzwoniły. Powiedziały, że przeszukały dom i znalazły dwie miniaturowe kamery w otworach wentylacyjnych, czyli tam, gdzie sugerowałaś. Tim Davis zabezpieczył je i zabrał do zbadania. Chcę je przesłać tej znajomej od taśm, Sherry Alexander, i poprosić, żeby im się przyjrzała. Jeśli ktoś może trafić na ślad właściciela tych kamer, to tylko Sherry.

Taylor pokiwała głową. Włosy opadły jej na czoło. Zniecierpliwiona zaczęła wiązać je w kucyk, ale darowała sobie. Opuściła ręce ze zmęczenia.

– Nadal masz ochotę zapalić? – spytał Baldwin.

– Nie, marzę tylko o tym, żeby się położyć. Zaniesiesz mnie?

– Oczywiście.

Wstał i podszedł do niej. Chciał delikatnie ją podnieść, wziąć w ramiona i zanieść do łóżka. Pocałował ją, ale bliskość i nietypowa bezbronność tej tak zawsze silnej kobiety sprawiły, że zapragnął czegoś więcej. Delikatny pocałunek zmienił się w namiętny. Objęła go i odwzajemniła pieśczętę. Pomyślał, czy przy takim rozwoju sytuacji zdołają dotrzeć na górę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła za sobą. Kiedy wychodzili z kuchni, zgasił światło.

## PIĄTEK

### ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Taylor obudziła się o piątej. Słońce przeciskało się pomiędzy listkami żaluzji i usiłowało wedrzeć się do tonącej w półmroku sypialni. Spojrzała na Baldwina. Leżał na plecach z ręką nad głową. Obróciła się na bok i przytuliła do jego nagiej piersi. Odruchowo otoczył ją ramieniem.

Poczuła się bezpieczna, zamknęła oczy i powoli znów zaczęła przysypiać, kiedy nagle zadzwonił telefon. Oboje podskoczyli. Zerknęła na zegarek. Minęło więcej czasu, niż jej się zdawało, była za dwadzieścia siódma.

– Odbierz – powiedziała. – Nie mam ochoty z nikim gadać.

Baldwin stęknął i sięgnął po telefon. Zwinęła się w kłębek. Czuła się dziwnie zadowolona. Po tym wszystkim, co się wczoraj wydarzyło, świadomość, że jest przy niej Baldwin, sprawiała, że wszystko inne wydawało się mniej istotne.

Mruknął coś do słuchawki, co zabrzmiało tak bardzo męsko, że aż poczuła miłe łaskotanie. Po chwili zrobił poważną minę i usiadł. Sięgnął po pilota, włączył telewizor i znalazł kanał MSNBC. Szturchnął Taylor w plecy. Odwróciła się. Kiwnął na telewizor i pogłośnił. Taylor zamarła. Zobaczyła ekran podzielony na dwie części. Po jednej stronie w studiu telewizyjnym siedziała blondynka w świetnie skrojonym kremowym żakiecie i z typową dla prezenterek prostą fryzurą, a po drugiej Michelle Harris, na której pudrowanym obliczu malował się niepokój.

– Panno Harris, twierdzi pani, że policja w Nashville nieudolnie prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa pani siostry. Wiemy, że aresztowano podejrzanego, którym okazał się pani szwagier. Czy to się zgadza?

– Tak, to prawda, aresztowali Todda, ale po tym, co się wydarzyło wczoraj, wcale nie jestem przekonana, czy policja nie popełniła błędu. Skoro funkcjonariusze nie ufają sobie i mordują się nawzajem, jaką mogę mieć pewność, że aresztowali właściwego człowieka?

– O Boże – jęknęła Taylor.

Blondynka ściągnęła usta i zapytała poważnym tonem:

– Panno Harris, czy odkryła pani coś, do podważa zasadność działań policji?

Przez chwilę Michelle sprawiała wrażenie zagubionej, jakby nie potrafiła zrozumieć zwrotu „podważać zasadność działań”, ale szybko się odnalazła.

– Wiem tylko, że od samego początku w śledztwie panował chaos. W dodatku do lokalnych mediów trafiły obrzydliwe szczegóły prywatnego życia policjantki prowadzącej śledztwo. – Na ustach Michelle pojawił się złośliwy uśmiech.

Nie rób tego, pomyślała Taylor, ale Michelle jej nie posłuchała.

– Wczoraj wieczorem wszyscy o tym mówili, telewizja pokazywała taśmy, na których ta policjantka uprawia seks ze swoim partnerem z wydziału, po czym zabija go z zimną krwią. Co to za osoba? Jak to możliwe, że nadal służy w policji?

– To bardzo dobre pytanie, panno Harris. Pozwoli pani, że na nie odpowiem. Otóż przedstawiciel policji w Nashville poinformował naszą stację, że porucznik Taylor Jackson została tymczasowo zawieszona oraz że wszczęto śledztwo mające wyjaśnić okoliczności zdarzenia, o którym mowa.

Taylor poczuła, jak jej żołądek wywraca się na lewą stronę.

– Zaraz puszcę pawia – mruknęła.

Baldwin podniósł pilota, żeby wyłączyć telewizor. Popatrzył na Taylor. Gniew wykrzywił mu twarz.

– Pozwiemy ich za to, kochanie, obiecuję. Nie martw się. Nie mają prawa...

– Cicho, cicho. Nie wyłączaj. Co ona mówi?

Prezenterka wróciła do tematu:

– Panno Harris, proszę nam powiedzieć, co takiego odkryła pani zeszłego wieczoru, co przekonało panią, że śledztwo jest prowadzone nieudolnie?

Twarz Michelle jaśniała radością. Uniosła plik kartek i potrząsnęła nimi tak blisko mikrofonu przypiętego do bluzki, że w głośnikach rozległ się głośny szelest. Na jego tle Michelle powiedziała:

– Policjantka prowadząca sprawę ma skłonność do przemocy. Pewna moja znajoma zdradziła mi, że pani porucznik już kilka razy była oskarżona o brutalne traktowanie podejrzanych. Lista jej ofiar jest długa. Mam na to dowody.

– To niezwykle interesujące, panno Harris. – Prezenterka była wniebowzięta. – Pozwoli pani, że wrócimy do tego po krótkiej przerwie.

Zaczęły się reklamy. Baldwin wyłączył dźwięk, a Taylor złapała za telefon.

– Do kogo dzwonisz?

Taylor zawahała się, a po chwili odłożyła słuchawkę.

– Do pracy. Do Fitza. Do kogokolwiek. Nie wiem. Nie wierzę, że ta kobieta poszła do telewizji i opowiada takie rzeczy. Skąd ona to wzięła?

– Doskonale pytanie... Ta cała Harris wyolbrzymia fakty. Cholera, narobi dużo szkody.

Taylor wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Domyśliłam się, że szuka pokłasku, kiedy zaczęła występować w talk-show. Corinne była ulubienicą rodziny, a Michelle zawsze czuła się spychana na margines. Przypuszczam, że w ten sposób pragnie zwrócić na siebie uwagę. Najpierw na okrągło opowiadała o tym, jak znalazła ciało, potem nagranie z telefonu alarmowego, a teraz to... Coś mi tu nie gra, panno Michelle. Jak dwa i dwa to cztery, zachowuje się pani dziwnie. A to oznacza... – Sięgnęła po telefon.

– Taylor.

Wybrała numer, przyłożyła słuchawkę do ucha i przytrzymała ją ramieniem, jednocześnie szukając notatnika, który zwykle trzymała na nocnym stoliku.

– Co?

– Kochanie, nie możesz tego robić. Pozwól mi się wszystkim zająć.

– Jasne, że mogę. O co ci... – Raptem do niej dotarło. Zamarła i prawie upadła na łóżko.

Nie ma odznaki. Jest zawieszona. Bez tej choleryjnej plakietki nic nie może zrobić.

Zagotowało się w niej. Norris, pieprzona suka.

Usłyszała głos w słuchawce.

– Pomyłka – mruknęła i rozłączyła się, po czym spojrzała na Baldwina. – Przecież nie mogę siedzieć beczynn timer. Muszę coś zrobić. Naprawdę spodziewają się, że będę siedziała z założonymi rękami, podczas gdy oni będą niszczyli moją karierę?

– Kochanie, nie masz innego wyjścia. Ja się tym zajmę. Jesteśmy w stanie dowieść twojej niewinności, ale przez ten czas nie wolno ci się wychylać. Po prostu siedź cicho. Wierz mi, że nie mam ochoty zostawiać cię tu samej. Aiden nadal przebywa na wolności i nadal jest na mnie wkurzony.

Po prostu cudownie! W ogrodzie buszuje psychol z zagranicy, odznakę i broń zabrało BOZ, sprawa leży rozgrzebana, a ona ma siedzieć i czekać jak grzeczna dziewczynka. Jasne, i co

jeszcze?

Baldwin wstał z łóżka.

– Jadę do centrum. Wezmę tylko prysznic. Zastanowię się, jak ci zapewnić ochronę.

– Nie potrzebuję ochrony, przecież jestem policjantką. W sejfie mamy broń.

Zainstalowaliśmy alarm. Nie pozwolę Aidenowi zbliżyć się do mnie.

Przysiadł na skraju łóżka. Przycupnęła obok niego i położyła mu głowę na ramieniu. Nie chciała nikogo innego. Przecież Baldwin mógł ją obronić, we dwoje dadzą sobie radę.

– Kochanie – zaczął łagodnym tonem. – Nie jestem pewien, czy rozumiesz powagę sytuacji. Aiden to maszyna do zabijania. Od lat robi to bezkarnie. Nie mogę ci zdradzić szczegółów, ale dzieje się to po części za naszym przyzwoleniem. Nie poddaje się i nie odpuszcza. Uwziął się na mnie, ponieważ zabroniłem mu wjazdu do Stanów, a ma tutaj matkę i żonę. Chce wrócić do domu, żeby... ich odwiedzić. Jak dotąd udawało mi się go powstrzymać – przez pięć lat broniłem mu dostępu do rodziny. Jednak teraz, kiedy mimo wszystko znalazł się w Stanach, muszę ich chronić.

– Odwiedzić... czyli zabić.

– Nie do końca. Jego matka przebywa w zakładzie dla umyślowo chorych w Rhode Island. Historia z żoną jest bardziej skomplikowana. To ona wydała go nam w 2006 roku. Nakryła go w Berlinie z prostytutką, ale nie na tym, na czym zwykle żony nakrywają mężów, tylko na patroszeniu ofiary. Spanikowana uciekła do konsulatu i o wszystkim opowiedziała. Mój kontakt w Berlinie dowiedział się o zajściu i oczywiście poinformował mnie o tym, ale niedawno Aiden zniknął nam z oczu, zaczął pracować na własną rękę, jak to się mówi. – Zamilkł, ale gdy Taylor otworzyła usta, przerwał jej: – Wiem, o co chcesz zapytać. Dlaczego postanowił zaatakować ciebie, a nie mnie?

– No właśnie.

– Wcześniej Aiden nie miał mnie jak podejść. Jako przeciwnik zawsze czuł do mnie pewnego rodzaju, nazwijmy to, respekt. I vice versa. Ma niebywale złożoną osobowość, jest jednym z najtrudniejszych przypadków, jakie zdarzyło mi się profilować. Przy nim Ted Bundy wygląda jak uczeń szkoły dobrych manier. Teraz to się zmieniło, bo... jesteśmy razem. Wreszcie mam słaby punkt. Ty nim jesteś. Przypuszczamy, że Aiden widział nas we Włoszech i przekonał się, jak wiele dla mnie znaczysz. Gdyby mnie zabił, nie odczułby żadnej satysfakcji, po prostu nic by mu to nie dało, ale mordując ciebie, sprowadzi na mnie niewyobrażalne cierpienie. I to właśnie go zadowoli. Bo on tak działa. Problem polega na tym, że aż do teraz nie wiedzieliśmy, jakie ma zamiary, i nie potrafiliśmy przewidzieć jego ruchów. – Ścisnął jej rękę. – Powinnaś wiedzieć coś jeszcze. – Wstał, włożył bokserki i usiadł na krześle stojącym przy łóżku.

Czuła, że jest spowiednikiem, któremu Baldwin chce wyznać grzechy. I miała rację, bo powiedział:

– Zabiłem żonę Aidena.

– Jak to... zabiłeś? – Otworzyła szeroko oczy.

Baldwin złapał się za głowę i zasłonił twarz dłońmi. Przeczesał włosy palcami i spojrzał Taylor w oczy.

– To był wypadek, tragiczny wypadek. Naskoczyła na mnie, a ja ją zastrzeliłem w samoobronie. W każdym razie tak twierdzi Garrett. Ja uważam, że mogłem postąpić inaczej, przecież była kobietą, ogromna dysproporcja sił, więc finał mógł być inny. – Przerwał na moment. – Oskarżyła mnie o problemy Aidena, twierdziła, że to ja zrobiłem z jej męża potwora.

– No nie... To jakiś absurd.

– Ona myślała inaczej. – Ciężko potarł dłońmi twarz. – Po tym, jak nakryła go z prostytutką, zwróciła się do nas o pomoc. Udało mi się wywieźć ją z kraju pod nosem Aidena.

Wiedziałem, że będzie chciał odnaleźć żonę, bo odgrażał się, że ją zabije. Kiedy naprawdę spróbował to zrobić, ukryliśmy ją w Wiedniu, jednak jakimś sposobem namierzył adres kryjówki. W ostatniej chwili dowiedziałem się, że Aiden jedzie do Lucy, i zdołałem zabrać ją stamtąd dosłownie pięć minut przed jego przyjazdem.

Znów zamilkł, a Taylor w napięciu czekała na dramatyczny koniec opowieści.

– Co było dalej?

– Wszystko się posypało. Lucy, nie informując nas, skontaktowała się z Aidenem i umożliwiła mu przyjazd. Chciała z nim być, razem spiskowali przeciwko nam. Nie wiem, dlaczego to robiła. Jedynie wytłumaczenie jest takie, że Aiden ją omotał. Przecież widziała, jak jej mąż szlachtuje kobietę. Omotał... Tak, to jakieś wyjaśnienie, ale i tak nie potrafiłem tego zrozumieć, choć jestem psychologiem. – Przeczesał palcami włosy. – Zmusiliśmy ją do opuszczenia domu. Nie chciała się ruszyć. Kombinowała, tłumaczyła się, błagała, ale byliśmy niewzruszeni. W samochodzie wyjęła nóż i zaatakowała mnie. Zaskoczyła mnie, zareagowałem instynktownie. Postrzeliłem ją w nogę, trafiłem w tętnicę. Wykrwawiła się, zanim dowiozłem ją do szpitala.

– O Jezu... – wyszeptała. – Aiden ci tego nie wybaczył.

– Nigdy nie wybaczy. Odebrałem mu ją. Pochowano ją w Stanach, a on nawet nie mógł pójść na jej grób. Przysiągł, że zamieni moje życie w piekło. To dlatego bałem się nowych związków. Ale pojawiłaś się ty i nie zdołałem ci się oprzeć. Stałaś się dla mnie wszystkim. On o tym wie. – Wyglądał, jakby chciał powiedzieć dużo więcej, ale zamilkł. Patrzył jej w oczy.

Taylor czuła, jak uchodzi z niego złość.

Podeszła do niego, uklękła i wzięła go za ręce.

– Biedny Baldwin. Strasznie mi przykro. Nie wiedziałam o tym. Jak ci mogę pomóc?

– Możesz mi pozwolić, żebym zadbał o twoje bezpieczeństwo. Zawiodłem Lucy. Nie chcę zawieść również ciebie.

Pocałował ją tak gwałtownie, że zabrakło jej tchu i zakręciło się w głowie. Podrapał ją jego dwudniowy zarost, ale nie przejęła się. Chciała jeszcze. Przejechała paznokciami po plecach Baldwina. Zsunął bokserki i po chwili znów byli na łóżku. Wszedł w nią i naraz świat przestał się liczyć. Tragedie, seryjni mordercy, porażki i niepowodzenia – wszystko to znalazło się gdzieś daleko, stało się nieważne. Był tylko on, wypełniał ją, przygniatał swoim ciężarem, zamykał w ramionach. Były tylko brutalna siła i wspólny szybki orgazm zrodzony z frustracji i bólu.

Wstając po raz drugi tego ranka, Taylor podjęła decyzję.

Baldwin zostawił ją w sypialni, gorącą i zarumienioną, i poszedł wziąć prysznic. Ależ nienasycony z niego facet. W ich namiętności była radość i nawet kiedy oboje czuli, że świat wali im się na głowę, w swoich ramionach zawsze znajdowali pociechę. Nakazał jej pod żadnym pozorem nie opuszczać domu, postawił przed drzwiami uzbrojonego strażnika i na wszelki wypadek poprosił, żeby w okolicy krążyły wozy patrolowe.

Co za straszne zamieszanie. Miała doświadczenie w postępowaniu z niebezpiecznymi kryminalistami i gdyby przyszło co do czego, potrafiłaby się obronić. Kiedy ktoś na ciebie poluje, podstawa to czujność. Nie zaszkodzi również przebywać w miejscu, którego nie spodziewa się przeciwnik. Właśnie zamierzała to zrobić.

Nikt nie wiedział o środowej rozmowie Taylor z Jasmine. O tym, że dowiedziała się o Thalii Abbott. Taylor mogła wpaść do niej po wizycie u Ellen Ricard, z którą umówiła się na ósmą.

Zaprosiła strażnika do środka, zaproponowała mu kawę i wytłumaczyła, co zamierza zrobić. Dała mu do zrozumienia, że nie ma wyjścia i musi zgodzić się na jej plan. Kazała mu przysiąc, że nie doniesie Baldwinowi, że wyszła.



– Daj mi dwie godziny – powiedziała. – Wrócę i będę grzeczna.

Wyjeżdżając z garażu, pogwizdywała. Mogli ją pozbawić odznaki, ale za cholerę nie powstrzymają jej przed prowadzeniem śledztwa.

Sumienie próbowało ją przekonać do zmiany planów, podpowiadało, by zawróciła, przeczytała książkę i pozwoliła Baldwinowi uporać się z problemami. Zignorowała ten piskliwy głosik. Kiedy ostatni raz zaufała mężczyźnie i pozwoliła, by zajął się jej sprawami? Nigdy. Nie lekceważyła Baldwina, ale w głębi duszy pragnęła udowodnić mu, że jest tą twardą, stanowczą kobietą, za jaką ją uważał. Poza tym nie zrani go to, o czym nie będzie wiedział.

Wypatrywała ogona, ale nie zauważyła nic podejrzanego, więc najwyraźniej nikt jej nie śledził. Poza tym była wyczulona na Aiden. Kiedy znajdował się w pobliżu, jej system alarmowy wariował. Oby to się nie zmieniło.

Baldwin powiedział, że Aiden ma dwa cele: zniszczyć mu życie i zobaczyć grób żony. Zapomniała zapytać, gdzie Lucy została pochowana. Być może Aiden zmienił kolejność i zamierzał najpierw odwiedzić cmentarz, a dopiero potem zacisnąć garotę na gardle Taylor.

Wjechała do garażu pod budynkiem. Było ciemno i ponuro. Pomyślała, czy jednak nie powinna zaparkować przy ulicy, i uznała, że tak. Widzisz, Baldwin, nie jestem głupia jak but, skomentowała w duchu, wyjeżdżając na West End. Znalazła miejsce parkingowe za znakiem, który informował, że postój jest dozwolony od ósmej rano. Zerknęła na zegarek. Była siódma czterdzieści pięć. Czyli jeszcze kwadrans. No, bez przesady, co zrobią? Wlepią jej mandat?

Gdy rozejrzała się wokół, nie zobaczyła nic podejrzanego. Baldwin nieźle ją wystraszył, więc teraz, chcąc nie chcąc, oglądała się przez ramię. Czyżby Aiden odpuścił sobie, gdy zorientował się, że Baldwin jest w mieście? To całkiem prawdopodobne. Chciałabyś, pomyślała. Życie stróża prawa byłoby nudne, gdyby nie musiał ścigać wariatów o zabójczych skłonnościach.

Weszła do lobby, zatrzymała się przed tablicą i przeczytała, że doktor Ellen Ricard ma gabinet na siódmym piętrze. W kolejce do windy stał spory tłumek. Byli to głównie pacjenci, ale także recepcjonistka oraz pielęgniarka w niebieskim fartuchu, która trzymała kawę z pobliskiego Starbucks. Taylor wcisnęła się do środka razem z całą tą cizbą.

Gabinet doktor Ricard znajdował się na końcu długiego korytarza po prawej, tuż obok wyjścia na klatkę schodową, którą prowadziła droga ewakuacyjna. Taylor nacisnęła kłamekę i weszła do środka. Brzęknął cichy dzwonek. Gabinet był starannie urządzone. Czerwony dywan we wzory przykrywał prawie całą podłogę, zaś na kremowej ścianie wisiał pasujący do niego impresjonistyczny olej na płótnie pędzla ciszącej się lokalną sławą malarki Jennifer Wilken. Meble były duże i kanciaste, sofy zamszowe, a na ławie leżały numery „Town and Country”. Pachniało perfumami Chanel.

Doktor Ricard, uprzedzona dzwonkiem, wyszła z drugiego pokoju. Miała siwiejące włosy do ramion, które nie pasowały do młodzieńczych rysów twarzy. Taylor mimo woli otaksowała ją wzrokiem, próbując dociec w zawodowym odruchu, z kim ma do czynienia. Kwadratowe czarne okulary, delikatny makijaż, czarne spodnie z dzianiny, czarno-biały jedwabny top z dużym dekoltem, wszystko to sprawiało, że Ricard stanowiła ciekawą mieszankę tego, co staro- i nowomodne. Miała nie więcej niż czterdzieści lat, ale akurat z odgadywaniem wieku Taylor radziła sobie dość słabo.

Ucisnęły sobie dłonie, po czym Ricard zaprowadziła Taylor do swojego gabinetu.

Okna pokoju wychodziły na wschód, dlatego pomieszczenie zalane było porannym słońcem, co tworzyło pogodną atmosferę. Pośrodku stała ława w stylu art déco, a po obu stronach ciężkie kanapy. Wielki, obity czarnym aksamitem fotel z uszakami nosił ślady częstego użytkowania. Zaraz też wyjaśniło się, dlaczego, gdy Ricard usiadła na nim z podwiniętymi nogami. Położyła notatnik i długopis na ławie. Ruchem głowy poleciła Taylor usiąść, co też

zrobiła, mocno przy tym zdumiona, że bez szemrania słucha lekarki, choć ta nie powiedziała jeszcze ani słowa.

Po chwili doktor Ricard jednak się odezwała, a jej silny brytyjski akcent sprawił, że Taylor poczuła się jak podczas wycieczki po londyńskim muzeum.

– Jak mogę pani pomóc, pani porucznik?

Tak bez wstępów? – pomyślała Taylor. Okej, tak nawet lepiej.

– Chodzi o Corinne Wolff. Była pani pacjentką. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego szukała u pani pomocy.

– Skoro wie pani, że była moją pacjentką, to szczególnie jako policjantka wie pani również, że nie mogę zdradzić, o czym rozmawialiśmy. Przykro mi z powodu jej śmierci. Była wyjątkową kobietą.

– W takim razie proszę mi pomóc znaleźć jej mordercę.

– Czyżby policja już tego nie zrobiła? Przecież dwa dni temu aresztowaliście podejrzanego.

– To prawda, ale moim zdaniem wcale nie jest pewne, że Todd Wolff zabił swoją żonę. Owszem, zatrzymaliśmy go, ponieważ istnieją obciążające go dowody, ale śledztwo trwa i wiele może się zmienić. Chciałam jednak porozmawiać o czymś innym. Corinne i Todd byli dość... otwarci w kwestii swojej seksualności.

– Nie jest pani pewna, czyli nie chce pani wziąć na siebie odpowiedzialności, gdyby okazał się niewinny.

– Właśnie dlatego, że biorę odpowiedzialność za swoje poczynania, drażę sprawę dalej – odparła, tuszując w głosie poczucie obrazy, choć słowa i tak wszystko zdradzały. – Bo tak, zgadza się, nie jestem przekonana co do jego winy, a ja nie traktuję ludzkiego życia lekko, nieważne, z kim mam do czynienia. Proszę nie poddawać mnie psychoanalizie. Nie przyszłam do pani jako pacjentka, tylko staram się rozwiązać zagadkę śmierci pani pacjentki.

Ricard w końcu się uśmiechnęła i rozluźniła.

– W porządku, pani porucznik. Przeszanę, jeśli pani przestanie.

Taylor nie wiedziała, co o niej myśleć. Miała niejakie wątpliwości, czy ta rozmowa dokądkolwiek prowadzi. Czyżby marnowała czas?

– Co pani ma na myśli?

Ricard splotła dłonie i zaczęła kręcić młynka palcami wskazującymi.

– To, że rano oglądałam wiadomości. Została pani zawieszona. Zakładam, że nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Nie, nic. – Taylor przygasła. Cholera, wszystko na nic.

Jednak Ricard lekceważąco machnęła ręką i oznajmiła:

– Proszę się nie przejmować, pani porucznik. Widziałam te nagrania.

– Aha... – Taylor zbladła. Miała się nie przejmować?

Ale słuchała uważnie, co dalej mówiła Ricard, bo jej ton uległ wyraźnej zmianie, świadczył o poczuciu swoistej wspólnoty, koleżeństwa.

– Dla mnie to jasne jak słońce, że nadepnęła pani komuś na odcisk, dlatego ten ktoś próbuje panią zdyskredytować. Proszę mi wierzyć, doskonale to znam z własnego doświadczenia. Zastraszanie, wymuszanie i tak dalej. Można z tym żyć, można sobie z tym poradzić, jeśli tylko człowiek nie da się zapędzić w koziego róg. Na pewno doskonale pani wie, o czym mówię, bo do kruchych i pokornych istot pani nie należy. – Przerwała na moment. – No, ale w tej chwili to nie ma żadnego znaczenia. Widzę, że jest pani zdeterminowana, żeby znaleźć prawdziwego mordercę Corinne Wolff. Znam ten błysk w oczach. – Uśmiechnęła się ciepło i była to pierwsza oznaka serdeczności, jaką okazała, od kiedy Taylor przekroczyła próg

gabinetu. – Oczywiście rozumie pani, że rozmawiamy nieoficjalnie. Nie mogę ujawnić szczegółów sesji zawieszanej policjantce, dlatego ujmę moją wypowiedź w hipotetyczne ramy.

Taylor spojrzała w oczy Ricard, szukając w nich potwierdzenia, że psycholożka drwi sobie z niej. Hipotetyczne ramy... Śledztwo potrzebuje konkretów, a nie akademickich dywagacji! A może jednak Ricard nie drwiła, tylko na tyle wyciągała pomocną dłoń, na ile w tej sytuacji mogła? Zresztą co mam do stracenia? – pomyślała Taylor. Przecież nie mogła wparować na posterunek i oświadczyć, że oto rozwiązała zagadkę śmierci Corinne Wolff. Lepiej posłuchać pani doktor, a nuż powie coś wartego uwagi.

– Rozumiem. W porządku. Po prostu ciekawi mnie, dlaczego ktoś tak opanowany jak Corinne przeżył załamanie. Sądząc po tym, czego o niej się dowiedziałam, branie leków o działaniu przeciwlękowym, gdy była w ciąży, to całkiem nie w jej stylu. Jeśli się dowiem, co doprowadziło ją do takiego stanu, pomoże mi to wpaść na trop zabójcy, niezależnie od tego, czy był nim mąż, czy ktokolwiek inny...

Ricard intensywnie myślała, widać to było po niej. Taylor zamilkła, dając jej czas, by wszystko ułożyła sobie w głowie.

– Wie pani o niej całkiem sporo – powiedziała wreszcie.

– Staram się uzyskać jak najpełniejszy obraz ofiary. Corinne wydaje mi się kobietą o dwóch obliczach. Z jednej strony była przykładną żoną i matką, cudownym dzieckiem młodzieżowego tenisa, przez chwilę obrotną bizneswoman, a z drugiej rozpaczliwie pragnęła szczęścia i szukała go na różne sposoby, na przykład poprzez seks. Interesuje mnie, skąd się wzięły te dwie twarze jednej osoby i dlaczego tak bardzo się różniły.

– Każdy z nas ma dwie strony, pani porucznik. A nawet więcej, ale skupmy się na najprostszym przykładzie, na dychotomicznym podziale na prywatność i świat zewnętrzny. Dla świata zakładamy maskę, i tylko w prywatnym życiu pozwalamy sobie na ukazanie prawdziwej twarzy. Zależnie od maski, inaczej osądzamy, podejmujemy inne decyzje, w inny sposób czerpiemy przyjemność z naszych uczynków. Nasze oblicza, prywatne i publiczne, nie są tożsame. Weźmy na przykład funkcjonowanie w pracy. To, że zajmuje pani typowo męskie stanowisko, nie pozwala pani okazywać typowo kobiecej słabości.

– Obawiam się, pani doktor, że nie pasuję do stereotypu „delikatnej kobiety na męskim stanowisku”. Poza tym muszę panią rozczarować, ale w pracy jestem dokładnie tą samą osobą, co w domu.

Ricard uśmiechnęła się, a Taylor pomyślała, że pani doktor nie lubi sprzeciwu.

– Czyżby? Ile kobiet służy w policji w stopniu porucznika?

– Wiele.

– Pracują w terenie czy za biurkiem?

– Przeważnie za biurkiem. W Nashville jestem jedyną, która pracuje w terenie.

– Przypuszczam, że cieszy się pani szacunkiem kolegów i nigdy nie daje im pani odczuć, jak bardzo pragnie pani zrzucić z barków odpowiedzialność i pozwolić im przejąć kontrolę.

– O nie, tu się pani myli. Tworzymy zespół. Pracujemy razem, muszę polegać na kolegach. Nie ufaliby mi, gdybym ja nie ufała im.

– Mieszka pani z mężczyzną?

– Tak.

– Jaki jest jego zawód?

– Pracuje w FBI. On...

– Tak?

– Obecnie prowadzi śledztwo, ale nie chce podzielić się ze mną szczegółami. Chce mnie chronić, a ja wcale tego nie potrzebuję. – Zamknij się już, Taylor, nakazała sobie. Ta cwana

psycholożka ciągnie cię za język. – Ale nie przyszłam tu rozmawiać o sobie, tylko o Corinne Wolff.

– Widzi pani, Corinne, tak samo jak pani, wydawało się, że kontroluje własne życie. Że decyzje, które podejmuje, są jej decyzjami. Że angażuje się w niesmaczne zabawy, ponieważ tego chce. W rzeczywistości każda kobieta bardziej lub mniej pragnie, by partner otaczał ją czułą opieką, chronił, nie zaś rzucał w objęcia swych kochanek lub kochanków. Już nawet nie wspomnę o sprzedawaniu najbardziej intymnych chwil między dwojgiem ludzi temu, kto zaproponuje najwyższą cenę.

Taylor patrzyła na doktor Ricard. Za szklami okularów, za maską chłodnego profesjonalizmu, dostrzegła sprytną kobietę. Postarała się, aby jej własne oblicze zdradzało wyłącznie zainteresowanie sprawę Corinne.

– Chce pani powiedzieć, że Corinne była ofiarą.

– W pewnym sensie. Niestety Corinne nie ma już z nami i nie może potwierdzić, że nie podobały jej się skłonności męża i czuła się przez niego wykorzystywana. Za to pani wciąż znajduje się na wczesnym etapie tej drogi, może się pani przygotować na oskarżenia, w głębi duszy doskonale wiedząc, że nie zrobiła pani nic złego. Corinne nie miała takiego hartu ducha. Z łatwością poddawała się wpływowi. Zamiast walczyć, złożyła broń. Pozwoliła się wykorzystywać.

– Doktor Ricard, nie jestem ofiarą. Pod tym względem Corinne i ja różnimy się. Wolałabym, żebyśmy skupiły się na niej. Czy była wykorzystywana przez męża?

Ricard wyglądała na rozbawioną, zaraz jednak spoważniała i pokiwała głową.

– Wielu ludzi ją wykorzystywało. Mąż, rodzina, rodzeństwo, kochanek. Myślę, że wkrótce dotrze pani do prawdy. Porozmawiajmy o lękach, którym musi sprostać młoda matka znajdująca się w takim położeniu jak Corinne Wolff.

– W porządku.

– Proszę się zastanowić, jakie problemy może mieć wyjątkowo utalentowane dziecko. Prowadzi do bólu uporządkowane życie, centrum jego świata jest talent. Praca, praca, praca. Zainteresowanie innych, schlebianie, oczekiwania. Aż do dnia, w którym budzi się, tak dosłownie, jak w przenośni, i stwierdza, że wystarczy, że już nie chce być ósmym cudem świata. Nie chce ciężko pracować, chce normalnie żyć. Widzi, że jego przyjaciele nie napinają się, żyją na luzie, w weekendy śpią do południa, mają mnóstwo czasu na randkowanie i imprezowanie. Dociera do niego, że też chce tak żyć. Osoba tak bardzo zdeterminowana dąży do prostego życia, pod każdym względem odmiennego od dotychczasowego, z uporem i zacięciem, które dotąd czyniły z niej wybitną sportsmenkę.

– Julianne Harris, jej matka, wspomniała, że Corinne straciła zapal do tenisa, kiedy poszła do liceum – powiedziała Taylor. Kiedy Ricard nie skomentowała, zapytała: – Czy jest możliwe, żeby banalne, dla mnie lub dla pani wręcz nieistotne zdarzenia przestawiły taką osobę na nową tory?

– Oczywiście. Ktoś o dużej potrzebie kontrolowania nie tak łatwo pozwala odebrać sobie stery, chyba że pojawi się dodatkowy czynnik, nie zawsze zresztą racjonalny. Na przykład miłość.

To miało sens. Taylor wróciła myślami do nagrania, na którym Todd zabawiał się z dwiema dziewczynami. Corinne obsługiwała kamerę. Niezależnie od tego, czy podobało jej się przedstawienie, czy nie, kontrolując kamerę, a więc decydując o tym, co widz oglądał, i poniekąd sterując jego emocjami, panowała nad sytuacją i kierowała mężem w ten jakże niestandardowy sposób.

– Czy w życiu Corinne istniało coś, co zapowiadało tę neodpartą potrzebę

kontrolowania?

– Niestety, pani porucznik, na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Proszę pamiętać, że rozważamy czysto hipotetyczną sytuację. Ale w przypadku osób o tak dużym zapotrzebowaniu na trwałość i stabilność można mówić o wciąż żywym urazie z przeszłości, który jest nie tylko wspomnieniem, ale właśnie czymś żywym, wpływającym na tu i teraz, na decyzje, ogląd świata i tak dalej. Być może doszło do wykorzystywania lub stosowania przemocy. – Przerwała na moment. – Wielu młodych geniuszy wyraża się poprzez swój talent, kiedy jednak dziecku odbiera się ten talent, wówczas wszystko, nawet coś tak banalnego jak polecenie od rodziców, że pora spać, a nie pracować nad rozwijaniem zdolności, może wprowadzić poważny zamęt w młodej, genialnej głowie. Takie dzieci wykorzystują swoje zdolności do kontrolowania innych, tak jak osoba anorektyczna głodzeniem się pragnie poskromić własne ciało. To kwestia postrzegania rzeczywistości w określonej sytuacji. Niech pani sobie to intuicyjnie wyobrazi, a zrozumie pani wszystko. – Znow zamilkła na chwilę. – Proszę je tego pozbawić siłą mięśni lub argumentów, a otrzyma pani dziecko, które nie jest w stanie, lub też nie chce, przetrwać bez mechanizmów umożliwiających kontrolowanie własnego zachowania i potrzeb.

– Co może prowadzić do rozwiązłości.

– Doskonale, pani porucznik. Zrozumiała pani. Monogamiczna rozwiązłość to kolejny przykład, czym może się skończyć krytyczny stosunek do takiego dziecka.

– No tak, ale z czasem dziecko staje się osobą dorosłą. Czy wówczas nie wyrasta z tego?

– Jedne wyrastają, inne nie. Jedne nadal zgłębiają przedmiot zainteresowań, inne, pozbawione kontaktu z jedyną sferą, która umożliwi im sprawowanie kontroli nad własną tożsamością, szybko tracą kontakt z rzeczywistością. Usychają, zapadają się w sobie, kończą w kaftanie albo na cmentarzu. Większość jednak wiedzie produktywnie, choć niekoniecznie szczęśliwie życie.

– Czy potrzebny jest katalizator? Coś, co sprawi, że przekroczą granicę i będą robiły to, na co w normalnych okolicznościach nigdy by się nie zdecydowały?

– Można tak to ująć. Potrzebne jest zdarzenie, które zmieni ich życie – podkreśliła Ricard. Taylor coraz lepiej rozumiała ten skomplikowany problem psychologiczny.

– Czy ta ciąża była niechciana? – spytała.

Ricard pokiwała głową, ale odparła:

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. Corinne była osobą poddaną reżimowi, kontrolowaną.

A zatem na tym polegał problem. Zaszła w ciążę, ale wcale nie była z tego powodu szczęśliwa. Dziwne. Młoda matka, z pozoru zadowolona z życia...

– Czy dla kobiety mającej potrzebę kontrolowania wszystkich i wszystkiego niechciana ciąża mogła być brzmieniem na tyle ciężkim, że doprowadziła do patologii?

– Słusznie pani wnioskuje, pani porucznik. Nosząc w sobie dziecko, kobieta musi do pewnego stopnia zrzec się kontroli nad własnym ciałem, i rzeczywiście dla niektórych może to się okazać bardzo trudne do zniesienia. Taka osoba może czuć, że płód jest obcym organizmem, i doświadcza nienawiści tak silnej, że jej zdaniem jedynym słusznym rozwiązaniem jest przerwanie ciąży. Ale może również zgłosić się do specjalisty, do kogoś, kto pomoże przezwyciężyć klaustrofobiczny lęk przed samą sobą. Potężny strach, wszechogarniające pragnienie ucieczki, w efekcie nawet rozstanie – tak, to są problemy, w których rozwiązaniu pomagają intensywne terapie poznawcze, regresja, relaksacja i metoda feedbacku, czyli biologicznego sprzężenia zwrotnego.

– Czy te problemy dotyczyły Corinne? Czuli klaustrofobiczny lęk w związku z ciążą?

– Pani porucznik, zbliża się pani do hipotetycznej granicy.

– Rozumiem. A leki?

– Cóż, ciężarnym oczywiście odradza się leczenie farmakologiczne.

– A jednak Corinne sięgnęła po lekarstwa. Dlaczego?

Ricard zerknęła na zegarek.

– Och, pani porucznik, przykro mi, ale musimy już kończyć. – Wstała.

– Pani doktor, jeszcze jedno pytanie. Czy Corinne Wolff mogła stanowić zagrożenie dla samej siebie?

Ricard poprawiła okulary i poprawiła sukienkę.

– Owszem. Ale wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, żeby sama pobiła się na śmierć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Taylor wyszła od doktor Ricard. Kręciło jej się w głowie, przez którą przetaczał się potok pomysłów i teorii. Ze słów psycholożki wyłaniał się pełniejszy obraz Corinne Wolff. Taylor wiedziała, że najlepszym sposobem na rozwiązanie zagadki morderstwa jest jak najdogłębniejsze poznanie ofiary, bowiem bardzo często zdarzało się, że zabójcą była osoba z kręgu znajomych albo członek rodziny. Pobicie dokonane ewidentnie pod wpływem silnych emocji oraz łatwy dostęp do domu ofiary, wszystko to wskazywało na sprawcę wymierzającego karę albo dokonującego zemsty. A zatem na kogoś, kogo Corinne znała. Jeśli więc Taylor dobrze pozna Corinne i zrozumie ją, być może domyśli się, kto jest mordercą. Mógł to być Todd, którego z całą pewnością obciążał zgromadzony materiał dowodowy, ale niekoniecznie.

Przyjeżdżając do doktor Ricard, powiedziała A i uznała, że równie dobrze może powiedzieć B i zadzwonić do Julianne Harris. Tylko czy odbierze? Michelle Harris zdecydowanie odcięła się od Taylor, twierdząc w telewizji, że nie gra z panią porucznik w tej samej drużynie, ale jeśli nie przekabaciła matki... Wyjęła notatnik i znalazła numer domowy Harrisów. Julianne odebrała po drugim dzwonku.

– Czy wie pani coś nowego o śmierci naszej córki? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Pani Harris, dziękuję, że pani odebrała. Jestem bardzo...

– Oglądałam wiadomości. Nie chcę rozmawiać o pani problemach. Czego pani chce? Krótko i zwięźle. Taylor wiedziała, że ma tylko jedną szansę.

– Pani Harris, czy wiedziała pani, że Corinne brała leki w związku z napadami lęku? Cisza, jednak po chwili Julianne Harris odparła z westchnieniem:

– Tak, wiedziałam...

– A czy wie pani, co było przyczyną jej stanu? – Gdy znów zapadła cisza, tym razem dłuższa, Taylor dodała: – Zapytam więc inaczej...

– Nie ma potrzeby, pani porucznik – wpadła jej w słowo Julianne Harris. – Tak, bała się. Miewała ataki paniki w związku z dzieckiem. Nie chciała powiedzieć, skąd się to brało, ale ja swoje przeczuwałam.

– To znaczy?

– Nie chcę mówić źle o córce, pani porucznik. Myślę, że pora zakończyć tę rozmowę.

– Czy Corinne miała romans?

– Mój Boże... – jęknęła zbolalym głosem. – Skąd pani wie?

Domyśliłam się, skomentowała w duchu Taylor, po czym zadała następne pytanie:

– Kto był jej kochankiem?

– Tego nie wiem. Nawet nie jestem pewna, czy miała ten romans. Przed śmiercią zachowywała się dziwnie, nieprzewidywalnie, jakby wpadała w jakąś obsesję. Tylko jeden jedyny raz widziałam ją w takim stanie. Chodziła wtedy do liceum i zadurzyła się w pewnym chłopcu. Spotykali się bardzo krótko, a kiedy ją rzucił, załamała się. Wpadła w głęboką depresję, zaczęła pisać listy do chłopaka, w których błagała, żeby do niej wrócił. Trwało to kilka tygodni. Miałam wrażenie, że teraz, krótko przed śmiercią, znów się tak zachowywała. Matka zawsze wie, kiedy z jej córką jest coś nie tak. Nic więcej nie umiem pani powiedzieć.

– Dziękuję, pani Harris. Bardzo mi pani pomogła.

Rozłączyła się i postukała palcem o kierownicę. Podczas przesłuchania Todd Wolff zmienił zdanie co do tego, kiedy ostatni raz uprawiali seks z Corinne. Początkowo zeznał, że nie kochali się od tygodnia, więc tylko romans, gdy nie było śladów wskazujących na gwałt,

tłumaczyłby spernę znaną podczas autopsji. Laboratorium nadal analizowało DNA Todda. Ciekawe, czy wyniki potwierdzą jego zeznania, czy też im zaprzeczą. A jeżeli naprawdę Corinne miała romans, to z kim?

Zanotowała kilka myśli, rozważyła za i przeciw i postanowiła powiedzieć jeszcze C. Thalia Abbott była następną na liście.

Ostre poranne słońce odbijało się od gładkich powierzchni biurowców w centrum. Zamyślona Taylor zmrużyła oczy i osłoniła je przed promieniami. Nie zauważyła stojącego po drugiej stronie ulicy i obserwującego ją ciemnowłosego mężczyzny.

Wsiadła do auta, wyjęła z portfela karteczkę z numerem Thalii i zadzwoniła. Kiedy w słuchawce odezwał się przyjemny kobiecy głos, przedstawiła się jako przyjaciółka Jasmine. Pominęła milczeniem to, że była policjantką po pierwsze dlatego, żeby nie spłoszyć Thalii, a po drugie żeby ten wredny babsztyl, Umpa, nie oskarżył jej o wprowadzenie świadka w błąd. Thalia nie spytała, o co chodzi, ale chętnie zgodziła się na spotkanie. Zaproponowała parking przed szkołą św. Anny przy Charlotte Avenue za czterdzieści minut. Taylor podziękowała i rozłączyła się. Miała jeszcze całkiem sporo czasu.

Włączyła silnik. Korzystając z nieoczekiwanej przerwy w porannym potoku aut, zawróciła i ruszyła w stronę Uniwersytetu Vanderbilta. Kiedy mijała wjazd na kampus, zadzwoniła komórka. Cholera, żeby tylko Thalia się nie rozmyśliła. Zerknęła na wyświetlacz. To był Baldwin. Odchrząknęła, nie ściszyła radia. Będzie udawała, że siedzi sobie w domu, czyta i słucha miłej muzyczki. Odebrała z radosnym:

– No cześć, kochanie!

– Taylor, czemu nie ma cię w domu?

Oj, to było szybkie. Jak się zorientował? Co teraz? Skłamać czy od razu się przyznać? Znajac Baldwina, raczej nie blefował, czyli albo wygadał się strażnik przed drzwiami, albo jednak miała ogona. Postawiłaby na to drugie. Czyli druga opcja: przyznać się.

– Nie mogłam usiedzieć. Sam wiesz najlepiej, jak to jest.

– A ty sama dobrze wiesz, jakie ci grozi niebezpieczeństwo – ochrzanił ją głosem, w którym jednak usłyszała rezygnację.

Był poirytowany, ale nie wściekły. Znał ją. Uśmiechnęła się pod nosem.

– Wiem. Zakładam, że przyczepiłeś mi ogona.

– Nie sprawdzałaś?

– Mówię: zakładam.

– Nie jesteś czujna, Taylor. To mógł być Aiden, a nie moi ludzie.

– Gdyby tak było, nie dzwoniłbyś do mnie, tylko byłbyś tutaj i wywijał szabelką.

Kochanie, naprawdę nie potrzebuję ochrony.

– Potrzebujesz bardziej, niż ci się wydaje. No dobrze, nieważne. Co kombinujesz?

– E... badam trop.

– Powinnaś zostawić te nagrania mnie. Sherry zdobyła nowe informacje, lada moment dobierzemy się cwaniakom do skóry.

– To świetnie. Ale nie o to chodzi. Badam trop związany ze sprawą Corinne Wolff.

– Taylor, czy muszę ci przypominać...

– Nie, nie musisz. Wiem, że nie mam odznaki i uprawnień. I że angażując się, narażam śledztwo. – Zaskoczyła ją gorycz w głosie. Sądziła, że największa złość już przeszła. Do cholery z tobą, Delores Norris!

– Dobrze, już dobrze. Ale posłuchaj, kiedy skończymy rozmawiać, powiadomię chłopaków, że wiesz o nich, więc mogą podjechać bliżej. Chcę, żeby nie odstępowali cię na krok, okej? Zwłaszcza że jeździsz jak wariatka.



Taylor pojechała Murphy Road i przed klubem golfowym McCabe'a skręciła na północ w Czterdziestą Szóstą Aleję, a potem krążyła uliczkami Sylvan Park. Jadąc Colorado Avenue i mijając kolejne ulice noszące nazwy stanów, w myślach umiejscawiała je na mapie. Bawiły się tak z Sam, kiedy były dziećmi i rodzice Sam wieźli je z Belle Meade przez Sylvan Park do cukierni Bobbie's Dairy Dip przy Charlotte Avenue. Zbierały punkty, jeden za poprawne podanie nazwy stanu, jeden za podanie sąsiada stanu, którego ulicą właśnie jechały. Rodzice Sam musieli wozić je za każdym razem inną trasą, żeby dziewczynki miały nowe wyzwania. Zwycięzczyni miała prawo jako pierwsza zdecydować, jaki deser lodowy sobie życzy.

Taylor przypominała sobie, jak zaciekle walczyły, z jakim zapalem usiłowały wywołać z pamięci nazwy stanów i ich stolic. I jak się śmiały, kiedy się pomyliły. Pamiętała dumę, kiedy udało jej się pokonać Sam, która już jako siedmiolatka sprawiała wrażenie, jakby znała na pamięć encyklopedię wiedzy mało użytecznej. Przyjemnie byłoby wrócić do czasów, kiedy najważniejsze w życiu było to, żeby jako pierwsza wybierać smak lodów.

A co tam! Skręciła w lewo w Charlotte Avenue, minęła kościół św. Anny i pojechała przecnicę dalej. Zatrzymała się przed Bobbie's Dairy Dip, przed którą stała kolejka, choć była dopiero dziewiąta. Zawsze jest dobra pora na soczystego burgera i porcję słodkich lodów.

Wróciła do suwa, niosąc rożek z polewą czekoladową. Usiadła wygodnie za kierownicą, spróbowała lody, zamruczała i pomyślała, że może powinna zasignalizować chłopakom, że robi przerwę w cukierni. A nawet postawić im coś słodkiego. Oj, bez przesady.

Kiedy skończyła, wytarła usta papierową serwetką, cienką nawet jak na fast foodowe standardy, wrzuciła ją do śmietniczki i ruszyła. Pokonała przecnicę i zajechała za budynek kościoła. Zaparkowała przodem do Charlotte Avenue, odczekała minutę, żeby ogon dogonił psa, i wysiadła.

Z myślą o zróżnicowanym przekroju społecznym Sylvan Park w kościele katolickim św. Anny przez cały dzień odprawiano msze po angielsku, hiszpańsku i koreańsku. W szkole obowiązywał program K-8, czyli obejmujący naukę przedszkolną i w klasach od pierwszej do ósmej. Do prywatnej przykościelnej szkoły św. Anny posyłali swoje pociechy zarówno rodzice należący do parafii, jak i spoza niej, a nawet niebędący katolikami.

Taylor ruszyła do wejścia do szkoły, ale zatrzymała się. Thalia Abbott miała co najmniej siedemnaście lat, czyli nie uczyła się w św. Annie.

Poszła więc do świątyni. Powitał ją chłód i zapach kadzidła. Odruchowo zanurzyła palce w wiszącej obok drzwi niewielkiej kamiennej misie święconej wody i przeżegnała się. Podeszła bliżej ołtarza i poczuła ogarniający ją spokój. Zawsze lubiła kościoły, choć dziś już rzadko chodziła na msze. Ciekawe, że ilekroć zaszła do świątyni, obiecywała sobie, że znajdzie czas, by raz w tygodniu chodzić na msze, ale po wyjściu z niej, po zetknięciu z twardą rzeczywistością, nigdy tego nie robiła.

– Czy jest pani katoliczką?

Zaskoczyła ją, a teraz patrzyła na chudą dziewczynę, nastolatkę u progu dorosłości. Miała długie, proste, brązowe włosy i smutne brązowe oczy. Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, białych zębów. Miała idealnie gładką, kremową skórę. Taylor doznała uczucia, że gdzieś już ją widziała, i szybko sobie przypomniała gdzie. Dziewczyna wyglądała jak Noelle Pazia, ofiara Dusiciela z Południa, którego Taylor i Baldwin ujeli latem rok wcześniej. Wspomnienie Noelle długo ją prześladowało. Teraz, patrząc na młodszą wersję tamtej dziewczyny, dostała gęsiej skórki.

– Porucznik Taylor, tak?

– E... ttak. Tak, to ja. – Imponująca dykcja, Taylor, piękne jąkadło z ciebie, zadrwiła w duchu. – Po czym poznałaś?

– Oglądałam wiadomości – stwierdziła obojętnie Thalia.  
– Cudownie.  
– W ogóle bym się tym nie przejmowała. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że mogła pani bez powodu zabić człowieka. Przecież to widać w pani oczach. Pani jest Aniołem Stróżem, a nie Aniołem Zemsty.

Mile połączona Taylor uśmiechnęła się, po czym odparła:

– Nie wszyscy by się z tobą zgodzili. Thalia Abbott?  
– Nie jest pani katoliczką, prawda?  
– Prawda. Wychowałam się w duchu Kościoła episkopalnego, ale mój ojciec był katolikiem. Po czym poznałaś?  
– Bo nie widać po pani poczucia winy. Przeżegnała się pani, owszem, ale minęła konfesjonał, nawet na niego nie patrząc, czego nie zrobiłaby większość niepraktykujących katolików. – Uśmiechnęła się.

Taylor odwzajemniła uśmiech. Nie tego się spodziewała, nie komplementów od siedemnastoletniej byłej gwiazdki porno.

– Chodźmy. – Thalia zaprowadziła ją do zakrystii.

Dopiero wtedy Taylor zauważyła, że dziewczyna trzyma w ręku szmatkę. Zaraz też zabrała się do ścierania kurzu.

– Masz za dużo lat, żeby chodzić do tej szkoły. Co tu robisz?

– Pracuję w zakrystii. Pomagam księżom i siostram w utrzymaniu porządku.

Zastanawiam się, co zrobić ze swoim życiem. Myślałam, żeby przyjąć śluby na jesieni. Czuję... powołanie.

Wow! To dopiero zmiana stylu życia. W normalnych okolicznościach Taylor namawiałaby młodą dziewczynę, taką jak Thalia, by spróbowała poszukać innych dróg, ponieważ przywdzianie zakonnego habitu i odcięcie się od świata wydawało jej się zbyt radykalnym posunięciem. Ale w Thalii Abbott było coś takiego, co sprawiło, że ugryzła się w język. Ta młoda dziewczyna sama potrafiła decydować o sobie. Taylor czuła, że w przypadku Thalii zagajenie rozmowy o życiowych wyborach byłoby pretensjonalne, takie wywyższanie się starszej osoby, która poza wątpliwym argumentem wieku nie ma ku temu żadnych innych podstaw. Dlatego odpuściła.

– Thalia to bardzo ładne imię. Greckie?

– Zgadza się, pani porucznik. – Spojrzała na nią zaskoczona. – Moja matka urodziła się w Atenach. Thalia, muza komedii i poezji pasterskiej, dosłownie znaczy „kwitnąca”. Była też charytą, inaczej gracją, o tym samym imieniu i podobnych wiosennych atrybutach. Dla mnie to jedna postać, ale mogą być i dwie. W mitologii tak już jest, mnóstwo bałaganu i jeszcze więcej poezji. – Znowu się uśmiechnęła. – Podoba mi się moja grecka spuścizna, lubię wszelką twórczość, chciałabym uczyć sztuki. Wybór mojej matki, która dała mi takie imię, może okazać się proroczy.

Wyszły do niewielkiego ogrodu, zamkniętego w czterech ścianach budynków. Przez trawnik prowadziła wysypana kamykami ścieżka, w czterech rogach skwerku postawiono niewielkie posąжки, a pośrodku, tuż obok szmerzącej fontanny, kamienną ławkę. Usiadły, Thalia z wyprostowanymi plecami i błogim uśmiechem na ustach.

– To moje ulubione miejsce. Dobrze się tu myśli – powiedziała.

– To się czuje. – Spokój udzielił się Taylor. – Czy jako zakonnica będziesz mogła uczyć sztuki?

– Naturalnie. W dzisiejszym świecie, w którym wszystko dzieje się bardzo szybko i ludziom często brakuje czasu na lekturę, sztuka pełni bardzo ważną rolę w komunikacji,

zwłaszcza z młodymi ludźmi. Istnieje dorobek wielu stuleci sztuki religijnej, którą warto zgłębiać. – Przez chwilę siedziały w ciszy, aż wreszcie Thalia powiedziała głosem zabarwionym smutkiem: – Zadzwoń do mnie Jasmine. Prosiła, żebym odpowiedziała na pani pytania. Coś tam wiem o klubie, ale na pewno nie wszystko. Pomogę, jak będę mogła.

– Dziękuję. Jasmine powiedziała, że istnieje klub dziewcząt, które kręcą sekstaśmy i umieszczają w internecie. Co możesz mi o nich powiedzieć?

Thalia wpatrywała się w swoje leżące na podolku dłonie.

– Zaczniemy od tego, że lepiej to brzmi, niż wygląda. Teoretycznie to prestiżowy, ekskluzywny klub, do którego każda dziewczyna chciałaby należeć, ale przyjmowane są wyłącznie najpiękniejsze i najpopularniejsze. Wie pani, coś jak elitarna korporacja studentek.

– Tak. To grupa cię wybiera i poddaje testom, często obrzydliwym, po których zostajesz przyjęta w poczet członkiń klubu.

– Widzę, że wie pani, o czym mówię.

– Owszem – odparła Taylor. – Ale nie mam za sobą takich doświadczeń jak ty.

– Pierwszym zadaniem kandydatki jest seks oralny z kapitanem drużyny futbolowej.

Taylor zaniemówiła, jednak szybko otrząsnęła się ze zdumienia i odparła z pozoru lekkim tonem:

– No, moja inicjacja rzeczywiście przebiegała inaczej. Musiałaś to zrobić?

– Tak. W szafce w szkole znalazłam karteczkę z poleceniem, że natychmiast mam się udać do pergoli. Tak nazywaliśmy niewielki budynek niedaleko boiska, za którym chłopaki chowali się na papierosa. Postąpiłam zgodnie z instrukcją. Kiedy weszłam do środka, zasłonięto mi oczy, kazano uklęknąć i coś oznajmiono. Mianowicie muszę udowodnić, że jestem godna miejsca w klubie. Musiałam zrobić laskę chłopakowi. I zrobiłam. Potem już nie umiałam się zatrzymać, chociaż to było obrzydliwe i wynaturzone, a im dłużej brałam w tym udział, tym większą czułam do siebie odrazę i tym bardziej wstydziłam się siebie. Po seksie oralnym przyszła pora na pełny stosunek, potem na zabawy z fetyszami, aż wreszcie zaczęli wszystko filmować. Pięćdziesiąt punktów za umieszczenie nagrania w sieci, sto za sprzedanie go dystrybutorowi. Kiedy wystąpiłam z klubu, spotkałam się z ostracyzmem koleżanek. Przestałam chodzić do szkoły, zdałam egzamin General Educational Development, dzięki czemu mam uprawnienia, by podjąć studia, i zaczęłam pracować w kościele. Czułam, że muszę znaleźć nową drogę, wymyślić sobie przyszłość, w której mogłabym żyć. A także błagać o wybaczenie za swoją głupotę. – Machnęła ręką, przeganiając wspomnienia, jakby opędzała się od komarów. – Ale nie muszę pani tego opowiadać. Jasmine powiedziała, że interesują panią nazwiska dziewczyn z jakiegoś filmu.

– Tak. – Taylor wyjęła z kieszeni zdjęcia dwóch dziewczyn, z którymi zabawiał się Todd Wolff, i pokazała je Thalii. – Rozpoznajesz którąś z nich?

– Tak, obie. Ta po lewej, z kucykami, nazywa się Tracy Civet, a ta po prawej Jere Beisman. W zeszłym roku chodziły do ostatniej klasy. Mają nie po kolei, brakuje im piątej klepki, jeśli chce pani znać moje zdanie. Chcą zrobić karierę w przemyśle porno. Ten filmik na pewno trafi do ich portfolio.

– Czy Tracy i Jere pracują wyłącznie z Toddem Wolffem?

– Więc o to chodzi, prawda? Sądzi pani, że zabiły jego żonę.

Taylor nawet nie mrugnęła okiem, tylko spytała:

– A zabiły?

– Nie wiem. – Thalia pokręciła głową. – Ale wątpię. Była im obojętna. Obsługiwała kamerę i tyle.

– Nie uczestniczyła w igraszkach?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Taylor widziała nagrania, na których Corinne była aktywną uczestniczką zabaw męża. Być może zaczynała jako kamerzystka, aż wreszcie przestało jej to wystarczać.

– Czy wiesz, jaki był jej stosunek do... stosunków męża z dziewczynami?

– Podobno nie miała nic przeciwko temu. Zachowywała się jak profesjonalistka. Mówiła, jak się ułożyć, co robić z nogami, z rękami, z ustami. Takie różne polecenia, na przykład: „No, dziewczyny, wypiąć się!”. – Zwiesiła głowę. – Tak w każdym razie słyszałam, ale nigdy z nimi nie kręciłam. Wycofałam się wcześniej.

– Czy wiesz, komu chcieli sprzedać te nagrania?

– O to proszę zapytać Todda Wolffa. Lubił się przechwalać, że ma znajomości w jednej z największych firm w branży. Wysyłał taśmy szefowi, a kiedy udało mu się którąś sprzedać i trafiała do sklepów, zyskami dzielił się z dziewczynami. Oczywiście Tracy i Jere forsa kusiała o wiele bardziej niż gromadzenie punktów w klubowym rankingu.

– Ile dziewcząt w tym uczestniczy?

Splotła dłonie. Nie patrzyła Taylor w oczy.

– Myślę, że więcej niż dziesięć. Znam jeszcze dwie, które dotarły do tego poziomu co Tracy i Jere. Wie pani, to trochę przypomina masonerię. Członków wyższych wtajemniczeń poznaje się dopiero wtedy, gdy samemu osiąga się ten sam poziom.

– Czyli nie wiesz, kto kieruje klubem?

– Nie. Tracy i Jere były moimi przyjaciółkami, no, w każdym razie tak mi się wydawało. W zeszłym roku do klubu należały jeszcze dwie inne dziewczyny z ostatniej klasy. Jedna z nich zginęła w wypadku samochodowym wkrótce po ukończeniu szkoły. Pamięta pani? Osobówka zderzyła się z ciężarówką, zginęło pięć dziewczyn.

– Tak, oczywiście. – W telewizji i na ulicach Nashville przez kilka tygodni mówiono o tym tragicznym wypadku.

– Druga nazywa się Ginny Englewood. Skończyła szkołę i wyjechała studiować na jakiejś uczelni w Georgii. Ginny Kutasińska, taki miała „artystyczny” pseudonim, gdy jeszcze mieszkała w Nashville. Klasa, prawda? Nie kontynuowała kariery w branży porno. To wszystko, co wiem. Niewiele tego. Przepraszam, ale powinnam już wracać do pracy – zakończyła łamiącym się głosem, a po jej policzkach spływały łzy.

Rzeczywiście, pora kończyć, pomyślała Taylor. Dostałam to, na czym mi zależało.

Wstały i zaczęły iść w stronę drzwi.

– Thalia, bardzo mi pomogłaś, naprawdę. Dziękuję, jestem twoją dłużniczką. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe, a jednak zrobiłaś to dla mnie.

Thalia nie wytarła łez. Podała Taylor rękę, mówiąc przy tym:

– Bóg stawia przed nami wyzwania, pani porucznik. Liczy się to, jak sobie z nimi poradzimy.

Siedemnastolatka o mądrości doświadczonej życiowo kobiety. Żegnając się z nią, Taylor czuła się dziwnie pusta.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Taylor wsiadła do auta i spisała informacje uzyskane od Thalii. Musi podrzucić nazwiska Fitzowi, niech Marcus namierzy te dziewczyny. Do zarzutów stawianych Toddowi Wolffowi powinni dołączyć kolejny, czyli kręcenia pornografii dziecięcej. Przy odrobinie szczęścia zarzut uda się przekuć w zeznanie, a wtedy Todd może podać, komu sprzedawał taśmy, co w konsekwencji doprowadzi do zamknięcia interesu tego typu.

Fitz odebrał po pierwszym dzwonku. Błyskawicznie zdała mu relację ze spotkania z Thalią i rozłączyła się, żeby nie narażać kolegi na gniew Umpy. Obiecał, że odtworzy poranną trasę Taylor i potwierdzi informacje, by wyeliminować zarzut, że pomimo zawieszenia prowadziła śledztwo.

Czuła, że w historii z klubem nie wszystko się klei. Opowieść o tajnym stowarzyszeniu nastoletnich lasek, które mają ambicję przebić się do pornobiznesu i rekrutują naiwne koleżanki, wydawała się naciągana, a w każdym razie dalece niepełna. Przypuszczała, że istnieje ktoś spoza licealnego kręgu, zawodowiec z branży, który manipuluje dziewczynami. Cała ta klubowa otoczka, zerowanie na niepewności dziewcząt, na ich lękach, nastoletnich ambicjach i żądzy sławy, wmawianie im, że naprawdę pragną takiego losu, przekonywanie, że życie gwiazdki porno jest szalone i zabawne, gra w seks... Wszystko to było w stylu Todda Wolffa.

Taylor nie zauważyła, by w materiałach z domu Wolffów występowali inni mężczyźni, ale jeśli Corinne uprawiała seks z kimś, kto nie występuje na tych nagraniach, to być może właśnie z tego brały się lęki związane z ciążą. Matka Corinne podejrzewała romans, zaś doktor Ricard przyznała, że Corinne manipulowano, i wśród osób, które to robiły, wymieniła bliżej nieokreślonego „kochanka”. Sam będzie musiała zbadać płód i potwierdzić ojcostwo Todda. Wpisała to do notesu.

Thalia wspomniała, że Todd miał „szefa”. Taylor nie zdziwiłaby się, gdyby z rąk do rąk przechodziły pieniądze, które nie miały nic wspólnego z zyskami z filmów. Wolff był alfonsem, cienkim naganiaczem, a nie bossem. Trzeba się skupić na namierzeniu człowieka, dla którego pracował.

Och, powinna była zapytać Thalię o narkotyki. Wyjęła telefon i zadzwoniła do niej. Odezwała się poczta głosowa, więc zostawiła wiadomość i rozłączyła się.

Była zadowolona z siebie. Czuła, że zbliża się przełom. Tak to już bywa, można uczeplić się wątku, który jak nitka doprowadzi do kłębka, albo można utknąć na wiele miesięcy z mnóstwem pytań bez odpowiedzi. Co nie zmieniało faktu, że przydałoby się, cholera, odzyskać odznakę i normalnie wykonywać swoją pracę.

Poczuła wzbierającą złość, którą wyładowała, waląc pięścią w kierownicę i wyobrażając sobie, że ma przed sobą nalaną gębę Delores. I od razu lepiej się poczuła. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się, rozluźniła. Na razie nie mogła nic zrobić. Musiała cierpliwie poczekać, aż prawda wyjdzie na jaw.

Siedziała zrelaksowana za kółkiem, mając świadomość, że owocnie spędziła poranek. Zastanawiała się, co dalej. Cholera, ale pat. Nie mogła pojechać do pracy, ale też nie potrafiła siedzieć w domu z założonymi rękami. Może więc odwiedzi Sam? Przyjaciółka zawsze potrafiła ukoić jej smutki i wysłuchać. Zanim poznała Baldwina, z Sam obgadywała różne pomysły, sprawdzała jej reakcje.

Na wszelki wypadek zadzwoniła do Baldwina i powiedziała mu, dokąd się wybiera. Odparł, że jest rzut beretem od TBI, więc może spotkają się za godzinę w zakładzie medycyny

sądowej. Przypomniiał, żeby na siebie uważała.

Włączyła silnik i zaczekała, aż ogon przygotuje się do drogi. Skręciła w lewo w Charlotte Avenue, a kawałek dalej w prawo w Czterdziestą Szóstą Aleję i wskoczyła na autostradę. Dotarcie do biura patologa sądowego zajęło jej niecały kwadrans. Nie zauważyła swych cichych strażników, więc uznała, że przyczaili się na Gass Boulevard. Aideną też nie zobaczyła. Zaczęła się zastanawiać, jak FBI zamierza znaleźć biegłego w sztuce kamuflażu mordercę, który niezauważony przemyka przez kraje i stany, ale uznała, że w tej chwili nie pora się tym martwić. Wysiadła i podeszła do drzwi wejściowych do budynku. Przeciągnęła kartą przez czytnik i weszła do środka.

W recepcji siedziała jak zwykle promiennie uśmiechnięta Kris.

– Dzień dobry, pani porucznik. Jak się pani miewa? – przywitała się.

Czy to możliwe, że Kris o niczym nie słyszała? Taylor podeszła do biurka i zaczęła się bawić leżącym na nim długopisem.

– Cześć, Kris. Wszystko w porządku. Mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś nie wpuszczać do budynku obcych, dopóki stąd nie wyjdę? Chodzi za mną pewien typ, którego wołałabym nie spotkać.

– Tak, wiem. Dzwonił pani narzeczony i uprzedził mnie. Naprawdę, pani porucznik, niech pani wreszcie za niego wyjdzie. To znaczy za doktora Baldwina, nie za tego typu! To świetny facet, wie pani? – Kris posłała jej znaczące spojrzenie.

Taylor zaczerwieniła się i przewróciła oczami, ale powstrzymała się od komentarza.

Z kartą w ręku pokonała drzwi broniące dostępu do części budynku, w której znajdował się gabinet Sam.

Kris gustowała w niegrzecznych chłopcach. Kiedyś Taylor wpadła na nią w knajpie. Kris była nieźle wstawiona, grała w bilard i piła whisky z dwoma facetami, którzy wyglądali na członków gangu Hells Angels. Jednego z brodatych, ubranych w czarną skórę dryblasów przedstawiła jako swojego chłopaka. Ciekawe, pomyślała. Czyżby Baldwin roztaczał wokół siebie taką aurę jak groźni faceci na motorach? Może nie zauważała tego, bo znała go zbyt dobrze? Usiadła w biurze Sam i zaczęła na przyjaciółkę.

Sam zjawiała się pięć minut później i zastała Taylor pogrążoną w myślach o Baldwinie na harleyu. Wytarła ręce papierowym ręcznikiem. Wystarczyło jedno spojrzenie na Taylor, by się zasępiła.

– Trzymasz się? – spytała prosto z mostu.

– Jakoś. Nie mam wyjścia.

Sam zamknęła ją w krótkim, silnym uścisku, a potem usiadła w swoim fotelu.

– Wiedzą już, kto za tym stoi?

– Baldwin nad tym pracuje. Jego przyjaciółka z FBI może udowodnić, że nagranie, na którym zabijam Martina, sfabrykowano. Sprawa pozostałych filmików utknęła. Właściciel strony, na której je umieszczono, nieźle się okopał i nie tak łatwo się do niego dostać. No, a ja jestem w czarnej dupie i nic nie mogę zrobić.

– To gdzie byłaś przez cały ranek? – W oczach Sam pojawił się błysk.

Taylor uśmiechnęła się pod nosem.

– No dobrze, coś jednak robiłam. Nie jakieś tam coś, ale COŚ. Przecież mnie znasz, nie umiem siedzieć bezczynnie, a łowy udały się całkiem nieźle. Dowiedziałam się, jak się nazywają dziewczyny, które występują na filmie z Toddem Wolffem. Okazuje się, że to licealistki, które należą do tajnego klubu i kręcą amatorskie porno. Wyobrażasz sobie?

– Ambitne – skwitowała Sam.

Zadzwoiła komórka Taylor. Wyświetlił się numer Thalii Abbott.

– Sam, pozwól, że odbiorę... Halo? Cześć, Thalia... Tak, narkotyki... Okej. Dzięki raz jeszcze za pomoc. – Rozłączyła się, wyjęła notatnik i zaczęła pisać, mówiąc na głos: – Ecstasy, kokaina i ziele. Niekoniecznie tylko od Todda Wolffa. Porażające.

– Jakie czasy, takie dzieciaki. Martwią mnie bliźniaki. Co to będzie, kiedy osiągną ten delikatny wiek? Kiedy się zetkną z seksem, wódą i dragami? Na pewno rodzice tych dziewcząt uczyli je, co jest dobre, a co złe. Ale spójrz na nie.

– Nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Matka miała mnie gdzieś, a mimo to wyrosłam na grzeczną dziewczynkę.

– No, z tym można polemizować.

– Ha, ha. Ale śmieszne.

Znów zadzwonił telefon, tym razem Sam. Podniosła palec i odebrała. Słuchała przez chwilę i rozłączyła się.

– Właśnie się dowiedziałam czegoś, co ci się spodoba.

– Niech zgadnę. Zawiesili cię za to, że się ze mną przyjaźnisz.

– Lepiej. Otrzymaliśmy potwierdzenie, że ze spermy, którą znaleźliśmy w pochwie Corinne Wolff, udało się uzyskać wystarczającą ilość materiału do analizy DNA.

– I co? Czyja to sperma?

– Też chciałabym wiedzieć. Zleciłam analizę.

Taylor osunęła się na krzesło.

– To potrwa wieki.

Sam odgarnęła włosy z czoła i posłała Taylor przepraszający uśmiech.

– Niekoniecznie. Wiesz, że kolejny raz przymierzają się do głosowania nad budową laboratorium? Otóż okazało się, że aby przekonać urzędników, szefostwo chce pokazać, jak wygląda praca z materiałem genetycznym. No więc podrzuciłam im próbkę pobraną od Corinne i nie dość, że znaleźli wystarczającą ilość materiału do analizy, to jeszcze zbadają go w ekspresowym tempie i wyniki powinniśmy poznać nawet dziś po południu. Bo widzisz, cały sens demonstracji zasadza się na tym, aby pokazać urzędasom, że jeśli stworzymy własne laboratorium, będziemy pracowali dużo szybciej i wydajniej, co przełoży się na tempo rozwiązywania spraw. Lepsze statystyki, rozumiesz. Dane o materiale genetycznym Todda Wolffa zostały wcześniej wprowadzone do systemu, więc jeśli pojawi się zbieżność, natychmiast się o tym dowiemy. Jeśli się nie pojawi, też będziemy wiedzieli.

– Oby próbki do siebie pasowały, bo jeśli stanie się inaczej, będziemy musieli wziąć pod uwagę, że sprawcą może się okazać kochanek ofiary. Nie potrzeba nam więcej komplikacji. – Naszło ją przeczucie, którego nie umiała nazwać.

– Spójrz na to w ten sposób: wyniki badań tak czy owak pomogą nam znaleźć odpowiedzi na pewne pytania. Jeśli DNA nie należy do Wolffa, mógł je zostawić morderca. Ale przyznasz, że wiele wskazuje na Wolffa. Wiesz, że krew na skrzynce narzędziowej w jego aucie była krwią Corinne? Wprawdzie nie udało nam się jeszcze ostatecznie potwierdzić, kiedy ją tam zostawiła, co dobry obrońca może wykorzystać, ale wiemy na pewno, że to krew ofiary.

– Nie wiedziałam. Cholera jasna, jak ona mogła mi to zrobić, ta pieprzona Norris? Chcę wrócić do śledztwa. Umykają mi najciekawsze szczegóły i tracę pełen obraz. Jak mam rozwiązać sprawę, skoro nie wolno mi nad nią pracować?

– Rozumiem cię, kochana. Umpa to stara pomarszczona wiedźma, która zazdrości ci twoich sukcesów. Najważniejsze, że jesteś niewinna, co Baldwin udowodni, a wtedy na pewno cię przywróci. Musisz przeczekać. Wiem, że łatwo mówić, ale naprawdę nie możesz sobie pozwalać na takie eskapady jak dzisiaj. Gdzieś ty właściwie była?

– Spotkałam się z psychoterapeutką Corinne. Po tym, jak znalazłaś benzodiazepiny w jej

organizmie, postanowiłam dowiedzieć się, kto przepisał Corinne lorazepam. Okazało się, że położna, ale nie poprzestała na tym, tylko wysłała ją na psychoterapię.

– Wolff miała problem z głową?

– Wygląda na to, że Corinne piła z wielu źródeł, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Miała napady lęku związane z dzieckiem. Panikowała. Jest szansa na badanie DNA płodu?

– Oczywiście. Zlecę analizę i być może dostaniemy wszystkie wyniki za jednym zamachem. Ciekawy przypadek. Na studiach słyszałam o kobiecie, która była przekonana, że nosi w łonie Antychrysta. Musieli podawać jej leki uspokajające, bo bywały chwile, że chciała wyrwać sobie dziecko z brzucha. Bez żadnej przerośni, dosłownie.

– Ale nie miała romansu z diabłem?

– Nic mi o tym nie wiadomo, chyba że diabeł ma na imię Dave i mieszka w New Jersey. Byli zwyczajną parą. Psychoza na punkcie ciąży pojawiła się u niej, dopiero gdy wyszło na jaw, że równocześnie sypiała z bratem męża, a ona nie wiedziała, kto jest ojcem dziecka. Zdaje się, że autor studium przypadku doszedł do wniosku, że babeczka była po prostu zdrowo kopnięta.

– Hm, kopnięta. Lubię ten profesjonalny język medyków.

– E tam, jestem patolożką, a nie psychiatrą. O wilku mowa.

Taylor odwróciła się i zobaczyła Baldwina. Stał z założonymi rękami oparty o futrynę. Uśmiechnęli się do siebie.

– Byłaś niegrzeczna – oznajmił. – Cześć, Sam.

– Hej, a dlaczego ja nigdy nie jestem niegrzeczna? – Sam wydeła wargi i rzuciła w Baldwina zmiętą kartkę.

Złapał ją i z wprawą posłał do kosza.

– Jeszcze się popisuje – powiedziały chórkami Taylor i Sam i wybuchnęły śmiechem.

Dołączył do nich Baldwin ze swym tubalnym głosem.

Po chwili usiadł obok Taylor i powiedział:

– Przynoszę dobre wieści. Sherry udało się wyodrębnić miejsce ingerencji w nagranie.

Ktoś się bardzo przyłożył, na pewno nie był to amator. Sherry uważa, że mamy do czynienia z montażystą z dużym doświadczeniem. Przesłaliśmy materiał do twojej przyjaciółki Delores Norris, a kopie do Price'a i komendanta policji.

Skrzyżował nogi. Taylor zauważyła, że ma skarpety nie do pary, co bardzo ją rozbawiło. Musiał być strasznie zaafetowany, kiedy się ubierał. Ciekawe, czy wie o pomyłce.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Baldwin przygląda jej się, uśmiechając się pod nosem.

Aha, czyli wie o skarpetkach. Machnął ręką na znak, że nieważne. Okej, pal sześć skarpety.

– Parę kopii przypadkiem – puścił oko – trafiło do sieci. Myślę, że lokalne i ogólnokrajowe telewizje pokażą naprawione nagranie w okolicach południa.

Taylor poczuła niewysłowioną ulgę.

– Dzięki Ci, Boże – rzuciła z westchnieniem.

– Nie dziękuj Jemu, tylko mnie – skomentował Baldwin.

– Wiesz, o co mi chodzi. Pewnie, że ci dziękuję. Myślisz, że mnie odwieszają?

– Nie mają wyjścia. Ustaliłem z Sherry, że jeśli nie odezwą się w ciągu godziny, zrobimy wywiad na żywo w telewizji.

Taylor wzięła go za rękę.

– Więc teraz musimy po prostu zaczekać?

– Mhm. O czym rozmawiałyście?

– O sprawie Wolff. Sam zakombinowała, dzięki czemu wkrótce dowiemy się, z kim sypiała Corinne. Todd Wolff najpierw twierdził, że przed śmiercią żony nie uprawiali seksu od tygodnia, a potem przypomniał sobie, że jednak spali ze sobą tuż przed jego rzekomym



wyjazdem do Savannah. Ale obecność aktywnego nasienia w pochwie Corinne świadczy o tym, że odbyła stosunek już po tym, jak Todd wyjechał w piątek rano. Dobrze myślę, Sam?

– Zakładamy, że zginęła w sobotę rano. We wtorek znaleźliśmy w jej pochwie spermę zawierającą aktywne plemniki. Co prawda trudno wskazać konkretną godzinę, ale powiedziałabym, że uprawiała seks albo późno w nocy w piątek, albo w sobotę rano krótko przed śmiercią.

– A Todd Wolff wyjechał w piątek wczesnym rankiem – sprecyzowała Taylor.

– Spytaj Baldwina o psychozę u kobiet w ciąży.

– Najpierw muszę go wprowadzić w sprawę. Nie rozmawialiśmy, bo dopiero wczoraj wrócił z Wirginii... – Zamilkła. Aiden. Zupełnie o nim zapomniała. Postanowiła na razie pominąć temat, Baldwin też nic nie napomknął.

Sam wyczuła krępującą ciszę, ale nie dopytywała się.

Taylor zwróciła się do Baldwina:

– W dwóch zdaniach powiem ci, o co chodzi. Corinne Wolff, dwadzieścia sześć lat, w siódmym miesiącu ciąży, drugie dziecko. Mąż rzekomo wyjechał z miasta. W poniedziałek rano siostra znalazła ją w sypialni pobitą na śmierć, ciosy zadano rakieta tenisową. Nie żyła od dwóch dni. – Popatrzyła na Sam. Ją też prześladowało wspomnienie tego, co zobaczyły na miejscu zbrodni. – No więc nie żyła od dwóch dni. W domu była półtoraroczna córeczka, która rozniosła krew matki po całym domu. Mąż wyjechał w piątek, nie rozmawiał z żoną przez cały weekend. Ustaliliśmy, że zamordowano ją w sobotę rano. – Przerwała na moment, by Baldwin utrwalił w pamięci te informacje.

– Co dalej? – popędził ją.

– Podczas kolejnych oględzin miejsca zbrodni odkryliśmy zamaskowane wejście do piwnicy, w której Wolffowie urządzili studio filmowe i kręcili filmy pornograficzne. Z informacji, które udało mi się zdobyć, wynika, że Corinne początkowo tylko obsługiwała kamerę, ale później zaczęła aktywnie brać udział w pornograficznych scenach. Dzisiaj dowiedziałam się, że dziewczyny grające w filmach, które znaleźliśmy w piwnicy Wolffów, były nieletnie i należały do pokręconego tajnego klubu zrzeszającego uczennice prywatnych szkół w Nashville.

– Robi się coraz ciekawiej – mruknął.

– No właśnie. Do tego w organizmie Corinne Sam stwierdziła obecność lorazepamu, leku przeciwlękowego – Baldwin pokiwał głową – a w pochwie znalazła spermę. Technicy natknęli się na krew Corinne w samochodzie jej męża, więc aresztowaliśmy go. Michelle Harris, siostra Corinne Wolff, opowiada w telewizji bzdury o tym, że nieudolnie prowadzimy śledztwo. A nasza doktor Sam załatwiła przyspieszone badanie DNA.

– Zawsze do usług. – Sam skłoniła się zza biurka.

– Rozmawiałam z lekarką prowadzącą ciążę Corinne, z jej psycholożką i z matką – mówiła dalej Taylor. – Matka podejrzewa, że córka miała romans, a obie panie doktor zgadzają się co do tego, że Corinne bardzo przeżywała ciążę, miała napady paniki i klaustrofobii w związku z płodem. Było z nią tak źle, że zdecydowały się przepisać jej lorazepam. W tym miejscu pojawia się sprzeczność. Z zeznań wszystkich zainteresowanych wynika, że Corinne Wolff była okazem zdrowia. W siódmym miesiącu ciąży brała udział w turnieju tenisa, spizarnię i lodówkę miała pełną zdrowego jedzenia, ewidentnie dbała o siebie. Z drugiej strony w piwnicy urządziła jaskinię rozpusty pełną sprzętu filmowego i zabawek erotycznych. Prowadziła podwójne życie, co do tego nie ma wątpliwości.

– Uważasz, że to mąż ją zabił? – spytał Baldwin.

– Z początku wydawało mi się to najlogiczniejsze, ale potem zaczęły wychodzić na jaw

różne szczegóły, które zaciemniały i komplikowały obraz całości, dlatego już nie jestem tak przekonana. Jak na mój gust, Todd Wolff zbyt prędko wrócił z weekendowego wyjazdu, poza tym traktuje śledztwo zbyt nonszalancko, czy jak to nazwać, i nie chce współpracować. Mam nadzieję, że kiedy do dotychczasowych zarzutów dojdą nowe, związane z przestępstwami seksualnymi, rozwiąże mu się język. Upiera się, że nie zabił żony, ale dysponujemy dowodami, które mówią co innego.

– Dziecko nie było jego – powiedział Baldwin.

– Słucham?

– Ojcem dziecka, które nosiła Corinne Wolff, nie był Todd Wolff. Założę się, o co chcesz, że zapłodnił ją ktoś inny. To by wyjaśniało nieobliczalne zachowanie, konieczność terapii psychotropowej, klaustrofobię wynikającą z psychozy. To się układa w wyraźny obraz. Wygląda na to, że mąż przyłapał ją z kochankiem w trakcie albo tuż po stosunku i popełnił zbrodnię w afekcie. Klasyczny scenariusz.

– Świetnie. – Taylor uśmiechnęła się. – Idziemy w tym samym kierunku. Kiedy rozmawiałam z psychologką Corinne, wspomniała, że pacjentka mogła mieć kochanka. Niewykluczone, że są dwa trupy. Wolff mógł przyłapać żonę i kochanka *in flagrante delicto*, Corinne zatłuc na śmierć, faceta zabić i gdzieś ukryć ciało. To by jakoś wyjaśniało obecność krwi Corinne w samochodzie Todda.

– Coś w tym jest, Taylor. – Baldwin pokiwał głową. – Czy technicy znaleźli więcej niż jedną grupę krwi?

– Nie ma jeszcze wyników, Sam? – spytała Taylor.

– Nie, dopiero co wprowadziłam dane z autopsji, materiału z miejsca zbrodni jeszcze nie zdążyłam. Przykro mi.

– W takim razie nie wiadomo. – Taylor wzruszyła ramionami. – Ale pamiętaj, że zawieszono mnie i nie znam wszystkich szczegółów. Może coś się zmieniło? Albo Fitz rozwiązał zagadkę?

– Dowiedziałybyś się o tym pierwsza – stwierdziła Sam.

Zabrzączał interkom na biurku Sam. Z głośnika popłynął głos Kris.

– Pani doktor Loughley, komendant policji do porucznik Jackson. Czy mam go przekierować na pani numer?

Sam posłała Taylor spojrzenie pod tytułem „a nie mówiłam?” i odparła:

– Pewnie. Łącz.

Telefon piknął dwa razy i zadzwonił. Sam podniosła słuchawkę i podała ją Taylor.

– Porucznik Jackson – odezwała się.

Komendant głosem z typowo południowym akcentem poinformował ją w kilku krótkich słowach, że zostaje przywrócona do służby. Dorzucił nawet szczątkowe przeprosiny.

Odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się do siebie, mrugnęła do Sam i powiedziała do Baldwina:

– Zbieramy się. Mam sporo do nadrobienia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Taylor nie oczekiwała powitania godnego bohaterki. Pragnęła jedynie wrócić do swojego biura i rozpracować sprawę morderstwa Corinne Wolff. I jeszcze tego, żeby Aiden zniknął z ich życia.

Ale przed budynkiem policji stał długi rząd wozów transmisyjnych. Reporterzy i kamerzyści przepychali się łokciami, walcząc o najlepsze miejsce.auta stacji ogólnokrajowych parkowały wzdłuż Drugiej Alei, wyciągając ku niebu anteny jak czaple szyje ku południowemu słońcu.

– Przynajmniej wiemy, że ludzie się tobą interesują – skomentował Baldwin.

– Dzięki. Wszystko dobre, co... służy wkurwieniu Delores. – Wyszczrzyła zęby. – Ale jeśli Umpa się zdenerwuje, będzie chciała się odegrać. Założę się, że w tej chwili zastanawia się, jak jeszcze bardziej obrzydzić mi życie. Chodźmy od kuchni, dobra?

– Nie. Myślę, że powinnaś wejść głównym wejściem.

– Żartujesz sobie.

– Wcale nie. Idź tam, uśmiechaj się, machaj, powtarzaj: „Bez komentarza” w południowym stylu i będzie dobrze. Poprawisz swój PR.

– Nie mam ochoty pchać się na świecznik. Poza tym Aiden będzie mnie miał jak na dłoni, a tego chyba nie chcesz, prawda?

– Rzucono na ciebie oszczerstwa, a teraz chcą ci to zadośćuczynić. Pozwól im. Przecież Aiden nie zaatakuje w takim tłumie. Zaufaj mi.

– Media chcą mi zadośćuczynić? Naćpałeś się? Przecież oni nie mają sumienia.

Zaparkowała tam gdzie zawsze. Utworzył się młyn, z tłumy wyrosły mikrofony, ciżba pęczniała jak drożdże. Taylor i Baldwin wysiedli z samochodu. Oślepiły ją flesze. Przyszło jej do głowy, że jeśli tak na co dzień wygląda życie gwiazdy, to ona dziękuje, za nic nie zostanie celebrytką.

Machnęła ręką, uśmiechnęła się i zignorowała padające z tłumy pytania. Baldwin otworzył drzwi. W budynku panowała kojąca cisza. Skierowali się od razu do biura Wydziału Zabójstw. Fitz, Marcus i Lincoln przywitali się wylewnie z Taylor.

Fitz kiwnął głową na gabinet.

– Przed chwilą była tu Umpa – powiedział. – Masz się u niej zameldować. Pośpiesz się, dobra? Mamy mnóstwo spraw do obgadania. Lincoln jest o krok od sukcesu.

– Okej, okej.

Z uśmiechem na ustach poszła do gabinetu. Na biurku znalazła napisaną odręcznie, zaskakująco drobnym i niewyraźnym pismem, wiadomość:

„Proszę się natychmiast zameldować.

Kapitan Norris”.

Taylor uniosła brwi.

– Ciekawe, czego chce ta wiedźma? – spytała retorycznie Baldwina.

Delores Norris sprawiała wrażenie dziwnie wysokiej, siedząc w swoim fotelu; Taylor była ciekawa, czy aby nie podłożyła sobie książki telefonicznej pod tyłek. Gadała od pięciu minut. Zaczęła od tego, że BOZ wycofuje zarzut zastraszania świadka, a potem Taylor się wyłączyła. Nie czuła się zagrożona przez Umpę, została bowiem oczyszczona z zarzutu zamordowania Davida Martina z premedytacją. Oczyszczenie dokonało się publicznie, prywatnie i w każdy inny sposób. Mimo to Norris nadal paplała o odpowiedzialności zawodowej. Bla, bla,

bla.

Taylor ocknęła się, słysząc słowo „odznaka” i widząc przedmiot leżący w małej dłoni Umpy. Odebrała odznakę, ale dopiero kiedy Norris zwróciła jej glocka, poczuła, że znów jest policjantką. Jasne, że nie jeździła po mieście nieuzbrojona, ale broń służbowa to jednak broń służbowa, a nie prywatny pistolecik.

Chciała wstać i wyjść, ale Umpa odchrząknęła. Taylor zobaczyła jej pełną wyczekiwania minę.

– O co chodzi?

– Nie chce pani czegoś powiedzieć?

Taylor poczuła się, jakby wróciła do czasów dzieciństwa. Matka, oczywiście zwracając się do niej w drugiej osobie, ale równie rozkazującym tonem, wypowiadała identyczne słowa, będące z pozoru łagodną, choć stanowczą naganą, kiedy mała Taylor zapomniała podziękować życzliwemu nieznanemu za przysługę. Niedoczekanie.

Popatrzyła z góry na Norris i nie zważając na nic, odparła:

– Nie – i wyszła.

Baldwin, który czekał na korytarzu, uniósł pytająco brwi, a ona poklepała się po kaburze. W milczeniu ruszyli w stronę schodów. Kiedy się na nich znaleźli, Taylor wybuchnęła śmiechem.

– O rany, to protekcyjne spojrzenie za każdym razem rozkłada mnie na łopatki. Ona się naprawdę uważa za Bóg wie kogo.

– Uważaj na nią. To typ, który nie odpuszcza.

– Hak jej w smak, jak mówią małolaty. Doskonale wiem, że się na mnie uwzięła, ale nie zamierzam zmieniać ani siebie, ani swoich metod tylko dlatego, żeby jej się przypodobać. Miałam już do czynienia z takimi jak ona. By dowieść swego, nie cofają się przed niczym, przez co tracą szacunek otoczenia. Z nią też tak będzie. Po prostu postaram się nie wchodzić jej w drogę.

Spokojna i zadowolona Taylor zabrała się do pracy. Marcus zreferował postępy w śledztwie w sprawie morderstwa Corinne Wolff, które zrobiono, gdy pani porucznik nie było w pracy. Filmy, pieniądze, podwójne życie. Lincoln nerwowo ruszał nogą. Na jego biurku stały dwa komputery, jeden należał do Corinne, a drugi do Todda. Przeglądał zawartość twardych dysków obu komputerów, kiwał głową i od czasu do czasu mruczał coś do siebie.

Fitza wezwano do kolejnego morderstwa, ale obiecał, że pomoże, jak tylko wróci. Marcus zabrał się do przeglądania rachunków za paliwo.

Nagle zadzwonił telefon. Taylor odebrała i zaskoczona usłyszała w słuchawce głos Fitza. Wyszedł przed dwudziestoma minutami, w tak krótkim czasie nie mógł zdążyć dokonać oględzin miejsca zbrodni.

– Co tam? – rzuciła.

– Przyjedź – powiedział grobowym głosem.

Nie spytała dlaczego, tylko gdzie.

– Do Partenonu. Przyjedź z Baldwinem. Oboje musicie to zobaczyć. Ktoś chce wam coś powiedzieć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Pędzili West Endem, ile mocy w silniku. Gnali z przyczepioną do dachu po stronie kierowcy migającą, wyjącą syreną. Prowadził Baldwin. Nie tylko z powodu hałasu nie dywagowali, co mogło się stać. Taylor wiedziała, dlaczego Fitz ich wezwał i dlaczego jego zwykle lekceważący ton został zepchnięty na drugi plan przez strach. Musiało chodzić o Aiden. Aiden zabił. Fitz stwierdził, że ktoś chce im coś powiedzieć. Morderstwo jako wiadomość.

Kiedy w biurze skończyła rozmowę z Fitzem i zaraz potem przekazała jego słowa Baldwinowi, ten powiedział:

- To może być pułapka.
- Nie. – Pokręciła głową. – Wiadomość.

Przypomniała sobie postać Aiden stojącego na trawniku przed domem chwilę po tym, jak gołymi rękami zabił dwie osoby. Był taki... niewzruszony. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia w związku z tym, co zrobił. Poczula żal i ból po bezsensownej stracie dwóch ludzi, którzy odpowiedzieli na wezwanie o pomoc i zginęli, chroniąc nieznaną im osobę. Tak bardzo przytłaczały ją własne problemy, że nawet nie zadała sobie trudu, by się dowiedzieć, jak się nazywali.

Gęsta zabudowa miejska ustąpiła rozproszonemu kampusowi Uniwersytetu Vanderbilta. To po lewej, a po prawej rozciągała się zielona przestrzeń Centennial Park. Taylor zawsze lubiła tę dychotomię Nashville, tę śródmiejską różnorodność. Lubiła też uczelnię, studentów z nadzieją patrzących w przyszłość i eleganckie, zdobione budynki świątyni wiedzy. Zanim zdążyła utonąć we wspomnieniach straconych lat, Baldwin wziął ostry zakręt i wjechał do parku, o mały włos nie rozjeżdżając jednego z wszechobecnych tutaj joggerów.

Wokół Partenonu roilo się od niebieskich mundurów. Światła kogutów migały w południowym słońcu. Policjanci wyglądali jak z innej bajki, w ciągu dnia Partenon był bowiem celem turystów i popularnym ciągiem pieszym. Ludzie przychodzili z psami, żeby się wyszalały na trawie, urządzali pikniki pod ogromnymi dębami i z podziwem oglądali doskonałą replikę starożytnej greckiej budowli.

Taylor poczuła chłód pełznący po skórze. W parku było dziwnie pusto, nie zauważyła nikogo poza funkcjonariuszami i kilkoma biegaczami. Partenon napełniał ją nostalgią. Raz w roku każda klasa z każdej szkoły musiała odwiedzić jeden z najbardziej charakterystycznych budynków w Nashville. W myślach powtórzyła informacje, które rok w rok wtłaczano jej do głowy: Partenon wzniesiono w 1897 roku, aby zaimponować odwiedzającym międzynarodową wystawę zorganizowaną dla uczczenia stulecia dołączenia Tennessee do Stanów Zjednoczonych Ameryki, a także po to, by uwiarygodnić powiedzenie, że Nashville to „Ateny Południa”. W zamierzeniu był budowlą tymczasową, ale mieszkańcy Nashville optowali za tym, by go nie burzyć. W 1931 roku Partenon przeszedł gruntowny remont i ostatecznie zdecydowano, że na stałe pozostanie częścią krajobrazu stolicy Tennessee. Za ciężkimi, brązowymi drzwiami kryła się największa na Zachodzie rzeźba pod dachem. Była to replika antycznej rzeźby Atena Partenos, wizerunku bogini mądrości, wojny i sztuki autorstwa genialnego Fidiasza, wykonana przez rzeźbiarza z Nashville, Alana LeQuire'a. O muzeum sztuki mieszającym się w Partenonie wyrażano się w samych superlatywach. Taylor kolejny raz odwiedziła je zaledwie przed miesiącem.

Kolumny podtrzymywały dach z proroczymi fryzami. Stojący samotnie pośrodku sporej polany Partenon stał się świadkiem współczesnej ofiary, został splamiony śmiercią bez

przyzwolenia. Taylor z trudem zmusiła się, by wysiąść z auta.

Zobaczyła Fitzę, który szedł ku nim szybkim krokiem.

Nióśł coś.

– Kto? – zapytała krótko.

Obejrzała zdjęcie, które jej podał. Przedstawiało nagi tułów. Taylor nagle zrobiło się gorąco. Poczowała krople potu na skroni. Przeniósła uwagę na policjantów stojących przed wejściem do Partenonu. Przywdziała maskę obojętności i zmusiła się, by iść powoli i spokojnie, choć ogarniał ją paraliżujący strach.

Ciało było nagie. Morderca ułożył je tak, że opierało się o najwyższy stopień schodów. Przechodzień pomyślałby, że ktoś skąpo odziany urządził sobie krótki odpoczynek.

Ofiara miała gęste brązowe włosy i otwarte oczy, który patrzyły szklistym wzrokiem. Głęboko w szyi martwego mężczyzny tkwił srebrny drut o fantazyjnie splecionych końcach. Srebrna garota...

Taylor w makabryczny sposób skojarzyło się to z restauracją, do której zabierali ją rodzice, kiedy była mała. Kelnerzy pakowali niedojedzone porcje w folię aluminiową i skręcali jej końce, po czym układali je tak, że wyglądały jak szyja i głowa łabędzia. Żołądek podszedł jej do gardła.

Aiden.

Do nagiej wygolonej piersi mordercy sprawca przybił, dosłownie przybił kartkę. Był to kawałek pożółkłego ze starości pergaminu, po którym spływała czerwona strużka. Widniała na nim wiadomość napisana staroświeckim pismem z zawijasami. Gdy Taylor ją przeczytała, gwałtownie nabrała powietrza.

„Droga pani porucznik,

dzięki pani świat jest lepszy. Proszę potraktować tę drobną przysługę jako dowód mojej wdzięczności i nieustannego zachwyty nad pani osobą.

Naśladowca”.

– Ja pierdołę – wyszeptęła, a może tylko pomyślała, po czym nadspodziewanie opanowanym głosem zadała pytanie: – Jak długo tu leży? – Nawet nie spojrzała na Baldwina, bo doskonale wiedziała, jakie myśli chodzą mu po głowie. Musiał być równie zaskoczony jak ona.

– Niedługo – odparł Fitz. – Lekarz sądowy wysłał ekipę, powinna zjawić się lada moment. Funkcjonariusz, który jako pierwszy zjawił się na miejscu, powiedział, że gdy sprawdzał tętno, ofiara była jeszcze ciepła. Co prawda leży w pełnym słońcu, ale myślę, że musiało się to stać nie wcześniej niż przed godziną. Znalazła go joggerka, która chciała pobiegać po schodach. Natychmiast zadzwoniła na policję. Już z nią rozmawiałem. – Pokazał na radiowóz, obok którego stała blada i roztrzęsiona kobieta w stroju biegacza. – Nikogo nie widziała. Dziś w parku jest pusto.

Baldwin milczał. Jego mina wyrażała osobliwą mieszankę odrazy i ulgi. Taylor wreszcie popatrzyła na niego i uniosła brwi, a on natychmiast udzielił odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie:

– Nie wiem, czy się cieszyć, czy bać. Nie żal mi Aidenę, był wyjątkowym sukinsynem, ale... ten cholerny Naśladowca. Znowu.

– Trzyma się swojej roli. Kopiuje. Mówiłeś, że ulubioną bronią Aidenę była srebrna garota. No i proszę, nasz seryjny morderca stał się samozwańczym strażnikiem obywatelskim wymierzającym sprawiedliwość garotą. – Zaśmiała się nerwowo. – Może powinniśmy go zatrudnić?

Za czarnym humorem kryła się przerażająca świadomość, że morderca, którego nie zdołała schwytać, zabija w jej imieniu, niejako na jej... cześć.

Baldwin pokiwał głową. Przecież doskonale to rozumiał.

– Trzymasz się? – spytał równie domyślny Fitz.

– Tak, wszystko okej. O, przyjechała furgonetka techników. Pogadaj z nimi.

Najmłodszy w ekipie, doktor Fox, wyskoczył z samochodu.

Wieści szybko się rozchodziły. Zadzwoiła komórka, wyświetliła się Sam. Taylor odeszła kilka kroków i odebrała.

– Słyszałam, co się stało. Czy to prawda? – spytała Sam.

– Prawda. Naśladowca wrócił. Wykręcił Aidenowi niezły numer na szyi. Czemu nie przyjechałaś z chłopakami?

– Byłam na spotkaniu z zarządem i nie mogłam się wyrwać. Spokojnie, Fox sobie poradzi.

– Pewnie. To wygląda na rutynową robotę. Zaczęłabym od gwoździ w klatce piersiowej.

– Dawno nie miałam do czynienia z garotą, może być ciekawie. Spokojna głowa, dopilnuję, żeby wszystko było tip-top. Słuchaj, muszę lecieć, wracamy na obrady. Uważaj na siebie, dobrze?

– Będę uważała. Do zobaczenia. – Rozłączyła się.

Baldwin rozmawiał przez telefon, pewnie z Garrettem, i odwoływał ogon.

Podeszła do ciała Aideny. Przeszedł ją dreszcz. O Jezu, to był koszmarny tydzień.

Przyszło jej do głowy absurdałne pytanie: dla ilu seryjnych morderców znajdzie się miejsce w Nashville?

Martwe oczy zabójcy wwiercały się w duszę Taylor. Zjawili się Fitz i Fox.

– Musimy pozwolić chłopakom działać – powiedział Fitz.

– Jasne – mruknęła Taylor.

Fox obszedł trupa dokoła, cmokając językiem.

– To będzie niezłe – dodał z uśmiechem.

– Wy wszyscy jesteście odjechani – mruknął Fitz. – Chodź, Taylor, zostawmy ich, niech sobie pogrucają. – Zaprowadził ją do samochodu. – Pozwól, że się tym zajmę. Ty wróć na posterunek i popracuj nad sprawą Corinne Wolff. Do tego mnie nie potrzebujesz, wystarczą ci Marcus i Lincoln. Spotkamy się później, dobrze?

Pokiwała głową i wsiadła do auta. Baldwin schował telefon i usiadł za kierownicą. Fitz powoli zamknął drzwi. Dlaczego wszyscy obchodzą się nią jak z jajkiem? Otrząśnij się, dziewczyno! – nakazała sobie.

Baldwin ruszył. Patrzył przed siebie. Czują, że chce pogadać. To dobrze, bo ona nie miała na to najmniejszej ochoty.

– Słuchaj, musimy porozmawiać.

– Wiem. Aż cię nosi.

Odchrząknął. Skręcił w lewo w West End.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego o Aidenie.

– A to ciekawostka. – Machnęła ręką. – Więc mów.

– Nie denerwuj się. To są ściśle tajne informacje.

– O, wtajemniczysz mnie w *mission impossible*?

– Nie żartuj. – Skręcił na parking przy ulicy, zatrzymał się i zgasił silnik.

– O co chodzi, Baldwin?

– Mówię poważnie. – Zdjął ciemne okulary i spojrzał jej w oczy. – Mogę przez to mieć bardzo duże kłopoty, ale nie potrafię dłużej ukrywać przed tobą prawdy.

Taylor zrobiło się gorąco. Tysiące myśli zawirowały w jej głowie. Założyła ręce na piersi i na wszelki wypadek przyjęła obronną postawę.

- Jakiej prawdy?
- Chodzi o mnie. O to, czym się zajmuję. O moją... przeszłość.
- Masz dziecko?
- Taylor, proszę cię! To naprawdę nie jest zabawne!

Tak huknęła, że aż podskoczyła. Nigdy dotąd nie mówił do niej takim głosem.

– No już, nie wrzeszcz na mnie. Czy to naprawdę coś tak strasznego? Po prostu powiedz, o co chodzi, i będziemy to mieli z głowy. – Odwróciła się do niego i oparła o drzwi. Przygotowała się na najgorsze, choć nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co zaraz może usłyszeć. Zabrakło jej pomysłów.

- Ujmę to tak: dorabiam na boku. Jako profiler.
- I to ma być to wielkie wyznanie? Jesteś profilerem. Proszę cię o konsultacje, kiedy...
- Dla CIA.

Zamilkła, dopiero po chwili spytała:

- Znaczy się... jesteś szpiegiem?
- Nie szpiegiem. – Przeczesał włosy palcami. – Konsultantem.
- Nie wiedziałam, że CIA zajmuje się profilowaniem.

– Bo się nie zajmuje. Właśnie w tym rzecz. Współpracuję z grupą zadaniową o kryptonimie OTA, jak Operacja Twórcy Anioła. Monitorujemy szczególnie niebezpiecznych przestępców aktywnych poza granicami kraju. Przewidujemy, gdzie uderzą, pomagamy tamtejszym stróżom prawa śledzić ich ruchy i tak dalej.

– I to ma być ściśle tajne? Nie wygląda na szczególnie wielką operację o strategicznym znaczeniu.

- Chodzi o to, że ci przestępcy, których monitorujemy, nie trafiają za kratki.
- Czemu nie?

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Czują, jak bardzo jest zdenerwowany. Nagle dotarło do niej, że Baldwin boi się jej reakcji. Drży na myśl, jak oceni jego pracę, a przede wszystkim jak odniesie się do roli, która spadła na niego w tajnym przedsięwzięciu.

– Opowiedz mi o tym – powiedziała łagodnie, biorąc go za rękę. – Naprawdę. Możesz mi zaufać. Będzie dobrze.

Uśmiechnął się ukojony tym gestem, zaraz jednak spoważniał.

– Zaczekaj, aż usłyszysz, co mam do powiedzenia. Otóż nie aresztujemy tych przestępców, lecz pozwalamy im działać. Śledzimy ich poczynania, przewidujemy kolejne ruchy, a nawet wyznaczamy im cele, to znaczy podsuwamy ofiary, by zaspokoić ich mordercze instynkty. Wszystko to w imię bezpieczeństwa narodowego. Gdyby sprawa się wydała, skutki byłyby bardzo poważne i długofalowe. Ci ludzie wykonują dla nas najbrudniejszą robotę, zresztą nie tylko dla nas, dla innych rządów też. Staram się angażować w ten projekt najmniej, jak mogę. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo musisz wiedzieć, że robię to wbrew sobie.

Szczerowość. Taylor wiedziała, że Baldwin zawsze jest z nią szczery, nieważne, czy rzeczywiście chciała znać prawdę. Przecież czasem wygodniej jest nie wiedzieć. Oczywiście mógł przyznać się wcześniej, ale lepiej późno niż wcale.

- Widać, że to cię gryzie. Jak się w to wplątałeś?

– Przez Garretta, który koordynuje projekt z naszej strony. Skontaktował mnie z pewnym agentem. Współpracuję z nim już od ponad dziesięciu lat. Zdarza się, że wysyłają mnie za granicę, żebym pomógł namierzyć tego czy tamtego. Jeżdżę po całym świecie. Mamy umowę, że jeżeli któryś z obserwowanych morderców zjawi się w Stanach, natychmiast zostaną o tym poinformowani.

- Tak było z Aidenem?



– No właśnie. Od dawna byłem na jego celowniku, ale nie umiał mnie podejść. Aż do teraz. Nie chciał mnie zabić, wolał odebrać mi to, co dla mnie najważniejsze, tak jak ja według niego odebrałem jemu. – Ścisnął jej dłoń. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Przypuszczamy, że zobaczył nas we Włoszech, o czym ci już mówiłem. Zabił włoskiego opiekuna i dotarł do Nashville. Mówię to po to, żebyś coś zrozumiała: Aiden był do wszystkiego zdolny. Dlatego musiałem pojechać do Quantico, żeby go wytropić, ale zrobiłem to, nie mając pełnej wiedzy o zamiarach agencji. Gdyby od razu mi powiedzieli, że Aiden zamordował opiekuna we Florencji, nie zostawiłbym cię samej. Widziałem, co on potrafi.

– Ja też. – Wspomniała martwych ochroniarzy. Poczwała się, jakby zamienili się w zombie i siedzieli na tylnym siedzeniu samochodu. Nagle coś jej przyszło do głowy. – Świetnie mówisz po włosku. Nauczyłeś się tego języka, pilnując psychopaty?

Skrzywił się, nim odparł:

– Między innymi dlatego CIA na mnie zależało, bo znam włoski i inne języki.

– Inne języki? Jakie? Niemiecki, francuski? – Widziała, jaki jest skrepowany. – Jeszcze inne?

– Aha.

– Jezu, Baldwin, ile ich znasz?

– Trzynaście.

Otworzyła szeroko oczy, rozdziawiła gębę. I zaraz przebiegło jej przez głowę słówko „szczerłość”. Pominięcie pewnych „detali” to nie kłamstwo, prawda? Niewinne kłamstwa albo mówione w dobrej wierze, by ochronić drugą osobę, nie liczą się, prawda? Odsunęła od siebie tę myśl. Przecież wreszcie powiedział, lepiej późno niż wcale. Już to przerabiali. No i, prawdę mówiąc, też nie ze wszystkiego mu się zwierzyła.

– Serce Garretta?

– Jak dzwon. – Spojrzał na nią, jakby spodziewał się, że Taylor wyjdzie z siebie.

Bardzo jej się nie spodobało, że został zmuszony do kłamstwa, ale właśnie zmuszony, zrobił to pod przymusem. Na pewno nie byłby z nią nieszczerzy z własnej woli.

Wyszczrzyła zęby.

– No dobra. Udowodnij.

– Jak?

– Powiedz, że mnie kochasz. Po... czesku.

Uśmiechnął się szeroko.

– Akurat tym językiem posługuję się o tyle, o ile, ale niech ci będzie. Taylor, *miluju tě*. Z całego serca.

Pocałował ją, aż zakręciło jej się w głowie. Po chwili zorientowała się, że ma rozpuszczone włosy i rozpięty guzik w dzinsach. Obściskują się w miejscu publicznym jak nastolatki. No pięknie.

Poprawiła się i powiedziała:

– Widzę, że ten twój talent sprawi nam obojgu sporo frajdy.

– Nie jesteś zła?

– Jak OTA? – spróbowała zażartować. – Nie powiem, żebym się ucieszyła, ale znam cię. Jeśli uważasz, że postępujesz słusznie, jestem z tobą. Mam tylko prośbę. Nie przyprowadzaj tych świrusów do domu, okej? Mam własnych.

Gwałtownie spoważniał.

– Zdajesz sobie sprawę, że Naśladowca śledzi twoje ruchy, prawda? Twierdzi, że cię podziwia, ale staje się coraz bardziej niebezpieczny. Musisz bardziej na siebie uważać.

– Tak, to oczywiste, ale co więcej mogę zrobić? Próbuje zidentyfikować Naśladowcę.

Głównie Fitz nad tym pracuje, ale sam wiesz, jakie to trudne.

– Tak, wiem. Wydawał się nieuchwytny, jakby w ogóle go nie było, i nagle zaatakował. – Zapalił silnik.

– Rzeczywiście, choć i tak nie narzekamy na brak niegrzecznych chłopców. Jest co robić. Naśladowcą niech dalej zajmuje się Fitz, a ja zamierzam wrócić do sprawy Corinne Wolff.

Pojechali West End Avenue do Broadwayu, mijając po drodze rozbawiony tłum przed Tootsie's Orchid Lounge. Zanim zaparkowali przed budynkiem policji, Baldwin zlustrował okolicę. Zagrożenie ze strony Aideny wprawdzie minęło, ale świadomość, z jak niebezpiecznymi ludźmi pracuje Baldwin, sprawiła, że Taylor czuła się zaniepokojona, choć oczywiście zapewniała, że wszystko jest w najlepszym porządku.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wieści o trupie w Partenonie oczywiście dotarły do wydziału przed ich powrotem. Kiedy Taylor weszła do biura, Marcus i Lincoln spojrzeniami domagali się szczegółów, a kapitan Price uniósł krzaczaste rude brwi.

Taylor szybko zreferowała sprawę, a kiedy przyszedł Baldwin z puszką dietetycznej coli, dodała:

– Wygląda na to, że Naśladowca wrócił do Nashville. Nie wiem, co chciał przez to osiągnąć, ale właśnie zabił niejakiego Aiden, człowieka poszukiwanego przez FBI. Baldwin pracował nad pewną sprawą z jego udziałem. Aiden przyjechał do Nashville w poszukiwaniu zemsty. To on pozbawił życia pracowników agencji ochroniarskiej przed drzwiami mojego domu. Teraz sam nie żyje, a my mamy większy problem. – Pokazała im zdjęcie, które pożyczyła od Fitz.

– Czyli co? Naśladowca nagle uznał, że jest twoim gorylem? – spytał Lincoln. – Nie kupuję tego, a łagodniej mówiąc, nie rozumiem.

– To ja byłem celem Aiden. Uderzył w mój czuły punkt, czyli w Taylor, w moją troskę o nią. Wygląda na to, że Naśladowca jest, nie wiem... rycerski? Albo może pilnuje swojego terenu?

Dotąd milczący Price wstał i oznajmił zdecydowanym tonem:

– Wystarczy tego dobrego. Taylor, dostaniesz ochronę.

– Już ją ma – wyjaśnił Baldwin. – Od wczoraj pilnuje ją dwóch moich ludzi. Przekażę im wszystko, co wiemy o Naśladowcy. To dobre chłopaki. Ufam im.

A zatem przed Partenonem wcale nie odwołał ogona, pomyślała, po czym powiedziała:

– Jak długo to jeszcze potrwa? Tydzień, miesiąc, rok? To bez sensu, jestem policjantką, nie potrzebuję ochrony.

– Kochanie, naucz się żyć z ogonem.

Z postawy Baldwina wynikało dla niej jasno, że opór jest bezcelowy.

– W pełni popieram – włączył się Marcus. – Nie możemy pozwolić, żeby coś ci się stało. Lincoln i ja przyjrzymy się sprawie Naśladowcy, może wychycimy coś nowego, a jak na razie byłoby najlepiej, gdybyś się nie wychylała.

– Potrafię o siebie zadbać – burknęła, ale na widok nieprzejednanych min czterech facetów, którzy za wszelką cenę chcą ją chronić, uznała, że odwaga winna iść w parze z rozważą, i zgodziła się, przynajmniej na razie. A potem rzuciła: – Możemy wreszcie wrócić do pracy?

– Mam spotkanie. Oświećcie ją. – Gdy Price pogłaskał ją po głowie, zmrużyła oczy. – Możesz być dumna ze swoich chłopców. I bądź ostrożna, bo się pogniewamy.

– Dobrze, tatusiu – odparła.

– Pójdę z panem, kapitanie – powiedział Baldwin. – Zaraz wracam. – Wyszli razem.

Taylor przewróciła oczami, mówiąc z westchnieniem:

– Co to był za dzień... – I dodała już normalnym tonem: – Co nowego w sprawie Corinne Wolff?

– To ja zacznę – powiedział Marcus. – No więc sprawdziliśmy te nieletnie aktorki.

Wyjechały z miasta, najprawdopodobniej do Kalifornii. Z naszych informacji wynika, że dziś mają w wytwórni Vivid Video przesłuchanie.

– Raczej przeruchanie – ku ogólnej radości skomentowała Taylor.

– Zgadza się. Poprosiliśmy ich agenta, czy też alfonsa, o jak najszybszy kontakt z nami.

Zobaczymy, co z tego wyniknie. Tymczasem skupiliśmy się na rachunkach Todda Wolffa. Mija się z prawdą, gdy twierdzi, że był w Savannah. W niedzielę skorzystał z karty paliwowej w Crossville, a to miasteczko leży na trasie z Knoxville do Nashville...

– Wiem, gdzie to jest – wpadła mu w słowo Taylor.

– Okej. Elektroniczny ślad po karcie dowodzi, że Wolff znajdował się na terenie stanu Tennessee co najmniej jeden dzień przed śmiercią Corinne.

– Ale nie dowodzi, że to on ją zabił.

– Zgadza się, ale przynajmniej wiemy, że kłamał. Dziś zostaną mu postawione zarzuty. Sądzę, że wieczorem będziemy mieli okazję ponownie z nim porozmawiać. Poinformowaliśmy Julię Page i Milesa Rose'a o naszym zamiarze.

– Jeśli w niedzielę był w Crossville, to gdzie był w sobotę?

– Dobrze pytanie, niestety nie wiemy tego. Na pewno nie był w Savannah. Sekretarka szybko spasowała, kiedy dotarło do niej, że wiemy o kłamstwach jej szefa. Powiedziała, że od ponad tygodnia nie odwiedzał budowy. Ten oto maestro – wskazał Lincolna – wybebeszył komputery państwa Wolffów. Okazuje się, że Corinne była bardzo niegrzeczną dziewczynką.

– Tak?

– Tak. – Lincoln podał Taylor plik kartek. – To pewnik, że skakała w bok. Oto liściki miłosne, prosto ze skrzynki Corinne Wolff, wysyłane i odbierane z konta chronionego specjalnym hasłem. Przypuszczamy, że Todd o tym nie wiedział. Państwo Wolffowie mają jeszcze kilka adresów. Jeden wykorzystywany w pracy, jeden dla przyjaciół, jeden przeznaczony do ich wspólnych pornogierek. Ten był ukryty i pilnie strzeżony.

Wiedziałam, pomyślała, po czym przejrzała kilka pierwszych stron. Były to typowe liściki kochanków, zwykle czułości, nic więcej, nic mniej.

– Nie widzę imienia ani nazwiska adresata. Jesteś pewien, że to nie Todd?

– Na sto procent. Prześledziłem adres IP, należy do zupełnie innej osoby. Nawiasem mówiąc, do tej samej, która jest właścicielem Selectnet.com. – Uśmiechnął się z pozoru lekceważąco, ale oczy mu płonęły. Wiedział, że dokonał czegoś wyjątkowego.

– Że co?! – Taylor prawie spadła z krzesła. – Chodzi o tę firmę z Kalifornii, która publikuje sekstaśmy w sieci? I która zamieściła w internecie MOJE sekstaśmy? Corinne ma z tym coś wspólnego?

– Oboje mają, choć każde na swój sposób. Todd Wolff dostarcza filmy zarówno wysokiej jakości, niemal profesjonalne, jak i materiały dla mniej wybrednych klientów. Pracuje dla Selectnet.com, kręci pornosy w swojej piwnicy i zapewnia mu to bardzo przyzwoity dodatkowy dochód. Pogrzebaliśmy w jego finansach i odkryliśmy kilka interesujących transakcji, na przykład zakup czterdziestu kamer identycznych jak te, które znaleźliśmy w otworach wentylacyjnych w twoim domu.

Musiała upłynąć dobra chwila, nim ta prosta informacja dotarła do niej.

– Todd Wolff zainstalował kamery u mnie w domu? – niemal zawołała. – Jak to możliwe?

– Nie tylko u ciebie. Mamy pewną teorię. Na stronie Selectnet.com znaleźliśmy dużo więcej filmów, wiele z nich opisano jako nagrania z Nashville. A Todd Wolff ma firmę budowlaną, prawda? Dla niego to łatwizna, po prostu montuje kamery podczas prac konstrukcyjnych. Lokatorzy nie mają o niczym pojęcia, on zaś umieszcza w sieci filmiki z ich sypialni i zarabia na nich.

– Ożeż ty... – Taylor z niedowierzaniem pokręciła głową. – Masz pojęcie, ile on domów wybudował? Mógł ukryć kamery w każdym z nich!

– Zgadza się. Ale posłuchaj dalej. Otóż zanim założył Wolff Construction, miał ekipę

remontową. Dostawał zlecenia od firm ubezpieczeniowych. Na przykład komuś pękła rura i zalało mieszkanie, wtedy ta osoba pisała wniosek do właściciela budynku, on zaś korzystał z ubezpieczenia, a towarzystwo zlecało wykonanie napraw jednej z firm ze swojej listy. Sprawdziliśmy, ekipa Wolffa znajdowała się na tej liście. Zlecenia od ubezpieczycieli przynosiły mu niezły zarobek, na tyle duży, że po pewnym czasie z remontów przerzucił się na budowę domów i tak narodziła się Wolff Construction w obecnym kształcie. Zakup kamer to świeża sprawa, z zeszłego roku. Oczywiście niewykluczone, że zakupił dużo więcej sprzętu, tylko nie pozostał po tym żaden ślad.

Taylor musiała się zastanowić. Czy i kiedy zmieniała coś w starym domu? Nie mogła sobie przypomnieć... ach tak, rzeczywiście! Rok po tym, jak tam zamieszkała, przerobiła kuchnię. Ale to nie miało nic wspólnego z ubezpieczeniem, a roboty wykonywała spółka, która nie kojarzyła się jej z Toddem Wolffem. Usiłowała przypomnieć sobie nazwę firmy, ale na próżno.

Gdy powiedziała to Lincolnowi, odparł:

– Zbadałem różne potencjalne możliwości i okazało się, że zanim Todd Wolff zaczął przyjmować zlecenia od firm ubezpieczeniowych, pracował u ojca, który miał kilka zarejestrowanych spółek. Jedną z nich była...

– Remedy! Remedy Remodelers. A to sukinsyn!

– Bingo.

– Lincoln, wykonałeś niesamowitą robotę!

– E tam, nie tylko ja. Marcus mi pomógł.

– Miło, że przyznajesz, mistrzu – ironizował Marcus.

– Nawet tępych uczniów trzeba chwalić, żeby się nie załamali – odciął się Lincoln.

Taylor wyłączyła się, nie słuchała tych przekomarzań. Za dużo tego, Wolff się nie wywinie. Trzeba porozmawiać z prasą, nagłośnić sprawę, a także zwinąć Selectnet.com. Wprawdzie strona została usunięta z internetu, ale trzeba przesłuchać i właścicieli, i klientów. Cholera, wszystkich klientów. Ilu ich może być? Będzie potrzebowała pomocy Baldwina.

– Musimy zwołać konferencję prasową – powiedziała. – Zadzwoń do Baldwina.

Lincoln, czy mamy wystarczająco dużo informacji, by przedstawić zarzuty właścicielom Selectnet.com? Musimy ich zatrzymać.

– Price ma omówić strategię kontaktów z prasą z Danem Franklinem. My skupiamy się na śledztwie. Nie chcesz posłuchać reszty?

– To jeszcze nie wszystko?

– O nie, kochana, jest dużo więcej. Marcus, twoja kolej. Mnie już drapie w gardle.

– Okej. Poszliśmy tropem adresu IP firmy obsługującej Selectnet.com i okazało się, że ta kalifornijska spółka to ściema, czyli przykrywka. Pieniądze prowadzą z powrotem do Nashville. Na pewno pamiętasz niejakiego Henry'ego Andersona?

Taylor poczuła się, jakby strzelił w nią piorun. Zobaczyła twarz mężczyzny noszącego to nazwisko i dopadł ją koszmar z przeszłości.

– Chyba żartujecie. – Gdy obaj pokręcili głowami, dodała: – Wiecie, kim on jest?

– Właśnie go prześwietlamy, nie wiemy jeszcze wszystkiego. Aresztowałam go, dzięki tobie poszedł siedzieć za molestowanie nieletnich. Oskarżył cię o brutalność.

– Brutalność? Też coś. Owszem, skopałam go po jajach, ale dlatego, że zasłużył. Więc gdzie tu brutalność? – Na tym skończyła podkpiwanie. – Molestowanie to był jedyny zarzut, który udało nam się przeforsować przed ławą. Nie potraktowali tego jak ciężkie przestępstwo. Zresztą prawo się zmienia i dziś inaczej byśmy zakwalifikowali jego czyny. Ostatecznie trafił za kratki za znęcanie się nad dziećmi. Przynajmniej tyle zdołaliśmy wskórać. Henry Anderson to

pieprzona kanalia. Pamiętam, że kręcił filmy. Odsiedział kilka lat i wyszedł... – Pstryknęła palcami. – Właśnie, filmy! O to chodzi, prawda? To on jest zleceniodawcą, tym tajemniczym szefem Todda Wolffa, prawda?

– Tak sądzimy – odparł Lincoln. – Na pewno jest właścicielem Selectnet.com, a jego macki sięgają dalej, niż nam się wydawało. Nadal zbieramy informacje, ale z tego, co już ustaliliśmy, można by ukreślić zarzut rozpowszechniania pornografii z udziałem nieletnich. Plus dziesiątki innych naruszeń prawa.

Taylor podeszła do okna i wyrzała na Drugą Aleję. W powietrzu unosił się pył, zapewne z pobliskiej budowy. Drobinki kurzu tańczyły w słońcu, co wyglądało wręcz uroczo. Myśli Taylor były dużo bardziej mroczne.

Odwróciła się do kolegów i powiedziała:

– Pieprzony Henry Anderson. Nawet nie wiedziałam, że nadal mieszka w Nashville. To chory sukinsyn. Nie miałam z nim łatwo, wypalił do mnie z grubej rury, próbował zdyskredytować moje zeznania, złożył na mnie skargę. Na szczęście sąd oddalił zarzuty. Złapałam gnoja na gorącym uczynku, z fiutem w ustach nieletniej, ale i tak próbował odwrócić kota ogonem, że to niby ja jestem tą złą. – Nagle wszystko zaczęło się układać w jedną całość. – A teraz wykorzystał Tony'ego Gormana. Był członkiem klubu Selectnet.com i na pewno doniósł Andersonowi, że węszyć wokół niego. Założę się o milion dolarów, że to on stał za skargą, przez którą Delores Norris mnie zawiesiła. Rzeczywiście trochę mnie poniosło podczas rozmowy z Gormanem, ale on nie ma jaj i sam nie odważyłby się wnieść skargi. Ktoś go musiał popchnąć, podjudzić, a Henry Anderson to zawodowy manipulator. No to mamy cholernie do przodu, co?

Lincoln i Marcus byli równie podekscytowani przełomem.

– Wieczorem porozmawiamy w Toddem Wolffem – powiedział Marcus. – Kiedy się dowie, że znamy jego rolę w pornograficznym przedsięwzięciu, na pewno zacznie śpiewać o śmierci żony. Cięży na nim tak wiele zarzutów i może trafić za kratki na tyle lat, że przyznanie się do morderstwa będzie najmniejszym z jego zmartwień.

– Miejmy nadzieję, że zacznie mówić – dodała Taylor. – Musimy oświecić Julię Page i powiedzieć jej, co wiemy. Potem zabierzemy się za Henry'ego Andersona. Lincoln, zakładam, że już go namierzyleś?

– Jasna sprawa. – Posłał jej uśmiech z przerwą między zębami. – Mamy go w bazie danych przestępców seksualnych. Jest zarejestrowany, jak na grzecznego niegrzecznego chłopca przystało.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Czas oczekiwania na nakazy, które musieli uzyskać, zanim przystąpią do działania, Taylor wypełniła robieniem notatek. Przybywało dowodów obciążających Todda Wolffa. Jeszcze tylko jeden, dwa elementy układanki i przymkną go na dobre. Jej ekipa, we współpracy z ludźmi Baldwina z FBI, spisywała się doskonale, po prostu na medal. Wisienką na torcie pracowitego i owocnego dnia byłoby ujęcie i upokorzenie Henry'ego Andersona.

Porozmawiała z Julią Page. Postanowiły, że wniosą trzy odrębne akty oskarżenia przeciwko Toddowi Wolffowi: o pornografię z udziałem nieletnich, nagrywanie osób w sytuacjach intymnych ukrytą kamerą bez ich zgody oraz czerpanie korzyści materialnych z tego procederu, a także o morderstwo Corinne Wolff. Nie ma sensu wrzucać wszystkiego do jednego worka, bo w innym przypadku jakiś formalny błąd mógłby doprowadzić do całościowego uniewinnienia Todda, a zawile przepisy, które mówią o powtórnym pociąganiu do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, uniemożliwiłyby ponowne postawienie go przed sądem.

Dan Franklin czekał w gotowości. Miał skontaktować się z mediami, gdy tylko ludzie Baldwina potwierdzą, że wkroczyli do kalifornijskiego biura Selectnet.com i przejęli znajdujące się tam materiały.

Taylor i Marcus szykowali się do zatrzymania Henry'ego Andersona. Lincoln zamknął się w gabinecie i razem ze specjalistką od operacji finansowych z ekipy Baldwina dalej rozpracowywał konta i rachunki Wolffów. Kiedy okazało się, że tą specjalistką jest drobna blondynka, nawet zbytnio nie protestował, że musi zostać na posterunku, podczas gdy pozostali będą się wykazywać w terenie.

Fitz był w zakładzie medycyny sądowej. Przeprowadzono szybką autopsję Aideny, którą również załatwił Baldwin. Zadzwoił do Quantico i Garrett Woods przysłał do pomocy Sam firmowego patologa.

Mundurowa brać, jedna wielka rodzina, rozmarzyła się Taylor. Mieli szczęście, że policja w Nashville dogadywała się z FBI, FBI z TBI, a TBI z wszystkimi pozostałymi formacjami. Musiała też przyznać, że dobrze było znów pracować z Baldwinem. Jego spokój i opanowanie zawsze pomagały w śledztwie, zwłaszcza w najbardziej krytycznych fazach, na przykład teraz, kiedy zbliżał się kolejny przełom, być może już ostatni.

Wilk, o którym mowa, siedział z nogami na biurku i przyglądał się, jak jego narzeczona załatwia nakaz aresztowania Henry'ego Andersona. Z radością patrzył, jak Taylor opowiada przez telefon nowej pani sędzinie, byłej prokurator Sophii Bottelli, osobie wyjątkowo stanowczej i bardzo wymagającej, czepiającej się nawet braku kropki nad „i” oraz kreski w „t”, o szczegółach sprawy. Jak przedstawia nowe informacje, przekonuje i naciska na zgodę na aresztowanie.

Wydębiwszy nakaz, Taylor wyłączyła telefon i spojrzała na uśmiechniętego Baldwina.

- Wyglądasz jak dynia na Halloween. Jeszcze szerzej, od ucha do ucha.
- To był szalony tydzień. – Zdjął nogi z biurka. – Udzielono ci reprimendy, zostałaś poniżona, nawrzeszczał na ciebie narzeczony, a ty co? Wyszłaś z tego bez szwanku i jesteś gotowa zgarnąć kolejnego przestępcę. Uwielbiam, kiedy to robisz.
- Ciekawe, że to samo przyszło mi do głowy.
- Pomyśleliśmy o wszystkim?
- Chyba tak. Chociaż... intryguje mnie, dlaczego Michelle Harris poszła do telewizji

i próbowała mnie zdyskredytować. Przecież chcę tylko pomóc jej rodzinie.

– Żal z powodu śmierci bliskiej osoby sprawia, że dziwnie się zachowujemy.

– Tak, to wiele tłumaczy. Ale wiesz, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, poczułam, że jest z nią coś nie tak. Pewnie tylko mi się zdawało, przecież to były okropne chwile dla Harrisów. Matka płakała w objęciach kapelana, ojciec był w ciężkim szoku, młodsza siostra blada jak ściana i tylko Michelle jako tako panowała nad sobą. Tylko że kiedy weszłam do pokoju, przez ułamek sekundy wyglądała jak zdziczała kotka. Szybko to zamaskowała, nie powtórzyło się więcej, ale przez tę krótką chwilę... nie, to zabrzmiało głupio...

– Co?

– Miałam wrażenie, jakby mnie pożądała, no wiesz, seksualnie.

– Jest panną, prawda?

– Tak. – Przekrzywiła głowę. – Niewiele o niej wiem. Tak bardzo skupiłam się na Corinne, że nie przyjrzałam się reszcie rodziny, a potem nie miałam odznaki, przez co sporo mi umknęło. Myślę, że najbliższe tygodnie poświęcimy na uzupełnianie luk w tej historii. Zapomnij o tym, co powiedziałam o Michelle. Pewnie tylko mi się zdawało. Wiesz, jaką mam wyobraźnię.

Marcus zapukał do drzwi i powiedział:

– Dzwoni Sam. Chce z tobą rozmawiać. Przekieruję, okej?

– Jasne. – Taylor zaczęła na sygnał oznaczający wewnętrzne przekierowanie, po czym podniosła słuchawkę i z miejsca wypaliła: – Nie pójdę na kolejne przyjęcie, na żadne cholerne przyjęcie!

– To się supcio składa, bo ja nie o tym. Mam coś, co ci się spodoba.

– Supcio? Od dzisiaj rozmawiamy jak pięciolatki? Co to za sensacja?

– Przyszły wyniki badań DNA Corinne Wolff.

– Masz rację, to mi się spodoba. Słucham.

– Trudno w to uwierzyć, ale nasienie, które znaleźliśmy w pochwie Corinne, należy do Henry'ego Andersona.

– TEGO Henry'ego Andersona? – po chwili ciszy upewniła się Taylor. – Pedofila, któremu Todd Wolff sprzedawał filmy porno?

– Todd Wolff pracował z Henrym Andersonem?

– Prawda, nic o tym nie wiesz. Tak, współpracowali, mówiąc w skrócie.

– To nie wszystko.

– Tak?

– Henry Anderson był ojcem syna Corinne Wolff.

Taylor włączyła głośnik i dała znak Baldwinowi, by uważnie posłuchał.

– Sam, możesz powtórzyć?

– Todd Wolff nie był ojcem syna Corinne. DNA pobrane z płodu wskazuje na Henry'ego Andersona.

– Sam, jesteś największym skarbem, jaki może mieć funkcjonariusz Wydziału Zabójstw.

– Podziękuj burmistrzowi, bo gdyby nie poprosił o dowód na to, że jesteśmy w stanie usprawnić system, w życiu nie poszłoby tak szybko z wynikami.

– W takim razie mam nadzieję, że dostaniecie nowe laboratorium.

– Tego jeszcze nie wiadomo. Muszę już kończyć. Zrobiliśmy sekcję zwłok Aideny, muszę sporządzić notatki. Przekaż Baldwinowi, że technicy znaleźli ubranie Aideny w koszu na śmieci za McDonalodem przy West Endzie. Prześlemy je do laboratorium, jeśli Baldwin sobie życzy.

– Poproszę – odezwał się. – Znaleźliście jakiś dowód tożsamości?

– Tak, portfel i paszport na nazwisko Jasper Lohan. Zawodowo podrobiony.

– Jasper Lohan. Nie kojarzę tego nazwiska. Nic dziwnego, że zgubiliśmy go w St. Louis.



Przebiegły drań. – Zrobił notatkę. – Dzięki, Sam.

Rozłączyli się, umówiwszy się na kolację w weekend. Zwyczajność tych planów sprawiła, że Taylor nagle zatęskniła za ciszą i spokojem. A także przypomniała sobie, że prowadzi życie inne niż większość ludzi. W jej przypadku planowanie czegokolwiek było luksusem, bo nigdy nie wiedziała, kiedy ona, Baldwin, Sam albo jej mąż Simon zostaną wezwani do sprawy. Tak naprawdę pełnili dyżur przy telefonie przez okrągłą dobę, jako że przestępcy nie grzeszyli tylko od ósmej do szesnastej, ale o każdej porze dnia i nocy.

Taylor w zadumie bawiła się ołówkiem, wreszcie powiedziała:

– Julianne Harris dobrze wyczuła swoją córkę. Corinne rzeczywiście miała romans.

– To tłumaczy ataki paniki i klaustrofobicznego lęku. Psychosomatyczna reakcja na niewierność. Może zerwała z Henrym, a potem zorientowała się, że jest w ciąży?

– Skoro zerwali, to czemu uprawiała z nim seks tuż przed śmiercią? Poza tym zwróć uwagę, że to... – machnęła listami miłosnymi wydrukowanymi z komputera Corinne – ...pisała niedawno. Nie, myślę, że Corinne tkwiła po uszy w romansie z Henrym.

– W takim razie najważniejsze pytanie brzmi: czy Henry Anderson zabił Corinne Wolff?

– Nadal sądzę, że zrobił to Todd – odparła po namyśle. – Ta złość, z którą morderca zadawał ciosy... Todd dowiaduje się, że żona go zdradza, a może nawet orientuje się, że dziecko nie jest jego, i wybuchu gniewem, traci panowanie nad sobą. Mamy dowody, które świadczą przeciw niemu, na przykład krew w samochodzie. No i to, że osoba z zewnątrz nie pomyślałaby o ukryciu narzędzia zbrodni w miejscu tak prywatnym jak szuflada w garderobie. Moim zdaniem Todd od początku kłamał, upierając się, że był w Savannah. Uważam, że został w Nashville, ewentualnie wyjechał nie dalej, niż pozwalała zawartość baku paliwa. Po co miałby kłamać, gdyby rzeczywiście jej nie zabił? Przecież łatwiej udowodnić prawdziwe alibi niż fałszywe, to oczywiste. A zatem stawiam na Todda. Henry Anderson to ohydna, ale tchórzliwa szumowina. Jest manipulatorem, potrafi wykorzystywać ludzi i robi to po mistrzowsku. Taka brutalność... nie, to mi się wydaje za mocne jak na niego. – Znów zadumała się na moment. – Ale mogę się mylić. Nie miałam z nim kontaktu od dziesięciu lat. Odsiadka mogła go zmienić, i to raczej nie na lepsze. Nie jest wykluczone, że jednak on ją zabił. – Przez chwilę w milczeniu patrzyła na Baldwina. – Miałaś rację. Kiedy opowiedziałam ci o rozmowie z doktor Ricard, terapeutką Corinne, która zasugerowała, że Corinne miała kochanka, od razu wiedziałeś, że dziecko nie było Todda.

– Co dokładnie powiedziała?

Sięgnęła po notatnik i przekartkowała go do miejsca, w którym zapisała rozmowę z doktor Ricard.

– Mam. „Zamiast walczyć, złożyła broń. Pozwoliła się wykorzystywać”. Spytałam, czy Todd ją wykorzystywał. Odparła: „Wielu ludzi ją wykorzystywało. Mąż, rodzina, rodzeństwo, kochanek. Myślę, że wkrótce dotrze pani do prawdy”. Stoi jak byk: „kochanek”. Ricard pomagała Corinne poradzić sobie z poczuciem winy z powodu niewierności. Ricard i Walberg, lekarka prowadząca ciążę, zgodnie stwierdziły, że Corinne była seryjną monogamistką. Możliwe, że psychicznie nie radziła sobie z sytuacją, kiedy sypiała z dwoma facetami równocześnie.

– Myślę, że nie chodziło tylko o seks. Ważniejsze było to, że darzyła uczuciem obu tych facetów. To był prawdziwy problem, z tym nie potrafiła sobie poradzić.

– Pewnie masz rację. Może próbowała zerwać z Henrym, więc ją zabił? Pora złożyć wizytę panu Andersonowi. Sądzę, że rozmowa z nim rzuci nieco światła na naszą sprawę.

– Nie zapomnij o kajdankach – powiedział Baldwin, gdy wstali.

– Spokojna twoja rozczochna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Pojechali na Pięćdziesiątą Pierwszą Aleję, ulicę w północno-zachodniej części Nashville, znajdującą się w okolicy nazywanej The Nations. Nawiązująca do różnych narodowości nazwa wzięła się stąd, że w czasach, gdy było tu czynne więzienie, w pobliżu osiedlały się rodziny skazańców często pochodzące z odległych zakątków kraju, a także strażnicy, ich żony i dzieci, też mający różny etniczny rodowód. The Nations od Sylvan Park, gdzie Sam i Taylor w drodze do Bobbie's Dairy Dip bawiły się nazwami stanów, oddzielała autostrada międzystanowa I-40.

The Nations, niegdyś prężnie rozwijająca się część Nashville, stosunkowo szybko podupadła i stała się jedną z tych osobliwych szarych stref nędzy, które wegetowały pośród koloru i dostatku. Pięć przecznic skondensowanej przestępczości. Policja często odwiedzała The Nations, usiłowała walczyć z handlem narkotykami i prostytutką, ale nadaremno. Sprawa była z góry przegrana.

W tym skupisku biedy i beznadziei mieszkańcy żyli poza czasem. Liczba automatów telefonicznych nadal przewyższała liczbę legalnie używanych komórek. Budki stały na każdym zamalowanym graffiti i cuchnącym szczynami rogu. Ulicami krążyły nastolatki w spodniach z krokiem w kolanach i z włosami splecionymi w cienkie warkoczyki zaczesane rządkami do tyłu, popijając piwo z puszek schowanych w brązowych papierowych torbach. Przystępczość, bylejakość, strach, marność życia, wszystko to nocami przesączało się do domów przez szpary pod drzwiami i wysysało resztki wiary w człowieczeństwo. Tutejsi nie ufali policji, niektórzy nie przyjmowali do wiadomości jej istnienia i wierzyli we własną wersję sprawiedliwości, którą w The Nations wymierzało się na tyłach stacji benzynowych i w brudnych uliczkach, a interesy prowadziło w świetle nielicznych działających latarni oraz w cuchnących, niewietrzonych pomieszczeniach.

The Nations. Doskonała kryjówka dla pedofila.

Okolice skrzyżowania Pięćdziesiątej Pierwszej Alei z Centennial Boulevard przypominały Taylor strefę działań wojennych. Tornado, które w 1998 roku przeszło nad Nashville, niemal dokumentnie zniszczyło ten obszar i od tamtej pory zrobiono naprawę niewiele, by przywrócić mu dawny, całkiem zresztą przyzwoity wygląd. Minęły ich dwa radiowozy, obaj kierowcy wystawili za okno rękę wewnętrzną stroną dłoni do dołu, co oznaczało, że wszystko gra, ale uważajcie na siebie, jakby co, kryjemy was. Taylor odpowiedziała tym samym gestem.

Kilka minut później trafili pod adres widniejący w aktach Henry'ego Andersona. Zajechali przed budynek, który trudno nazwać domem, bardziej przypominał budę. Zapadnięty dach, w oknach zamiast szyb karton, istny obraz nędzy i rozpacz. Niedaleko szumiała rzeka Cumberland. Mieszkańcy bardziej prestiżowej okolicy z pewnością nie zaakceptowałyby na swoim osiedlu kogoś takiego jak Henry Anderson.

Nie mieszkał w pałacu, a zatem niemałe dochody z pornografii musiał zainwestować nie w tę nieruchomości, tylko w coś innego. Może w przemysł narkotykowy, by osiągać jeszcze większe zyski? – pomyślała Taylor. Chałupa bez trudu mogła pomieścić fabryczkę amfy.

Zatrzymała samochód, spojrzała na Baldwina i pytająco uniosła brwi.

– To jakaś nora – powiedział. – Mózg nielegalnego przedsięwzięcia miałby mieszkać w czymś takim? Co on robi z forszą?

– Czytasz mi w myślach. Przekonajmy się.

Wysiedli z wozu. Za nimi Marcus wysiadł z chevroleta caprice'a. Cała trójka była ubrana

po cywilnemu, nosiła ciemne okulary i na kilometr śmierdziała policją. Nic dziwnego, że ulica nagle opustoszała. Stali przed domem Andersona. Taylor wiedziała, że nie wolno im się bać, nie mogą się wahać, muszą pokazać, kto tu rządzi. Przecięła pustynię mającą uchodzić za trawnik, a gdy dotarła do drzwi, walnęła w nie pięścią.

– Policja! Otwierać!

Odpowiedzią był brak jakiegokolwiek reakcji, więc załomotała ponownie. Nadal nic. Zanim zdążyła uderzyć po raz trzeci, drzwi lekko się uchyliły i w szparze pojawiła się kobieca twarz. Taylor poczuła woń strachu i odór starych, rozkładających się odpadków.

Wyglądająca przez szparę kobieta, a właściwie dziewczyna, mierzyła ich podejrzliwym wzrokiem.

– Czego chcecie?

Miała na sobie uniform, a na lewej piersi plakietkę z logo sieci Waffle House i imieniem Wendy napisanym krzywymi dziecinnymi literami. Na głowie miała czarny daszek golfowy z przyczepionymi po bokach przypinkami. Włosy – końcówki blond, przy skórze splątane i przetłuszczone, niemal czarne – zawiązała w kucyk. Miała brązowe źrenice i lekko zaczerwienione białka, jakby zeszłej nocy źle spała albo ćpała.

– Szukamy Henry’ego Andersona.

– Nie ma go tutaj. – Chciała zamknąć drzwi, ale Taylor zablokowała je, wkładając obutą w kowbojki stopę pomiędzy skrzydło a próg. Zabolalo, kiedy drzwi ścisnęły duży palec.

– Wendy, bo tak masz na imię, prawda? Otóż, Wendy, chcielibyśmy wejść do środka. Jesteśmy z policji w Nashville, z Wydziału Zabójstw. Musimy porozmawiać z Henrym.

Wendy zmrużyła oczy i pokazała krótkie, krzywe zęby, po czym bez słowa odsunęła się od drzwi.

Taylor obejrzała się przez ramię na Baldwina. Jego dłoń spoczywała na kaburze. Marcus zdążył swoją rozpiąć, w ułamku sekundy był w stanie sięgnąć po glocka. Obaj skinęli głową. Taylor nogą otworzyła szerzej drzwi.

W budynku panował okropny zaduch. Przed zapadniętą kanapą na skrzynce po mleku leżał popsuty wentylator. Na kuchennym blacie piętrzyła się góra pustych puszek po piwie i mnóstwo petów.

– Henry’ego nie ma – powtórzyła Wendy, zapalając papierosa. Zaciągnęła się głęboko i zaniósła kaszlem, wydmuchując dym.

– Nie chcesz wiedzieć, dlaczego chcemy z nim porozmawiać?

– A co mnie to obchodzi? Ja tylko od niego wynajmuję. On tu nie mieszka.

Do listy grzechów Andersona należało dopisać: właściciel nory w slumsach.

– W takim razie gdzie mieszka?

– Huk go wie. – Znow się zaciągnęła.

Stała metr od Taylor i patrzyła podejrzliwie, lewą ręką zasłaniając brzuch. Taylor uważnie się jej przyjrzała. Wendy lekko się garbiła i nawet w półmroku panującym w pomieszczeniu widać było, że stanie sprawia jej ból. Zaszczute, nieobecne spojrzenie, do tego siniaki. Taylor już wiedziała, co jest grane, i zaczęła współczuć tej dziewczynie.

– Wendy, usiądź, proszę. Powiedz, kto cię skrzywdził.

Coś błysnęło w jej oczach, duma lub złość, po czym odparła ostrożnie:

– Nic mi nie jest.

– Wygląda na to, że jednak jest. Czy ktoś cię kopnął w brzuch?

– Nie pani interes. – Zgasiła papierosa i odwróciła się.

Biedne dziecko. Taylor nigdy nie potrafiła zrozumieć siły zakłętego kręgu przemocy domowej. Walka o dominację, gwałtowne kłótnie, które kończą się rękoczynami, coraz bardziej

brutalne pobicia zgodnie z zasadą eskalacji przemocy, a na koniec jakże często zabójstwo, śmierć... Czy naprawdę tak trudno wstać i wyjść? A już tych facetów, którzy do perfekcji opanowali sztukę bicia bez pozostawiania śladów, z dziką satysfakcją postawiłaby pod ścianę i bez żadnych sądów rozstrzelała.

Wychwyciła spojrzenie Baldwina. Jest psychiatrą, może więc niech on spróbuje?

Baldwin usiadł porozmawiać z Wendy, a Marcus i Taylor rozejrzeli się po domu. Popękane brudne ściany, karaluchy, sterty czasopism bez okładek, puste pudełka po pizzy. Łazienka, w której nie sprzątano od wielu tygodni. Samotny, podłużny przedmiot na pękniętej toalecie. Test ciążowy. Nie dało się odczytać wyniku, bo test musiał zostać zrobiony kilka godzin albo może nawet dni wcześniej. Ani śladu Henry'ego Andersona. Żadnych męskich kosmetyków, zero ubrań. Wendy mówiła prawdę, Anderson już tu nie mieszkał.

Wrócili do dusznego salonu. Wendy siedziała na zapadniętej kanapie i cicho płakała, a Baldwin trzymał ją za rękę.

Odezwał się, nie odrywając od niej oczu:

– Anderson mieszka w East Nashville. Ten dom wynajmuje, zachował adres na wypadek, gdyby szukała go policja. Wendy nie widziała się z nim od kilku tygodni. Myślę, że mówi prawdę.

Czuło się, że zdobył zaufanie dziewczyny. Coś jej wręczył, zapewne wizytówkę, jak pomyślała Taylor.

Pożegnali się z Wendy i wyszli. Na podwórzu Baldwin przecesał włosy palcami, tak że zaczęły sterczeć. Taylor dostrzegła jasne kosmyki w czarnej czuprynie narzeczonego. Wcześniej siwiał jedynie na skroniach.

– Mam adres Andersona. Wendy co dwa tygodnie śle mu przekazem pieniądze za czynsz. Właśnie straciła dziecko. Miałaś rację, kilka dni temu chłopak kopnął ją w brzuch. Wczoraj poroniła. Mimo to poszła do pracy. Powiedziała, że inaczej by ją wylali. Biedna dziewczyna.

Marcus oparł się o samochód.

– Jedziemy po niego?

– Jeszcze się pytasz! – odparła Taylor. – Wsiadaj i ruszamy.

Pani sędzia Sophia Bottelli nie była zadowolona z Taylor.

– Pani porucznik, dlaczego wcześniej nie znała pani nowego adresu Henry'ego Andersona?

– Wysoki Sądzie, śledztwo jest w toku, sytuacja zmienia się dynamicznie. O roli Andersona w sprawie dowiedzieliśmy się przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami.

Kobieto, podpiszże ten aneks i miejmy to z głowy. Przestań się do wszystkiego dopieprzać, czas ucieka. Oczywiście nie powiedziała tego głośno, bo nie śpieszyło jej się do celi za obrazę sądu. Za uwłaczające uwagi idziesz do więzienia, nie przechodzisz przez „Start”, nie otrzymujesz premii.

Innymi słowy, nie pomoże sprawie, zadzierając z sędzią.

– Mam nadzieję, że po raz ostatni wracamy do tego nakazu, pani porucznik. Podpiszę i przefaksuję. Oczekuję rezultatów.

– Tak jest, Wysoki Sądzie. Dziękuję, proszę pani.

Właściwie to nawet lubiła Bottelli. Baba ostra jak żyłeta, za to sprawiedliwa. No, ale zobaczymy, co będzie później. To jasne, że prawnicy działający w Nashville doskonale pamiętali o niedawnym popadnięciu Taylor w niełaskę. Cholera, odzyskanie wiarygodności trochę potrwa. Przesadzona reakcja Umpy i odebranie odznaki jeszcze długo będzie się odbijało jej czkawką.

Faks wypłuł kartkę.

– Mamy to! – krzyknęła Taylor. Koniec użalania się nad sobą. Do roboty.

Wypadła z gabinetu. Marcus i Lincoln naradzali się, Baldwin stał za nimi i słuchał z uwagą.

– Co się dzieje?

– Jeszcze nic – odparł Lincoln. – Pracuję nad czymś, ale nie chcę zapeszać. Powiem ci, jeśli się uda. Jedźcie po Andersona, zanim gość się zorientuje, że chcecie go zwinąć. – Kiwnął na Baldwina i wyszedł.

Taylor spojrzała na narzeczonego, ale wzruszył ramionami i powiedział:

– Ja nic nie wiem. Jedziemy.

Podróż do East Nashville zajęła im pięć minut. Kiedy skręcili w Ósmą Aleję, zieloną ulicę, przy której stały odremontowane wiktoriańskie domy, Taylor pokręciła głową.

– Wiesz, że Anderson mieszka zaledwie przecznicę od Betsy Lerner, naszej porucznik z obyczajówki, specjalizującej się w przestępstwach na tle seksualnym? Na pewno posługuje się fałszywym nazwiskiem.

– Wcale nie. Kiedy rozmawiałś z sędziwą, Marcus sprawdził nieruchomości. Anderson figuruje jako jej właściciel. Natomiast kredyt na zakup wziął z drugą osobą.

– Z kim?

– Z jakimś Antoniem Giormannim.

Taylor zaparkowała równolegle do krawężnika, zgasła silnik i odwróciła się w stronę Baldwina.

– Słuchaj, jeszcze chwila i trafi mnie szlag.

– Ale czemu?

– Bo znam tego Antonia. Przedstawia się jako Tony Gorman. Tony Gorman i Henry Anderson to kumple. Zabawili się moim kosztem, i to po królewsku. – Gdy z furią uderzyła dłońmi w kierownicę, Marcus podszedł do drzwi, więc opuściła szybę. – Współwłaścicielem budynku jest Antonio Giormanni. Mówi ci coś to nazwisko?

Marcus zmarszczył czoło i po chwili walnął otwartą dłonią w dach auta.

– Tony Gorman!

– No właśnie.

– Nic dziwnego, że niewiele znaleźliśmy na jego temat, skoro posługuje się fałszywymi nazwiskami. Jako Tony Gorman figuruje w Wydziale Komunikacji, a jako Antonio Giormanni w księdze wieczystej nieruchomości. Uwzięli się na ciebie, Taylor.

– Przepraszam bardzo – wtrącił Baldwin – ale czy ktoś mógłby mnie oświecić?

Taylor pokręciła głową. Miała na ustach uśmiech, który wcale nie świadczył o rozbawieniu.

– Tony Gorman przyczepił się do mnie na balu charytatywnym, na który pojechałam z Sam. Nazwał mnie „Tawny”. Tym tropem dotarliśmy do sekstaśm zamieszczonych na Selectnet.com. Całe to szukanie przez nas wiatru w polu było ukartowane, łącznie z odebraniem mi odznaki. Tyle że Tony i Henry najwyraźniej nas nie docenili i liczyli, że ich nie przejrzymy. Mieli nadzieję, że gdy mnie upokorzą, ucieknę z podkulonym ogonem. Pożalują, sukinsyny, że się urodzili. – Wysiadła z samochodu, czując, że za chwilę w napadzie szału wyrwie fotel z bebechami. Pokaże tym draniom!

Baldwin spojrział na Marcusa i stwierdził:

– Może chodźmy za naszą Godzillą, zanim w gniewie obróci w pył całą dzielnicę.

– Powodzenia, panie federalny – ze śmiechem odparł Marcus. – Sam wiesz, jaka jest, kiedy się nakręci. Czołgiem nie zatrzymasz. Chcesz się założyć o to, czy Anderson wyjdzie z tego żywy?

Ruszyli za nią. Przechodząc przez ulicę, Marcus zadzwonił do Lincolnna i poprosił o jak

najszybsze uzyskanie nakazu aresztowania Antonia Giormanniego i doprowadzenie go na posterunek. Baldwin pokazał, że też chce rozmawiać z Lincolnem. Kiedy skończył, dogonili Taylor.

– Jesteś gotowa? – spytał Baldwin.

– Jeszcze jak. Dobierzemy się do gnoja. – Wyjęła broń, podeszła do drzwi i uderzyła w nie pięścią. – Policja! Otwierać! – Sezame, otwórz się, pomyślała.

Drzwi się uchylily i pokazała się w nich znajoma twarz.

Michelle Harris wyglądała na totalnie zaskoczoną. Zbladła i instynktownie odsunęła się od wycelowanej w jej pierś broni Taylor. Odwróciła się, wyraźnie zbierając się do ucieczki. Taylor podeszła do niej szybkim krokiem i chwyciła za włosy.

– Au! – wrzasnęła Michelle.

– Zamknij się! – warknęła Taylor. – Gadaj, co tu robisz?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Baldwin i Marcus weszli do domu. Taylor spojrzała na nich i puściła włosy Michelle.

– Gdzie jest Henry Anderson?

– Na górze, bierze prysznic. Co wy tu robicie? Czego chcecie od Henry’ego? – Grała zdumione niewiniątko, w czym była bardzo przekonująca.

Jednak Taylor nie dała się nabrać. Wiedziała, że Michelle Harris nie znalazła się tu przypadkiem. Była zdrowo umoczona, miała coś na sumieniu, a w najlepszym przypadku była w bliskich relacjach ze zdrowo umoczonymi i mnóstwo wiedziała.

– Idę po niego – powiedział Marcus, wchodząc po dębowych schodach.

Baldwin ruszył za nim.

Taylor chwyciła Michelle za ramię i zaprowadziła do pierwszego pomieszczenia po lewej, którym była biblioteczka pełna uginających się pod ciężarem książek regałów z ciemnego drewna. Posadziła ją na skórzanej cynamonowej sofie i skupiła się na wciąż wyrażającej zdumienie twarzy Michelle Harris.

– Co tu robisz? Co cię łączy z Andersonem? – spytała.

– No... to mój chłopak. Spotykamy się od przeszło roku. A zresztą, co cię to obchodzi? Po co przyszście? Czego chcecie od Henry’ego? Przecież nie zrobił nic złego.

Taylor stała, patrząc z góry na Michelle.

– Spotykasz się z Henrym Andersonem? To żart, prawda?

Przyszedł Baldwin.

– Marcus zakuł Andersona. Odczytał mu prawa, byłem świadkiem. Ekipa, która przeszuka dom, jest już w drodze. Jego prawnik został poinformowany o aresztowaniu.

– Aresztowaliście Henry’ego? – zdumiała się Michelle. – Za co?!

– Och, sama nie wiem. Baldwin, co my właściwie na niego mamy? Ach tak, zacznijmy od pornografii dziecięcej. Do tego zniesławienie, oszczerstwo, złamanie warunków zwolnienia warunkowego, podawanie TBI fałszywych informacji o miejscu pobytu, fałszowanie informacji znajdujących się w bazie przestępców seksualnych. Tyle przychodzi mi do głowy na dzień dobry. Prokurator okręgowy na pewno dorzuci jeszcze to i owo. Twój Henry złamał prawo federalne i stanowe. Nieprędko go zobaczysz. Ach, i jeszcze jedno. Wiesz, taka drobnostka. Morderstwo twojej siostry.

Michelle pokręciła głową i machnęła ręką przed twarzą, jakby odganiała naprzykrzającą się osę.

– Ale przecież... to Todd zabił Corinne. Aresztowaliście go. Wszystkie dowody wskazują na niego. Wkrótce mają podać termin rozprawy. Na miłość boską, Henry nawet nie znał Corinne. Nie może mieć z tym nic wspólnego. I o co chodzi z tą bazą danych? Henry nie jest przestępcą seksualnym. Mieszkam z nim. Czy naprawdę sądzicie, że nic bym nie zauważyła, gdyby było coś z nim nie tak? Jeśli miałby jakiś... problem?

– Taka jesteś pewna, Michelle?

Taylor usłyszała kroki w korytarzu. Przyjechała ekipa i dom szybko wypełnił się policjantami. Henry Anderson siedział na tylnym siedzeniu radiowozu i czekał, aż zostanie odwieziony na policję. Taylor nawet nie zauważyła, kiedy go wyprowadzono. Trudno, nie ma czego żałować, jeszcze sobie porozmawiają.

Michelle spojrzała Taylor w oczy.

– Tak, jestem pewna. Chcę się zobaczyć z Henrym – zażądała lodowatym tonem.

O rany, ta kobieta chyba naprawdę o niczym nie wie. Jak to możliwe? Jej facet prowadził kwitnący pornobiznes, a ona nie miała o tym pojęcia, żyjąc z nim pod jednym dachem? Taylor jakoś nie potrafiła w to uwierzyć.

– W takim razie może pojedziesz z nami? Opowiesz mi o swoim Henrym. – Wyciągnęła rękę do Michelle.

Która zareagowała nerwowo i wyrwała się tak gwałtownie, że Baldwin chwycił za broń.

– Zaufałam ci, wiesz? Wtedy, u Carli Manchini, kiedy weszłaś do salonu, zobaczyłam kobietę o dobrym sercu, na którą mogłam liczyć, że znajdzie mordercę Corinne i sprawiedliwości stanie się zadość. A teraz? Spójrz na siebie. Walczysz z wiatrakami, przynosisz wstyd policji i jesteś pośmiewiskiem Nashville. Co? Nie wiedziałaś? No to już wiesz. Musiałaś się pochwalić całemu światu, jak się zabawiasz? I nawet nie potrafiłaś rozwiązać prostej zagadki morderstwa. Henry powiedział mi, co mu zrobiłaś. Nienawidzę cię, ty... ty... DZIWKO!

Wybiegła z pokoju, zostawiając zdumioną Taylor.

Pośmiewisko Nashville?

Naprawdę?

Przestań, Taylor, nakazała sobie. Pomyśl, z czyich ust padły te słowa. Michelle jest wzburzona. Najpierw zamordowano jej siostrę, potem dowiedziała się, że jej facet jest kłamcą. Należy jej się współczucie. Miała koszmarny tydzień. Poczekaj, aż się dowie, że kochany Henry posuwał Corinne. No, też bym się trochę zdenerwowała.

Przełknęła ślinę, po czym wyszła za Michelle. Tak czy inaczej, pora poznać odpowiedzi.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Siedzieli w pokoju przesłuchań. Henry Anderson postarzał się od czasu, kiedy Taylor widziała go po raz ostatni. Krótko ostrzyżone włosy posiwiały, ale dla odmiany kozia bródka pozostała czarna. Miał zaczątki głębokich zmarszczek wokół oczu i ust.

Pozostało lodowate spojrzenie zielonych oczu, to samo, które przed laty zmroziło Taylor, kiedy po raz pierwszy zakładała mu kajdanki. Zahipnotyzował ją i podjął próbę ucieczki. Wtedy jeszcze nie odróżniała pożądania od nienawiści, nie wiedziała, jak ponętne bywa zło. Z czasem nauczyła się tego i dziś już nie miała wątpliwości, które uczucie dominowało w sercu Andersona.

Zresztą nienawiść to za słabo powiedziane. Absolutna, totalna odraza – tak lepiej. Anderson przesywał ją i ćwiartował wzrokiem.

– Pewnie wiesz, tępa suko, że jeszcze dziś wieczorem wyjdę za kaucją, zanim zdążysz obciągnąć druta swojemu chłoptasiowi?

– Henry, przymknij się. – Obok Andersona siedział Miles Rose. Był w zdecydowanie mniej wesołym nastroju, niż kiedy rozmawiał z policją w imieniu Todda Wolffa.

Taylor zmieniła zdanie o Rosie, okazało się bowiem, że adwokat był na garnuszku The September Group, firmy Henry'ego Andersona, za pośrednictwem której zarządzał nielegalnym imperium porno. Selectnet.com była jedną z firm, którymi kierował za pomocą skomplikowanej sieci powiązań, robiąc to praktycznie anonimowo.

Szkoda, że Anderson był przestępcą. Gdyby stał po jasnej stronie mocy, zrobiłby karierę w biznesie, a może nawet w polityce.

– Nadal lubisz lizanie cipki, pani porucznik? Z przyjemnością oglądałem, jak dawałaś się rżnąć tym wszystkim facetom. Ale trudno ci dojść, co? Boisz się, że przestaniesz się kontrolować. Tak, to musi być to. Ale z nowym gachem jest inaczej. Ten to dopiero artysta, proszę ja ciebie. Wiesz, o co mi chodzi. Czy to dlatego za niego wychodzisz? Bo robi ci się mokro w majtkach?

– Henry, dość tego! – Adwokat aż poczerwieniał.

– W porządku, panie Rose. On po prostu inaczej nie może. – Taylor popatrzyła Andersonowi w oczy i zobaczyła łód. – Mam rację, Henry? Powinnam była się domyślić, że lubisz patrzeć. Nadal masz problemy z erekcją? Stanie czy nie stanie? Oto jest pytanie. Biedactwo. Ale Michelle to nie przeszkadza, co? I tak nie przepada za mężczyznami, a skoro w sypialni dupa z ciebie, nie facet, to nie mogłeś trafić lepiej. Masz u boku ładną cizję, więc nikt nie powie złego słowa, a jednocześnie nie musisz się wysilać, żeby ją zadowolić. Pytała chociaż dlaczego?

– Pani porucznik, pani też już dość powiedziała. – Rose uderzył otwartą dłonią w stół, aż huknęło.

Jednak nie zrobiło to wrażenia ani na Taylor, ani na Henrym. Siedzieli naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Jego źrenice pluły jadem, a jej lśniły triumfująco.

Taylor wytrzymała jeszcze chwilę, a potem powiedziała z uśmiechem:

– Słuchaj, Henry, nadal masz bóle fantomowe, kiedy się napinasz, a on ani drgnie? Tak samo jak inwalidę, który stracił rękę, ta ręka wciąż czasami boli? Bolesne wspomnienia... Tak strasznie mi przykro, Henry. Och, Henryczku, tak lepiej, prawda? Trochę mnie wtedy poniosło, pamiętasz? Może faktycznie nie powinnam była kopać cię w jaja, kiedy próbowałeś uciec? Ale widzę, że znalazłeś nowy sposób zadawania innym cierpienia i żeby kogoś wyruchać, już nie potrzebujesz kutasa. Ale patrz, co za pech, znów się nie udało.

Delikatnie, prawie niedostrzegalnie, drgnął mu mięsień twarzy.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jestem czysty jak łąza.

– Raczej brudny jak sracz. Wiemy wszystko. Rozpracowaliśmy całe twoje imperium.

Wiemy o wszystkich firmach. Znaleźliśmy wszystkie nagrania, namierzaliśmy wszystkie studia. A wiesz, kto cię wyspał? Todd Wolff. No, a przed chwilą przyznałeś, i oczywiście mamy to na taśmie, że widziałeś wideo.

Anderson odchylił się na krześle. Gdyby nie był przypięty kajdankami do haka w stole, lekceważąco założyłby ręce na piersi.

– Phi! Chuj wiesz. Szkoda mi jego żonki, niezła dupa z niej była. Co niedziela rznąłem ją, aż wióry szły.

– Razem z nią umarł twój syn.

– O czym ty gadasz, kobieto? Przecież jestem impotentem, nie?

– Bywasz, a to różnica. Nie zapominaj, że pojechałam z tobą do szpitala i byłam tam, kiedy wyjmowali mój but z twojego krocza. Lekarz wyraził się jasno: będziesz miał problemy z uzyskaniem i utrzymaniem erekcji, ale po pewnym czasie wrócisz do pełnej sprawności. Skoro tak rażno posuwałeś Corinne Wolff, to widać stare porzekadło, że czas leczy rany, jednak się sprawdziło.

W oczach Andersona pojawiła się niepewność.

– Mówisz, że dzieciak był mój?

– DNA nie kłamie, Henry, a więc tak, chłopiec, którego nosiła Corinne, był twoim synem. Mogłeś jej nie zabijać. Pozbawiłeś się szans na spadkobiercę.

– Nie zabiłem jej. Dziecko było moje? – Nagle zastygł.

Mój Boże, pomyślała Taylor, czyżby ten zimny drań naprawdę kochał Corinne?

– Jak to robisz, Henry? Proszę, opowiedz mi. Sypiałeś z jedną siostrą, a mieszkałeś z drugą? Tak było?

– Henry – ostrzegł Rose.

– Nie, Miles, to nie ma znaczenia. Nie pozwolę, żeby zrzucili na mnie odpowiedzialność za śmierć Corinne. – Zwrócił się do Taylor. – Tak, mieszkałem z Michelle. Ona o niczym nie wie. Spotykałem się z Corinne w największej tajemnicy. Nikt nawet nas nie podejrzewał. Kochałem ją.

– Nie wiedziałam, że w twoim sercu jest miejsce na takie uczucie.

– Pierdol się, glino. Nie znasz mnie. – Odwrócił głowę.

Taylor mogłaby przysiąc, że zobaczyła łzę. Henry milczał. Kiedy zorientowała się, że już nic więcej od niego nie usłyszy, wyłączyła nagrywanie.

– Masz rację, Henry. Todd nie zna wszystkich szczegółów. Ale też nie ma nic do stracenia. Zeznawanie na twoją niekorzyść nic go nie kosztuje, a może nawet coś zyskać. Kto wie, może zostanie potraktowany łagodniej w zamian za pomoc policji?

– O czym ty pieprzysz?

– Myślisz, że wszystko ci powiem? – Uśmiechnęła się i wstała. – Reszty dowiesz się w sądzie, a jak na razie będziesz miał nad czym się zastanawiać. W pierdлу na pewno będziesz gwiazdą, Henry. Słyszałam, że ostatnio nazywali cię Henrietta.

Nie zareagowała, kiedy zerwał się z krzesła i rzucił za nią. Wiedziała, że łańcuch wytrzyma. Odwrócić się plecami do Henry'ego Andersona. Po prostu bezcenne! Przed laty, kiedy ostro zareagowała i zmiądzzyła mu klejnoty, czuła wyrzuty sumienia, że potraktowała go aż tak brutalnie. Ale te czasy minęły. Dziś nie miała dla niego żadnej litości.

– Trzymaj się, Henry.

Gdy znalazła się za drzwiami, wypuściła powietrze. Nawet nie zauważyła, że wstrzymała

oddech. Poszła dwa pokoje dalej.

– Wystarczy? – spytała, wchodząc.

Ekipa stała przed ekranem i obserwowała przebieg przesłuchania.

– Aha – odparł Baldwin. – Przyznał się, że widział twoje taśmy. Mamy próbkę głosu.

Dobrze, że go sprowokowałaś. Zestawimy jego głos z tym z nagrania z Davidem Martinem i jeśli będą pasowały, dopiszemy kolejny zarzut do długiej listy. Będziemy mieli w ręku kolejny argument przeciwko Norris, a mianowicie że Anderson próbował cię oczernić.

– Oczernić. Podoba mi się to słowo.

Uśmiechnęli się do siebie.

Lincoln odchrząknął i powiedział:

– Na miłość boską, idźcie do hotelu albo co!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, co oczyściło atmosferę. Po spotkaniu z Andersonem Taylor czuła się zbrukana. Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby zaleźć jej za skórę. To dlatego przed laty straciła panowanie nad sobą i kopnęła go w jądra tak mocno, że schowały się głęboko i wróciły na swoje miejsce dopiero po interwencji chirurga. Anderson miał marne szanse kiedykolwiek zostać ojcem. Taylor wzdrygnęła się, a potem zrobiło jej się szkoda synka Andersona. Zachowała całe współczucie dla dziecka, które nie mogło przyjść na świat, ponieważ miało rodziców kretynów.

Prokurator okręgowy postawił zarzuty Antoniowi Giormanniemu, który zdecydował się zeznawać przeciwko Henry'emu Andersonowi w zamian za złagodzenie kary. Todd Wolff, cały czas zaklinający się na wszystko, że nie zabił żony, również otrzymał propozycję łagodniejszego potraktowania w zamian za zeznania. Zapowiadał się długi, złożony proces, ale Taylor była przekonana, że tym razem sędzia posadzi Andersona do końca życia.

Umówiła się z kolegami, że po pracy pójdą na drinka do pubu U Mulligana na Drugiej Alei. Pozostała jeszcze tylko jedna sprawa do wyjaśnienia, a mianowicie kto zabił Corinne Wolff. Wiedziała, że prędzej czy później pozna odpowiedź na to pytanie, tyle że wolałaby prędzej.

Wszyscy, którzy przed wyjściem z biura musieli dokończyć swoje zadania, zabrali się do pracy. Sprawa zakończona sukcesem. Taylor poukładała papiery na biurku, odpowiedziała na kilka mejli i umieściła materiały w segregatorze poświęconym śledztwu w sprawie morderstwa Corinne Wolff. Zdjęcia z sekcji zwłok Corinne, a obok fotografia jej i Todda w dniu ślubu. Drewniane tło miało intensywnie zielony odcień, a Corinne wyglądała jak biały leśny duszek. Biedna dziewczyna.

I biedna Hayden... Nagle coś ją uderzyło. Hayden była blondynką, a rodzice mieli ciemne włosy. Czy to możliwe, że również ona była dzieckiem Andersona? Teoria mocno naciągana, lecz mimo to Taylor zapisała ją na karteczce, którą przykleiła po wewnętrznej stronie segregatora. Wprawdzie nie miało znaczenia, czy Anderson był ojcem Hayden, ale mogło być pomocne w ustalaniu chronologii zdarzeń. Pozostało wiele szczegółów do wyjaśnienia i rozgryzienia. Wszystkie wątpliwości muszą zostać rozwiane, zanim sprawa trafi do sądu, bo przepisy były tak restrykcyjne, że nie było żadnej pewności, czy jakiś przeoczony drobiazg nie doprowadzi do uniewinnienia podsądnego. Westchnęła. Była to prawdziwa zmora śledczych i prokuratorów.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wszedł Baldwin, a za nim Lincoln.

– Chodźcie, chodźcie – powiedziała. – Jestem gotowa. Robiłam notatki, żeby nie zapomnieć o paru szczegółach. Napiłabym się guinnessa.

– Będzie musiał poczekać. – Lincoln miał minę z gatunku: Znalazłem coś, co koniecznie musisz zobaczyć.

Zmroziło ją.

– Boże, tylko nie mów, że kolejne taśmy.

– Nie, tym razem to nie dotyczy ciebie. – Uśmiechnął się i usiadł na krześle.

Baldwin nadal stał w drzwiach.

– No mów. Nie mam dziś zbyt wiele cierpliwości, Linc.

– Michelle Harris miała sprawę jako nieletnia. Akta utajniono, a wyrok, jeśli jakiś był, zatarto.

Serce Taylor raptownie przyśpieszyło.

– Za co? Skoro akta utajniono, jak udało ci się do nich dotrzeć?

– Dzięki pomocy Baldwina. To była sprawa federalna.

– Michelle Harris w młodym wieku popełniła przestępstwo federalne?

– Nie do końca. Została zgwałcona, kiedy miała czternaście lat. Zrobił to seryjny gwałcień, który w Connecticut polował na dziewczęta i młode kobiety. Nie było łatwo odnaleźć te akta, bo raz, że znajdują się w gestii FBI, a dwa, że w innej jurysdykcji. FBI postawiło sprawcy dodatkowy zarzut uprowadzenia, ponieważ niektóre ofiary wywoził poza granice stanu. A jednak udało mu się uniknąć stryczka, oczywiście przez jakiś szczegół prawny, jak to zwykle bywa. Ale to dla nas nieistotne. Ważne jest to, że kiedy wyszedł, znów postanowił się zabawić i znalazł ofiarę na letnim obozie tenisowym. Michelle miała czternaście lat. Nie znamy wszystkich szczegółów, ale tej samej nocy, kiedy ją zgwałcił, Michelle go zabiła.

– Słucham?!

– Wiem, że to nie mieści się w głowie. Zgwałcił ją i zostawił, a ona zamiast w samotności przeżywać ból, upokorzenie i wstyd, jak to niestety wciąż często bywa, lub zgłosić się na policję, poszła za nim. Wstąpił do baru, a ona zaczęła się w pobliżu. Gdy wyszedł pijany, wykorzystwała sytuację. Zwabiła go za budynek i tam załatwiła sprawę.

– Jak?

– Zatlukła go na śmierć stalową rurą.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Taylor była zmęczona. Znowu siedzieli przed domem Henry'ego Andersona. Słońce już zaszło, powietrze było chłodne i ostre, a światło w oknach domu ciepłe i zapraszające. Widziała, jak Michelle Harris krąży po salonie. Ciekawe, płakała czy śpiewała z radości?

Kiedy tym razem zapukała do drzwi Andersona, Taylor zrobiła to delikatniej, nie waliła pięściami. Była uprzejma. Takie ciche, eleganckie puk, puk, puk.

Michelle otworzyła drzwi i po raz drugi tego dnia ujrzała w nich Taylor i Baldwina. Na jej twarzy pojawiła się złość, ale zanim zdążyła wybuchnąć, Taylor uniosła dłoń.

– Spokojnie – powstrzymała Michelle. – Możemy wejść? Musimy z tobą porozmawiać.

– Czemu miałabym was wpuścić? Przez ostatni tydzień doszczętnie zniszczyliście moje życie – powiedziała, ale odsunęła się od drzwi, zostawiając je otwarte.

Taylor spojrzała na Baldwina, wzruszyła ramionami i weszła do środka.

Michelle napaliła w kominku i najwyraźniej urządziła sobie małą uroczystość, na ławie w bibliotece stały bowiem pojemniki z jedzeniem na wynos i otwarta butelka wina. Tym razem Taylor dokładnie rozejrzała się po wnętrzu i zdziwiła się, że wprawdzie Anderson był podłym, żerującym na najniższych instynktach draniem, ale jego dom był przytulny i ciepły. Przeszedł ją dreszcz, bo takie dychotomie zawsze ją przerażały. Nie tylko zresztą ją.

Michelle usiadła na skórzanej sofie i podkuiliła nogi. Sięgnęła po kieliszek. Obracała go w palcach.

– Napijesz się? – spytała.

Taylor darowała sobie odpowiedź.

– Dlaczego to zrobiłaś, Michelle? Dlaczego zabiłaś Corinne?

Michelle nie spojrzała na nią, wpatrywała się w zawartość kieliszka. Pinot noir, sądząc po jasnoczerwonej barwie i delikatnych brązowych akcentach, widocznych w refleksach tańczącego ognia. Taylor zerknęła na butelkę. Tak, zgadza się, pinot noir, David Bruce, do tego niezły rocznik. Czy Anderson, tak jak Taylor, był miłośnikiem dobrego wina? O Jezu. Dzień i noc. Dwie strony tego samego medalu, tym właśnie byli.

Wzdrygnęła się, po czym spojrzała na Michelle, która powiedziała:

– Kochałam go. Proste.

– Czy byłaś wtedy z Toddem? Czy zamiast pojechać do Savannah, tak jak twierdził, spędził weekend z tobą?

– Tak. Spotkaliśmy się w Crossville i zostaliśmy tam na noc.

Boże. To się dopiero nazywa zimna krew. Zabiła siostrę i wrobiła kochanka. Miła dziewczyna, nie ma co.

– Wiesz, że musimy cię aresztować, prawda?

– Czy mogę dokończyć wino?

Taylor spojrzała na Baldwina. W blasku kominka jego zielone oczy wydawały się czarne. Skinął głową.

– Tak. Jeżeli opowiesz nam, co wtedy zaszło.

Michelle sięgnęła po butelkę i nalala sobie do pełna. Posłała Taylor przepaszający uśmiech, wypila spory łyk i wlała do kieliszka pozostałe wino, a potem usiadła wygodnie i uśmiechnęła się, jakby miała do opowiedzenia cudowną historię.

– Miała obu. Obaj ją kochali. A ze mną się pieprzyli. No, Henry może nie zawsze mógł, ale za to kiedy widział Corinne, wywalał jęzor jak pies. Todda owinęła sobie wokół małego

palca, zawsze robił wszystko, co mu kazała. To ona wszystkim kierowała, ale to już pewnie wiecie.

Taylor pokiwała głową. Analiza dokumentów rzeczywiście wykazała, że Corinne była szefową całego przedsięwzięcia i pociągała za sznurki.

– Była doskonałą tenisistką, ale w tym... no, jako szefowa podziemnego imperium dopiero pokazała prawdziwe mistrzostwo. Mogła wszystko. Kochałam ich obu, a oni kochali ją. Dali jej, co tylko chciała, a ona dała im dzieci. Mnie rzucali resztki. Zawsze tak było. To nie w porządku. Wiecie, co się stało w Connecticut?

– Tak. Pobiłaś go na śmierć.

Zbladła i przymknęła oczy. Minęła chwila, nim powiedziała:

– Zgwałcił mnie. Dostał, na co zasłużył. – Przerwała na moment. – Gdy mnie zgwałcił, gdy leżałam ponizona i bezsilna, zagroził, że wróci następnego dnia i zabierze się za Corinne. Nie miałam wyjścia. Musiałam ją chronić.

– Zabiłaś człowieka, żeby ją chronić. Skoro tak bardzo ją kochałaś, dlaczego ją zabiłaś? I dlaczego wrobiłaś w morderstwo mężczyznę, którego kochałaś?

Znów napiła się wina. Jej powieki zaczynały opadać, wyglądała na lekko wstawioną. Taylor doskonale ją rozumiała. Wiedziała, że to już koniec, wiedziała, że trafi za kratki. Nie miała nic do stracenia.

– Skorzystałam z okazji. Skaleczyła się w rękę w aucie Todda. Pomyślałam, że się dobrze składa, bo spadnie na niego wina za śmierć żony. Zawsze się kłóciłyśmy, bywało ostro, ale tamtego wieczoru, w piątek, pożarliśmy się naprawdę mocno. – Odbiło się jej jak pijacze. – Przeglądaliśmy taśmy na sprzedaż. Corinne zażartowała, że kiedy Henry piepsy się ze mną, nie staje mu, a ja jej na to, że za to Toddowi stoi dwa razy dłużej, co dobrze służy mojej cipiee. – Wciąż popijała wino, a z każdym łykiem jej artykulacja stawała się coraz gorsza. Taylor odebrała jej kieliszek, czego nawet nie zauważyła. – Było nam słodko z Toddem. Corinne o niczym nie wiedziała. Robiliśmy to tuz... tuż pod jej noszem... nosem. A jak już się dowiedziała, to się wkurzyła. Powiedziałam, że sorry, ale skoro ona rsz... rżnie się z moim facetem, to ja mogę się rsznąć z jej. No i tak od słowa do słowa. Już nie mogłam na nią paczeć. – Znów się jej odbiło. – Mówiła, że do niczego się nie nadaję, że rodzice zawsze byli mną rozsza... rozczarowani. Była podła.

Oczy Michelle zaszyły mgłą, w miękkim świetle kominka źrenice wydawały się ogromne. Taylor zerwała się na nogi.

– Kurwa mać! Baldwin, dzwonić po karetkę! Jasna cholera, musiała coś wziąć, zanim przyszliśmy. Michelle! – Potrząsnęła nią.

Michelle uśmiechnęła się.

– Zapomniałam... wyłączyć światło. Nie mówcie... mamie. Będzie zła... kiedy... się dowie.

Przestała reagować. Baldwin zadzwonił na pogotowie i sprawdził puls, po czym położyli Michelle na kanapie. Miała krótki oddech, serce waliło jak młot.

– Cholera, Baldwin, co mogła wziąć?

– Nie mam pojęcia. Tu niczego nie widzę.

– Sprawdź w kuchni. Michelle, nie odpływaj, Michelle!

Baldwin wyszedł i po chwili wrócił z opakowaniem leków.

– Lorazepam. Miała receptę Corinne. Nie wiem, ile wzięła. Opakowanie jest puste.

Ratownicy medyczni zapukali do drzwi. Baldwin wpuścił ich i poinformował, co się dzieje.

– Przeżyje? – spytała go Taylor.

– Nie wiem. Połączenie alkoholu i lorazepamu może się źle skończyć. Ale może jeszcze nie jest za późno – odparł opanowanym głosem.

Patrzyli na zabiegi ratowników, którzy szybko rozeznali się w sytuacji i przystąpili do reanimacji. Kilka chwil później Michelle leżała na noszach. Ratownicy wynieśli ją z domu, włożyli do karetki i pojechali w stronę szpitala baptystów.

Taylor stała w drzwiach i obserwowała odjeżdżający ambulans. Założyła ręce na piersi i posłała Baldwinowi oskarżycielskie spojrzenie.

– Wiedziałaś – rzuciła ostro, a gdy przytaknął głową, dodała jeszcze ostrzej: – Mogliśmy wcześniej wezwać pomoc!

– Tak, mogliśmy, ale wtedy nie poznalibyśmy prawdy. Gdyby nie była przekonana, że wkrótce umrze, nie wyjawiałaby jej nam.

Jakby nagle postarzała Taylor przymknęła na moment oczy, ale zaraz otrząsnęła się i zadzwoniła po ekipę dochodzeniową.

Nie zamierzała ryzykować.

Czuła się tak, jakby brnęła przez głębokie błoto. Dochodziła północ, kiedy wreszcie wsiedli do auta i pojechali do domu. Byli w połowie drogi, gdy odebrała telefon. Michelle Harris zmarła o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt sześć.

## SOBOTA

### ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Media miały używanie w związku z historią o kamerach zainstalowanych w domach. Dziennikarze miejscowych i krajowych redakcji telewizyjnych na okrągło omawiali szczegóły wydarzeń ostatniego tygodnia. Reporterzy gazet i internetowych serwisów informacyjnych dogrzebywali się do coraz bardziej sensacyjnych i smakowitych kąsków. Miało się wrażenie, że uwaga całego świata skupiła się na Nashville.

Taylor właśnie kończyła pisać raport z przesłuchania Michelle Harris, kiedy zadzwonił telefon. Miała natychmiast zgłosić się do gabinetu szefowej Biura Odpowiedzialności Zawodowej. Umpa wzywała.

Taylor nie wiedziała, o co tym razem może chodzić. Odczekała dziesięć minut, po czym zgasiła światło i poszła na drugie piętro zajmowane przez BOZ.

Drzwi do gabinetu Delores Norris były otwarte.

– Wejść – rozkazała Umpa tonem pozbawionym wszelkiej życzliwości.

Taylor po raz trzeci w tym tygodniu przekroczyła próg znieawidzonego gabinetu i pomyślała, że wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Szczerze nie cierpiała tej kobiety.

Delores miała minę zadowolonego szakala, który przez cały dzień ucztował na porzuconych szczątkach antylopy.

– Mamy *problem*, pani porucznik – oznajmiła bez zbędnych wstępów. Była wyraźnie podekscytowana.

Taylor chciała usiąść, ale Norris cmoknęła. Taylor uniosła brwi i usiadła, nie zważając na minę Umpy. Założyła ręce na piersi. Umpa obrzuciła ją złośliwym spojrzeniem, patrząc z dołu. Głupi babsztyl zawsze musi mieć ostatnie słowo, pomyślała Taylor.

– A cóż to za problem?

– Czytam raport na temat samobójstwa Michelle Harris. Otóż *zdaniem* ratowników medycznych, można było ją uratować, tylko że zamiast zadzwonić na pogotowie, pani i doktor Baldwin przesłuchaliście ją, pozwalając, by upoiła się alkoholem. Czy *to* prawda?

– Niech się zastanowię. Tak, przesłuchaliśmy ją. Wiele czasu poświęca się na przesłuchiwanie podejrzanych i świadków, bo tak się rozwiązuje sprawy. Czy mogła przeżyć? O tym wie tylko Bóg.

– Aha, czyli twierdzi pani, że *posiada* boską moc?

– Pani kapitan, czego pani właściwie chce? Jestem zmęczona. Ciężko harowałam przez ostatnie dni, dzięki czemu zagadka została rozwiązana w sposób satysfakcjonujący dla wszystkich zainteresowanych.

– Muszę *podjąć* decyzję, pani porucznik. Kolejne *osoby* skarżą się na panią. Mogę znów panią *zawiesić* i wszcząć postępowanie, które wyjaśni zasadność *pani* działań.

– Wolne żarty. Nie zrobiłam nic złego.

– Zależy, *jak* na to spojrzeć, pani porucznik. Weźmy ten tydzień. Jeden z *członków* pani zespołu zażył narkotyki w obecności tajnego informatora, a pani tego nie zgłosiła. W budynku policji zagroziła pani bronią *podejrzanemu*, którego przesłuchiwała pani nieoficjalnie. Według *kolegów* prowadziła pani śledztwo w sprawie morderstwa, *będąc* zawieszoną, a nawet posunęła się pani do tego, że skontaktowała się z *matką* ofiary przestępstwa. Obowiązujące przepisy



potraktowała pani bardzo swobodnie, naginając je do własnych potrzeb. W policji Nashville nie ma miejsca na takie zachowania. U mnie to *nie* przejdzie.

Wow. Przygotowała się. Lincoln musiał zdać sprawozdanie i widocznie przyznał się do palenia cracku. Ale jak Umpa się dowiedziała o porannych rozmowach? Widocznie wygadał ktoś z wydziału. Albo pani Harris. Cholera.

– Zdam sobie sprawę, jak to wygląda. Detektyw Ross zaufał mi, ponieważ wiedział, że zachowam dyskrecję. W normalnych okolicznościach natychmiast zgłosiłabym zdarzenie kapitanowi Price'owi, ale detektyw Ross był w trakcie rozpracowywania groźnej szajki i dodatkowo prowadziliśmy śledztwo w sprawie morderstwa, więc uznałam, że zgłoszenie może poczekać. Co zaś się tyczy podejrzanego, którego przesłuchałam, to równie dobrze mogłam go aresztować za napaść na policjanta. Dzień wcześniej napastował mnie. Nie zakuwając go w kajdanki, wyświadczyłam mu przysługę.

– Rzecz w tym, pani porucznik, że to nie *pani* ustala zasady. *Chyba* nie tak panią szkolono, czyż nie? W tej sytuacji mogę zrobić *tylko* jedno. Rozmawiałam już z *komendantem* policji i *oboje* zgodziliśmy się co do słuszności tej decyzji. Posunęła się pani *za daleko*. Uznaliśmy, że skierowanie panią na *pełne* badania psychiatryczne oraz dokładne prześwietlenie pani poczynań w ostatecznym rozrachunku okażą się *zbawienne* dla pani dalszej kariery w policji. – Umpa przerwała na moment, po czym podjęła: – Pani podwładni *będą* odpowiadali przed *innymi* przełożonymi. *Nie* możemy sobie pozwolić na to, aby osoba na pani stanowisku znajdowała się w takim stanie. Dla wszystkich zainteresowanych stało się *jasne*, iż nie jest pani zdolna do tego, aby odpowiadać za *kierowanie* zespołem. Pani zespołowi potrzebna jest *dyscyplina*. Funkcjonariusze muszą mieć *pełną* świadomość, że pod żadnym pozorem nie wolno im brać spraw w swoje ręce. *Nie oni* ustanawiają prawa. Pani *zaś* musi się nauczyć, że nie rządzi wydziałem.

Taylor dała się ponieść emocjom. Gwałtownie odepchnęła się od biurka i wstała.

– Nie może pani tego zrobić! To niesprawiedliwe. Nie zrobiłam nic złego. Jest pani wściekła, bo nie może mnie zwolnić.

Umpa uśmiechnęła się.

– To *nieprawda*. Wcale nie jestem niezadowolona z tego, jak *ułożyły* się sprawy. Nauczy się pani *śłuchać* przełożonych. Zresztą pani *przełożeni* również wyniosą z tego pewną naukę. Otóż kapitan Price przejdzie na *wcześniejszą* emeryturę.

Przypomniała sobie, jak Price, broniąc ją, rzucił wyzwanie Umpie.

– Ty jędz... – zasyczała. – Zapłacisz mi za to.

– Proszę się *liczyć* ze słowami, moja droga. Chyba nie chce pani, żebym dopisała *to* do listy zarzutów?

– Okej, wiem, że możesz mnie udupić. Ale niech to zostanie między nami. Nie musisz przy okazji karać moich kolegów.

Umpa poprawiła się na krześle i zmrużyła oczy.

– Och, *przeciwnie*. Uważam, że to doskonały *sposób*, aby dobrać się pani do skóry, panno Jackson. Nie wierzę pani. Myślę, że *zabiła* pani Davida Martina z zimną krwią i upozorowała działanie w obronie koniecznej. Może następnym *razem* zastanowi się pani dwa razy, *zanim* popełni krzywoprzysięstwo. Nagranie wideo można *łatwo* sfabrykować... Tak, tak, cytuję pani słowa. Trzeba uważać, *co* się mówi, bo to się może *zemścić*. A to już moje słowa. Skoro film łatwo spreparować tak, by nas *oczerniał*, nic nie stoi na przeszkodzie, aby przerobić go tak, by świadczył na naszą korzyść, prawda? Pani wersja zdarzeń z dnia, w którym zginął David Martin, nie trzyma się kupy. Dlatego przebadanie taśmy zlecimy *niezależnym* analitykom.

– Nie kłamałam – wycedziła Taylor. – Wie pani, że mówiłam prawdę.

– Wiem? *Czas* pokaże. Jakby tego było mało, seryjny morderca, któremu pozwoliła pani *uciec*, wrócił do miasta i *zabija* w pani imieniu. Pora wprowadzić radykalne zmiany w tym *wydziale*. Prześwietlimy wszystkie działania pani zespołu na przestrzeni ostatnich *dwunastu* miesięcy. Lincolna Rossa przeniesiemy na *północ* miasta, Marcusa Wade’a na *południe*, a sierżanta Fitzgeralda grzecznie *poprosimy* o przejście na wcześniejszą emeryturę razem z Mitchellem Price’em.

Taylor czuła wzbierającą wściekłość. Ta baba upajała się i jej nieszczęściem, i jej kolegów. Władza uderzyła jej do głowy.

Umpa wręczyła jej plik dokumentów.

– Proszę im *to* przekazać. Mniej *zaboli*, kiedy usłyszą nowinę od pani, bo przecież opiekuje się pani nimi jak kotka *kociętami*, prawda? Może kiedy uwolnią się spod pani skrzydeł, wreszcie *udowodnią*, że stać ich na samodzielność. W poniedziałek *rano* proszę się zgłosić na badania psychiatryczne.

Taylor siedziała oniemiała. Tysiące myśli wirowały jej w głowie. Najważniejsza z nich brzmiała: nie daj się zwolnić. Walcz z nią. Decyzje kapitan Norris są nieumotywowane, zresztą może w ogóle nie ma prawa podejmować tak daleko idących kroków. Tylko nie daj się wyrzucić.

– Ach, i *jeszcze* jedno.

Taylor spojrzała Umpie w oczy. Suka miała czelność się uśmiechać.

– Zostanie pani zdegradowana o *dwa* stopnie do rangi detektywa. – Norris położyła pulchne dłonie na blacie biurka, nachyliła się i syknęła: – Ma pani cholerne *szczęście*, pani była porucznik, że nie wyślę pani z powrotem na ulicę. *Może* gdyby popracowała pani jako zwykły krawężnik, *dotarłoby* do pani, że *wszyscy* bez wyjątku musimy przestrzegać prawa.

Taylor otworzyła usta. Miała ochotę powiedzieć coś, czego nie będzie mogła cofnąć. Zastanawiała się, czy to tylko groźby, czy też Delores Norris naprawdę ma uprawnienia, by zrobić coś takiego. Dwa stopnie w dół? Znowu być zwyczajnym detektywem? Do ciężkiej cholery. Zamknęła usta, zgrzytając zębami. Słyszając to, Umpa uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wiedziała, że Taylor dzieli słowo, może dwa, od zwolnienia dyscyplinarnego, i liczyła, że słynna powściągliwość pani porucznik tym razem ją zawiedzie.

Nie. Taylor nie zamierzała pozwolić wiedźmie wygrać. Wzięła dokumenty, odwróciła się i wyszła.

– Co zamierzasz?

Baldwin kipiał ze złości. Chodził po tarasie. Taylor sączyła piwo. Robaczki świętojańskie urządziły pokaz świateł. W łagodnym wiosennym powietrzu unosił się zapach deszczu.

Nadchodziła burza. O zmierzchu trawnik wydawał się zieleńszy, a kora drzew na skraju lasu niemal czarna. Cwany królik wykorzystywał to, że kosiarką nie wszędzie dało się wjechać, i podgryzał ocalałą kępkę wysokiej trawy.

– Nie możesz na to pozwolić. Co zrobisz? – powtórzył pytanie.

Taylor pokręciła głową.

– Mam związane ręce. Mój zespół został rozbity. Price’a zmuszono do przejścia na emeryturę. Fitz rozważa pójście w jego ślady. Nie wiem, co począć, Baldwin.

Wstała i podeszła do barierki. Brakowało jej słów. Miała ochotę się rozplakać. Frustracja zawsze sprawiała, że czuła potrzebę uzewnętrznienia prawdziwych uczuć. Tak było i teraz. Odetchnęła głęboko, nakazując sobie: Skup się, dziewczyno.

Pokazała palcem cienką sieć.

– Wiesz, że ten pająk każdego wieczoru próbuje zbudować sobie dom? Jest jak biwakowicz, który rozbija namiot, żeby skryć się przed burzą. Pająk biega dokoła pajęczyny, tka jak szalony, a potem czeka, czeka i czeka, aż komar, ćma albo świetlik wpadną w lepłą pułapkę.

Tyle pracy, a potem siedzenie i czekanie, nadzieja na posiłek. – Podniosła patyk i zniszczyła nim sieć. Spłoszony pajak uciekł do kąta. – Tyle pracy – powtórzyła.

Baldwin podszedł do niej, zabrał patyk i położył go na barierce, po czym łagodnym tonem spytał:

– Kochanie, mówię poważnie. Co zamierzasz zrobić?

Popatrzyła mu w oczy, w szmaragdowe, ciepłe źrenice, i poczuła ciężar rozpacz. Odwróciła się. Wbiła spojrzenie w ciemny las na skraju ogrodu. Odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona.

– Wiesz co, Baldwin? Tylko jedno mogę zrobić. Walczyć.

